

MARCELLO SIMONI

OPACTWO STU OSZUSTW



CZY UDA SIĘ OCALIĆ LEGENDARNE RELIKWIE?



MARCELLO SIMONI

OPACTWO
STU
OSZUSTW

Z języka włoskiego przełożyła
Joanna Kluza



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
L'abbazia dei cento inganni
Copyright © 2016 Newton Compton editori s.r.l.
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga
Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Redakcja: Bogusława Wójcikowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Kamila Majewska, Maria Zając
ISBN: 978-83-8110-604-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:


konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Prolog

Część pierwsza. Łuk światła

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

Część druga. Niewiasta i bestia

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

Część trzecia. Czwarty jeździec

49

50

51

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

Epilog. Sub oculis Domini

76

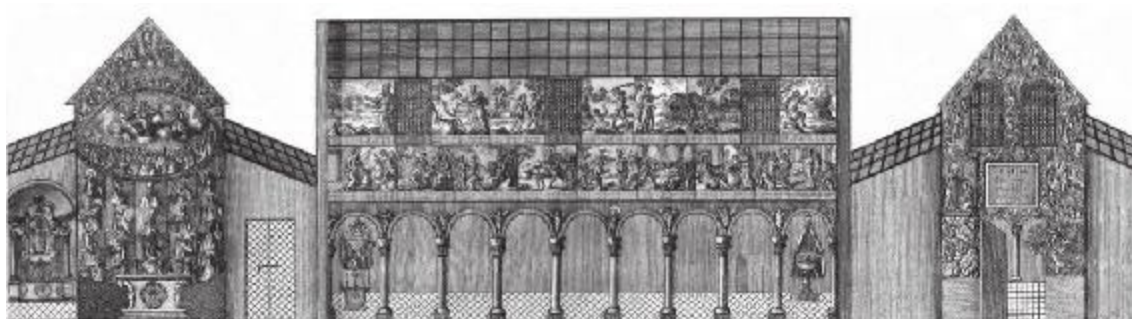
77

Nota od autora (Światło historii)

Przypisy

Szczęśliwe oczy, które widzą to, co wy widzicie.
Ewangelia wg św. Łukasza 10, 23¹

OPACTWO STU OSZUSTW (STYCZEŃ 1349 – MARZEC 1351)



PROLOG

BORY FERRARY

7 STYCZNIA 1349 ROKU, NOC

Łowca wilków przemierzał powoli bezkres śniegu pośród pni wierzb i dębów. Księżyc stał jeszcze wysoko, brzask lśnił srebrzyście między niebem a pobielonymi koronami drzew. Przyświecając sobie uniesioną pochodnią, zostawił z tyłu brzegi rzeki i ze wzrokiem wbitym w ziemię w poszukiwaniu śladów podążył na północ. Wykonywał tę profesję od dziecka, zrazu z ojcem, potem sam, nie mając nikogo, kto dotrzymałby mu towarzystwa. Darzył zresztą nienawiścią rodzaj ludzki, a jeszcze bardziej psy, te niegodziwe zwierzaki, podporządkowane swym panom. Czuł się swobodnie wyłącznie w lesie, jedynym miejscu, gdzie jego kudłata broda i mrukliwe usposobienie nie wywoływały ani pogardy, ani śmiechu.

Przystanął, by wsłuchać się w daleki skowyt, ze sztyletem gotowym do użycia pod futrzanym płaszczem. Nie dobył go. Chociaż dźwięk ów przypominał diabelski chichot, dobrze wiedział, że musi zachować całkowite milczenie. To właśnie stamtąd wyłaniali się najbardziej nikczemni drapieżcy.

„A niechaj nadejdą”, pomyślał znienacka. Wędrował przez ziemię usianą potrzaskami i wnykami, których dokładne położenie znał tylko on. Gdyby zjawiła się choćby i największa bestia, jaką można sobie wyobrazić, potrafiłby ją skłonić, by postawiła łapy tam, gdzie trzeba, i... wzięłby piękny odwet! Od ponad tygodnia w jego pułapki nie złapał się ani jeden wilk. Pomimo mrozu, za którego sprawą stawały się coraz bardziej wygłodniałe i skłonne zapuszczać się coraz bliżej ludzkich siedlisk, te łotry co noc nabierały większego sprytu.

Podczas gdy skowyt cichł zagłuszany wiatrem, łowca zaczął sprawdzać po kolei wszystkie potrzaski, wymieniając przynęty tam, gdzie należało, na świeże okrawki mięsa. Zachował najponętniejsze kawałki, aby nadzieć je na potężne haki przymocowane do pnia kasztanowca, po czym podążył ku łagodnej nizinie, gdzie poprzedniego dnia pozostawił resztki zatrutej kozy. Był zmuszony położyć je z dala od ścieżek, gdzie miałyby do nich dostęp wyłącznie dzikie zwierzęta, albowiem *herba luparia* zabija nie tylko bestie, ale każdego, kto w okresie głodu skusiłby się na w połowie przegniłą padlinę.

Ujrawszy zatem, że ścierwo zmieniło miejsce, nie wyobrażał sobie, że to sprawka człowieka. Odkrył je w odległości dwudziestu kroków, pod krzakiem jałowca. Sądząc po śladach, jakiś wilk zaciągnął je aż tutaj i w połowie pożarł, a następnie się oddalił.

Łowca szedł za jego tropami na śniegu w nadziei, że to samica. Za samice płacili więcej. Zwłaszcza za ciężarne. Przyjrząwszy się kałuży krwi pod stopami, ruszył naprzód z obnażonym sztyletem, skierowanym ostrzem w dół, przypominającym długi kiel gotów wbić się w ciało. Może bestia ciągle żyje, dogorywa, lecz zamiaruje się bronić.

Kolejne szkarłatne ślady zawiodły go tam, gdzie zarośla gęstniały, aż ku korzeniom wysokiego drzewa.

Wilk leżał tam na boku. Wychudzony, z sierścią pocętkowaną świerzbem i z pyskiem powalany krwią, która wyciekła mu w bolesnych torsjach.

Łowca schował sztylet do pochwy z westchnieniem zawodu. Nie wiedziałby, co począć z tak lichym futrem. Mimo to pochylił się nad truchłem zwierzęcia, aby sprawdzić jego płęć, gdy wtem jego uwagę przykuło niespodziewanie drganie świateł.

Przycupnął za pniem drzewa i wbił wzrok w zbliżające się między drzewami postacie. Habity, płaszcze i długie kaptury, latarenki, by rozświetlić szarugę. Najwyżej piętnaście osób, najprawdopodobniej wszystkie nieuzbrojone, im wszakże były bliżej, tym większy zdejmował go lęk. Zgasił pochodnię, aby go nie dostrzeżono, i szpiegował dalej.

Podobna do korowodu upiorów procesja podążała po śnieżnym kobiercu, aż dotarła do miejsca, w którym splecione gałęzie krzewów tworzyły coś w rodzaju łuku i otwierały przejście w mroku.

Nie ów widok jednak zatrwożył łowcę.

Zdławił nagle okrzyk, wziął nogi za pas i pognał ku murom miasta, którego tak mocno nienawidził, wszystko to zaś uczynił za sprawą tego, kogo ujrzał na czele zgrai obcych.

Niewiasty na grzbiecie bestii.

Bestii, która nie powinna w ogóle istnieć, chyba że w najciemniejszych otchłaniach piekła.

CZEŚĆ PIERWSZA ŁUK ŚWIATŁA



OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE
10 STYCZNIA

Młody Gualtiero wpatrywał się to w sklepienie apsydy, to we freski na ścianie. Wokół Chrystusa Pantokratora gromadził się korowód świętych, aniołów i błogosławionych, wtapiając się w łuk, który stawał się bramą do wieczności. W ciągu ostatnich lat często fantazjował, jak ująć ów temat, zmieniając w umyśle porządek obrazów, barwy, a nawet grę światła i cienia w dążeniu do doskonałości. W końcu musiał się pogodzić z tym, że uczynił to ktoś inny.

Jego wzrok spoczął więc nie bez goryczy na brodatym mężczyźnie na rusztowaniu, cyzelującym właśnie ostatnie szczegóły za pomocą pędzla z popielicy. Akurat w tej chwili dokonywał poprawek na skrzydłach archanioła Michała, który ważył ludzkie dusze. Gualtiero był oczarowany. W kilka dni dowiedział się od mistrza Vitalego de Equis więcej niż od ojca przez całe życie pielgrzymek i wreszcie uzmysławiał sobie, jakiego rodzaju malarzem chce zostać.

Z braku współpracowników Vitale zgodził się go przyjąć na pomocnika pod warunkiem, że nie podzieli się z nim zapłatą od opata. Zajęcie polegało z grubsza na przygotowywaniu pigmentów, nakładaniu zaprawy i przesuwaniu ciężkich przedmiotów, Gualtiero skrzętnie notował wszakże w pamięci, w jaki sposób *magister pintor* potrafi nadać piękno twarzom i tchnąć życie w postaci. Wystrzegał się jednak zadawania pytań, albowiem znał niechęć rzemieślników do wyjawiania swoich tajemnic. Zwłaszcza że doszły go słuchy o łatwości, z jaką mistrz de Equis zamieniał pędzel na sztylet, którym nauczył się podobno władać w szeregach uzbrojonych obywateli z bolońskiej dzielnicy Porta Stiera.

– Dostrzegacie jakieś niedociągnięcia? – zapytał znienacka.

Patrząc, jak schodzi z rusztowania, młodzieniec miał wrażenie, że tamten zachęca go do wygłoszenia pochwał. Rozłożył ręce z uśmiechem.

– Nie widzę żadnego – po czym zabrał się do oglądania dolnej części fresku, poświęconej żywotowi Świętego Eustachego, obrońcy przed zarazą. Po wstępnym wahaniu opat Andrea postanowił tchnąć weń więcej życia, aby przeciwstawił się potwornościom czarnej śmierci, która nadal zbierała swe żniwo na ziemiach Emilii i Romanii. Wszelako widok świętego na koniu w miejscu modlitwy budził zdziwienie. Eustachy tkwił wyprostowany w siodle przed jeleniem z krzyżem w porożu, z buńczuczną miną, którą podkreślał siedzący mu na lewym ramieniu sokół. Vitale nie

zdołał ukryć podobieństwa do miniatury wykonanej przed wieloma miesiącami przez Gaultiera, którego z kolei napawało to dumą.

– A co teraz zrobicie, mistrzu?

Przed udzieleniem odpowiedzi de Equis omiół wzrokiem długie ściany nawy pokryte starymi freskami, które zdążyły już wyblaknąć. Wymagały renowacji, lecz opactwo nie dysponowało wystarczającymi funduszami na zlecenie podobnych robót, ani tym bardziej na opłacenie dzieła *ex novo*.

– Wróćę do Bolonii – oznajmił, gładząc się po brodzie palcami powalanymi farbą. – Muszę czuwać nad pracownią i mam obowiązki do wypełnienia.

– Zastanawiam się zatem, czy przypadkiem... – odważył się zacząć młodzieniec.

Vitale uciszył go gestem ręki.

– Mój panie, doprawdy sądzicie, że tego nie zauważyłem? Czaicie się z tym pytaniem już od naszego pierwszego spotkania. – Zmierzył go wzrokiem ze szczerym żalem. – Wyglądacie na zdolnego, tylko że ja już mam terminatora. Nawet wielu. Nie mówiąc o tym, żeście za starzy, aby zostać uczniem.

– Ale przecież mam doświadczenie! – sprzeciwił się poczerwieniały na twarzy Gaultiero. – Mój ojciec był mistrzem malarskim. Nim wyzionął ducha, przekazał mi całą swą wiedzę.

– Tak czy inaczej, musielibyście zaczynać od początku. Mam własne metody i wymagam ich respektowania.

Młodzieniec zacisnął pięści. Upierał się nie z powodu zuchwałości, popychała go ku temu konieczność znalezienia profesji, która pozwoliłaby mu utrzymać siebie i ukochaną. Bez względu jednak na to, jak bardzo wyteżał umysł, nie znajdował innego rozwiązania niż spożytkowanie własnego talentu.

– Macie słuszność, wkrótce skończę dwadzieścia lat – przyznał. – Mimo to podejmę się najbardziej urągających zadań, byleby was zadowolić.

De Equis zawahał się, zanim wszakże zdołał odpowiedzieć, odwrócił się w stronę klasztornej portalu. Odrzwia otwarły się z głośnym skrzypieniem, wpuszczając jakąś zakapturzoną postać.

Przybysz czym prędzej zamknął je z powrotem, uciszając świst wiatru. Ruszył wzdłuż nawy, strząsając śnieg z oponczy przykrywającej czarny habit. W ślad za nim podążał kulawy chart.

– Wielebny opacie – przywitał go z ukłonem malarz.

Ojciec Andrea nie zaprzętał nim sobie głowy, tylko zdjął kaptur, aby lepiej przyjrzeć się freskowi w apsydzie. Regularne odwiedziny za każdym razem wprawiały go w większe zadowolenie. Wszelako nigdy jeszcze nie wydawał się równie ukontentowany jak teraz. Skinął głową, omiatając spojrzeniem poważne oblicze Chrystusa i rozanielone uśmiechy korowodu, potem, poniżej, czterech ewangelistów przy pulpitych, wreszcie sceny z żywota Świętego Eustachego. Na koniec wpatrzył się

w mnicha klęczącego przed Pantokratores i Matką Boską Anielską. Znajdował się niemal na uboczu, jako jedyny pozbawiony był aureoli, szeroka tonsura i twarz bez zarostu dodawały mu rozbrajającej prostoty.

– Nie chciałbym, żeby współbracia, widząc mój wizerunek namalowany pośród licznych świętych, dopatrzyli się u mnie nadmiernej pychy – skwitował.

– Wasza nieobecność na malowidle byłaby błędem – wyjaśnił z szacunkiem mistrz malarski. – W końcu to wy jesteście zleceniodawcą tego dzieła.

– Byłbym nim naprawdę – wykręcił się opat – gdyby floreny, którymi wam płacę, pochodziły z mojej kieszeni.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Pewien francuski rycerz, doszły mnie słuchy...

Andrea pominął kwestię zagadkowym uśmiechem, po czym wskazał ręką fresk.

– Zasłużyliście na moje uznanie, mistrzu de Equis. Cała nawa odzyskała splendor.

– Schlebiacie mi, Wasza Wielebność. Zresztą *color est lux*.

– Słusznie prawicie, albowiem znajdujemy się w benedyktyńskim klasztorze – zadrwił zakonnik. – Gdybyśmy się znajdowali w zakonie cystersów, oskarżono by nas o próżność. – Odczekał na potakujące skinienie ze strony rzemieślnika, po czym zwrócił się do Gualtiera. Widząc, że się nad czymś głowi, zmarszczył czoło. – Czyżbym zjawił się nie w porę?

– Ależ skąd. – De Equis wzruszył ramionami. – Mimo że wasz miniaturzysta...

– Nie jestem już miniaturzystą – sprostował młodzieniec, nagle przerywając milczenie.

– Moglibyście powrócić do tego zajęcia – podsunął pełen nadziei opat. – Wasze iluminacje na pergaminie to takie same dzieła sztuki jak freski mistrza Vitalego pokrywające apsydę.

Gualtiero nie pozostawał nieczuły na pochwały, dostrzegł wszakże w jego słowach jakąś nieszczerłość.

– Jestem wam wdzięczny – rzekł, spuszczać nieco głowę – nie miejcie mi jednak za złe, że podążę śladami ojca.

Andrea drgnął.

– Waszego... ojca? – wyrwało mu się.

Młodzieniec zmierzył go spojrzeniem najpierw podejrzliwie, potem z niechęcią.

– Owszem, mojego ojca! – wykrzyknął. Chociaż wyjawiał prawdziwą tożsamość rodziców tylko jednej osobie, zaufanemu przyjacielowi, nie był aż tak łatwowierny, by wykluczyć możliwość, że inni też znają ową niebezpieczną tajemnicę. Nigdy by jednak nie przypuszczał, że należy do nich opat z Pomposy. – Człowieka, który się mną opiekował od małości: mistrza Sigismonda de' Bruniego, niesprawiedliwie powieszono. Jużście o nim zapomnieli?

– Jak mówiłem – wtrącił Vitale, zupełnie niezorientowany, co się dzieje – nie mogę uczynić go moim terminatorem, ponieważ...

– I cóż stąd? – utyskiwał Gualtiero, wylewając na niego całe oburzenie. – Polećcie mnie jakiemuś równemu wam mistrzowi!

De Equis cofnął się z nerwowym śmiechem.

– Hardy ten nasz de' Bruni.

– Raczej oczarowany – sprostował wielebny Andrea, który tymczasem najwyraźniej zapomniał o niezbyt fortunnej odpowiedzi. Okrążył młodzieńca z pochmurną miną, jakby chciał czytać mu w myślach. – Chociaż przedstawił swoje racje, nie zdradził dotąd prawdziwej przyczyny, dla której zamierza zdobyć zawód.

Gualtiero skrzyżował ramiona na piersi.

– Wybaczcie, ale to moja sprawa.

– Nikt w to nie wątpi, synku – naciskał opat. – Nie chciałbym jednak, żebyście z powodu kłopotu z ożenkiem zmarnowali swoją przyszłość.

Słyszając, że został osądzony aż tak pochopnie, młodzieniec o mało nie stracił nad sobą panowania. Tylko chęć uniknięcia nieprzyjemnych następstw skłoniła go, by przykrył grymas wściekłości wymuszonym uśmiechem.

– Doskonale wiecie, jak bardzo was szanuję, *abbas*. Wszelako minął czas, kiedyście decydowali za mnie.

– Jeśli w przeszłości sobie na to pozwoliłem – bronił się zakonnik – uczyniłem to, aby chronić was przed pułapkami świata i przed jeszcze groźniejszymi pułapkami waszej porywczej natury. A teraz... Teraz... To szaleństwo z powodu jakiejś dzierlatki!

– Nie może to być! Nadal żywcie nadzieję, że uczynicie ze mnie mnicha?

Ojciec Andrea odwrócił wzrok.

– Nie o tym zamierzam z wami mówić. Mam dla was propozycję i liczę, że wystarczy wam zdrowego rozsądku, aby ją rozważyć...

Zanim zakonnik zdążył dodać coś jeszcze, rozległo się przenikliwe rżenie. Wszyscy trzej mężczyźni natychmiast umilkli i nadstawili uszu, aby wyłować dobiegające z zewnątrz dźwięki. Najwyraźniej do opactwa przybyła właśnie gromada wędrowców.

Rozsierdzony tym nagłym najazdem Andrea przemierzył wielkimi krokami pokrytą mozaiką posadzkę, a dotarwszy do narteksu, otworzył na oścież skrzydła portalu. Jego oczom ukazały się otulony śniegiem dziedziniec i arkady krużganka, odcinające się na tle szarego nieba. Nieopodal dwaj posłańcy ścigali cugle wierzchowców, aby zwolniły bieg.

– Co was tu sprowadza, panowie? – wrzasnął, żeby przekrzyczeć świst wiatru.

– Biskup – odparł jeden z nich. – Przysłał nas, aby zasięgnąć języka o pewnym rycerzu, Maynardzie de Rocheblanche'u.

– Rocheblanche?

– Czy nadal chroni się w tych murach? – zapytał drugi.

– Owszem, ale... – Andrea rozejrzał się wokół zakłopotany. – Teraz go nie ma... Jest w puszczy, na polowaniu.

Ten, który odezwał się pierwszy, zaklął siarczyście.

– Niech ktoś natychmiast po niego pojedzie. Nie możemy czekać.

– Ja pojedę!

Opat odwrócił się mocno zdziwiony i ujrzał Gualtiera.

– Wiem, gdzie znaleźć messer Maynarda – oznajmił młodzieniec i pospiesznie ruszył ku wyjściu. – Proszę o pozwolenie wzięcia jednego z koni opactwa.

Zakonnik już miał odmówić, lecz zatrwożone miny posłańców kazały mu udzielić zgody.

– Weźcie Rufusa, jest najszybszy – westchnął z rezygnacją. – Tylko bądźcie ostrożni!

Chłopiec obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku stajni.

Andrea śledził go kątem oka, dopóki nie zniknął na tle bieli śniegu, po czym ponownie wpił wzrok w wysłanników biskupa.

– A zatem – powiedział, odzyskawszy stanowczość – czego chcecie od Rocheblanche'a?

Kopyta Rufusa niemal bezszelestnie zagłębiały się w śniegu. Pochylony w siodle Gualtiero ścisnął kurczowo wodze, mrużąc oczy przed białymi drobinkami przywiewanymi przez wiatr. Miał na sobie prostą wełnianą tunikę, kaptur i skórzane buty, był wszakże tak bardzo wstrząśnięty, że nie zwracał uwagi na szczypiący mróz. Popędził konia piętą, wydając okrzyk wściekłości. Jak ten stary mnich śmiał? Jak śmiał wypowiadać się o uczuciach, których nie zna? Jeszcze słowo, a wywrzeszczałby mu to w twarz, nie bacząc, jak bliski był mu w trudnych chwilach. Po prawdzie strata rodziców stanowiła dla niego jedynie początek niepowodzeń, które sprawiły, że stał się tak mało wrażliwy na owego milczącego Boga, jakże odmiennego od tego na kościelnych freskach. Niechże zatem wielebny Andrea daruje sobie te kazania!

Galopował z zawrotną szybkością po białej ścieżce, wiodącej wśród szkieletów drzew, wyobrażając sobie, że odpiera każde oszustwo i cierpienie, jakie zwichrowały mu życie. Przed oczami przepływał mu korowód przezroczystych obliczy; jedne należały do rzeczywistych postaci, inne do przerażających potworów. „Do diabła!”, zaklął.

Szarpnął wodze i wpadł w krzaki jeżyn, następnie raptownie skręcił w lewo, na coraz węższą drogę. Tutaj warstwa śniegu była grubsza, toteż musiał zmniejszyć tempo. „Nic to”, pomyślał. I tak już dotarł do miejsca, w którym messer Maynard zwykł się zatrzymywać. Tysiąc razy słyszał o opuszczonym cmentarzysku pośród borów, gdzie – jak twierdził – oddychało się dawnym powietrzem.

Ledwie się tam znalazł, pojął znaczenie tych słów. Zwolnił i jął się posuwać przez polanę usianą płytami nagrobnymi, czując się jak intruz. Niecałe dziesięć grobowców, kamieni wygładzonych przez czas. Zdaniem ojca Andrei należały do Longobardów, ariańskich wojowników poległych w zamierzchłej bitwie.

Podążał dalej aż do miejsca, gdzie drzewa zaczęły gęstnieć, i rozpoznał przywiązanego do pnia karego Rocheblanche'a. Zeskoczył z siodła, pogładził Rufusa i przycupnął przy resztkach małego ogniska. Rycerz zapewne przybył tu przed świtem, a następnie pieszo zanurzył się w zarośla. Nie sposób było określić, kiedy wróci ani gdzie się właśnie podziewał.

Z drugiej strony młodzieniec nie miał nic przeciwko czekaniu. Musiał podjąć trudną decyzję i potrzebował czasu do namysłu. Usiadł na ziemi, odgarnął cienką warstwę śniegu z ogniska i użył krzesiwa, aby podsycić płomień. Nie wiedział, czego chcą od Maynarda wysłannicy biskupa. W przeszłości stosunki między rycerzem a Jego Ekscelencją Guidem di Baisiem nie były najlepsze, ale gdy wtrącił się markiz

Ferrary, stały się wręcz niebezpieczne. Nie owe wspomnienia jednak przysparzały mu zmartwień.

Ciągle miał przed oczami instynktowną reakcję opata Andrei. „Waszego ojca?” Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega w jego oczach strach. A przecież... Czy to możliwe, żeby wiedział? Istniało ogromne niebezpieczeństwo i jeśli prawda wyjdzie na jaw...

Wtem z krzaków wyłonił się mężczyzna w czerni. Rosły, o potężnych barach, nosił przewieszony przez ramię łuk i skórzaną sakwę. Zbliżył się do ognia z powitalnym gestem, po czym rozchylił płaszcz i położył na ziemi sieć, w której znajdowała się drobna dziczyna.

– Przyjacielu – przemówił donośnym głosem – czymże frasuje się wielebny Andrea?

Gualtiero skinął mu na powitanie.

– Kto mówi, że się frasuje?

Mężczyzna wskazał precyzyjnie gniadosza uwięzianego obok karego.

– Gdyby tak nie było, nigdy by nie pozwolił wam przyjechać aż tutaj na Rufusie.

– Kwestia ta nie dotyczy ojca Andrei, lecz was – sprostował młodzieniec. – Oczekują was w opactwie.

– Kto taki?

– Dwaj wysłannicy biskupa.

Rocheblanche zmarszczył czoło.

– Czy przedstawili swe zamiary?

– Nie zdołałem usłyszeć. Czym prędzej ruszyłem po was.

– Dwaj wysłannicy, powiadacie... Uzbrojeni?

– Nie bardziej niż zwykli *missi dominici*.

Rycerz usiadł obok niego i wyciągnął ręce do ognia.

– Pozwólmymy im poczekać.

– Rozsierzdźcie ich – zaoponował Gualtiero.

– Odrobina wrzenia pomoże im pokonać mróz – zakpił Maynard, posyłając mu przenikliwe spojrzenie. – A teraz wytłumaczcie mi, dlaczegoście przyjechali sami, zamiast wysłać pachołka. Czyżbyście nie pracowali nad freskiem?

– Fresk jest ukończony. – Młodzieniec się zasepił. – A mistrz Vitale de Equis nie chce mnie na terminatora.

Rocheblanche wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że istnieją inne pracownie godne waszego talentu.

– Nie tak jak jego, messer. Gdybyście widzieli, jak on maluje! Jak potrafi tchnąć życie w twarze!

– Może chcecie, żebym mu pogroził? – zapytał mężczyzna z chytrym uśmiechem.

– Nie dworujcie sobie ze mnie. – Gualtiero zerwał się na równe nogi. – Wiecie aż

nadto dobrze, co mną kieruje.

Maynard przyglądał się, jak przechadza się w tę i z powrotem coraz bardziej strapiony.

– Zgodziwszy się oddać wam rękę mojej wychowanicy, nigdy nie spodziewałbym się, że wpadniecie w popłoch. W każdym razie nie rozpaczajcie, jesteście wystarczająco bystrzy i roztropni. Musicie jedynie okazać cierpliwość.

Młodzieniec podszedł do jednej z tablic i musnął ją niepewnym gestem.

– Obawiam się, że to nie takie proste – szepnął.

Rycerz spoważniał i jął się znów wpatrywać w płomień.

– No cóż – rzekł – zdecydujecie się wreszcie wyjawić prawdziwy powód waszej wizyty?

Gualtiero zastanawiał się, czy odpowiadając szczerze, wykaże się rozwagą. Gnał tutaj wiedziony chwilowym porywem, teraz jednak wątpił, czy Francuz zdoła mu pomóc. Wszelako doskonale zdawał sobie sprawę, że zbyt mocno rozbudził jego ciekawość, by teraz nabrać wody w usta. Po krótkim milczeniu przytaknął.

– Odkryłem groźbę.

– W czym rzecz?

– Chodzi o moje korzenie.

Rocheblanche skinął na znak, że pojmuje. Jego dłonie, nadal wyciągnięte w stronę ognia, złożyły się jak do modlitwy, po czym się otwały, jakby uwalniając myśl.

– Sporo o was dumalem – wyznał. – Ciągłe nie potrafię uwierzyć, że wasza matka należała do rodu Estów i że poślubiła malarza wyłącznie po to, by was chronić. Szlachetny gest godny podziwu.

Młodzieniec uchwycił w tych słowach poczucie braterstwa, które niemal go rozrzewniło. Dzielił z tym człowiekiem wiele niebezpieczeństw i tajemnic, nigdy wszakże nie czuł się mu równy. Górę wzięło jednak wspomnienie matki, które przeniosło go do tamtego dnia, gdy odnalazł ją w Awinionie wycieńczoną z powodu zarazy. Musiał przełknąć łzy.

– Została zmuszona do takiego postępku. Musiała ukryć przed światem, że jestem synem Passerina de' Bonacossiego, seniora Mantui, zamordowanego przez Gonzagów. Gdyby jego wrogowie...

– Grożono wam? – przerwał mu z niepokojem Maynard.

– Nie, messer. Jednakże dziś rano przez chwilę miałem wrażenie, że ojciec Andrea zna moją tajemnicę.

– Jeżeli podejrzewacie, że to ja mu powiedziałem...

– Gdzieżby – pospieszył wyjaśnić Gualtiero. Coś innego wzbudzało jego obawy. – Na łożu śmierci matka wspomniała o jakimś prałacie, który ją zdradził. Dzisiaj zaś, patrząc wielebnemu Andrei w oczy, zadałem sobie pytanie, czy ów człowiek mógł przekazać komuś innemu to, co o niej wiedział.

Francuz nadal siedział przy ognisku i nie uzewnętrzniał żadnych uczuć. Dobył sztyletu i posłużył się nim do ucięcia kilku pasków wysuszonego mięsa. Podał jeden z nich towarzyszowi.

– Macie jakieś dowody na potwierdzenie waszych słów?

– Jedyne przecucie. Ale przysięgam na Boga, wystarczyło, że powiedziałem „mój ojciec”, a opat drgnął.

– Zatem, o ile dobrze zrozumiałem, przypuszczacie, że odczytał słowa „mój ojciec” jako odniesienie do Passerina de’ Bonacossiego, a nie do Sigismonda de’ Bruniego.

– Właśnie.

– A teraz przyszlście do mnie, abym potwierdził wasze obawy.

Gualtiero ugryzł kawałek mięsa i skinął głową.

Rocheblanche westchnął. „Z pewnością nie potrafię działać cudów”, zdawał się mówić. Wszelako jego źrenice wpatrywały się w ostrze sztyletu, jakby szukały odpowiedzi.

– Co wiecie o prałacie, który zdradził waszą matkę?

– Był biskupem Ferrary.

– Guido di Baisio?

– Jego poprzednik – sprostował młodzieniec. – *Monsignore* Guido da Cappello, ten, który oskarżył ród Estów o herezję.

Słyszając to, Maynard dał znak, że nie chce wiedzieć więcej. Wstał, zebrał dziczyznę i przytroczył do siodła karego. Gualtiero zawsze zazdrościł mu wojowniczej postawy, teraz wszakże płonął z niecierpliwości, by poznać jego zdanie. Spoglądał, jak Francuz wsuwa stopę w strzemię i dosiada konia, lękał się jednak, że odjedzie bez słowa.

W końcu mężczyzna w czarnym płaszczu przytaknął.

– W gruncie rzeczy słuszne jest przypuszczenie, że dawny biskup przekazał nowemu tajemnicę waszej matki. Jeśli w dodatku weźmiemy pod uwagę ostatnią komitywę ojca Andrei z Jego Eksceleńcją Guidem di Baisiem...

– Przyznajecie mi więc rację! – wykrzyknął młodzieniec.

– Za wcześnie na takie stwierdzenie – ostudził go Rocheblanche. – Niepokój mnicha to jeszcze nie dowód na prawdziwość hipotezy. Trzeba będzie zasięgnąć języka, poszukać wskazówek – wyjaśnił, po czym uśmiechnął się z goryczą. – Lecz jeśli na koniec wasze podejrzenia okażą się uzasadnione...

– Zastanawiałem się nad tym – wyznał Gualtiero, wskakując na grzbiet Rufusa. – Będę musiał uciekać i zostawić Isabeau. – Skrył grymas pod fałdami kaptura. – Nie chcę jej narażać z mojego powodu.

– Nie tylko Isabeau znajdzie się w niebezpieczeństwie – przestrzegł go Francuz, nagle ścisząc głos. – Dotyczy to także waszej największej tajemnicy. Właściwie

naszej tajemnicy.

– Macie na myśli... Och! – Młodzieniec uderzył się dłonią w czoło. – Gdyby mnie schwytano i zmuszono do mówienia...

– Hola, jeszcze nie czas, żeby wpadać w czarną rozpacz. – Maynard popędził wierzchowca. – Teraz za mną! Jedźmy się przekonać, co mają do powiedzenia wysłannicy biskupa.

Gdy dotarli do opactwa, obaj posłańcy zdążyli już odjechać.

– Spieszno im było do Ferrary – wyjaśnił ojciec Andrea, przyjmawszy Rocheblanche’a w swej pracowni, w *Palatium Abbatis*.

Rycerz usiadł naprzeciw niego na krześle otoczonym stosami ksiąg. Rozmowa z Gualtierem ciągle nie dawała mu spokoju, co było zgodne z jego milczącą naturą. Wolał nie trwożyć dodatkowo młodzieńca, chociaż wiedział, że okoliczności mogą się okazać poważniejsze, niż je przedstawił. Po powrocie do Pomposy skierował go do stajni, nie wspomniawszy o więzach łączących biskupa z *monsignore* Bertrendem du Pougetem. Maynard czekał z drzeniem na chwilę, gdy będzie musiał się zmierzyć z groźnym kardynałem, lękał się wszakże następstw jego przybycia do Ferrary. Gdyby Bertrand du Pouget wziął udział w grze miejscowych możnowładców, za sprawą tajemnic staliby się oni jedynie pionkami na jego oszukańczej szachownicy.

Do rzeczywistości przywrócił go widok ojca Andrei, który podsuwał mu właśnie zwój pergaminu. Francuz chwycił dokument i przyjrzał się uważnie biskupiemu herbowi, odcisniętemu w woskowej pieczęci.

– Przed wyjazdem – oznajmił opat – posłańcy polecieli mi wam to oddać.

Rycerz zerknął nań spod oka.

– Wspomnieli coś o zawartości?

– Ledwie półsłówkiem. Podobno w zamian za pewną przysługę *monsignore* Guido di Baisio przyrzeka pomóc wam wkraść się z powrotem w łaski markiza.

– Bardzo w to wątpię. – Maynard skrzywił się drwiąco. – Gdyby tylko nadarzyła się sposobność, markiz Obizzo zabiłby mnie gołymi rękami. – Zważył w dłoni zwój, nie mając najmniejszej ochoty go otwierać. – Nic poza tym? – zapytał.

– Nic, co zdołalbym pojąć – odparł dość zagadkowo Andrea. – Gdy tylko zapewniłem, że osobiście dostarczę wam wiadomość, obaj mężczyźni czym prędzej się oddalili. Jakby ogarnął ich strach.

– Strach – powtórzył Rocheblanche, instynktownie się wzdrygając. Słowo to wzbudzało w nim wstręt, podobnie jak sposób, w jaki zdawało się ono znaczyć każdą istotną chwilę jego życia. Przemożny wpływ, jaki wywierało na rodzaj ludzki, budził w nim wstręt. Rycerz zacisnął palce na poręczach krzesła, po czym wstał, dając do zrozumienia, że chce zmienić temat. – Doszły mnie słuchy, że fresk został ukończony.

Andrea nadal siedział, z dłońmi splecionymi na pulpicie, niemile zaskoczony jego gestem.

– Wyłącznie dzięki waszej hojności, messer.

Rycerz udał, że nie słyszał pochlebstwa.

– Chętnie bym go zobaczył. Teraz.

– A co z wiadomością od biskupa?

– Zaczeka.

Po chwili przemierzyli klasztorną nawę, kierując się ku apsydzie. Maynard zerknął ukradkiem na gromadkę zakonników oglądających dzieło mistrza Vitalego de Equis, po czym sam zabrał się do podziwiania. Uderzyła go mnogość obrazów, z których każdy odznaczał się odrębnymi cechami i kunsztownością, rozmieszczonych na w gruncie rzeczy niezbyt dużej przestrzeni. Natychmiast pojął, dlaczego Gualtiero pragnął zostać uczniem tego rzemieślnika.

– Moje floreny zostały dobrze wydane – stwierdził.

– Cały klasztor jest wam wdzięczny – odparł ojciec Andrea, śledząc wyraz jego twarzy.

– To ja jestem wam wdzięczny za otrzymaną gościnę i opiekę – rzekł Rocheblanche, po czym położył mu dłoń na ramieniu i poprowadził go pod łuk nawy, aby nikt ich nie usłyszał. – Mogę sobie tylko wyobrazić, jakim poświęceniem było dla was udzielenie schronienia obcemu, który wszedł w zatarg z panem tych włości.

Opat pokręcił głową z rozdrażnieniem.

– Obizzo d'Este jest wikariuszem papieskim i markizem Ferrary, ale z pewnością nie może dyktować praw za murami Pomposy.

Rycerz poczuł pokusę, by go ostrzec: „Nie dajcie się zwieść”. Jego celem była wszakże zupełnie inna kwestia.

– Niemniej jednak – dodał – wykazaliście się odwagą, przeciwstawiając się jego władzy. I nie tylko jego.

– Jeśli macie na myśli biskupa... – zawahał się Andrea.

– Wiem, że jesteście w tej chwili w doskonałej komitywie.

– Nie ma żadnych powodów do dumy. Jego Ekscelencja sprzyja mi wyłącznie dlatego, że zapewniłem mu schronienie na czas zarazy.

– I oto wyjaśnienie waszych ciągłych wizyt w Ferrarze – skwitował Maynard z odrobiną złośliwości. – O ile wiem, raz w tygodniu.

Rozsierdzony jego tonem opat cofnął się o krok.

– Szpiegujecie mnie, Rocheblanche?

Gdyby Francuz spotkał się z takim gestem podczas walki, zastanowiłby się nad sztychem, choćby poprzedzonym fintą. Uśmiechnął się.

– Ograniczam się do uważnego patrzenia. Czyżby to był grzech?

– Nie macie się czego obawiać ze strony Guida di Baisia – oburzył się Andrea – w istocie ta wiadomość... – Wskazał zwój w rękach Maynarda, po czym z miejsca ugryzł się w język.

– Znacie zatem jej treść – prowokował go Rocheblanche, nie przestając drwić.

– Wiadomo mi jedynie, że Jego Ekscelencja zamierza wam pomóc – bronił się zakonnik, skrywając zakłopotanie.

– W jakim celu?

– Sami go zapytajcie, na miły Bóg! – zagrział, unosząc pięści. Szmer w oddali przypomniał obydwu o obecności mnichów, każąc ściszyć głos i wycofać się jeszcze bardziej w cień.

– Można wiedzieć, jaki jest powód tak wielkiej podejrzliwości? – ciągnął Andrea. – To również dzięki mnie zdołaliście ustrzec tajemnicę *Codex Millenarius* oraz poszukiwanych przez was relikwii. Myślicie, że zapomniałem? Nie, messor! Po prostu uszanowałem waszą powściągliwość, nawet wówczas, gdy wmieszaliście w to młodego Gualtieria. Nigdy nawet was nie zapytałem, dlaczegoście go wysłali wiele miesięcy temu do Francji, chociaż zdawałem sobie sprawę, że narażaliście jego życie.

– Gualtiero jest mężczyzną, sam dokonał wyboru – odparł Maynard, opuszczając kąciki ust. – Pomyślcie raczej o was. Zaczynam domniemywać, że za pomocą tych wymówek usprawiedliwiacie się z powodu czegoś, o czym jeszcze nie wiem.

Zakonnik spojrzał nań z oburzeniem.

– Wytworny sposób nazwania mnie kłamcą.

– Nie dostrzegam w was żadnego łgarstwa, lecz pragnienie, by kierować życiem każdego, kto znajdzie się blisko was. A jako że jest to cecha powszechna u wielu duchownych, nadal oczekuję od was czegoś więcej.

Co powiedziawszy, Rocheblanche odwrócił się i przełamał pieczęć listu. Był to gest podyktowany raczej gniewem niż ciekawością. Gniewem, który musiał powściągnąć, aby ocalić tymczasową spokojną egzystencję. Przyszło mu zresztą na myśl, że gdyby opat wiedział o korzeniach Gualtieria, nie zdradziłby się z tym, odpowiadając na pytanie zadane wprost. Należało działać przebiegle, a przede wszystkim ze spokojem. Rozwinął pergamin, zgniatając go palcami, i przeczytał jego krótką zawartość.

– Ależ... – wyjąkał – co to... znaczy?

– Aż tak niespodziewana wiadomość? – zapytał zaciekawiony Andrea.

Maynard schował list pod płaszczem.

– Sam nie wiem – odrzekł. – Podane są jedynie dzień i miejsce spotkania.

– Czyli?

– Jutrzejszej nocy w Ferrarze. Pod konwentem Świętego Dominika.

FERRARA, DZIELNICA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA
11 STYCZNIA

– Wasza broń, messer.

– Mam tylko sztylet.

Zignorowawszy odpowiedź, zbrojny dokładnie przeszukał Maynarda; nie pomiął nawet wnętrza butów z cholewami i kieszeni ukrytych pod podszewką płaszcza. Rycerz tymczasem przyglądał się smudze śniegu i błota ciągnącej się wzdłuż ulicy Powodzi i ginącej w mroku nocy. Powtarzał sobie, że nie ma powodu do obaw, mimo to nieustannie szukał wzrokiem wszelkich możliwych dróg ucieczki. Tylko głupiec przekroczyłby próg konwentu braci kaznodziejów z lekkim sercem, zwłaszcza jeśli ów konwent stanowił siedzibę Świętej Inkwizycji. Teraz to już nie miało wielkiego znaczenia. Wkrótce zapaści się w meandry Świętego Dominika całkowicie bezbronny, w dodatku z własnej woli. Zaufawszy zwykłemu listowi.

Ostatnie spojrzenie na dzwonnice Świętej Justyny – chętnie uciekłby właśnie w tym kierunku – i otrzymał pozwolenie na wejście do konwentu.

– Czekają na was, messer.

Młody frater poprowadził go w blasku świecy przez główną nawę, po czym zagłębili się w ciąg kruzganków. Rocheblanche oparł się pokusie wypytania zakonnika o powód, dla którego go tutaj wezwano, i podązał z wysoko uniesioną głową, aby stawić czoło coraz bardziej gęstniejącym ceniom, zdającym się pochyłać nad nim niczym cisi ławnicy. Pomyślał, że z pewnością nie byłby pierwszy, gdyby zniknął nocą w ten sposób, pokornie i bez śladu.

Konwers kluczył, sprawiając, że tracił orientację, aż przystanął przed tak niskim wejściem, że rycerz musiał się pochylić, aby się przedostać. Ledwie to uczynił, usłyszał trzask zamykających się za nim drzwi.

Poglądził pustą pochwę sztyletu i rozejrzał się po izbie. Ciemne, pozbawione okien wnętrza rozjaśniały nieliczne świece, w większości rozmieszczone u stóp olbrzymiego krucyfiksu wiszącego na ścianie. Pod krzyżem, za prostokątnym stołem, siedziało dwóch mężczyzn. Maynard od razu rozpoznał starszego z nich.

– Wasza Ekscelencjo – powitał go z ukłonem.

Guido di Baisio skinął nań, by się zbliżył.

Rocheblanche dopiero wtedy dostrzegł obecność dwóch zbrojnych w kolczugach, stojących w rogach izby. Tkwiąc nieruchomo, wyglądali, jakby czekali na byle

pretekst, by dobyć mieczy. Francuz nie wątpił jednak ani przez chwilę, że najbardziej zagraża mu człowiek siedzący obok biskupa. Sądząc po białym szkaplerzu i czarnej kapie, był to dominikanin, miał wychudzoną i pożółkłą twarz i zwinne ciało, z którego dało się dojrzeć tylko smukłe palce. Lecz oczy... Och, te oczy! Na ich widok cofnęłyby się nawet najdziksza bestia. Maynard wpatrzył się w nie bez wahania, dostrzegając w nich nienawiść, która obejmowała zapewne większą część rodzaju ludzkiego.

– Nie byłem pewien, messer – odchrząknął wielebny Guido – czy zgodzicie się przybyć.

– Sporo nad tym myślałem – wyznał Francuz – aż w końcu przypomniałem sobie, że mam wobec was dług wdzięczności. Niegrzecznie byłoby odmówić.

– Szlachetny na wskroś.

– Mam nadzieję, że nie okażę się na wskroś głupcem.

– Jeśli lękacie się zagrożenia, możecie być spokojni – pocieszył go biskup. – To nie dotyczy was. – Zerknął na dominikanina, jakby domagał się w milczeniu większej klarowności.

Czekając na wyjaśnienia, Rocheblanche skrzyżował ramiona na piersi.

– Jakie zagrożenie macie na myśli?

Guido di Baisio zwlekał, dopóki nie uzyskał pospiesznego przyzwolenia ze strony fratra, wreszcie westchnął.

– Niewiele jest do powiedzenia. Jedyne świadek był oszczędny w zeznaniach.

– Świadek?

– Łowca wilków – dodał biskup. – Zwie się Silvano, pochodzi z *burgus* Focomorto. Twierdzi, jakoby przed kilkoma dniami w puszczy pod Ferrarą zauważył procesję... *gentes maleficae*.

Maynard podszedł tak blisko, że niemal dotknął krawędzi stołu.

– Mówcie jaśniej, Ekscelencjo.

Guido wykrzywił wargi. W ciągu ostatnich miesięcy nieźle się postarzał, a na jego obliczu znać było nadal ślady jeśli nawet nie niedostatku, to bez wątpienia wielkiej trwogi, właściwej komuś, kto uciekł przed pomorem. Osoba mniej obeznana zdziwiłaby się, widząc biskupa po nocy prowadzącego rozmowę, która wprawiała go w wyraźne zakłopotanie. Lecz nie ten, kto znał jego upodobanie do intryg.

– Po prawdzie – rzekł – łowca użył mniej dokładnych słów. Bredził coś o odzianych na czarno ludziach w kapturach niosących pochodnie i latarenki... Podążających za czymś niewypowiedzianym.

– Miałem w życiu aż nadto do czynienia z niewypowiedzianymi rzeczami. Ale o ile dobrze rozumiem, mówicie o czymś nadprzyrodzonym.

– Owszem, tak jest w istocie.

– Jesteście pewni? – dociekał Rocheblanche. – Wasz łowca mógł natrafić na

korowód czarnych pokutników albo biczowników. Po zarazie bardzo ich przybyło, okupują zarówno przedmieścia, jak i *contado*.

Biskup pokręcił przecząco głową.

– Chodzi o orszak Diany – oznajmił z jawną pogardą. – Czy kiedykolwiek o tym słyszeliście, messer? Złe niewiasty wraz ze swymi sukubami błakają się po lasach, wznosząc błagania do pogańskiej bogini. Która nie jest niczym innym jak diabłem.

Na twarzy Maynarda pojawił się uśmiezek pełen niedowierzania.

– Gdybyście wy, kapłani, bez przerwy o nim nie wspominali, sam diabeł zwątpiłby we własne istnienie.

– Powściągnijcie język, bezwstydniku! – wybuchnął dominikanin, aż tkwiący w rogach izby zbrojni podskoczyli. Miał przenikliwy głos, który onieśmielał jeszcze bardziej niż wzrok. – Macie czelność naigrawać się ze świętych dogmatów i słów prałata? Już za samo to bluźnierstwo powinienem przybić wam język do drewnianej kłody!

– Okażcie szacunek, Rocheblanche – wtrącił wyrozumiale Guido. – Stoicie przed obliczem ojca Lamberta da Cingoli, jednego z najznamienitszych i budzących największy lęk braci w Lombardii i Marchii Genueńskiej.

– Inkwizytorem Ferrary? – zapytał Maynard.

– Już nie – odparł biskup. – Obecnie jest przeorem konwentu w Bolonii. Ostatnie wydarzenia wymagały wszakże jego niezwłocznego stawiennictwa.

Rycerz wpatrywał się w dominikanina rozdarty między ciekawością a rozdrażnieniem.

– Mojego pojawienia się także. – Nie zdołał się powstrzymać. – Co ono ma wspólnego z tym wszystkim?

– Po kolei, messer. – Baisio ściszył głos, jakby szykował się do zdradzenia tajemnicy. – Pojawienie się orszaku Diany to ostatnia z ciemnych przepowiedni, które ciążyą nad Ferrarą. Ostatnio uchwycono w tych murach znaki. Niepokojące znaki.

– Zatem to dziwne, że nie słyszałem o nich na ulicy – zauważył Rocheblanche.

– To dlatego, że wszystko wyciszono – wyjaśnił biskup, a jego twarz spochmurniała. – Musicie wiedzieć, że w ciągu ostatnich miesięcy znaleziono ropuchy przyczepione do skrzydeł drzwi i okien. Martwe ropuchy, przybite gwoździami... razem z arkuszami pergaminu.

– Gdyby nie arkusze pergaminu, można by to uznać za dziecięcy wybryk. Zawierały jakieś przesłanie?

– Zawsze to samo: *Pro bono malum*.

Widząc rosnące zakłopotanie biskupa Guida, Maynard przypuszczał, że jest coś jeszcze. Skądinąd zdawał sobie doskonale sprawę, że w pewnych okolicznościach już sam ów czyn wystarczy, by spłonąć na stosie. *Pro bono malum*, powtórzył w myślach. Sprawiało wrażenie ludowego przysłowia, tyle że w niezrozumiałej łacinie, która

mogła znaczyć wszystko i nic.

– Sądźcie, że to...

– Klątwa – wtrącił brat Lamberto da Cingoli ze ściągniętą twarzą, która wyglądała jak odciśnięta w wosku. – Klątwa zainspirowana określonym wersem Apokalipsy. „I ujrzałem wychodzące z paszczy Smoka i z paszczy Bestii, i z ust Fałszywego Proroka trzy duchy nieczyste jakby ropuchy”². – Następnie splótł palce pod brodą, niemal zadowolony. – Brzmi znajomo, messer? Opisuje szatańską trójcę, która ma pograć świat w żałobie przed trąbami sądu.

– Słyszałem ją już, owszem – odparł Francuz. – Ale skąd możecie mieć pewność, że istnieje jakikolwiek związek?

– Proste – zabrał się do objaśniania Guido, unosząc otwarte dłonie. – Za sprawą tego, co łowca wilków ujrzał na czele orszaku Diany.

– Cóż takiego?

– Przysięga, że widział niewiastę na grzbiecie bestii, lecz nie była to zwyczajna bestia. Miała baranie rogi i skórę pokrytą łuskami. Pojmujecie? To ona! Trzecia diabelska istota wymieniona w urywku Apokalipsy. To bluźnierczy koziół, Fałszywy Prorok, który przybył, żeby zawlec nas wszystkich do piekła!

Maynard dostatecznie rozumiał się na piekle, by nie dać się zastraszyć. Wiedział jednak również dosyć na temat nadprzyrodzonych wizji, toteż choć zachował kamienną twarz, pozornie nie dowierzając, z pewnością nie potraktował lekko tych słów. Sam zresztą gotów był przysiąc, że widział we śnie trzech jeźdźców w aureolach, przybyłych, aby obwieścić koniec świata. Wydarzyło się to na polu bitwy pod Crécy, w morzu krwi i błota, od tamtej pory jego zapatrywanie uległo większej zmianie, niż kiedykolwiek by przypuszczał.

– Zakładając, że owa bestia naprawdę istnieje – przemówił – czym dałoby się uzasadnić moje działanie?

– Za chwilę się dowiecie – obiecał Guido di Baisio. – Gdy tylko przysięgniecie dochować milczenia co do miejsca, gdzie znaleziono ropuchy wraz z pergaminem.

Rycerz skłonił głowę i położył dłoń na piersi.

– Macie moje słowo, wielebni ojcowie.

Brat Lamberto przytaknął z zadowoleniem.

– Otóż – oznajmił – ropuchy były trzy i znaleziono je przybite do drzwi Pałacu Signorii. Ostatnią przed komnatą sypialną markiza Obizza III d’Este.

FERRARA, KLASZTOR ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

Czwarta śnieżka rozbiła się o kraty dormitorium w mroku nocy. Czekając na odpowiedź, Gualtiero przycupnął za klasztorным płotem, w dobrze ukrytym miejscu, i w blasku księżyca wpatrywał się w drewnianą kratę, przez którą zakonnice spoglądały na świat. Nie potrafił uwierzyć, że można przywyknąć do tego rodzaju życia, w całkowitym odosobnieniu i na łasce cudzych decyzji. Przez krótki czas doświadczył tego na własnej skórze, pracując w skryptorium w Pomposie, kiedy jednakowe dni monotonnie mijały jeden po drugim, w rytmie klasztornych zwyczajów. Wytrzymał tylko dzięki pragnieniu, by zobaczyć matkę, i podsuwanym przez wyobraźnię scenom, które przelewał na pergaminowe kodeksy w kolejnych miniaturach.

Wszelako teraz zaczynał wątpić w słuszność własnych wyborów. Rezygnacja z zostania mnichem pozbawiła go łask ojca Andrei, a co za tym idzie, gościny w opactwie Pomposy. Łatwo było mówić Rocheblanche'owi, żeby uzbroił się w cierpliwość! Cóż on wiedział o troskach zwykłych ludzi? Ponadto przekonanie, że znalazł się w centrum groźnego spisku, napełniało go trwogą przed niepewnym losem.

Otulił się peleryną przed mrozem, zgarnął odrobinę śniegu, uścił go w dłoniach i rzucił w kratę dormitorium. Niepotrzebnie się łudził. Już podjął decyzję, lecz na myśl, że ma ją jej obwieścić, czuł ściskanie w żołądku.

Właśnie zamierzał odejść, gdy wtem przez otwory w kracie spostrzegł migotanie świecy. Wyłoniwszy się znad płotu, patrzył, jak światło przemieszcza się od okna do okna aż do biforium, przez które Isabeau zwykła wymykać się z klasztoru.

Nie musiał długo czekać, by wychyliła się i uczepliła dostatecznie mocnej gałęzi drzewa, która ją utrzyma. Zakonny habit wcale nie przeszkadzał jej poruszać się zwinnie niczym kot. Albo lepiej, niczym wędrowny aktor, jakim był jej ojciec. Gualtiero przyglądał się oczarowany jej akrobacjom, lękając się, że w każdej chwili może spaść. Opuścił więc czym prędzej swą kryjówkę i przybiegł jej z pomocą.

Ledwie znalazła się w jego ramionach, wyswobodziła się z chytrym uśmiechem.

– Zamierzałaś pobudzić wszystkie siostry? – skarciła go złośliwie. – Usłyszałam cię już za drugim razem.

– Przecież nie mogłem tego wiedzieć – usprawiedliwił się Gualtiero.

Isabeau roztała ramiona, wpatrując się w śniegową pierzynę przykrywającą całą wysepkę Świętego Antoniego. W ciemności jej twarz przybrała dziki, niemal

drapieżny wyraz.

– Ukryjmy się – podsunął, wycofując się w stronę nędznej chaty obok stajni.

Dziewczyna go powstrzymała.

– Matka przełożona coś podejrzewa, lepiej pójść gdzie indziej. Znam jedno miejsce...

Gualtiero pogładził ją po twarzy i pokręcił przecząco głową.

– Nie zabawię długo.

– Co to znaczy?

– Że przyszedłem tylko po to, aby ci coś powiedzieć.

– Napawasz mnie strachem.

– Nie masz powodów, żeby się bać. Tobie nic nie grozi. Natomiast ja...

– Co ty?

Młodzieniec spuścił wzrok. Wskazał jakiś punkt w oddali, na skraju krużganka, dotarłszy zaś do niego, oparł się plecami o kolumnę.

– Muszę wyjechać – wyznał. – Sam.

Przerażona chwyciła go za szaty.

– A co z tym wszystkim, co mi przyrzekłeś?

– Bóg jeden wie, jak bardzo tego pragnę. – Przytulił ją. – Jednak nie mogę. Nie teraz, gdy pojawiła się ta nowa zgryzota...

Dziewczyna przycisnęła twarz do jego piersi w oczekiwaniu, aż dokończy zdanie. Zatrwożona wszakże jego niespodziewanym milczeniem, spojrzała mu w oczy.

– Jaka zgryzota?

Gualtiero westchnął. Długo się zastanawiał, jak jej to powiedzieć, a teraz musiał to uczynić w pośpiechu, co wszystko utrudniało. Dumął przez chwilę, szukając właściwych słów, wreszcie oznajmił:

– Obawiam się, że ktoś odkrył prawdę o moim pochodzeniu, ktoś z najbliższego nam otoczenia, i że z czasem może to wykorzystać, aby wydobyć ode mnie tajemnice.

– Tajemnice, które dzielisz z Maynardem?

– Te także, owszem.

– Zatem *Lapis exilii*.

Skinął potakująco głową. Po raz ostatni wypowiedział te słowa przy Rocheblanche'u, wyznając, co odkrył w dalekim klasztorze w Mont-Fleur. Gdyby taka tajemnica dotarła do uszu człowieka władzy, zbrodnie i oszustwa jęłyby się plenić niczym kłótwa.

– Mogliby skrzywdzić również ciebie, gdyby tylko wiedzieli...

Isabeau uciszyła go i cofnęła się gwałtownie, jakby ją znieważył. Nadal wpatrywała się w ciemność, ze splecionymi ramionami, w końcu stłumiła przypływ gniewu i zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

– Nigdy nie domagałam się od ciebie, abyś mi wyjawiał, co takiego odkryłeś we

Francji ani kim naprawdę była twoja matka, ani jakie ustalenia wiążą cię z Maynardem – wykrzyknęła. – A to dlatego, że miłuję cię, nie twoje imię czy też dążenia! Chcę być z tobą i nic nie zniweczy tego pragnienia.

– A jeżeli coś ci się stanie? – odparował Gualtiero, walcząc z pokusą, by przyznać jej rację. – Nie – upierał się – nie pozwolę na to! Nigdy nie mógłbym się na to zgodzić.

– Uważasz, że jestem aż tak krucha? – zapytała zbuntowana, z wyniosłym uśmiechem. – Potrafię stawić czoło niebezpieczeństwu! Doskonale wiesz, w jakim stanie znalazł mnie Maynard, kiedy podał mi pomocną dłoń.

– Intrygi, o których mówię, to co innego – usiłował wyjaśnić, nakazując jej ściszyć głos. – Nie da się ich zwalczyć zwykłą odwagą ani mieczem. Musisz zachować cierpliwość, poczekać, aż sam się z nimi uporam, i dopiero wtedy...

Tylko że Isabeau wcale nie zamierzała go posłuchać.

– Ja w tym zamknięciu nie dotrwam! – zawołała. – Czuję, że się duszę, rozumiesz? Zniosłam już dość, wiedząc, że jesteś daleko, i bojąc się, że cię więcej nie zobaczę. Wyobrażasz sobie, co to oznaczało? Nie żądaj tego ode mnie po raz kolejny, proszę!

Gualtiero podniósł wzrok i spostrzegł jakieś postaci poruszające się za drewnianymi klasztorными kratami. Zakonnice szpiegowały, próbując łapczywie wyłowić okruchy cudzego życia, również cierpienia, byle tylko wypełnić pustkę własnej egzystencji. Nagle usłyszał niewieści głos wołający „Isabeau!” i uzmysłowił sobie, że nie ma już czasu. Chwycił dziewczynę za ramiona i złożył pocałunek na jej czole, potem na wargach.

– Muszę to uczynić, Isabeau. Ponieważ cię miłuję.

– Kłamca!

– Wiesz, że nie kłamię – odparł z naciskiem. Wsunął jej w dłonie pomięty arkusz i popatrzył na nią tak łagodnie, jak tylko potrafił. – Błagam, żebyś zrozumiała. Błagam cię... Miej ufność!

Dziewczyna odepchnęła go z wściekłością, po czym skradła mu kolejny pocałunek.

– Isabeau! – zawołał ktoś ponownie, na granicy gniewu.

– Teraz idź – szepnęła młodzieniec. – Wracaj, bo cię ukarzą.

– Do diabła z ich karami! – wykrzyknęła, ocierając łzę. – Powiedz przynajmniej, dokąd się udasz. Powiedz, jeśli naprawdę mnie miłujesz.

Gualtiero pokręcił głową.

– Gdybym to uczynił, podążyłabyś za mną. – Skinął jej na pożegnanie pogrążony w żalu i obrócił się na pięcie.

– I tak za tobą pojedę! – odparła, patrząc, jak się oddala w stronę drewnianego mostu łączącego wyspę ze stałym lądem.

Stała na drżących nogach, poczerwieniała na twarzy, z zaciśniętymi pięściami.

Nagle zerwała niewidzialne łańcuchy, które nie pozwalały jej się ruszyć, i chciała pognać za nim, lecz poczuła, że ktoś łapie ją za ramię. Przeorysza osobiście wyszła w noc, aby sprowadzić ją z powrotem do klasztoru.

– Puście mnie! – Isabeau wyrwała się i runęła w śnieg. Nadal wpatrywała się w niknącą w oddali postać młodzieńca. – Słyszałeś? – zawołała. – Ucieknę, przysięgam, i cię odnajdę!

On nawet się nie obejrzał.

Zanim ją odciągnięto, dziewczyna zdała sobie sprawę, że zgubiła arkusz, który jej zostawił. Wyszła z uścisku przeoryszy, podniosła go, a kiedy nań popatrzyła, poczuła przyływ wzruszenia.

Na arkuszu widniał sporządzony węglem rysunek dziewczęcej buzi. Dziewczynki niewiele młodszej od niej, lecz o tych samych rysach. Być może piękniejszej i bardziej hardej, niż Isabeau kiedykolwiek myślała o sobie. W taki właśnie sposób postrzegał ją Gualtiero. To znaczy postrzegał kiedyś.

Za pierwszym razem, gdy się spotkali.

Niezbyt daleko, w ciemnym sercu dzielnicy Świętego Mikołaja, Maynard wpatrywał się w demoniczne oczy brata Lamberta da Cingoli. Nadal mu umykało, czy owo spotkanie zarządził on, czy biskup Guido, i w jakim celu. Pewne było tylko jedno: nie powinien im ufać. W istocie jeszcze zanim nauczył się władać mieczem, przekonał się, jak sprytnie ludzie Kościoła potrafią pozorować rozmaite działania dla własnych korzyści.

– Czy ktoś groził markizowi Obizzowi? – zapytał dla jasności.

Ojciec Lamberto uczynił nieokreślony gest.

– Lękamy się o niego, a także o jego męskiego dziedzica.

– Messer Aldobrandina?

Frater przytaknął.

– Jego Ekscelencja twierdzi, że uczyliście chłopca fechtunku.

– Ledwie przez krótki okres – odrzekł zwięźle Maynard, tak aby jego przyjaźń dla panicza nie została użyta jako narzędzie perswazji.

Gdy lekcje fechtunku z młodym Aldobrandinem dobiegły końca, poczuł żal, przede wszystkim dlatego, że odkrył w nim więcej cnót, niż posiadał jego ojciec, i żywił nadzieję, że zdoła je z niego wydobyć. Od owych wspomnień dzieliło go wszakże zbyt wiele nieszczęść. Po raz ostatni widział go z daleka podczas starcia na palio w święto Wniebowzięcia – wydał mu się nader przygnębiony żałobą po śmierci matki.

Korzystając z jego niespodziewanego milczenia, obaj zakonnicy spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Guido sprawiał wrażenie bardziej znużonego i skłonnego prędko zakończyć rozmowę. Pochylił się do przodu i splótł leżące na stole upierścienione palce.

– Cóż, messer – powiedział, zmierzając do końca – chyba pojmujecie powagę okoliczności...

Rycerz ani myślał na tym poprzestać. Zmarszczywszy brwi, postąpił krok naprzód, pragnął się rozeznać we własnym położeniu.

– Czego właściwie ode mnie żądacie?

– Zasięgnięcia języka – odparł sucho brat Lamberto.

Maynard posłał mu krzywy uśmieszek.

– Mam pójść śladem ropuch i wymagowanych bestii?

– Darujcie sobie tę pogardę – upomniał go dominikanin. – Istnieją dowody.

– A zatem? Wyślijcie zbrojnych!

– Tu jest potrzebne lwie serce, messer – wtrącił Baisio, po raz kolejny gotów uspokoić nastroje. – Bystry człowiek, który niczego się nie lęka.

– Raczej człowiek, którym moglibyście manipulować – odparował szyderczo Rocheblanche.

– Owszem, to też. – Brat Lamberto uderzył poźółkłymi palcami o pulpit i obaj tkwiący w rogach izby zbrojni znowu podskoczyli. – Popadliście w niełaskę na ferraryjskim dworze, a my ofiarowujemy wam sposobność odzyskania zaufania markiza Obizza w zamian za pewną przysługę. Czy waszym zdaniem to krzywdząca wymiana?

Maynard wzruszył ramionami.

– Odpowiem wam, gdy wyrobię sobie dokładniejszy osąd.

Guido di Baisio uśmiechnął się zadowolony.

– Zgadza się więc!

– Czyżbym miał jakiś wybór? – odrzekł rycerz.

– Tak zupełnie szczerze, nie. – Stary biskup podniósł się z krzesła z wyraźną ulgą. – Będziecie pracować razem z bratem Lambertem, przekazując mu wszelkie ustalenia, jakich uda wam się dokonać. A w razie gdybyście potrzebowali pomocnika, w sukurs przyjdzie wam jego zaufany zakonnik. – Po czym wskazał drzwi. – Zapewne jesteście zmęczeni, messer. Już dość późno, a mróz zbyt silny, byście mogli wrócić do Pomposy. Przenocujecie w konwencie Świętego Dominika, w domu gościnnym.

Otulony zakonnym płaszczem Lamberto da Cingoli opuścił konwent Świętego Dominika, nic nie powiedziawszy współbraciom. Na pierwszy rzut oka wydawał się w tę mroźną noc w swoim żywiole, chociaż szedł po śniegu w prostych plecionych sandałach, a wewnątrz skrywał głęboki lęk. Kilkakrotnie oglądał się za siebie, zmierzając szybkim krokiem ku miejscu, gdzie zaczynała się dzielnica Boccacanalé, po czym skręcił w jakiś zaułek, wiedziony blaskiem zatkniętej u bramy pochodni. Zaklął na widok szczura i przystanął u wrót. Były wykonane z nabijanego ćwiekami drewna i równie solidne jak wieńczący je kamienny łuk. Wpatrywał się w nie przez chwilę z wahaniem, wreszcie wyciągnął swą drobną dłoń i zastukał.

Na dźwięk otwieranego judasza niemal podskoczył. Do kraty przysunął się jakiś mężczyzna, zamknął ją z powrotem i otworzył bramę.

– Jego Wielebność czeka na was – powiedział tylko z francuskim zaśpiewem.

Dominikanin ruszył naprzód bez słowa, skrywając niepokój pod maską utrwaloną przez lata stosów i procesów. To nie niepewność napawała go bojaźnią, lecz myśl, że musi się spotkać z człowiekiem groźniejszym od niego samego.

Dotarłszy na miejsce, znalazł się przed salą oświetloną paleniskiem, które rzucało na ściany diaboliczne blaski. Przed płomieniem przy pulpicie majaczył jakiś cień. Brat Lamberto pozostał na progu, napawając się ciepłem, w oczekiwaniu, aż siedząca bokiem postać przemówi. Pod światło dostrzegał jedynie wspartą na poręczu dłoń i pierścień z lwim herbem na palcu.

– Wasza Eminencjo – szepnął z odrobiną służalczości, która zawstydziła jego samego.

Cień drgnął, pozwalając mu dojrzeć swą purpurową od ognia twarz.

– Wielebny ojciec, nareszcie.

– Dopiero co odprawiłem Maynarda de Rocheblanche’a.

Słyszając to imię, mężczyzna wychylił się z oparcia i pokazał w pełni swe oblicze. Stary, lecz pełen wigoru purpurat, sądząc po zmarszczkach mimicznych jakby wyciosanych siekierą, najwyraźniej z trudem radził sobie z wewnętrzną udręką.

– Rocheblanche. – Wciągnął przez zęby powietrze. – Zatem zgodził się przybyć.

– Owszem – przytaknął dominikanin – i niczego nie podejrzuje. – Stał przed *monsignore* Bertrandem du Pougetem powtórnie, choć rozmawiał z nim po raz pierwszy, i z niemałym trudem skrywał bojaźń. Bojaźń, która teraz, za sprawą instynktownego podziwu, była niemal nie do zniesienia. Choćby się wykazał najwyższą gorliwością i zjednął sobie przychylność na obszarze Lombardii i Marchii

Genueńskiej, nigdy nie dorównałby wielkością temu awiniońskiemu księciu.

– I cóż? – ponaglił hierarcha. – Czy rycerz wspomniał o czymś, co nas ciekawi?

– Nie. – Brat Lamberto poczuł zadowolenie ze swej stanowczej odpowiedzi. – Rozmowa ani razu nie wykroczyła poza kwestię... ropuch. Pod moim naciskiem Rocheblanche zgodził się zasięgnąć języka.

Du Pouget skinął głową.

– W najbliższych dniach znajdziecie się z nim w wystarczającej komitywie, aby skłonić go do mówienia o czymś innym.

Dominikanina kusiło, by przytaknąć, albowiem pragnął po prostu zakończyć tę kwestię, żywił wszakże zbyt wiele wątpliwości.

– Jeśli pozwolicie, wolałbym się skupić na dochodzeniu i pozostawić to zadanie biskupowi.

Wzrok kardynała dowodził, że z pewnością nie spodziewał się odmowy.

– Guido di Baisio już dość zrobił. Odkrył tajemnicę Rocheblanche'a i powiadomił mnie o tym, zachęcając do przyjazdu do Ferrary. Teraz wasza kolej, ojcie Lamberto, złamać tę tajemnicę.

– Pomimo całego szacunku, jakim was darzę, nie. Wezwano mnie do Ferrary, abym przeprowadził dochodzenie w sprawie herezji i układania się z Szatanem. To właśnie uczynię. Nie zamierzam tracić czasu na to całe... jakże się zowie? To całe... ach, tak! To całe *Lapis exilii*.

– Doprawdy? – Kardynał się roześmiał. I nie co innego jak ów śmiech, o wiele mocniej niż słowa, jakie następnie padły, uzmysłowił Lambertowi da Cingoli zasięg gry, w którą go wciągnięto. – Nakazałem jego łaskawości biskupowi wezwać was do Ferrary z powodu kwestii, których istoty jeszcze nie znacie. W oczekiwaniu, aż posiadziecie wiedzę na ich temat, oddajcie się służbie inkwizycji! Prowadźcie dochodzenie w sprawie przejawów Złego, zagrożenia herezją i wszystkiego, co spędza wam sen z powiek. Ale nigdy nie zapominajcie, najdroższy ojcie, że wszystko to jest czystym pretekstem, by osaczyć Rocheblanche'a.

– I cóż z tego? – odparł frater, który nie mógł się doczekać, kiedy umyje od tego ręce. – Otóż dokładnie w tej chwili messer Maynard odpoczywa, nie wiedząc o niczym, w konwencie Świętego Dominika. Co stoi wam na przeszkodzie, żeby go porwać i poddać przesłuchaniu? Czyż nie oszczędzilibyście czasu i wysiłku?

Chociaż słowa te brzmiały kusząco, Bertrand zaprzeczył ruchem głowy.

– Jak zapewne sami się przekonaliście przy pełnieniu obowiązków inkwizytora, przypatrywanie się z daleka bardziej sprzyja oglądowi całości. – Po czym wskazał drzwi, dając do zrozumienia, że chce zostać sam. – Idźcie już, bracie Lambercie. Idźcie, zanim wstanie świt.

BORY FERRARY

12 STYCZNIA, RANKIEM

Silvano da Focomorto miał tak kłującą brodę, że przypominała uschły krzak. W dodatku na widok kostropatego nosa, wystającego spod zdeformowanego kapelusza, Maynard odnosił wrażenie, że nie ma do czynienia z ludzką istotą, ale z jakimś stworem, który wychynął z dziupli w drzewie. Podążał kilka kroków za nim, prowadząc ostrożnie karego, aby nie potknął się na kamieniach, nie wpadł w dziurę albo inną ukrytą pod warstwą śniegu pułapkę. Pochód zamykał brat dominikanin na grzbiecie muła o szczeciniastych uszach.

Przedmieście Topoli nie znajdowało się daleko, aczkolwiek leśny krajobraz wydawał się nietknięty i niemal groźny. Zapuściwszy się na coraz węższe ścieżki, łowca wilków przystanął w miejscu, gdzie roślinność gęstniała tak bardzo, że trzeba było zsiąść z konia.

– Zostawmy zwierzęta tutaj – powiedział Rocheblanche i przywiązał wierzchowca do wysokiego buka.

Frazer popatrzył nań rozczarowany. Zwał się Prudenzio i otrzymał zadanie towarzyszenia mu w toku śledztwa. Obfite kształty i grube nogi sprawiały, że nie nadawał się do wędrówki po czymś innym niż posadzki refektarza. Zakonnik zsunął się z siodła, mrużąc „O Jezu”, i szarpnął muła, aby zaprowadzić go obok karego. Zwierzę wcale jednak nie miało zamiaru go słuchać.

– Powinniście byli zostać w klasztorze – zakpił Maynard, przyglądając się jego niezbornym ruchom.

– Nie znacie ojca Lamberta da Cingoli – odrzekł mnich. Po krótkiej, choć zaciętej potyczce zdołał pokazać, kto tu rządzi, i przywiązać zwierzę do drzewa. – Jego rozkazy są święte.

Francuz wzruszył ramionami.

– Brat Lamberto pokłada zbyt wielką ufność w tej wyprawie. Minęło sporo dni i padał śnieg. Zakładam, że jeśli zachowały się jakieś ślady, trudno będzie je odnaleźć.

– Nie zaszkodzi spróbować. – Brat Prudenzio wypuścił obłoczek białej pary i przewiesił sakwę przez ramię. Była tak bardzo pękata, jakby pozostawał poza domem od długiego czasu. – Poza tym gdybyśmy pozwolili szerzyć się bezceństwu i czarom, wzbudzilibyśmy oburzenie władz kościelnych...

Rocheblanche kazał mu zamilknąć. Ich przewodnik zniknął już wśród drzew.

– Którędy? – zapytał.

Silvano wydał pomruk i udał się na północ. Maynard czym prędzej podążył za nim, nie chcąc go zgubić w plątaninie zmarzniętych gałęzi, co pewien czas musiał wszakże zwalniać, aby wspomóc brata Prudenzia, który nieustannie o coś zaczepiał i się ślizgał.

Z kolei łowca poruszał się jak jedna z tych dzikich bestii, którym poprzysiągł wieczną wojnę. Pewny siebie i milczący, nie zwalniał kroku, ani razu się na nich nie oglądając. Jak przypuszczał Rocheblanche, nie było mu to potrzebne. Z pewnością miał tak wyostrzone słuch i węch, że nie musiał ich widzieć, by zorientować się, w jakiej odległości się znajdują. Z drugiej strony wyczuwał w nim jakiś rodzaj niechęci, niemal pogardę dla własnych pobratymców, bynajmniej go jednak nie potępiał. Po wielu miesiącach tułaczego życia sam nie potrafił zdzierżyć bliźnich, a abominacja ta wzmagala się w obecności nikczemników i łotrów. Doznał zatem cichej ulgi, odczytując przez chwilę jego zachowanie jako ucieczkę od cywilizacji.

Wtem Silvano zwolnił i rycerz pojął, że dotarli na miejsce. Pomógł pulchnemu dominikaninowi pokonać ostatnią, najeżoną korzeniami pochyłość i dogonił łowcę.

– To tutaj ich zobaczyliście? – zapytał, stwierdziwszy, że tamten zatrzymał się przed ścieżką schowaną w połowie wśród zarośli.

– Tak, messer.

– Ilu ich było?

– Nie wiem.

– Dokąd się kierowali?

Silvano niechętnie wskazał punkt, gdzie ścieżka znikala pod szpalerem splątanych kolczastych krzewów i suchych gałęzi, tworzących sklepioną bramę.

Poruszony do żywego Francuz usiłował wyobrazić sobie, jak wiedziony przez tajemniczą bestię orszak znika w tym mrocznym zakamarku, i uzmysłowił sobie, że każdy, kto widziałby taką scenę, uległby przerażeniu. Albo czarowi. Zbliżył się, chcąc coś dojrzeć, lecz spostrzegł, że łowca nie daje znaku, by iść dalej.

– I cóż, nie idziecie?

– Wolałbym nie, messer.

Rocheblanche zerknął porozumiewawczo na brata Prudenzia, po czym rozchylił płaszcz, by odsłonić rękojeść miecza.

Łowca nadal się wahał, zdradzając nieznaczną wrogość. W końcu ruszył naprzód. Przemknęli pod plątaniną gałęzi, długą na jakieś dwadzieścia kroków. Była tak gęsta, że nie przepuszczała światła poranka, i zbyt jednolita, by mogła stanowić dzieło natury.

– Szkoda, że nie mamy nawet latarenki – utyskiwał brat Prudenzio, który zakasał pelerynę, aby umożliwić grubym nogom większą swobodę ruchów.

– Nie lękajcie się – pokrzepił go Maynard. – Już wychodzimy na otwartą

przestrzeń. – Ledwie jednak znów znalazł się w promieniach słońca, nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia.

Utworzony przez kolczaste krzewy korytarz wiódł do wnętrza ruin kościoła, tak starego, że wokół i wewnątrz niego wyrósł las, a gałęzie i korzenie jego drzew przedostawały się przez okna, drzwi i wszelkiego rodzaju otwory. Dach dawno się już zawalił, podobnie jak większość murów, pozostawiając na obrzeżach sterty gruzu. Na miejscu chóru zachował się wszakże drewniany krucyfiks, odwrócony do góry nogami i wbity w ziemię w pogardzie dla ofiary Chrystusa.

Owa obelga była niczym w porównaniu z ohydną konstrukcją wznoszącą się przed ołtarzem. Tworzył ją stos drewna i słomy, do którego przywiązano kukłę o ludzkich rysach. Miała ona na głowie cierniową koronę, na ramionach połatany płaszcz i zwierzęce wnętrzności, a na piersi, przebitej włócznią, trójkątną tarczę z herbem przedstawiającym białego orła na błękitnym tle.

– O Jezu – wykrzyknął brat Prudenzio i natychmiast podbiegł do krucyfiks. – Pomóżcie mi go podnieść!

– Niczego nie dotykajcie – nakazał Maynard. – Lepiej nie zostawiać śladów, że tu byliśmy. – Rozejrzał się wokół, aby zapamiętać każdy szczegół, następnie skupił się na kukle. Herb na tarczy nie pozostawiał wątpliwości: należał do rodu Estów. Chociaż nader niechętnie, musiał jednak przyznać, że biskup Guido i Lamberto da Cingoli się nie mylili. Markiz Obizzo miał wrogów.

Wszelako ciągle wątpił, żeby to były czary. Wprawdzie wszelkie wskazówki zdawały się temu przeczyć, ale dostrzegał zbyt wiele ostentacji, by nie uznać, że wszystko zostało ukartowane. Tylko w jakim celu?

Do jego nozdrzy doleciał świdrujący zapach, każąc mu dokładnie obejrzeć resztki ogniska przed stosem. Musiało płonąć aż do brzasku, albowiem nadal wydzielano ciepło.

– Zbyt mały ogień, żeby mógł się rozprzestrzenić.

Maynard podniósł wzrok na pogrążone w zadumie oblicze brata Prudenzia. Uśmiechnął się bez wesołości. Dla dominikanina autodafe musiało być aż nazbyt często chlebem powszednim, toteż na widok stosu nie brał pod uwagę innych możliwości. Francuz powąchał popiół i pokręcił głową.

– Ognia nie wzniecono po to, by rozpalić stos. – Podniósł na wpół zwęgloną gałązkę i podsunął mu ją pod nos. – *Herba diaboli*.

Frater drgnął.

– Macie doświadczenie w tej materii?

– Wyłącznie na polu leczniczym. Jak zapewne wiecie, tego rodzaju ziół używa się do uśmierzania bólu. Sądząc jednak po zapachu, tutaj spalono je w nadmiarze, w dodatku różne gatunki.

– Czy waszym zdaniem wykorzystano je do odprawienia rytuałów

satanistycznych?

– Moim zdaniem, ojczy, musicie opróżnić sakwę – odparł Rocheblanche. – Trzeba zebrać popiół i dać do zbadania jakiemuś zielarzowi. – Po czym wstał, przejawiając nagły niepokój. – Ale działajcie prędko, proszę was.

– Skąd ten pośpiech? – zaprotestował brat Prudenzio.

Zanim Maynard de Rocheblanche zdążył odpowiedzieć, rozejrzał się wokół i zmełł w ustach przekleństwo.

– Bo przewodnik zostawił nas samych.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

– Ach, niegdysiejsze czasy! – Wyprostowany nad pulpitem ojciec Andrea wygłaszał kazanie, do którego natchnienie zaczerpnął ze świetlistego łuku namalowanego za jego plecami. – Pamiętacie je, bracia? Mówię o czasach, kiedy to Święty Piotr Damiani przechadzał się po tej błogosławionej posadzce! Upłynęło już trzysta lat. Trzysta! Były to czasy świętych i chwały, czasy, w których Pomposa stała się legendą. Natomiast dzisiaj... zdziesiątkowani przez zarazę i ubożsi duchem, snujemy się jak próżniacy. Leniwi! Pozbawieni dyscypliny! Ulegając pochlebstwom świata i trwodze! Jak mogło do tego dojść? Jaki grzech sprawił, że staliśmy się tacy niegodziwi? Och, zauważcie, że pierwszy biorę na siebie winę. Tak bardzo umartwiałem się w skrusze, że poczułem wstręt do samego siebie, i po tysiącokroć pragnąłem porzucić kij pastuszy i oddać go ludziom, którzy bardziej nań zasługują. Lecz nie lękajcie się, ukochani bracia, jako że chcę wam złożyć przyrzeczenie. Jeśli Bóg da, przywrócę w tych murach dawną mądrość i równowagę pomiędzy *vita activa et contemplativa*, aby Pomposa odzyskała minioną świetność. I uczynię to dzięki regułom, które w niezwykle cennym dziele spisał sam Święty Piotr Damiani, natchniony przez Ducha Świętego. W *De perfectione monachorum*!

Uderzył otwartą dłonią w pulpit, wsłuchując się, jak echo jego własnych słów rozlega się w nawie. Dawno minęły dni, gdy wierzył, że owe słowa poszybują ponad murami klasztoru aż ku wiecznej Łasce, która porusza niebiosa i ludzkie losy. Teraz zadowalał się widokiem zgody na twarzach zakonników, w nadziei, że zasiał w ich sercach coś dobrego. Wszelako to nie wystarczyło i doskonale o tym wiedział. Nadal cierpiał z powodu milczenia Ojca, niekiedy aż do tego stopnia, że postrzegał siebie jako sługę jakiejś kłamliwej religii wymyślonej po to, by ustrzec ludzkość przed nieuchronną pustką, która ciążyła nad ich światem. Nie wszystko jednak było stracone. Po latach nieszczęść udało mu się wreszcie dojrzeć iskierkę nadziei.

Popatrzył na dziesięciu mnichów siedzących na stallach. Tylko tyle mu ich zostało, mała armia, wraz z którą zapoczątkuje przedsięwzięcie reformy. Trudne przedsięwzięcie, co do tego nie miał złudzeń. Wszelako nie bał się już przeciwności losu ani ludzkiego zuchwalstwa. Pomimo dręczącego go kryzysu wiary nie cofnie się.

Zszedł z ambony, zerkając kątem oka na mistrzowskie freski Vitalego de Equis. Była to dziecinna myśl, lecz miał poczucie, że wraz z owymi malowidłami częściowo się odrodził. Zupełnie jakby owe barwy go olśniły, pozwalając mu dostrzec coś poza

rozpaczą. Światło sztuki, zdolne przekroczyć ludzkie pojęcie.

Jednakże prawdziwe światło, bardziej oślepiające, zrodzi się wyłącznie z *De perfectione monachorum*. Tak właśnie poradził mu biskup, wręczając przy ostatniej rozmowie kopię dzieła. Rozpoznawszy je, Andrea uderzył się w czoło i zadał sobie pytanie, jak mógł być aż tak ślepy, że nie wziął go wcześniej pod uwagę. Latami łamał sobie głowę nad naukami znamienitych ojców Kościoła: Bazylego, Augustyna, Grzegorza Wielkiego, Tomasza, szukając idealnej reguły, która byłaby w stanie zreformować jego zakon, gdy tymczasem wystarczyło odkurzyć tę zmyślną broszurkę, zapomnianą gdzieś na półkach jego biblioteki. Dzieło zawierające ledwie dwadzieścia cztery rozdziały, w których opisano szczegółowo i dokładnie każdy aspekt klasztorного życia.

Posuwał się wśród ławek nawy, intonując hymn do Matki Boskiej, dopóki chór współbraci nie przyłączył się, aczkolwiek myślami poszybował już gdzie indziej. Wezwanie Rocheblanche'a okazało się gromem z jasnego nieba, toteż postanowił najpierw przedyskutować to z biskupem. Musiał się wszakże pospieszyć, jeśli nie chciał paść ofiarą intrygi, która w jego przeczuciu miała nader szerszy zasięg, niż mu przedstawiono.

Dotarł więc do narteksu, wyszedł na poranny mróz i rzuciwszy okiem na fresk na portalu przedstawiający Madonnę, czym prędzej ruszył ku stajniom.

Czekał nań pacholek, trzymając za wędzidło już osiodłaną klacz. Andrea przykrył ramiona futrzanym płaszczem, włożył stopę w strzemię i z pomocą młodziana wsiadł na koński grzbiet.

– Czy życzyście sobie towarzystwa, wielebny ojcze? – zapytał sługa.

Opat ułożył poły habitu po bokach siodła i pokręcił przecząco głową. Nie miał zaufania do tego człowieka. Za każdym razem na jego widok tęsknił za nieodżałowanym wiernym Bonusem, którego minionej wiosny zabrała czarna śmierć. Już miał odjechać, gdy ujrzał swego charta zwiniętego w kłębek w kącie stajni.

– Zaopiekuj się Moczarkiem – polecił, łagodniejąc na twarzy.

Przemierzył truchtem dziedziniec opactwa, kiedy zaś rozmyślał nad wskazówkami, jakimi należało się kierować w czasie jego nieobecności, popędził wierzchowca ku drodze wiodącej na wschód. Zanim na nią wkroczył, rozpoznał brodacza pakującego rzeczy na wóz.

– Mistrzu de Equis – zawołał, szarpiąc wodze – już się zbieracie?

Malarz odwzajemnił powitanie.

– Fresk skończony i czeka na mnie Bolonia. – Rozcierając zmarznięte dłonie, zauważył podróżną sakwę przytroczoną u boku klaczy. – A was dokąd Bóg prowadzi? – zapytał jowialnie. – Jeśli zaczekacie chwilę, może moglibyśmy pokonać kawałek drogi razem.

– Muszę pędzić do Latarni Morskiej – odparł opat, dając do zrozumienia, że mu

się spieszy. Czekala nań barka płynąca do Ferrary i miał nadzieję, że dotrze do siedziby biskupa przed wieczszą. Zwlekał jednak i po krótkim wahaniu dodał z żalem: – Aż do ostatniej chwili liczyłem na to, że zmienicie zdanie w kwestii mojej propozycji.

Vitale wzruszył ramionami.

– Wiele nad tym dumałem i doszedłem do wniosku, że nie warto. Pomimo całego szacunku, wielbny ojcie, pomalowanie *ex novo* ścian waszej nawy kosztowałyby co najmniej dwa razy tyle, ile mi ofiarujecie.

– Na razie nie mogę dysponować większą sumą – westchnął Andrea rozdrażniony, że w ów zawołowany sposób potraktowano go jak nędzarza.

– Zatem – oznajmił na koniec malarz – dopóki w szkatule nie przybędzie wam pieniędzy...

– Szerokiej drogi, messer! – uciął zakonnik. Zanim jednak popędził klacz, przypomniał sobie o pewnej sprawie, która męczyła go od poprzedniego dnia, toteż jeszcze się nieco ociągał. – Ostatnie słowo, jeśli wolno.

– Słucham.

– Macie przypadkiem wieści o młodym de' Brunim?

Vitale de Equis popatrzył nań zdezorientowany.

– Z jakiejż to przyczyny?

Ojciec Andrea skrzywił się, skrywając niepokój.

– Nie widuję go od przybycia posłańców biskupa.

– Po prawdzie ja też nie – stwierdził malarz. – Po raz ostatni natknąłem się nań wczoraj rano, było to przy stajniach.

– Mówił coś?

– Nic, Wasza Wielbność. Wskoczył na konia i oddalił się w wielkim pośpiechu.

KLASZTOR ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

Siostra Eudeline nie przywykła jeszcze do życia na wyspie Świętego Antoniego i z pewnością nie z powodu skąpej uprzejmości współsióstr czy dlatego, że mówiła w innym języku. Obowiązujące zwyczaje nie różniły się zbyt od tych panujących w klasztorze, z którego pochodziła, w Reims; natomiast co do porozumiewania się, wszystko ułatwiały nawyki, łacina i mowa gestów, używana, aby nie złamać reguły milczenia. Otóż francuska zakonnica ciągle czuła się wyobcowana, gdyż nie mogła objąć sterów.

Bez zbytniego zaskoczenia uzmysłowiła sobie, że lata zarządzania wspólnotą benedyktynek uniemożliwiały jej nawiązanie stosunków z innymi mniszkami jak równy z równym. Wszelako najbardziej dokuczało jej przeświadczenie, że pozbawiono ją władzy, która przez długie lata pozwalała jej znosić prześladowania, jakie ją spotykały.

Jedynym pocieszeniem płynęło z przekonania, że szlachetne urodzenie, wyniosły sposób bycia i uroda budziły w większości współsióstr naturalną fascynację. Zawsze zwracały się do niej z szacunkiem, wręcz uniżenie, chociaż sama nie czyniła nic, by zaskarbić sobie ich względy. Wszelako to zrażało do niej przeczuloną przeoryszkę.

Eudeline doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie miała w niej wroga. W niezmaconej klasztornej ciszy myśl ta zapewniała jej podniecającą rozrywkę. I jakby dla rozgniewania rywalki pod wieczór, po odśpiewaniu *Magnificat*³, na oczach wszystkich przemierzyła krużganek, udając się do miejsca, w którym karę odbywała Isabeau.

Była to komórka pełna beczek, worków i wszelkiego rodzaju rzeczy do jedzenia. W powietrzu unosił się silny zapach sera i zboża.

Dziewczyna klęczała w kącie na ziarnach pszenicy, związana, z przepaską na oczach.

Obraz ten przywołał u Eudeline falę wspomnień.

Ona także wymierzała kary, a najcięższe siostrze w nowicjacie, która zbuntowała się przeciw niej na rozkaz Bertranda du Pougeta. Aleydis. Nadal czuła wyrzuty sumienia, że traktowała ją zbyt ostro, i ból na myśl, iż utraciła ją na zawsze wraz z pocztą w grzechu córeczką.

W pewnym stopniu Isabeau była do niej podobna. Nie tylko za sprawą młodego wieku i buntowniczej natury, ale przede wszystkim dlatego, że sprawiała wrażenie

opuszczonej, budząc we francuskiej zakonnicy instynkt opiekuńczy.

Podeszła bliżej i zdjęła opaskę zakrywającą jej oczy.

Dziewczyna zamrugła powiekami, oswajając się powoli z nikłym światłem komórki.

– Matko, to wy. – Obejrzała się za siebie z niedowierzaniem. – Czy to koniec kary?

– Nie, moja droga.

– W takim razie idźcie stąd, bo będzie z wami źle.

– To znaczy, że mnie też ukarzą. – Eudeline się uśmiechnęła.

– Gdybyście wiedzieli, jak się człowiek wtedy czuje, nie mówilibyście tak.

– Doskonale wiem, jak się człowiek wtedy czuje. I wiem, że najsilniejszy ból odczuwacie nie w ciele. – Pochyliwszy się nad nią, spostrzegła, że brzegi habitu podciągnięto jej na uda, aby kolanami dotykała bezpośrednio ziaren. Okrucieństwo przeoryszy przyprawiało ją o mdłości. – Pozwólcie teraz, że wam pomogę – powiedziała odruchowo. Poleciała jej się położyć i uwolniła ją z więzów.

Isabeau była wyraźnie zaskoczona. Tuż po uwolnieniu westchnęła z ulgą i roztarła poranione kolana.

– Dlaczego to robicie?

– Czyż wszyscy nie są przekonani, że jesteście moją siostrą? – zadrwiła zakonnica. – Udawajmy więc dalej.

– Nie lubię kłamstw – skwitowała dziewczyna. – Ale gdyby nie kłamstwo, Maynardowi nigdy nie udało by się mnie umieścić w klasztorze.

– Jeśli ciągle będziecie się buntować, zniweczycie jego wysiłki.

– Kierowała mną miłość. Tylko że wy nie możecie tego pojąć.

Eudeline posłała jej porozumiewawcze spojrzenie.

– Naprawdę tak sądzicie?

Isabeau znów wyglądała na zdezorientowaną.

– Ale... Czy wy nie jesteście zakonnica?

– Wstąpiłam do zakonu, żeby odciąć się od świata, nie z powołania. Przywdziewając welon, odzyskałam godność i przez całe lata łudziłam się, że jestem zaspokojona, nawet szczęśliwa... Potem spotkałam pewnego rycerza...

Na wspomnienie Roberta i gwałtowności, z jaką został jej odebrany, poczuła, że przeszywa ją ból i wściekłość, którą z trudem ukryła.

– Matko Boska – szepnęła dziewczyna – wy płaczecie...

Eudeline otarła twarz, podrywając się na nogi.

– Nigdy nie rezygnujcie z ukochanego. Nigdy. Jeśli naprawdę wam na nim zależy, bądźcie przy nim.

– Za pierwszym razem, gdyście się do mnie odezwali, nie mówiliście w ten sposób – przypomniała jej Isabeau, nadal klęcząc na ziemi. – Powiedzieliście, żebym

pozostała w klasztorze i była wdzięczna za opiekę, jaką mi zapewnia.

– Musicie mi wybaczyć, nie wiedziałam, że kogoś miłujecie. Teraz zaś, gdy zdaję sobie z tego sprawę, dodam, że bycie otoczonym opieką na nic się nie zda, jeśli jest się daleko od ukochanej osoby. Oczywiście, o ile ten ktoś odwzajemnia afekt.

– Odwzajemnia, jestem tego pewna. Przyrzekł mnie poślubić.

– Na cóż więc czeka, żeby pojąć was za żonę?

– Musiał uciekać. Z powodu spisku, krzywdy wyrządzonej jego rodzinie.

– Niech stawi temu czoło – wykrzyknęła zakonnica, zaciskając pięści. – Czyżby brakowało mu odwagi?

Isabeau pokręciła przecząco głową, zdradzając głębokie rozgoryczenie.

– Gualtiero nie jest tchórzem, ale nie jest nawet rycerzem jak Maynard czy mężczyzna, którego miłowaliście. – Starła się zakryć pokaleczone kolana z najwyższą ostrożnością, ból zmusił ją jednak, by z powrotem uniosła brzegi habitu. – To syn ludu zmuszony walczyć z olbrzymami. Rozumiecie? Na jego oczach zmarła mu matka i ten, którego uważał za swego ojca. Wiele wycierpiał i nie wyobrażacie sobie nawet, jak bardzo boleję, wiedząc, że jest gdzieś sam... i jak bardzo się boję, że więcej go nie zobaczę.

Słuchając jej, zakonnica czuła, jak całe przepelniające ją oburzenie słabnie. Próbowała wyobrazić sobie twarz nieszczęsnego młodzieńca, o którym nic nie wiedziała, i nagle owładnęło nią niepowstrzymane pragnienie, by pomóc Isabeau. Spojrzała łagodniejszym wzrokiem i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Opowiedzcie mi wszystko – poleciła. – Od początku.

Dziewczyna się cofnęła.

– Wielebna matko, jesteście pewni...

– Eudeline – uciszyła ją uspokajająco. – Dla was, moja droga, jestem po prostu Eudeline.

Ledwie opuściła miejsce kary, natknęła się na przeoryszkę. Wysoką i tak chudą, że pod czarnym habitem wydawała się niemal bezcielesna. Złość tak mocno ściągnęła jej rysy, że kości jarzmowe sprawiały wrażenie jeszcze bardziej wystających.

– Matko Eudeline – wycelowała w nią palec – nie myślcie sobie, że przyszedliście tu dyktować zasady.

– Isabeau nadal pozostaje w zamknięciu, zgodnie z waszym zaleceniem – broniła się zakonnica. – Chciałam jedynie podnieść ją trochę na duchu.

– Za czym pozwoleniem? Wyraźnie zakazałam wszelkich odwiedzin!

Eudeline miała wszakże dość besztania, jakby była nowicjuszka.

– Rozkazaliście także oszpecić jej ciało? – odparowała zaciekle. – Cóż za okrucieństwo! Jej kolana były złane krwią. W moim klasztorze nigdy bym nie pozwoliła...

– Nie jesteście u siebie w klasztorze! – zaskrzeczała przeorysza. – Zapomnieliście,

wielebna matko? Wasze zakonnice zmiotła zaraza. Tutaj zaś znajdujecie się wyłącznie dzięki mojej dobroci.

Słyszając, że wypowiada się o jej współsiostrach z takim szyderstwem, mniszka postąpiła krok naprzód z oczami zmrużonymi z wściekłości niczym szparki.

– Jestem Eudeline z Reims, ze szlacheckiego rodu Rocheblanche'ów – wycedziła gromkim głosem, tak aby jej słowa dotarły do uszu każdego, kto szpiegował przez klasztorne kraty. – Znajduję się zaś tutaj wyłącznie dlatego, że wpłaciłam wam okazałą sumę, równą posagowi nowicjuszki. Zwróćcie mi ją, skoro tak wam się podoba, a znajdę sobie lepsze lokum.

Przeorysza się cofnęła.

– Powściągnijcie złość – mruknęła przez zęby. – Przyszłam po was z wieścią, że właśnie przybył jakiś człowiek i pyta o was.

– Kto to taki? – przemówiła równie wyniośle zakonnica.

– Wasz brat, Maynard de Rocheblanche.

Gdy tylko Maynard zamykał oczy, wydawało mu się, że ciągle jeszcze krąży po lasach, słysząc świst wiatru i lamentsy brata Prudenzia, który koniecznie chciał mu dotrzymać towarzystwa. Powrót bez przewodnictwa Silvana da Focomorto okazał się trudny i gdyby nie naglące okoliczności, chętnie powędrowałby dalej, aż do przedmieść za Dolną Bramą, gdzie mieszkał ten pies.

Pamiętając, że znajduje się w świętym miejscu, starał się opanować wrzenie. Przeorysza od Świętego Antoniego pozwoliła mu wejść do klasztoru pod warunkiem, że zaczeka w rozmównicy na przybycie siostry. „Starszej siostry”, uściślił czym prędzej rycerz, aby nie budzić podejrzeń co do Isabeau. Wielebna matka przytaknęła z drwiącym uśmiechem, podkreślając własną niechęć do obydwu.

Maynard zabijał czas, siedząc na ławce i wpatrując się w posąg z malowanego drewna przedstawiający jakąś świętą. Młoda białogłowa o miłym wyglądzie miała na sobie benedyktyński habit, ozdobiony zawieszonym u pasa herbem z wizerunkiem białego orła.

– Święta Beatrice d’Este – objaśnił niewieści głos – patronka i fundatorka tego przybytku.

Odwróciwszy się, Rocheblanche rozpoznał Eudeline. Chłodną i niewzruszoną, jakby przemierzyła świat w ruinie bez mrugnięcia powieką. Wstał.

– Zatem – zakpił – z rodu Estów wywodzą się nie tylko wilki.

– Czy można by powiedzieć to samo o Rocheblanche’ach? – odrzekła.

– Jesteś niesprawiedliwa, siostrze. – Maynard uścisnął jej dłonie i pocałował w policzek. – Mimo wszystko dobrze wyglądasz.

– Uprzejme kłamstwo. – Zakonnica odsunęła się z posępnym wyrazem twarzy. – Dlaczego tu jesteś?

Zaskoczony niechęcią siostry, przyjrzał się jej, zastanawiając się, co ją gryzie. Wyczuwał niemal zapach nawałnicy, kryjącej się za jej obojętną miną.

– Potrzebuję twojej pomocy – wyznał po chwili wahania.

– Kolejna intryga?

Maynard wyłowił nutę przygany i dostrzegł zwodnicze uniesienie brwi.

– Zostałem zmuszony.

– Zmuszony? – powtórzyła siostra. – Nic nie jesteś winien temu miastu ani tym bardziej jego dworowi. Kiedy zdecydujesz się wypełnić swoje obowiązki?

– Moim obowiązkiem jest pozostanie tutaj, Eudeline.

– Twoim obowiązkiem jest udanie się czym prędzej do Reims – sprzeciwiła się. –

Do Reims! Aby zażądać zwrotu ziem Rocheblanche'ów, niesprawiedliwie odebranych nam przez Kamerę Apostolską! – W nagłym porywie napała nań i jęła uderzać w jego pierś pięściami, dopóki brat nie chwycił jej za nadgarstki. Eudeline wyrwała się, wpatrując się weń, jakby chciała rzucić mu wyzwanie. – Ach, gdybym tylko urodziła się mężczyzną! – Udała, że dobywa miecza. – Bóg jeden wie, czy nadal bym tu tkwiła z założonymi rękami, chowając się!

Maynarda ogarnął żal i zarazem podziw dla jej jakże dumnej natury.

– To pułapka, pojmujesz? – wykrzyknął. – Za okradzeniem nas z dóbr stoi cień Bertranda du Pougeta, dobrze o tym wiesz. Zastanów się więc! Ten szubrawiec chce, żebyśmy się stali słabi, bezbronni. Gdybyśmy działali bez zastanowienia, wpadlibyśmy w łapy jego straży.

– Zatem zgadzasz się na przemoc?

– Przenigdy! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak silne jest moje pragnienie, żeby zmierzyć się z du Pougetem i zaprowadzić sprawiedliwość! Tylko że zamierzuję uczynić to tutaj, w Ferrarze.

Gniew Eudeline powoli ucichł i zniknął za maską niepewności.

– A jeśli on się nie stawi?

– Stawi się – zapewnił. – Pali go chęć odkrycia mojej tajemnicy. Nie zrezygnuje z poszukiwania *Lapis exilii*.

– Nie bądź taki pewny – ostrzegła zakonnica. – Nie znasz go. Nie patrzyłeś mu w twarz, nie przekonałeś się na własnej skórze, jak bardzo jest zepsuty. To potwór, Maynardzie. Potwór gorszy od... od... – Zakryła twarz, powstrzymując szloch.

Rocheblanche wykonał taki gest, jakby chciał ją przytulić, domyśliwszy się wszakże przyczyny tej nieoczekiwanej reakcji, po prostu trwał u jej boku. Bezsilny.

Przyglądanie się cierpieniu Eudeline podsyciło w nim dawną żółć, wraz ze wstydem z powodu haniebnego czynu, jakiego dopuścił się jego ojciec, Gaspar de Rocheblanche. Niechaj pochłoną go najczarniejsze czeluście piekieł... albo niechaj wypłują go z powrotem na ziemię, aby osobiście mógł go przebić mieczem! Na samą myśl o tym zadrżał, uzmysławiając sobie, że już trzyma gotową dłoń na rękojeści. Dawno minęły czasy, gdy zostawił go konającego na piaskach Algeciras. Dawno też minęła potrzeba odpokutowania za ów gest po tym, jak napatrzył się na setki istnień, które zabrała czarna śmierć. Pozostała jedynie nienawiść. Czysta, niezachwiana, niezaspokojona. Odwrócił się raptownie, aby ukryć dziki grymas, który wypełził mu na oblicze.

– Oznacza to, że zabijając jednego, odegram się również na drugim – obwieścił. Poruszony jednak płaczem siostry zmusił się do łagodniejszego tonu. – Czy teraz rozumiesz moje zobowiązanie? – zapytał. – Kiedy *monsignore* Bertrand przybędzie, aby mnie pokonać, powinienem móc liczyć na sprzymierzeńców. Najcenniejszym zaś z nich jest markiz Obizzo d'Este.

Zakonnica otarła łzy, odzyskując w pośpiechu panowanie nad sobą.

– A więc to ze względu na niego zgodziłeś się podjąć tego nowego... zadania?

Maynard skinął potakująco głową.

– Dotyczy ono dochodzenia, jakiego chcą biskup i Święta Inkwizycja, być może łączącego się ze spiskiem związanym na szkodę rodu Estów.

– A co ma z tym wspólnego inkwizycja?

– Istnieje podejrzenie o *maleficium*. Podobno przy pałacu markiza znaleziono martwe ropuchy. Ropuchy z wiadomościami na pergaminie. Listy głoszą *Pro bono malum*.

– Zło w zamian za dobro – przetłumaczyła w zadumie Eudeline. – Co to znaczy?

– Miałem nadzieję, że ty zdołasz mnie oświecić – wyznał brat uradowany, że kwestia ta rozwiązała jej przykry nastrój. – Zdaniem duchownych, z którymi rozmawiałem, obecność ropuch odsyłałaby do jednej z bestii Apokalipsy.

Zakonnica skinęła na znak, że pojmuje.

– Do Fałszywego Proroka.

– Flegetanis... – szepnął Maynard, doznawszy nagłego olśnienia.

– Co masz na myśli?

Rycerz powrócił do rzeczywistości.

– Wybacz, głośno myślałem. – Zawahał się przed wyjaśnieniem, w końcu oznajmił: – Żyd Flegetanis jest autorem jedynej księgi, która mówi o *Lapis exilii*. Jakiś czas temu opat Andrea porównał go do fałszywego proroka. Teraz zaś, w świetle tego, co się dzieje, zastanawiam się, czy nie istnieje jakiś związek.

– Zachowaj trzeźwy umysł, bracie – ostrzegła Eudeline. – Mieszasz ze sobą oddzielne wydarzenia, zdajesz sobie sprawę? To naturalne, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, na co się napatrzyłeś, nie możesz jednak pozwolić sobie na uleganie sugestiom właśnie teraz. Trzymaj się rzeczywistych wypadków! Ropuchy, wiadomości... i co dalej?

– A potem wizja – dodał. – Korowód w lesie, podążający za tajemniczą bestią. Tak przynajmniej twierdzi świadek. Idąc po śladach, znalazłem przywiązaną do stosu kukłę z przymocowaną do niej tarczą Estów. – Skierował się następnie ku ławce, na której położył sakwę brata Prudenzia. – W pobliżu natknąłem się na to.

Zakonnica, coraz bardziej zaciekawiona, zajrzała do wnętrza.

– Co to takiego?

– Spopielone zioła.

Eudeline podniosła w zadumie wzrok.

– A twoim zdaniem co z nich wydobędziesz?

– Chciałbym dać je do zbadania zielarzowi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej – odparł Rocheblanche. Niestety, pomposiański brat *infirmarius* zmarł w czasie zarazy, toteż nie chcąc zwracać się do ojców od Świętego Dominika, wolałem poprosić

o pomoc w tym klasztorze...

– Szukasz zakonniczy zielarki... Wspólnotę Świętego Antoniego zamieszkuje jedna nader zdolna. Tak czy inaczej, doskonale wiesz, że nie jesteśmy u Świętej Balsamii. Tutaj nie mogę wydawać poleceń ani zbyt lekko prosić o przysługę.

– Jestem pewien, że znajdziesz sposób – uciał Maynard. – I że zrobisz to bez rozgłosu.

Rozsierdzona jego szorstkim tonem Eudeline popatrzyła wyniośle.

– Ja też chcę cię prosić o przysługę.

– Słucham – odrzekł zaskoczony.

– Gualtiero de' Bruni.

– O czym mówisz?

– O młodzieńcu rozmiłowanym w Isabeau.

– Nadal nie pojmuję.

– Opowiedz mi o nim – wyjaśniła surowo zakonnica. – Rok temu wysłałeś go w wielkiej tajemnicy do Francji i od tamtej pory w życiu tego młodzieńca panuje chaos.

– Zostało zmałowane o wiele wcześniej – stwierdził – po uwięzieniu jego rodziców.

– A ty ośmieliłeś się to wykorzystać! – oświadczyła z wyrzutem siostra.

Rocheblanche westchnął głęboko, rozdrażniony tym przesłuchaniem.

– Gualtiero i tak wyjechałby do Francji. Pragnął odnaleźć matkę, odkryć, kim była naprawdę. Zresztą jeśli tak bardzo ci zależy, żeby się tego dowiedzieć, w owych dniach myślałem, że nadszedł mój kres, bałem się, że zabierze mnie czarna śmierć. Uznałem, że powinienem mu wyjawić moją najskrytszą tajemnicę.

– Nie mogłeś się zwrócić do twego przyjaciela opata? – wytknęła mu Eudeline.

– Ojciec Andrea ma pewne słabości, nie można mu całkowicie ufać. Tymczasem Gualtiero jest człowiekiem honoru.

– Raczej chłopcem. Synem ludu...

Rycerz pokręcił przecząco głową.

– Jego prawdziwi rodzice należeli do szlachty. Ojciec, senior Mantui, był wrogiem Gonzagów. Matka, Elisa d'Este, siostrą markiza Obizza.

Na te słowa osłupiała Eudeline zakryła dłonią usta.

– O mój Boże...

– Gualtiero dochował tajemnicy nawet przed Isabeau, żeby ją chronić – ciągnął. – Wszelako ostatnio nabrał podejrzeń, że ktoś może o tym wiedzieć.

– Teraz pojmuję, dlaczego uciekł!

– Uciekł? Jesteś pewna?

– Dopiero co powiedziała mi o tym Isabeau.

– W gorącej wodzie kąpany! – Maynard machnął pięścią w powietrze. – Do kroćset, przecież kazałem mu czekać.

Zakonnica splotła ramiona na piersiach i jęła się przechadzać w tę i z powrotem po rozmównicy. Spuściła głowę, obmyślając jakiś tajemny plan.

– Musimy coś zrobić – odezwała się znienacka. – Pomóc mu.

– To nie twoja sprawa, siostrze.

– Właśnie że tak – wykrzyknęła, tupiąc nogą.

Rocheblanche wpatrywał się w nią niezdecydowany, w końcu wzruszył ramionami.

– Może Gualtiero dokonał najlepszego wyboru – skwitował.

– A Isabeau? – wybuchnęła Eudeline. – Będzie musiała czekać na niego w klasztorze przez całe życie? – Wycelowawszy weń palec, zawołała kąśliwie: – Oto jak dzielny Maynard opiekuje się swymi niewiastami! Zamyka je w klasztorze niczym nieożywione przedmioty w szkatułce i w ten sposób ma czyste sumienie! Samolub! Jak możesz mówić o prawości, skoro z taką łatwością poświęcasz cudzą wolność?

– Jesteś niesprawiedliwa! – bronił się, nie dając poznać po sobie, jak bardzo zraniły go jej słowa. – Dobrze wiesz, że byłem przeciwny przywdzianiu przez ciebie welonu. I wiesz tak samo dobrze, jak bardzo cierpię, widząc, że zmuszona jesteś wieść taki żywot.

– Mimo to pozwoliłeś mi się zamknąć w tych murach! Na domiar złego żądasz ode mnie pomocy, jakbyś zapomniał o moim losie. Bez domu, bez godności! Pozbawiona nawet mężczyzny, którego miłowałam!

Maynard już miał odpowiedzieć z wściekłością, lecz się powstrzymał. Chociaż zawsze był pewien, że postępuje słusznie, nie mógł zaprzeczyć racjom siostry ani pozostać obojętny na jej kruchość. Stał przed nią zakłopotany i położył dłonie na jej ramionach.

– Potrafię to wszystko naprawić, przysięgam.

– Również kwestię Gualtiera? – upierała się.

– Zdążyłem mu już przyrzec, że sprawdzę jego podejrzenia. Mam przecucie, że ojciec Andrea może coś wiedzieć o jego pochodzeniu, tylko że jeszcze za wcześnie, by...

Eudeline uciszyła go gestem ręki.

– Sama pomówię z opatem Pomposy – odparła władcym tonem.

Brat popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Czyś ty postradała rozum?

– Żądam spotkania z nim – oznajmiła z naciskiem – i zobaczę się z opatem z twoim pozwoleniem lub bez.

Maynard ciągle nie pojmował, dlaczego jego szlachetna siostra aż tak bardzo się zawzięła, dostatecznie dobrze znał jednak to spojrzenie, by odgadnąć, że niewiele może zdziałać, by ją od tego odwieść.

– Zbyt wiele spraw ci umyka, żebyś mogła się tym zająć – próbował oponować.

– To oznacza, że przedstawiś mi wszystko w najdrobniejszych szczegółach. – Zakonnica, niewzruszona niczym wytrawny polityk, rozsiadła się wygodnie na ławce i zachęciła go, by zajął miejsce naprzeciwko niej. – W zamian ja poproszę zielarkę od Świętego Antoniego o zbadanie popiołu z twojego worka.

– Niech tak będzie, siostró – poddał się Rocheblanche. – Ale kiedy będziesz rozmawiać z opatem Andrea, nigdy nie zapominaj o jednym: on wie o *Lapis exilii*, chociaż nie orientuje się, w czym rzecz ani gdzie jest ukryty. Nic mu nie mów, ani słowa. Wielebny Andrea nie może się domyślić, że ty też zostałoś wtajemniczona. Przede wszystkim zaś nie może poznać imienia jedynej osoby, której udało się zobaczyć na własne oczy ową bezcenną relikwię. – Po czym przysunął się bliżej i wyszeptał: – Gualtieria.

DZIELNICA ŚWIĘTEGO ROMANA

Pałac podesty wznosił się na obrzeżach parafii Świętego Piotra pośród szarych wieczornych cieni. Budowla właściwie nie była objęta pierścieniem murów, dzwonnicy i krużganków oddzielających Zamek Kurialistów od *Burgus Superior*, za to w pełni podzielała ich historię. Postawiona przez wasala Roberta Mądrego na miejscu dawnej siedziby rodu Adelardów, stanowiła żywe wspomnienie po stronnictwie gwelfów, które ofiarowało miastu potężną katedrę, a także po krwawych starciach między zwolennikami papieża i cesarza.

Pomimo tak wielu słynnych pamiątek ojciec Andrea poczuł się nieswojo, jeszcze zanim przekroczył próg. Może zaskoczył go obraz jakże posępnego i wyniosłego gmachu. Może za sprawą motywów, jakie kazały mu się tu zapuścić.

Zmusiwszy się, by nie patrzeć na ponure sprzęty znajdujące się w jadalni, do której go zaprowadzono, skubał podanego na wieczerzę pieczonego bażanta, chociaż nie polał go żółtawym sosem stojącym w oddzielnej czarce. Tłuste potrawy budziły w nim niesmak, toteż niemal nie potrafił znieść widoku jedynego współbiedniaka, który obżerał się do nieprzytomności. Owe nieustanne ogryzania, zanurzania, przeżuwanie przyprawiały go o rozpacz i zarazem kazały przeklinać najniższe skłonności rodzaju ludzkiego. Głównie dlatego, że znajdował się przed obliczem prałata, który z taką mądrością poparł jego marzenia o reformie, podsuwając, by posiłkował się egzemplarzem *De perfectione monachorum*. Prawie nie mógł uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Spostrzegłszy jego niechęć, Guido di Baisio podniósł wzrok znad talerza. Jego broda lśniła od sosu.

– Wielebny ojcze, nie jesteście głodni?

Opat się skrzywił.

– Zastanawiałem się – zboczył z tematu – dlaczego nie ma właściciela pałacu.

Jego Ekscelencja wzruszył ramionami.

– Odkąd czcigodny Alemanno degli Obizzi został mianowany podestą, zwykle gości na wieczerzy u markiza. Po prawdzie, dowiedziawszy się, że przyjdziecie, liczyłem właśnie na jego nieobecność. Będziemy mogli porozmawiać bez niewygodnych osób trzecich.

– Zbyt ni  rodek ostro ności, gdybyśmy wieczerzali w waszym pałacu.

Guido parsknął, porwał kawałek dziczyzny i zatoczył nim kółko, wskazując ściany

dokoła siebie.

– Dolne kondygnacje kurii, kuchnie i refektarz nadal są zniszczone przez ogień, nie wspominając o swędzie spalenizny, który wszędzie się unosi – objaśnił. – Szkody poczynione przez zarazę nie pozwoliły mi jeszcze przystąpić do odbudowy. Dopóki pozostanę w Ferrarze, będę musiał korzystać z gościnności arystokracji i duchowieństwa.

Opat przypomniał sobie zuchwałość, z jaką przed dwoma laty Maynard de Rocheblanche wtargnął do kurii, aby zemścić się na widamie Orsinim. Właśnie w owej krytycznej chwili wybuchł pożar. Wszelako aż do tej pory nigdy nie słyszał, by *monsignore* Guido uskarżał się z tego powodu, zwłaszcza że wielokrotnie udzielił mu w swej siedzibie posłuchania. „Ostrożnie”, rzekł sobie w duchu. Stan pałacu biskupiego nie miał tu nic do rzeczy. Baisio musiał wybrać inne miejsce na spotkanie, gdyż chciał przed nim coś zataić albo wręcz sam się przed kimś ukryć.

– Przykro mi – oznajmił, chcąc zamaskować własne wątpliwości.

– Nie jesteście odpowiedzialni za czyn Rocheblanche’a – uspokoił go biskup, ucinając w pośpiechu kwestię. – Jednakże skoro mój pałac nie nadaje się do użytku, będziecie musieli się zadowolić dormitorium u Świętej Agnieszki.

Miał na myśli benedyktyński klasztor przy ulicy Carrich. Wśród najmniejszych i najstarszych kościołów Ferrary. Wśród tych najmniej przystosowanych do przyjmowania znamienitych gości. Na ustach Andrei pojawił się wzgardliwy uśmieszek.

– To nieistotne. Przybyłem tutaj na pewno nie po to, by rozkoszować się wygodami.

– W takim razie po co, jeśli łaska?

– Samiście rzekli – odparł z emfazą. – Z powodu Rocheblanche’a.

Biskup spochmurniał.

– Jeżeli liczycie na spotkanie z nim...

Andrea pokręcił przecząco głową.

– Zadowolilibym się wiedzą, dlaczegoście go wezwali.

– Aby go z powrotem włączyć do świty markiza Obizza d’Este, ma się rozumieć! Czyżby moi wysłannicy wam o tym nie powiedzieli?

– Miałem na myśli przysługi, jakie musi wam wyświadczyć w zamian.

– Och. – Spojrzenie Guida wróciło do pieczeni. – Nic, czym mielibyście się frasować, wierzcie mi. Porozmawiajmy raczej o waszych planach odnowy duchowej, o wiele bardziej godnych uwagi.

Zamiast odpowiedzieć, zakonnik pochylił się do przodu i chwycił za brzeg talerza biskupa, odsuwając go poza zasięg jego dłoni.

– Dlaczego wyrażacie się tak niejasno? – zapytał na wpół komicznie, na wpół podejrzliwie.

Rozsierdzony tym gestem biskup rąbnął pięścią w stół.

– Dlaczego, powiadacie? – wybuchnął. – Bo kiedy mowa o Rocheblanche’u, tracicie całą bezstronność!

– Przeciwnie, zwykle twardo trzymam się własnych zasad – odparł Andrea. – Po prostu Rocheblanche stanął między moimi a waszymi zasadami.

– Pomijając to, jak chcecie to ująć – burknął Guido – nie mogę wam nic zdradzić. Czy wam się to podoba, czy nie.

Opat opadł na oparcie i przeszył go wzrokiem.

– W czasach zarazy byliście bardziej otwarci – zauważył. – Gdy zapewniałem wam opiekę.

– Teraz grozi nam zupełnie inna plaga – ostrzegł tajemniczo prałat. – I to ja opiekuję się wami.

– Jeśli macie na myśli pomoc w płaceniu dziesięcin...

Biskup pospiesznie zaprzeczył, przysunął się bliżej i szepnął:

– Mam na myśli to, że nadal zapewniacie schronienie Gualtierowi de’ Bruniemu. Gdyby tylko się wydało, czyim jest synem...

– Poza mną wiecie o tym jedynie wy – zirytował się opat. – Jak więc mogłoby wyjść na jaw?

– Doszły mnie słuchy z Awinionu – ciągnął Baisio. – Kiedy Elisa d’Este wyzionęła ducha, ktoś był przy jej łożu śmierci. Jakiś młody pielgrzym.

– I cóż z tego? Świat jest pełen pielgrzymów.

– Jazda, ojczy! Obaj wiemy, o kim mowa.

– Wobec tego nie macie powodu do niepokoju – odrzekł zakonnik z taką samą wyższością, z jaką dopiero co sam został potraktowany.

Tymczasem Guido di Baisio wyraźnie sposepniał. Straciwszy chęć do jedzenia, jął się rozglądać wokół, jakby się czegoś obawiał.

– A jeżeli matka coś mu wyjawiała? Nawet sobie nie wyobrażacie, do czego była zdolna ta niewiasta. Jakich tajemnic stała się strażniczką.

– Syn ma zupełnie inną naturę.

– Waszym zdaniem jest aż tak cnotliwy czy aż tak głupi, żeby nie zażądać tego, co mu się należy prawem urodzenia? Albo żeby nie pragnąć zemsty na tym, kto uwięził jego matkę?

– Gualtiero to moja sprawa – wykrzyknął zdecydowanie Andrea. – Już wam to raz mówiłem.

– Już nie – zaprotestował biskup. – Matka mogła mu przekazać zapomniane od lat wieści, które ciągle jeszcze są w stanie rzucić cień na wysokie sfery kościelne. Wieści, które mogłyby pozwolić na...

– Pozwolić na co, Ekscelencjo? – zaśmiał się z urazą pomposiański opat. – Na poruszenie zgnilizny zastygłej pod marmurami Awinionu? Szczerze mówiąc, nie

potrzebuję donosu szpicla, żeby wyczuć jej swąd! Od dawna mnie od tego mdli, mój panie. Zemdliło mnie na długo przed tym, nim wyznaliście, jaka krew płynie w żyłach Gualtieria.

Oczy prałata rozszerzyły się nagle, a pod nimi ukazały się czarne niczym żałobne całuny kręgi.

– Miarkujcie się, wielbny opacie! Jestem waszym dłużnikiem, to nie ulega kwestii. Niech wam się jednak nie wydaje, że zapomniałem, jakie okazaliście mi nieposłuszeństwo, zatajając przede mną tajemnice Rocheblanche’a.

– Jeżeli macie na myśli *Lapis exilii* – bronił się zakonnik – wiem tyle samo co wy.

– Wątpię, ojcze. Bardzo wątpię – ciągnął groźnie biskup. – W każdym razie miejcie na uwadze, że jeśli mnie okłamaliście...

– Czyżbyście nie zastawili pułapki na messer Maynarda? – Andrea poderwał się posiniały z oburzenia. Sprzeczka ta nim wstrząsnęła i Bóg jeden wiedział, jak bardzo pragnąłby ją zakończyć jakimś ugodowym zdaniem. Nie z powodu wiarołomstwa, lecz bezradności, że przyszło mu walczyć przeciw człowiekowi, którego poglądy częściowo podzielał. – Jeśli nadal żyjecie – skarcił go – zawdzięczacie to także owemu rycerzowi! Pamiętacie? To on zdobywał dla was jadło i medykamenty, kiedy nikt nie odważył się zapuszczać na skażone pomorem drogi.

Wszelako w tej właśnie chwili wielbny Guido ukrył się za grymasem, który nie wyrażał ani krzty braterstwa czy lojalności.

– Życzę wam dobrej nocy, ojcze – rzekł, odprawiając go. – Przed pałacem czeka sługa, aby zaprowadzić was do dormitorium u Świętej Agnieszki.

KONWENT ŚWIĘTEGO DOMINIKA
13 STYCZNIA

Po przedłużającej się bytności w Pomposie spożywanie posiłków w kościelnym refektarzu stało się dla Maynarda przyjemnym zwyczajem, który pozwalał mu odnaleźć spokój i zebrać myśli. W konwencie Świętego Dominika nie obowiązywała wszakże reguła milczenia, a przynajmniej nikt jej nie przestrzegał, toteż rycerz był zmuszony jadać otoczony szmerem głosów dwudziestki braci. Skądinąd stanowiło to jedną z istotnych różnic między zakonami benedyktyńskim i dominikańskim – ten pierwszy oddawał się odosobnieniu i ścisłej ascezie, drugi zaś rozkwitał w miejskich osadach i to do tego stopnia, że nie ograniczał się do wywierania wpływu na lud, lecz przejmował pewne jego zachowania.

Znakomitym przykładem był tu brat Prudenziio. Gruby, gadatliwy, budzący zaufanie. Jego jakże żywiołowy sposób bycia, upodabniający go do franciszkanina, wystawiał cierpliwość Rocheblanche'a na ciężką próbę, rodząc podejrzenie, że owa uprzejmość jest tylko sprytną grą. Rzecz jasna Maynard nie miał na to dowodów, lecz znał zbyt wiele opowieści o ludziach, którzy dali się nabrać na grzeczny uśmiech, zwłaszcza w mnisim wydaniu, aby pokładać ufność we współbracie Lamberta da Cingoli.

Akurat w tej chwili brat Prudenziio siedział naprzeciw niego, trzymając w dłoniach miskę żytniej polewki. Smakował ją powoli, zagryzając pajdą chleba, i jednocześnie rzucał mu porozumiewawcze spojrzenia. Najwyraźniej obmyślał jakiś pretekst, by zagać rozmowę.

– Pewnie przywykliście do zupełnie innego rodzaju potraw – udało mu się znaleźć temat – kiedy mieszkaliście we Francji.

Rycerz zerknął na parującą wodnistą zupę, którą siorbał z czarki, i wzruszył ramionami.

– Trzeba umieć się zadowolić.

– Co wam zabrania to uczynić? – zapytał z nutką zdziwienia dominikanin. – Na waszym miejscu wróciłbym bez wahania na ojczystą ziemię. Wolny od intryg i układów.

– Mam pewne zobowiązania – odparł lakonicznie Maynard.

Zamiast na tym poprzestać, brat Prudenziio jął go jeszcze mocniej świdrować wzrokiem.

– Czyżbyście złożyli... przysięgę?

Rocheblanche popatrzył na jego porozumiewawczą minę i wzrok mu złagodniał.

– Kiedyś pewien przyjaciel powiedział, że przysięgi nie są przeznaczone dla ludzi honoru, albowiem popychają ich do popełniania szaleństw. – Przyszedł mu na myśl Bastien des Baux, który powodowany lojalnością, stawiał czoło niewiernym ze Smyrny, co przyniosło mu żalobę i niesławę. Stary mistrz! Ileż by teraz dał za jego radę.

– Cóż – skwitował zakonnik, odrywając go od wspomnień. – W końcu istnieje więcej sposobów na dotrzymanie danego słowa.

– Dobry ojcie, rozumujecie bardziej jak kupiec niż *frater praedicator*. – Francuz wychłptał polewkę i odstawił czarękę na stół. – Niekiedy człowiek nie ma wyboru. Musi się bić, koniec i kropka.

– Czyż nie dość już tego? To znaczy bicia się. Po mieście krążą słuchy o waszym męstwie. Starcie z widamem Orsinim, zwycięstwo w walce w święto Wniebowzięcia...

– I co? Zamiarujecie śpiewać pieśni o moich wyczynach?

– Wybaczcie – wycofał się frater – to była zwykła ciekawość. Jak sobie zapewne wyobrażacie, życie w klasztorze jest monotonne. Nieczęsto zdarza się rozmowa z jakimś *chevalier*.

– W gruncie rzeczy nie bardzo się od was różnię – wyjaśnił Rocheblanche. – Przestrzegam określonego kodeksu, nakazów, które wpajano mi od dziecka. Co dnia staram się je wypełniać, mimo że coraz mniej ludzi postępuje w ten sposób. Nie sądzicie, że jestem łatwowierny, ojcie. Dobrze znam równych sobie! Panowie na włościach upodabniają się coraz bardziej do rabusiów, szlacheccy wojownicy do najemników. Często zadaję sobie pytanie, czy nie ścigam jakiejś chimery.

Brat Prudenzio przytaknął z zadowoleniem.

– Zanim was poznałem, ciekawiło mnie, jak błędny rycerz przybyły z Galii zaskarbił sobie względy opata z Pomposy. Teraz jednak pojmuje.

Maynard uznał ostatnią wypowiedź za tak ogromne pochlebstwo, że nie zdołał powstrzymać grymasu niesmaku.

– Mądrzej byście uczynili – zwrócił mu uwagę – zastanawiając się, jak uzyskać audiencję u wielmożnego markiza Obizza d'Este. Spieszno mi się z nim spotkać, aby wspólnie omówić dochodzenie i przekonać się, czy żywi jakieś podejrzenia. Jak zapewne słyszeliście, nie cieszę się już jego przychylnością. Wy będziecie musieli odegrać rolę pośrednika, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

Zakonnik pokręcił przecząco głową.

– Na razie nie mamy pozwolenia na rozmowę z markizem. Brat Lamberto wyraził się jasno w tej kwestii.

Rocheblanche'a kusiło, by odpowiedzieć, że gwizdże na brata Lamberta. Potrafił

jednak zachować się bardziej dyplomatycznie.

– Znacie powód?

– Zadbam o to, by go zapytać, jak tylko złożę mu sprawozdanie...

Dominikanin zawiesił głos, śledząc wzrokiem zbliżającego się brata furtiana, który trzymał coś w dłoniach, ukrytych w obszernych rękawach białego habitu. Przemierzył refektarz, nie patrząc na żadnego z konfratrów, i przystanął przed Maynardem.

– Wiadomość dla was, messer. Poślaniec nieznany.

Nim Francuz zdążył podziękować, mnich wręczył mu złożony we czworo arkusz zapieczętowany woskiem. Odprawił go skinieniem.

– W czym rzecz? – zapytał brat Prudenzio, ledwie zostali sami.

Rocheblanche złamał pieczęć i przeczytał w pośpiechu. Wargi rozciągnęły mu się w drapieźnym uśmiechu.

– Wygląda na to – rzekł – że nasza wyprawa do puszczy nie okazała się tak całkiem bezowocna.

– Jakże to? – obruszył się dominikanin. – Cieszy was, że siedzę jak na rozżarzonych węglach?

– Dowiecie się wszystkiego w swoim czasie – odparł Francuz, wstając. – A teraz prędko, zaprowadźcie mnie do brata Lamberta da Cingoli. Najwyższy czas wziąć pod uwagę prawdziwe wskazówki.

Trybunał Świętej Inkwizycji miał swą siedzibę w okrągłej wieży wznoszącej się u prawego skrzydła kościoła Świętego Dominika. Drzwi były niewiele szersze niż okienka, rozchodzące się promieniście na piętrze, po czym należało się wspiąć po ślimakowatych schodach, częściowo ukrytych w nienaturalnym półmroku. Brat Lamberto da Cingoli czekał w najwyższej położonej sali.

Gdy tylko Maynard przekroczył próg, wyczuł wśród murów poniekąd wstrzymywany oddech, tak jakby część lęków, nadziei i złudzeń nie wiadomo ilu istnień pozostała uwięziona wewnątrz. Wrażenie to wzmogło się na widok starego inkwizytora, siedzącego za długim orzechowym stołem, przy którym ogłoszono zapewne setki wyroków. Rocheblanche'owi nie dawało wszakże spokoju coś o wiele bardziej namacalnego. Jako strażnik tajemnicy Mont-Fleur strzegł zagadki zbudowanej na prawdziwej relikwii Chrystusa. Zagadki, którą niejednen uznałby za herezję, gdyby tylko się o niej dowiedział.

Odczekawszy, aż brat Prudenzio usiądzie pierwszy przy stole, naprzeciw brata Lamberta, zajął miejsce obok. Inkwizytor najwyraźniej nie od razu dostrzegł ich obecność. Nadal przeglądał w blasku świecy jakieś dokumenty, po czym zamknął je w kartulariuszu.

– I cóż – odezwał się z posępną miną – poczyniliście jakieś postępy?

– Być może tak, *magister* – odparł rycerz. – Trzeba będzie to jednak sprawdzić.

Rozsierdzony tą wymijającą odpowiedzią Lamberto da Cingoli zwrócił się czym

prędzej do swego współbrata:

– Mówcie jaśniej – ponaglił.

Pulchny dominikanin drgnął nieznacznie.

– Cóż – wybełkotał – wiecie już o naszej wyprawie w bory, o starym kościele i o kukle z tarczą Estów... Dzisiaj Rocheblanche otrzymał wiadomość, która, jak miemam, może nam pomóc rzucić światło na dochodzenie.

– Jaką wiadomość? – zapytał coraz bardziej zniecierpliwiony Lamberto da Cingoli. – I od kogo?

Brat Prudenzió spuścił głowę.

– Nie jest mi to wiadome, *magister*.

Maynard wtrącił się do rozmowy, wyczuł bowiem pełną szacunku bojaźń fratra.

– *Mea culpa*. – Uderzył się w pierś. – Wątpiąc, bym trzymał w rękach istotny trop, wolałem zachować powściągliwość. Nie chciałem trwonić czasu brata Prudenzia.

– Rozmyślnie wybrałem brata Prudenzia, aby nigdy nie opuszczał was ani na krok – wycedził brat Lamberto. – Proszę, byście pamiętali o tym następnym razem.

– Tak też uczynię – zapewnił Rocheblanche, wytrzymując wzrok zakonnika. – Tak czy inaczej, wzmiankowany list dotyczy popiołów, które znalazłem w starym kościele obok kukły. Oddałem je do zbadania zielarzowi, aby się dowiedzieć, co w nich jest. Zdaje się, że zawierają resztki jakichś ziół używanych dla przytępienia zmysłów.

– O ile się nie mylę – dodał brat Prudenzió – w lesie wspominaliście o *herba diaboli*.

– Owszem – przytaknął Maynard. – Zielarz rozpoznał też inne, z czego większość można bez trudu znaleźć w naturze. W jego spisie pojawia się wszakże nader rzadki i kosztowny składnik, szczególnie w obecnych czasach. I widząc jego nazwę, wpadłem na pewien trop.

– Co to takiego? – przynaglił Lamberto da Cingoli, uderzając pięścią w stół.

– Opium.

Inkwizytor pogładził się po brodzie zachwycony, ale i zakłopotany.

– Nigdy nie słyszałem, żeby opium używano do czarów.

Rycerz skinął potakująco głową.

– W istocie jest bardziej prawdopodobne, że wymieszano je z ziołami, aby wywołać wizje i omotać ludzi. Być może ludzi z orszaku, który widział Silvano da Focomorto. O ile dobrze pamiętam, łowca wilków wspominał w swej opowieści o latarenkach. Nie wykluczałbym, że wewnątrz nich paliła się jakaś mikstura podobna do tej, o której właśnie mówimy. Ani tego, że Silvano, wdychając jej opary, sam uległ omamom i zobaczył coś o wiele straszliwszego, niż było w rzeczywistości.

– Ciekawa hipoteza – przyznał brat Lamberto. – Wszelako nadal hipoteza.

– Podobnie jak wasza na temat nadprzyrodzonego spisku.

– Zastanawiam się tylko, czy będziecie w stanie ją zweryfikować.

W obliczu takiej prowokacji Rocheblanche przestał drążyć kwestię listu. Jeśli nie chciał wplątywać w to Eudeline, pod żadnym pozorem nie wolno mu było wymienić nazwy klasztoru Świętego Antoniego.

– Jak dopiero co wspominałem – przystąpił do wyjaśnień – w dzisiejszych czasach brakuje opium. W okresie zarazy dodawano je do licznych medykamentów, eliksirów i magicznych napojów, aż wyczerpano zasoby niemal wszystkich aptekarzy. Wiem to na pewno, przekonałem się bowiem o tym osobiście, zajmując się zdobywaniem zapasów dla chorych z Pomposy. Zakładając więc, że opium użyte do *maleficium* przeciwko Estom pochodzi z tych ziem, nietrudno będzie ustalić, kto je nabył.

Brat Prudenzio wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Proponujecie zatem przetrząsnąć pracownię każdego aptekarza, zielarza i *confectionari* w mieście, aby...

Maynard stanowczo przytaknął.

– Aby dowiedzieć się, kto ostatnio złożył zamówienie na chlebki opium.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

Opat leżał krzyżem na ziemi.

Siostra Eudeline dostrzegła wysiłek, z jakim się skupiał. Trzymała się z dala, wpatrzona w profil owej starczej twarzy przylegającej do mozaiki, w ściągnięte palce, jakby gorąco pragnęły daru stygmatów. To, co czynił wielebny Andrea, było surową praktyką, przypominającą wymierzoną samemu sobie karę. Nie wstrząsnęła ona wszakże zakonnica. Niewiasta odnosiła wrażenie, że uczestniczy w komedii albo – lepiej – w próbie wprawienia się w jakiś zupełnie nieosiągalny stan. Nie było w tym żadnej ekstazy. Tylko bezradność.

Czekała pod arkadą, przyglądając się wspaniałym freskom apsydy i z mniejszym poruszeniem, starym malowidłom o tematyce biblijnej, pokrywającym długie ściany nawy. Isabeau opowiedziała jej, że to dzieło renowacji powierzono początkowo ojcu Gualtiera, a następnie odłożono z powodu tragicznego splotu wydarzeń. Wydarzeń, o których Eudeline dowiedziała się tylko dzięki opowieści Maynarda. Teraz z kolei, chociaż uważała za niedopuszczalne, żeby w takim miejscu spełniał się zły los, zaczynała się oswajać z myślą, że niedole młodego de' Bruniego wiązać się po części z owym mnichem, który właśnie się modlił, jakby musiał zaczerpnąć wody z wyschniętej studni.

Nagle usłyszała, jak wzdycha, i spostrzegła, że wstaje. Zawahała się, czy podejść bliżej, wołała jednak, by sam ją zauważył. I rzeczywiście wkrótce ojciec Andrea obrzucił ją błędnym wzrokiem.

– Wielebna... Eudeline – szepnął.

Spuściła z szacunkiem głowę.

– Tak, Wasza Wielebność.

– Z waszej wiadomości wywnioskowałem – rzekł ze źle skrywaną przyganą – że będziemy się porozumiewać wyłącznie listownie.

Eudeline wyczuła bijącą od niego instynktowną niechęć, wszelako nie wydało jej się, żeby wynikała ona ze zniewieściałej czy swarliwej postawy, jaką niektórzy duchowni przybierali w obecności białogłowy.

Nadal miała spuszczonego wzrok, nie chcąc wzbudzać w opacie jeszcze większego skrzepowania.

– Wolalabym uniknąć niedogodności słowa pisanego – odrzekła, usiłując nawiązać nić porozumienia – i rozmówić się w cztery oczy.

– Jak sobie życzycie – wymamrotał zakonnik. – Tylko nie tutaj. Chodźcie. Porozmawiamy w *Palatium Abbatis*.

Opuściwszy opactwo, ruszyli ścieżką na skraju dziedzińca, wśród spowitych lodową mgłą drzew. Przed nimi, na tle śnieżnej bieli, wznosił się dwukondygnacyjny pałac otoczony krużgankiem. Nie znajdował się zbyt daleko. Eudeline odnosiła jednak wrażenie, że ojciec Andrea wybrał dłuższą drogę, być może po to, by ukryć ją przed wzrokiem swoich mnichów. Idąc, dostrzegła kilku z nich pod arkadami i przez wielodzielne okna budowli, do której właśnie zmierzali. Byli bladzi, wychudzeni, wyglądali jak cienie w czarnych habitach. Nie zdziwiło jej to. Doskonale wiedziała, jak bardzo zaraza dotknęła opactwo, które pograżyło się w jeszcze większej nędzy, gdy tymczasem awiniońscy prałaci opływali w dostatki i każdy żył jak pączek w maśle.

Po wyjeździe z Reims słyszała, jak pielgrzymi na Drodze Lombardzkiej, jeszcze przed przełęczami alpejskimi, wspominali Pomposę; zachwyciły ją opowieści o tamtejszej ogromnej bibliotece i tradycji śpiewu liturgicznego. Oczarowały ją zwłaszcza legendy o pustelnikach i mistykach, którzy porzuciwszy wszystko, uciekli w ciszę tego świętego przybytku. Ojciec Andrea, ich sukcesor, opiekował się tą spuścizną, podążając upartym krokiem piechura przystępującego do ostatniego natarcia.

Przecięli krużganek i dotarli do westybulu, w którym ciepło z trudem dawało odpór zimowemu chładowi. Opat wkroczył do swej pracowni i wskazał zakonnicy własne krzesło. Następnie usiadł naprzeciw niej odgrodzony pulpitem i czekał.

Nim Eudeline się odezwała, pospiesznie omiotła spojrzeniem pomieszczenie – regały z księgami, święte obrazy, teki pełne szpargałów – i uznałszy, że jest niemal identyczne jak *domus particularis* w klasztorze Świętej Balsamii, gdzie mieszkała przez lata, poczuła przelotne zakłopotanie. „Być może przypominam ojca Andreę bardziej, niż przypuszczałam”, pomyślała. Wpatrywała się przez chwilę w białego charta zwiniętego w kłębek przed kominkiem, w końcu oznajmiła:

– Jak pisałam w liście, mój brat Maynard wyjawiał mi, w jakim położeniu znalazł się Gualtiero de’ Bruni.

Zakonnik lekko się nastroszył.

– Wyjawiał wam... co?

– Akurat tyle, żeby ów młodzieniec wzbudził moją troskę.

– Staralem się go chronić – powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić.

Jednocześnie zerkał na nią ukradkiem, zapewne głowiąc się nad tym, co ją skłoniło, by zajmować się obcym człowiekiem.

– Mimo to uciekł – wytknęła mu zakonnica. – Znacie przyczynę jego ucieczki?

Z gardła ojca Andrei wydobyło się coś niczym charkot.

– Od kiedy Gualtiero powrócił z Francji, nie jest już sobą. Wyobraźcie sobie,

wielebna matko, że ponownie zaofiarowałem mu zajęcie miniaturzysty w skryptorium opactwa... Ale nic z tego! Wcale nie chciał o tym słyszeć ani wysłuchać mojej ostatniej propozycji.

– Propozycji?

Opat przytaknął.

– Nader korzystnej w dodatku. Zamierzałem powierzyć mu renowację fresków w nawie głównej. Noszę się z tym pomysłem od roku, chociaż wam pierwszej go zdradzam... Oczywiście otrzymałby mniejszą zapłatę, niż zasługuje *magister pintor*, jednakże...

Eudeline skinęła na znak, że pojmuje. Zarówno Isabeau, jak i Maynard wspominali jej o ogromnym talencie Gualtieria i jego marzeniu, by zostać mistrzem malarskim. Marzeniu, które gdyby się ziściło, pozwoliłoby mu wziąć ślub i żyć w dostatku bez zależności od kogokolwiek. W tej wszakże chwili ciekawiła ją zupełnie inna kwestia.

– Wiecie, dokąd mógł się udać?

– Nie – odrzekł z żalem Andrea. – Poleciałem pachołkom przeszukać każdą ścieżkę, kryjówkę i gospodę stąd aż do Drogi Pielgrzymiej, ale na próżno. Szczerze mówiąc... miałem nadzieję, że to wy przyniesiecie jakieś nowiny.

– Ja? Niby dlaczego?

– Wasza siostra... Isabeau. Czyż to nie ona nakłoniła Gualtieria do ucieczki?

Na te słowa zakonnica odparła z mieszaniną niedowierzania i oburzenia:

– Naprawdę mówicie to z przekonaniem – zapytała – czy próbujecie po prostu ukryć własne przewiny? Dla waszej wiadomości, Isabeau padła ofiarą splotu wydarzeń tak samo jak Gualtiero, i to dlatego, że w swoim czasie wy postanowiliście zignorować jej uczucia.

– Jakie uczucia? – Parsknął śmiechem, broniąc się. – Raczej oczarowanie!

Jego skrywana wzgarda nie onieśmieliła zakonnicy.

– To prawda – ciągnęła – że zaproponowaliście Gualtierowi, by został mnichem, chociaż zdawaliście sobie sprawę z jego afektu dla Isabeau?

– Zaofiarowałem mu wybór, pomoc – obruszył się Andrea. – Dopiero co stracił rodziców. Został sam na świecie, zrozpaczony.

– Sam i zrozpaczony – powtórzyła, przestawiając piony na swej wyimaginowanej szachownicy. – I mimo że o tym wiedzieliście, odprawiliście z Pomposy jedyną istotę, jaka jeszcze przy nim trwała.

Opat unikał jej wzroku. Najwyraźniej nie miał ochoty przyjmować wymówek.

– To nie jest miejsce dla... niewiast!

– Jak widać, dla prawdziwych mężczyzn też nie.

– Tego już za wiele! Jak śmiecie?

Chart, który wyczuł zakłopotanie swego pana, podniósł pysk i cicho warknął.

– Dobry Moczarek – uspokoił go Andrea, chowając urazę.

Eudeline uciszyła go władcym gestem.

– Brak wam odwagi, wielebny ojcze. Nie ma co do tego wątpliwości. Dostrzegam w was dobre intencje wraz z resztkami żarliwości, która kiedyś musiała być ogromna. Ale to wasze nieustanne ukrywanie się i odrzucanie prawdy... Unikanie tego, co oczywiste... Zastanawiam się, czy postępujecie w ten sposób od tak dawna, że już nawet nie zdajecie sobie z tego sprawy.

– Wy... wy... – wyjąkał zakonnik tak bardzo wstrząśnięty, że aż zabrakło mu słów. Wycelował w nią palec, jakby chciał rzucić klątwę.

Język Eudeline, szybszy i bardziej cięty, po raz kolejny zmusił go do milczenia:

– Wybaczcie, że mówię bez ogródek, ale doświadczywszy licznych nieszczęść, nabrałam zwyczaju nie oszczędzać nikogo ani tym bardziej samej siebie. I dla jasności, ojcze, nie przyjechałam tu, żeby silić się na uprzejmości, lecz aby pomóc młodzieńcowi, którego życiu według mnie zagraża niebezpieczeństwo.

W przypiływie gniewu Andrea o mało nie wybuchnął. Drżał, poczerwieniały na twarzy z powodu wysiłku, by nad sobą zapanować, albo dlatego, że był bliski napadu wściekłości. Nagle jego wzburzenie przyniosło nieoczekiwany skutek: opat opadł na pulpit niczym pokutnik. Spuścił głowę i ścisnął ją w dłoniach, jakby chciał uśmierzyć bolesne cierpienie.

– Gualtiero... Och, Gualtiero... – wyszeptał złamanym głosem. – Tak pełen pasji i marzeń... Zapał, z jakim tworzył postaci, to zaledwie jeden z jego darów. Jakimż teologiem, jakimż wielkim kaznodzieją mógłby się stać, gdyby tylko posłuchał mojej rady... Pojmujecie, matko? Uważałem, że jest darem niebios, narzędziem, którym będę mógł się posłużyć, aby przywrócić światłość temu klasztorowi...

– Może naprawdę jest darem niebios – odparła Eudeline – ale źle go odczytaliście. Usiłując go omotać, nie licząc się z jego uczuciami.

Opat podniósł lśniące od łez oczy.

– Przedstawiacie mnie jako potwora.

– Czyż każdy z nas nie jest na swój sposób potworem? – Zakonnica posmutniała na chwilę, ale zmarszczyła brwi, nie chcąc utracić przewagi, jaką dała jej ta płomienna reakcja. – Pomóżcie mi zrozumieć. Może wiedząc, przed czym ucieka ten młodzieniec, zdołałabym go odnaleźć.

– Nie wiem – nasrożył się Andrea.

– Wspomnieliście wszakże o jego podróży do Francji – upierała się – domyślacie się więc, że jego udręka miała początek właśnie tam.

Zakonnik pokręcił przecząco głową.

– Zrodziła się wcześniej. Z powodu bólu i usilnego pragnienia, by poznać prawdę.

– Jaką prawdę?

Na obliczu opata nadal malował się niepokój, ale pojawiła się na nim także nowa,

pałaca ciekawość. Andrea przyjrzał się stanowczej minie Eudeline.

– Prawdę o pochodzeniu jego matki – zdecydował się odpowiedzieć. – Oraz pragnienie, by zrozumieć, dlaczego została pojmana i przewieziona w największej tajemnicy do Awinionu.

– I udało mu się to odkryć?

– Ja nie... Skąd mam wiedzieć? Nigdy nie zająknął się o tym ani słowem.

– Może wam nie mówił – zakonnica pochyliła się do przodu z drapieżnością krogulca – co nie przeszkadza, byście i tak znali jego tajemnice. A może się mylę?

Andrea się zasepił.

– To sprawy, o których lepiej... – jął się usprawiedliwiać, po czym nagle z powrotem zapłonął gniewem, który niedawno go rozpałał. – Kimże wy właściwie jesteście, by pozwalać sobie na zasypywanie mnie pytaniami? – wybuchnął, aż chart podskoczył.

Zamiast się zatrwożyć, siostra Eudeline poderwała się z krzesła z roziskrzonym od oburzenia wzrokiem.

– Jestem osobą, która zapłaciła za wasze freski! Która umożliwiła wam przetrwanie i utrzymanie was oraz waszych zakonników pomimo długów u Kamery Apostolskiej! – Niecierpliwym gestem uderzyła dłońmi w pulpit i pochyliła się do przodu, patrząc mu prosto w twarz. – Czy kiedykolwiek zadaliście sobie, ojcze, pytanie, skąd wzięły się floreny, które wręczył wam w ubiegłym roku mój brat? To ja mu je wysłałam! I z pewnością nie były to pieniądze jakiegoś nieznanego szubrawca, któreśmy ukradli albo sobie przywłaszczyli. Należały do mojej rodziny! A niech tam, furda ciepłe przyjęcie, któreście mi zgotowali. Furda pyszałkowatość, z jaką uznaliście mnie za wystarczająco głupią, bym dała się oszukać. Lecz teraz, w imię wdzięczności za mój czyn, domagam się, byście wyjawili mi prawdę.

– Prawdę? – Twarz duchownego zastygła w sardonicznej masce. – Byłoby lepiej, gdyby Gualtiero nigdy się nie dowiedział...

– A wy? – przerwała mu syknięciem. – Wy wiecie?

Pytanie odbiło się echem od ścian pracowni. Na koniec pozostało jedynie napięcie pomiędzy dwiema istotami pochylającymi się ku sobie w porywie drapieżności. Eudeline doskonale jednak wiedziała, że to nie ona się myli. Rozwścieczyła ją bierna wrogość opata. Nawet Moczarek, ciągle skulony przed kominkiem, zdawał się spoglądać na niego z przyganą. Z kolei Andrea najwyraźniej walczył z samym sobą. Co więcej, zapewne właśnie ów wewnętrzny konflikt go wyczerpał, chociaż nie zmusił do poddania się. Teraz opat milczał, zastygłszy na pulpicie, zatopiony w nie wiadomo jakich myślach.

– Owszem, wiem – oznajmił w końcu, przewyciężywszy niechęć niemal fizycznym wysiłkiem. – Matka Gualtiera to Elisa d'Este, skrywająca się pod szatami niewiasty z ludu. Nakryto ją przez czysty przypadek w Pomposie i pojmano jak

szpiega z powodu minionych wydarzeń z jej życia, które nie są mi wiadome.

Eudeline zdawała sobie sprawę, że poznała dopiero drobną cząstkę prawdy.

– Od kogo o tym usłyszeliście? – zapytała, nadal patrząc groźnie.

– Jakie to ma znaczenie? – wykręcił się zakonnik.

– Nie rozumiecie? – napadła na niego. – Przecież właśnie przed tym ucieka Gualtiero! Przed możliwością, że ktoś wie!

Andrea zasłonił się nieokreślonym gestem.

– Osoba, której imię, jak twierdzicie, znacie, nie stanowi zagrożenia. To mój kłopot.

Wszelako w tej chwili nie miał już do czynienia z zakonnicą, lecz z panią de Rocheblanche, z całą jej dumą i uporem. Z lwicą, jak określił ją swego czasu jej umiłowany Robert. Wspomnienie to wywoływało ciągle jeszcze świeży ból, stanowiący niebezpieczeństwo ujawnienia jej największej słabości. Czym prędzej je pogrzebała, czepiając się pragnienia, by walczyć, by zbuntować się przeciw wszystkiemu, co przed laty ją stłamsiło. Na jej wargach wykwitł wyzywający uśmiech.

– Zatem – skwitowała – gdybym musiała zadać te same pytania biskupowi Ferrary, nie powinnam się obawiać żadnego odwetu.

– Och, na litość boską! – Andrea aż podskoczył. – Milczcie! Milczcie, zamiast wsadzać kij w mrowisko!

– Za późno, wielebny ojcze. – Eudeline górowała nad nim z miną zwycięzcy. – Zawisła nad wami namacalna groźba, a wy łudziliście się, że możecie ją odsunąć. Minął już jednak czas zabawy w kotka i myszkę. Zamierzam rozmówić się z biskupem i rozwiązać tę kwestię u samego źródła.

Opat ze smutkiem pokręcił głową.

– Jego Ekscelencja Guido di Baisio nigdy nie udzieli wam posłuchania.

Niewiasta otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Coście powiedzieli, jeśli łaska?

– Miałem na myśli to, że Jego Ekscelencja...

– Nie, nie! – wykrzyknęła. – Imię! Powtórzcie imię!

– Guido di Baisio – rzekł Andrea, zbity z tropu. – Nie znaliście imienia biskupa Ferrary?

– Do tej pory nie znałam jego pełnego imienia – wyjaśniła. – Zawsze słyszałam tylko wielebny Guido albo *monsignore* Guido. Ale ten Baisio... – Poluźniła instynktownie bindę, jakby nagle zaczęła ją dusić. – Coś mi przypomina... Skąd pochodzi?

– Zdaje się, że z Emilii. Może z Modeny albo z Bolonii. Wywodzi się ze szlacheckiego rodu, sprzymierzonego dawniej z gibelinami.

– Baisio... – powtórzyła. Nie mając pewności co do własnej intuicji, żywiła

wszakże wystarczająco silne przekonanie, że oto znalazła klucz, który pomoże jej się wydostać z tarapatów. – Czyżby był spokrewniony z jakimś francuskim rodem?

Opat nie posiadał się ze zdumienia.

– Nic mi o tym nie wiadomo – mruknął, nie potrafiąc zrozumieć tej nagłej dociekliwości. – Jeśli jednak wolno mi coś wtrącić, wasz brat dobrze go zna... i nigdy nie zadawał mi podobnych pytań.

– Mój brat nie ma głowy do tego rodzaju rzeczy – westchnęła zakonnica, wznosząc oczy do nieba.

„Och, ten Maynard!”, pomyślała. „Taki mężny i zarazem tak łatwowierny!”

– A zatem? – przywołał ją do rzeczywistości Andrea. – Dokąd zmierzacie?

– Dowiedcie się w swoim czasie. – Eudeline przybrała zagadkowy wyraz twarzy. – Lecz o ile się nie mylę, Jego Eksceleńcja nie będzie mógł odmówić mi posłuchania. Przeciwnie, będzie błagał, żebym zgodziła się z nim spotkać. – Nie pożegnawszy się, już ruszała ku drzwiom, jakaś myśl kazała jej wszakże zawrócić. – Co do was – dodała – doradzam milczenie na temat tej rozmowy. Nawet przed moim bratem.

– Przy całym szacunku... – zaczął.

– Lepiej, żebyście posłuchali, ojcze – nakazała władczym tonem Eudeline. – Dostrzegłam, w jak żalonym stanie znajdują się freski w waszej nawie, i właśnie rozważam możliwość zlecenia wykonania fresku *ex novo*. Za moje pieniądze, naturalnie.

Opat zmierzył ją dotknięty.

– Zamiarujecie zapłacić mi za milczenie?

Zakonnica pokręciła przecząco głową.

– To znak wdzięczności za waszą pomoc, o ile okaże się niezbędna.

– Jakiego rodzaju pomoc?

– Fresk *ex novo* – odparowała coraz bardziej tajemnicza Eudeline. – Pod warunkiem, że namaluje go Gualtiero de' Bruni.

I nie dodawszy już nic więcej, wyszła z pracowni z podniesioną głową.

DZIELNICA ŻYDOWSKA
15 STYCZNIA

Dzielnica Żydowska rozciągała się nieopodal Bramy Furmignańskiej, poza murami, za Dzielnicą Foluszną. Dotarłszy do niej o zmierzchu, Maynard uzmysłowił sobie, że panuje tam jeszcze większa nędza, niż mu opisywano, tego wieczoru jednak nie był skłonny do rozczulania się. Po dwóch dniach tułaczki i wypytywania każdego zielarza i aptekarza w mieście o ostatnie zamówienia na opium jego nadzieje na wyśledzenie tajemniczego sprawcy *maleficium* słabły coraz bardziej. Jak dotąd nie wpadł na żaden trop, a ostatnie możliwości powodzenia skupiały się wokół owego północno-wschodniego odgałęzienia Ferrary. Brat Prudenzi niechętnie towarzyszył mu aż tu, burcząc pod nosem, że nikt – nawet szalony bałwochwalca – nie zwróciłby się o pomoc do żydowskiego aptekarza. Półkrwi, sprostował rycerz. Krążyły słuchy o jakimś Alzatczyku z matki Żydówki, który na obrzeżach osady uprawiał sztukę aptekarską. Tak czy inaczej, to obrzezaniec, stwierdził dominikanin.

Rocheblanche wolał nie odpowiadać.

Zwykł przykładać właściwą wagę do tyrad duchownych, zwłaszcza jeśli dotyczyły rodu tak zwanych zabójców Chrystusa. Nie żeby ich szczególnie lubił, nie potrafił wszakże obarczać ich winą za wszelkie zło. Skłonił więc swego towarzysza do zapuszczenia się w labirynt zaniedbanych uliczek, nie przejmując się ich żrącym powietrzem.

Po bokach ośnieżonych ulic przechadzali się ludzie okutani w peleryny, tuniki i płaszcze, niemal sami długobrodzi mężczyźni z kólkami z żółtego płótna naszytymi na piersiach bądź plecach. Na widok biało-czarnego habitu dominikanina osłupienie na ich twarzach przeradzało się w lęk. Maynardowi było jednak zbyt spieszno, by zaprzętał sobie głowę tym, że stanowią widowisko. Jeśli i tym razem trop okazałby się fałszywy, musiałby wrócić do brata Lamberta da Cingoli z podkulonym ogonem i prowadzić dalsze dochodzenie zgodnie z jego wizjonerskimi teoriami.

Kram aptekarza przylegał do murów na granicy z przedmieściem Świętego Leonarda. Można się tam było dostać ciemnym korytarzem, w którym hulał tak dokuczliwy przeciąg, że Francuz był zmuszony otulić się szczelniej płaszczem. Pozbawione szyldów wejście oddzielała od zewnątrz koźła skóra.

Rocheblanche niezwłocznie przekroczył próg i znalazł się w przesyconym ostrymi

zapachami mroku. Pomieszczenie było zapewne obszerniejsze, niż na to wyglądało, przedziały je bowiem liczne skrzynie i ustawione pod ścianami jeden naprzeciw drugiego regały pełne opatrzonych etykietami flakoników.

Naprzeciwno wejścia na drewnianej, skąpo oświetlonej ladzie stały waga, alembiki i gliniane czarki. Znajdujący się za owymi przedmiotami człowieczek z brodą barwy lisiego futra wsypywał właśnie jakiś żółtawy proszek do cynowego pucharu. Wykonywał tę czynność z najwyższą ostrożnością, posługując się łyżką, i był nią tak pochłonięty, że nie spostrzegł dwójki gości.

Rycerz przyjrzał się, jak odmierza substancję o cierpkiej woni, którą uznał za mirrę, i odchrząknął.

– Szukamy pewnego Żyda o imieniu Abraham z Alzacji.

– Abraham z Bazylei – sprostował mężczyzna, nie odrywając wzroku od kielicha. – Chociaż w tym mieście lepiej już nie być Żydem. – Zachichotał zagadkowo. – A ja wcale nie jestem Żydem.

– Nie przyszliśmy tu bawić się w zagadki – zastrzegł natychmiast Maynard – ani tym bardziej rozprawiać o czystości waszej krwi.

Abraham z nadzieją podniósł wzrok.

– A zatem dla moich eliksirów?

– W pewnym stopniu – odrzekł rycerz. – Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy ktoś nie zjawił się tutaj, aby nabyć w szczególności jeden z nich. Już gotowy albo w postaci sypkich ingrediencji.

Twarz Żyda się wydłużyła.

– Tylko głupiec zwróciłby się do mnie po sypkie ingrediencje. Jam jest *confectionarius*, i to jeden z najlepszych.

– Okażcie szacunek! – W przyпіływie oburzenia brat Prudenzió postąpił wojowniczo naprzód i uderzył brzuchem o ladę. – Obecny tu pan Maynard de Rocheblanche zadaje wam pytania w imieniu biskupa Ferrary i Świętej Inkwizycji!

Zaskoczony rycerz nie wiedział, czy stanąć po stronie mnicha, czy Żyda, który na wzmiankę o inkwizycji wypuścił z rąk łyżkę. Zanim zdążył zdecydować się na odpowiedź, usłyszał niespodziewany rumor, który kazał mu się raptownie odwrócić z dłonią na sztylcie.

Spomiędzy dwóch regałów wyłonił się jakiś mężczyzna. Przepraszającym gestem podniósł flakon, który upadł na posadzkę, odstawił go na półkę i ruszył do wyjścia. Maynard wpatrywał się weń z ciekawością. Chociaż nieznajomy zniknął pod kapturem zielonego płaszcza, nie zdołał ukryć swych mauretańskich rysów ani uczernionych kajalem oczu.

Brat Prudenzió, który zapowietrzył się, przywołując gospodarza do porządku, niczego nie zauważył. Nadal ciskał się, karcąc aptekarza.

– I cóż, gdzie się podział wasz dowcip? – szczechnął. – Jak to się dzieje, że syn

Judy uprawia podobną profesję? Doskonale wiecie, że to zabronione.

– Jestem ochrzczony – bronił się Abraham, na którego oblicze znów powróciła groźna mina – i jestem synem człowieka wiernego Kościołowi.

– Dlaczego więc chowacie się w tej podłej norze?

– Może to i podła nora, ale chrześcijanie, a nawet duchowni, nie wahają się jej odwiedzać w poszukiwaniu moich eliksirów. W czasach zarazy ściągali tu całymi tabunami, wszyscy opatuleni, żeby nikt ich nie rozpoznał.

Dominikanin parsknął złośliwym śmiechem.

– Może właśnie dlatego w Ferrarze zmarło więcej ludzi niż gdzie indziej.

– Co wy możecie o tym wiedzieć – zachnął się *confectionarius* – z tym waszym upuszczaniem krwi i lewatywami, które aplikujecie, odklepując *Pater noster*!

Zmęczony tą utarczką Rocheblanche odsunął brata Prudenzia i rąbnął pięścią w ladę.

– Nie zaperzajcie się zbyt, mistrzu Abrahamie – zawołał. – O ile mnie słuch nie myli, wspominaliście coś o waszych nabywcach.

– Z wami chętnie porozmawiam, messor – odparł Żyd, posyłając zakonnikowi jadowite spojrzenie. – Tylko miejcie na oku tę tłustą fretkę. Boję się, że mnie pogryzie.

– Rad bym się dowiedzieć – ciągnął Maynard – czy zjawiała się tu jedna lub więcej osób, aby kupić jakąś miksturę zawierającą opium. Nie trzeba nadmieniać, jak rzadka to w dzisiejszych czasach ingrediencja, i powinno to wystarczyć, byście sobie przypomnieli. Zresztą skoro twierdzicie, że sprzedajecie wyłącznie gotowe specyfiki, dla uściślenia dodam, że owa mikstura mieści w sobie takie składniki jak *herba diaboli*, szalej i ciemiernik.

– Zakazane zioła, messor. – Żyd drgnął. – Chyba nie sądzicie, że ja...

– Skoro są zakazane, zapewne ukryliście je pod inną nazwą – uciał rycerz. – Tak czy inaczej, to nie moja rzecz. Ja chcę się tylko dowiedzieć, czy ktoś prosił was o podobną miksturę.

– Nikt, przysięgam.

Maynard pokiwał głową, wpatrując się w palce mężczyzny, które jeły szarpać gęstą brodę. Już miał się pożegnać, gdy wtem udając, że coś sobie przypomniał, ponownie się do niego zwrócił, jakby chciał dodać jeszcze jakąś błahostkę.

– Ale jeśli za parę dni jakiś szpicel doniesie mi coś przeciwnego, czyli że jesteście zamieszani w tę sprawę, kogo mam nazwać kłamcą? Jego czy was?

Wargi Abrahama rozciągnęły się w nerwowym uśmiechu.

– Szpicel, messor? Niby dlaczego jakiś szpicel miałby...

– Pamiętacie słowa mego przyjaciela fratra? – przerwał mu rycerz, obracając się na pięcie. – Działam na polecenie biskupa i Świętej Inkwizycji. Gdybym wyczuł kłamstwo, byłbym zmuszony doprowadzić was do Świętego Dominika. A sami

wiecie, jak to mówią: jak człowiek raz wejdzie do środka...

– Ja nie mam z tym nic wspólnego! – Żyd cofnął się i o mało nie potknął o stojący za jego plecami zydel. Zamachał rękami, chcąc uczepić się lady, lecz Francuz już wyciągnął swoje, gotów go pochwycić. Popatrzył nań z ukosa, z wahaniem. – Powiedziałem... – wyszeptał. – Powiedziałem, że ta mikstura była...

– Co takiego? – powtórzył głośno Maynard.

Abraham próbował wyrwać się z jego uścisku, lecz na próżno. Dłonie rycerza zacisnęły się na jego nadgarstkach tak mocno, że aż jęknął.

– Niebezpieczna – pisnął.

Rocheblanche szarpnął go ku sobie, kładąc piersią na blacie. Przyjrzał mu się z odległości niecałej piędzi.

– A komuście powiedzieli?

– Człowiekowi... – zawahał się – człowiekowi, który zjawił się tu przed dwoma tygodniami... i poprosił, żebym sporządził dla niego taką miksturę. Ale ja nie chciałem, messer... Nie było moim zamiarem...

– Imię.

– Nie zdradził mi go.

– Nie prowadzicie księgi rachunkowej? – zapytał z niedowierzaniem Rocheblanche. – Jak to zapisaliście?

– Nie uczyniłem tego – odrzekł Abraham, błagając wzrokiem, żeby puścił go wolno.

Maynard lekko zwolnił uścisk, pozwalając mu się wyprostować.

– Wiedzieliście zatem, że źle robicie – skarcił go.

– Tutaj można umrzeć z głodu, messer – usprawiedliwił się Żyd. – Kiedy zjawia się ktoś gotów wysupłać pokaźną sumkę, człowiek chętnie zgadza się przymknąć oko. A nawet dwoje, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Dlatego nie zadawałem pytań ani o jego imię, ani o to, w jaki sposób zamierza się posłużyć podobnym specyfikiem. Spełniłem żądanie, lecz jak już mówiłem, zgłosiłem kilka zastrzeżeń.

– Nie chodzi mi o was – odparł rycerz, aby go uspokoić. – Ale muszę odnaleźć tego człowieka. Wysłicie więc umysł, jeśli nie chcecie wpaść w poważne tarapaty. Czy dysponujecie czymkolwiek, co pozwoliłoby mi go rozpoznać albo ruszyć jego śladem?

– Nie – odrzekł Abraham. Wprawdzie nadal był przerażony, wszelako jego twarz jęła przybierać chytry wyraz kogoś, kto zamierza się targować. – Mogę wam jednak podsunąć dwie nader użyteczne wskazówki, pod warunkiem, że zostawicie mnie w spokoju.

– Macie moje słowo.

– I... nie będzie żadnej inkwizycji?

– Nie będzie żadnej inkwizycji.

– Cóż – westchnął Żyd – człowiek ów miał nad prawym okiem *imagunatio gravidarum*.

Rocheblanche wpatrywał się weń zdębiały.

– Co takiego?

– Czerwone znamię.

– W rodzaju plamy w kolorze wina? – wtrącił brat Prudenziio.

Abraham przytaknął.

– A druga wskazówka? – zapytał coraz bardziej niecierpliwy Maynard.

– Druga to taka – oznajmił Żyd – że zjawi się tu znowu za dwa dni, aby odebrać kolejną miksturę.

Arab opuścił szybkim krokiem Dzielnicę Żydowską, chowając twarz pod kapturem zielonego płaszcza. Podążył wzdłuż murów na zachód i wszedł na Przedmieście Lwa przez bramę wieży o tej samej nazwie. Nauczył się prędko orientować w tym mieście, aczkolwiek z trudem oswajał się z różnymi odmianami italskiej mowy. Zarówno on, jak i jego pan usiłowali wysławiać się po francusku, hiszpańsku albo po trochu w miejscowym języku. Mimo to wyłowił każdą sylabę z rozmowy zasłyszanej przypadkiem w pracowni Abrahama. Przede wszystkim ciągle brzmiało mu w uszach to imię... Och, to imię! Gdy je przy nim wypowiedziano, był tak zdumiony, że aż wypuścił z rąk flakon. Na szczęście udało mu się oddalić bez wzbudzania podejrzeń. A przynajmniej tak mu się zdawało.

Pan czekał nań w pewnej gospodzie w dzielnicy Matki Boskiej z Brodu. Choć prawie już zapadł wieczór, Arab i tak zabawił trochę na jarmarku w pobliżu kościoła Świętego Kryspina, aby kupić na jednym z nielicznych straganów kozie mleko. Nabył także lecznicze zioła, za które słono zapłacił, lecz się nie skarżył. W końcu był tylko Maurem na chrześcijańskiej ziemi, nie zamierzał ani wdawać się w kłótnie, ani rzucać w oczy. Włożywszy wszystko do sakwy, ruszył w dalszą drogę ku ulicy Piasków.

Gdy dotarł do gospody, zajrzał przede wszystkim do stajni, aby sprawdzić stan koni, które przywiozły go tu aż z Reims, po czym wspiął się na piętro.

Pan leżał na jedynym sienniku w izbie pod grubą warstwą pościeli. Łatwo było wszakże dostrzec jego zwalistą postać i usłyszeć chrapliwy, niekiedy chwytny z trudem oddech. Zorientowawszy się, że nie jest już sam, podniósł głowę i zaczął szukać po omacku z prawej strony sztyletu.

– Ach, to ty – wysapał gderliwie.

– Musiałem nadłożyć drogi, żeby zgubić pościg – wyjaśnił Maur.

– Ktoś cię śledził?

– Zwykła ostrożność.

Pan przytaknął i kilka razy zakasłał. Położył się z powrotem wyczerpany.

– Przyniosłeś medykament?

– Nie mogłem go kupić. – Arab zsunął sakwę na podłogę i zdjął płaszcz, podczas

gdy jego wzrok powędrował ku bardziej osłoniętemu zakamarkowi izby, jedynemu wolnemu od przeciągów. Znajdowała się tam wyściełana słomą drewniana skrzynia, a na niej leżała dziewczynka w powijakach.

– Pieniądze nie wystarczyły? – rozbrzmiał głos pana.

Maur pokręcił przecząco głową. Było wiele do powiedzenia, nie chciał wszakże robić tego od razu.

– Znalazłem zioła, sporządzą wam wywar – uspokoił go.

Następnie wziął kozie mleko i przelał je do woreczka z dziobkiem, własnego wynalazku, którym posługiwał się do karmienia małej.

Mężczyzna na łożu wpatrywał się weń z lekką przyganą.

– Przez cały czas marudziła – fuknął. – Nie dała mi spać.

Zamiast słuchać, co mówi, Arab dał dziewczynce lekkiego prztyczka, wywołując uśmiech na jej buzi. Od lata jej kasztanowe loki podrosły, podkreślając oczy i dołeczki w policzkach. „To błogosławieństwo”, pomyślał. Słabe, ale promienne światełko pośród bezkresnego mroku. Przyglądał się jej przez chwilę z zachwytem, zapominając o całym świecie. Po czym skupił swą uwagę na wysadzonym klejnotami krzyżyku, który miała na piersi, a wówczas powróciło pytanie, w jaki sposób tak cenny przedmiot – należący do Eudeline de Rocheblanche – znalazł się na szyi córki jakiejś biedaczki zmarłej w Reims. „Tak czy inaczej, wkrótce się dowiem”, rzekł sobie w duchu. Nawet gdyby owa chwila miała się okazać trudna, wręcz tragiczna.

Upewniwszy się, że mała jest czysta i dobrze okryta, wrócił do swego pana. Pochylił się nad nim i dotknął jego czoła.

– Nadal macie dreszcze z gorączki – stwierdził.

– Może gdybym wypił wywar...

– Owszem, powinien przynieść wam ulgę – przytaknął Arab, przypomniawszy sobie o leczniczych ziołach. A potem o Abrahamie. A potem o dwóch przybyszach, którzy zjawili się w kramie. Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym jego oczy zamieniły się w wąziutkie zakrzywione szparki. – Jeśli się dobrze zastanowić – dodał – nie wyjaśniłem wam jeszcze przyczyny, dla której nie nabyłem ziół u aptekarza.

Pan, który doskonale znał owo spojrzenie, zaniepokoił się.

– A więc? – ponaglił.

– W kramie znajdował się pewien człowiek. Towarzyszył mu brat dominikanin, który podawał się za sługę inkwizycji.

– Jakiego... rodzaju człowiek?

– Frater wymówił jego imię. Maynard de Rocheblanche.

Na te słowa pan odrzucił kódrę, usiadł na sienniku i zacisnął pięści, które stały się twarde niczym gotowe do uderzenia młoty. Wyglądało na to, że zamierza coś powiedzieć, lecz gwałtowny napad kaszlu zmusił go do milczenia.

– Maynard de Rocheblanche – powtórzył Arab, jakby chciał podsycić jego gniew. Pan skulił się na boku, by opanować atak, na koniec zaś wycieńczony otarł usta i oczy.

– Jesteś pewien? – zapytał urywanym głosem. – Maynard? To imię usłyszałeś?

– Tak, właśnie to.

– Nie przypuszczałem, że on też tu jest... Wraz z Eudeline.

– Nie sędzę, żeby przyjechali razem – dumiał głośno Maur. – Dowiemy się, śledząc ją.

– Powinniśmy się byli domyślić – oznajmił mężczyzna, który zdążył już ochłonąć. Teraz w jego oczach lśnił bezlitosny chłód. Przez chwilę dało się w nich dostrzec niecierpliwość, gdy skupiły się na wspartej o ścianę czarnej zbroi.

– Tak czy siak – odparł Maur – są tutaj oboje. Wreszcie będziecie mogli zemścić się na nim i pogodzić z nią.

– Owszem, ale bez pośpiechu – orzekł pan. – Najpierw odkryjmy, co takiego przywiodło tego łotra na ziemie Ferrary.

DZIELNICA ŻYDOWSKA
18 STYCZNIA

– Co za potworność! – lamentował brat Prudenzio.

– Cierpliwości – odparł Maynard. – Jako frater powinniście byli przywyknąć.

Stali przed drewnianymi schodami wiodącymi na zewnętrzną galerię budowli, naprzeciwko korytarza, który prowadził do kramu Abrahama z Bazylei. Czekali od wielu godzin w dokuczliwej śnieżycy i chłodzie, który przenikał aż do kości. Jeśli *confectionarius* mówił prawdę, tego właśnie dnia mężczyzna z czerwonym znamieniem miał się pojawić i odebrać kolejną miksturę na bazie opium i *herba diaboli*. Było już wszakże późne popołudnie, a na ulicach Dzielnicy Żydowskiej pośród krążącej w tę i z powrotem długobrodej cizby w jarmułkach nie było widać nikogo podejrzanego.

– Cierpliwości, cierpliwości... – prychnął zakonnik, rozcierając poczerwieniałe od zimna dłonie. – Tak czy inaczej, nie mam wyboru. Ale nie wiem, co trzyma tu was, messer, skoro możecie rzucić to wszystko w każdej chwili i zdobyć odrobinę gorącego rosołu.

– Ciągłe nie daje wam to spokoju? – odrzekł rycerz, nie odrywając wzroku od ulicy. – Już wam mówiłem, złożyłem przysięgę.

– Pójdę o zakład, że przed białogłową. Przecudnej urody białogłową.

– Jesteście w błędzie, pocziwy ojcze. Człowiek, któremu przysięgłem, to pewien uczony opat, mieszkający dość daleko od tych ziem. Przedtem jednak przysięgłem przed samym sobą, chciałem bowiem nadać własnemu życiu sens i odkupić dawny grzech.

– O Jezu – szepnął brat Prudenzio. – Nie wystarczyłoby poprosić jakiegoś spowiednika o rozgrzeszenie? Albo kupić odpust?

Maynard położył palec na ustach, dając mu do zrozumienia, żeby ściszył głos. Chociaż byli dobrze ukryci i znajdowali się w rozsądnej odległości od kramu Abrahama, nie zamierzał ujawniać się przed swą ofiarą.

– Niektóre przewiny nie sposób tak łatwo zmyć – odparł.

– Zabiliście człowieka? – dociekał szeptem dominikanin.

– Po prawdzie zabiłem wielu ludzi. Za to jednego oszczędziłem. Zostawiłem go umierającego na placu w obłężonym mieście. Zasłużył na to, ciągle to sobie powtarzam. A jednak wiem, że postąpiłem haniebnie.

– A kim on był?

– Cicho. – Rocheblanche zatkał mu usta skrajem płaszcza, kierując wzrok ku postaci w czerni, która wyłoniła się właśnie zza zakrętu. Sądząc po chodzie i szerokości barków, mężczyźnie. Kiedy się zbliżył, okazało się, że jest ponadprzeciętnego wzrostu i porusza się z jakąś dostojnością. Wszelako szedł ze spuszczoną głową, skradając się, jak ktoś, kto nie chce zostać zauważony. Rozejrzał się wokoło kilka razy, po czym zniknął w korytarzu.

– To on? – mruknął drżący z ekscytacji dominikanin. – Miał czerwone znamię?

– Nie jestem pewien, odwrócił się tylko na chwilę.

– Co więc robimy?

– Czekamy.

W istocie wcale nie musieli długo czekać, nim mężczyzna wyłonił się z korytarza. Rycerz zdołał dostrzec jedynie profil jego twarzy i nie zoczył żadnej czerwonej plamy. „To nic nie znaczy”, pomyślał. „Może jest z drugiej strony...” Dojrzał wszakże przewieszoną przez plecy sakwę, której wcześniej nie było. Prawdopodobnie zawierała zakupioną u Abrahama miksturę.

– Ten rzucający złe uroki człowiek ciągle patrzy gdzie indziej, nie pokazując twarzy – narzekał frater. – Nie mamy pewności, że to on.

– Wszedł jednak do kramu aptekarza i go opuścił – zauważył Maynard. – Nie możemy pozwolić mu się wymknąć.

– Ale w razie pomyłki stracimy sposobność pojmania prawdziwego winowajcy.

Rocheblanche pokręcił głową.

– Nie stanie się tak, jeżeli tylko ja za nim pójdę. Wy zostanieie tutaj, w razie gdyby pojawił się kolejny podejrzany osobnik.

– Ani myślę – odparował naburmuszony brat Prudenziio. – Otrzymałem rozkaz, żebym nie odstępował was ani na krok, i tak też uczynię.

– Tylko tego brakowało... Jesteście fratrem czy mułem?

– Jak wam się podoba, ale lepiej, żebyśmy się stąd ruszyli. Bo inaczej stracimy naszego człowieka.

Na te słowa Maynard z powrotem wbił wzrok w ulicę i spostrzegł, że osobnik się oddala.

– Niech tak będzie – zawołał zrozpaczony. Opuścił kryjówkę i wydłużył krok, nie dbając o to, czy zakonnik podąża za nim.

Mężczyzna w czerni posuwał się powoli, podobnie jak inni przechodnie, gdy jednak skręcił za róg, zdradził pośpiech i jął dawać większe kroki. „To on”, nabrał przekonania rycerz. Dostosował własne tempo do jego, trzymając się w należytej odległości.

– Dlaczego nie przydybiecie go teraz? – podsunął brat Prudenziio, bardziej namolny od muchy. – Moglibyście go zaskoczyć, jesteście uzbrojeni.

Maynard pokręcił przecząco głową.

– Najpierw chcę się przekonać, dokąd zmierza.

Nadal deptał mu po piętach. Tymczasem śnieżycy rozpętała się na dobre, a ulice jęły się rozszerzać i budynki były w coraz lepszym stanie. Potem wejście za mury, Przedmieście Lwa i kolejny labirynt zaułków, tym razem pomiędzy kościołami a wysokimi domami... Mężczyzna w czerni przyspieszył, prawdopodobnie chcąc jak najprędzej dotrzeć do celu. Zatrzymał się na jakimś placu, gdy dzwony wzywały na nonę, i o mały włos nie opadła go chmara gołębi. Odwrócił się instynktownie, aby je przepędzić. Wtedy spostrzegł dwu śledzących go ludzi.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Czerwone znamię! – wykrzyknął frater. – Widziałem je!

A on widział nas, niemal dodał Maynard.

W istocie, uzmysłowiwszy sobie niebezpieczeństwo, mężczyzna uciekł.

Rocheblanche rzucił się w pościg, nie zawoławszy nawet „Stać!”. Nie wiedział, jak ów osobnik ma na imię ani co nim kieruje, lecz jego powierzchowność i sposób poruszania się pozwoliły mu określić, jakiego rodzaju jest człowiekiem. Weteran albo przynajmniej zbrojny. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, dostrzegł w nich odwagę, a może nawet żal, że nie dane mu będzie przystanąć i walczyć. „Nie”, rzekł sobie w duchu. „Ten człowiek nigdy by nie zdradził ani niczego nie wyjawiał na mękach”. Niestety, nie był dość szybki. Maynard z pewnością by go dogonił, gdyby nie spowodowany dawną raną nad kolanem ból, który odzywał się z nadejściem zimy.

Zmusił się, by nie zważać na bolesne ukłucia, i podszedł bliżej mężczyzny, podczas gdy zasapany brat Prudenzió podązał w odległości dwudziestu kroków za nim, podtrzymując rękami brzuch. Przemierzali właśnie zamkniętą, zwieńczoną wysokimi sklepieniami uliczkę, kiedy niespodziewanie zawadził nogami o drąg, sterczący piędź nad ziemią. Runął twarzą na ziemię, a śnieg zdławił przekleństwo. Zdołał jedynie zobaczyć chłopca, który wynurzył się zza rogu i dał nogi za pas, ściskając w dłoni drąg.

Wrzasnął ze złości, uzmysłowiwszy sobie, że uderzył się w głowę. Pozostał na czworakach, aby nie stracić równowagi, dopóki nie usłyszał ciężkich kroków, rumoru spadającego na ziemię ciała i dyszenia.

– W... którą... stronę... poszedł? – wyrzęził wyczerpany brat Prudenzió.

Maynard wstał, przytrzymując się ściany. Upokorzony i przepełniony gniewem wpatrywał się w poczerwieniałą z wysiłku twarz fratra.

– Nie wiem – wysapał. Po czym chwycił garść śniegu i cisnął w dal.

Nie rozbrzmiały jeszcze dzwony na kompletę, panował gęsty mrok, a mróz szczypał tak mocno, że zniechęcał każdego do wyjścia na zewnątrz, kiedy brat Lamberto da Cingoli opuścił konwent Świętego Dominika. W pośpiechu, przemierzając ośnieżoną ulicę, dotarł do dzielnicy Boccacanalé i odnalazł siedzibę, którą odwiedził w minionym tygodniu. Straż wpuściła go bez wahania.

Bertrand du Pouget czekał nań, siedząc na krześle przed kominkiem. Miejsce obok zajmował Guido di Baisio.

Inkwizytor ostrożnie postąpił krok naprzód, dostrzegając w jego niespodziewanym pojawieniu się groźbę.

– Ekszelencjo – rzekł, zwracając się do biskupa – nie przypuszczałem, że was też tu zastanę.

Wielebny Guido wzruszył ramionami.

– Jego Wielebność kardynał domagał się mojej obecności dla przedyskutowania pewnych kwestii.

Wyjaśnienie było rozmyślnie mało prawdopodobne, być może wykoncypowane celowo, aby wzbudzić w nim lęk. Wargi brata Lamberto rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu, który rozwiązał język ze stu opornym.

– Kwestii do rozważenia w środku nocy? – odparł z powątpiewaniem.

– To dlatego, że przedmiotem dysputy jesteście wy – wtrącił kardynał, nie odrywając wzroku od wylotu kominka. Ton jego głosu był napastliwy i nerwowy, dominikanina zaniepokoiła wszakże wyraźna komitywa z Guidem. – Zastanawialiśmy się wraz z biskupem – ciągnął du Pouget – nad waszym sposobem postępowania wobec Rocheblanche’a. Obaj jesteście zdania, że działacie opieszale.

– Wynika to z czasu i rozwoju wypadków – bronił się brat Lamberto.

– Nadal dochodzenie stanowi wymówkę? – prychnął purpurat. – Miałem nadzieję, żeście wynaleźli kolejny pretekst, aby przycisnąć tego rycerza.

– To nie będzie konieczne. – Inkwizytor usilnie starał się zachować zimną krew i pewność siebie. – Otóż przed paroma godzinami udzieliłem posłuchania messer Maynardowi i bratu Prudenziowi. Każdemu oddzielnie, ma się rozumieć. Ten drugi przekazał mi ciekawe wieści.

Biskup zerknął znacząco na kardynała, zdradzając silne zaciekawienie.

– Słuchamy – ponaglił.

– Podobno Rocheblanche związał się jakąś przysięgą – oznajmił brat Lamberto. – Przysięgą mającą coś wspólnego z pokutą, która każe mu pozostać w tym mieście.

Bertrand du Pouget pogładził w zadumie brodę.

– Prawdopodobnie dotyczy to *Lapis exilii* – wyraził przypuszczenie. – Albo śmierci Jana Ślepego.

Lamberto da Cingoli pokręcił przecząco głową.

– Z relacji brata Prudenzia wynika, że jest w to zamieszany jakiś uczony opat.

– Ojciec Andrea z Pomposy? – zapytał natychmiast Guido di Baisio.

– Nie – odparł dominikanin. – Jakiś nieznany opat, który mieszka daleko stąd.

Kardynał nadal się zastanawiał, mrużąc złe oczy.

– Krążą słuchy – odezwał się wreszcie – że *Lapis exilii* jest ukryty w pewnym francuskim klasztorze pod czujnym okiem jakiegoś opata... Nie można mieć jednak pewności, że właśnie o to chodzi. – Ponownie zwrócił się do brata Lamberta: – Czy wasz mnich odkrył coś jeszcze?

– Jestem przekonany, że wkrótce to uczyni – zapewnił dominikanin. – Rocheblanche wrócił dzisiaj z nieudanego pościgu i poprosił o pozwolenie na spotkanie z markizem Obizzem d'Este. Twierdzi, że chce go wypytać w związku ze swymi podejrzeniami, aby otworzyć nowe wątki dochodzenia. Zgodziłem się pod warunkiem, że zabierze ze sobą brata Prudenzia.

– W końcu sprawy przybrały ciekawy obrót – skwitował z zadowoleniem du Pouget. Uderzył otwartą dłonią w poręcz i wstał, by dołożyć do ognia. – Postępujcie zgodnie z waszym planem – przyzwolił. – Tylko że jutro to wy będziecie towarzyszyli Rocheblanche'owi w drodze do pałacu markiza.

– Nie widzę takiej potrzeby – zaprotestował brat Lamberto, który z powodu naturalnej skłonności wolał pozostać na uboczu.

– Za to ja widzę. – Purpurat zdecydowanym gestem cisnął w żar polano. – Przede wszystkim nadeszła pora, byście zdobyli zaufanie rycerza Rocheblanche'a. A po drugie... – rzucił mu przenikliwe spojrzenie – będziecie musieli nastraszyć markiza Obizza.

Lamberto da Cingoli drgnął.

– Eminencjo! Czyżbyście przypadkiem mieli na myśli...

Bertrand du Pouget skinął twierdząco.

– Właśnie dlatego to wy nadajecie się najlepiej, by zająć się tą intrygą – wyjaśnił.

PAŁAC SIGNORII
19 STYCZNIA, RANKIEM

Maynard nie odwiedzał siedziby markiza niemal od roku i gdyby mógł, nie zmieniłby tego stanu rzeczy. Miejsce to przywoływało zbyt wiele złych wspomnień, od szalbierstw ojca Facia po uwięzienie w lochach. Pozostawał jeszcze on, szlachetny Obizzo III d'Este, z tymi swoimi obsydianowymi oczami i żądzą zemsty. Rycerz doskonale wiedział, że ów człowiek nigdy mu nie wybaczy zdrady dokonanej z jego faworytą Lippą Ariosti. Już przy pierwszym spotkaniu Rocheblanche dostrzegł jego naturę milkiwego mastyfa, równie niebezpieczną, co nieprzewidywalną. Teraz wszakże musiał stawić mu czoło. Nie tylko z powodu pewnych aspektów dochodzenia, które mógł wyjaśnić wyłącznie w rozmowie z nim, ale także dlatego, że pilno mu było odzyskać jeśli nie jego przyjaźń, to przynajmniej szacunek.

Wszystko utrudniała krępująca obecność Lamberta da Cingoli, który postanowił zastąpić brata Prudenzia, nie zdradzając powodu swej decyzji. Maynard nie wiedział, jak ma się wobec niego zachowywać, czując nieznośne zakłopotanie, charakterystyczne dla dwójki ludzi, z których każdy jest przekonany, że powinien dowodzić. Jeden bardziej dumny i wojowniczy od drugiego, opuścili Świętego Dominika i ulicą Powodzi dotarli na rynek w upartym milczeniu, niemal rzucając sobie nawzajem wyzwania, aż wreszcie uwagę rycerza przykuła wnikliwość, z jaką dominikanin wpatrywał się w ulice. Chociaż był poniedziałkowy poranek, nie zastali prawie żywego ducha, nie licząc kupców i rzemieślników w pracowniach.

Uzmysłowiwszy sobie, że wzbudził ciekawość towarzysza, brat Lamberto westchnął.

- Nadal się unosi, mimo wszystko.
- Cień zarazy? – zapytał Rocheblanche.
- Gorzej. Strach przed końcem świata.

Na te słowa Maynardowi przemknęło przez myśl, czy nie powinien zmienić zdania na temat inkwizytora i czy bez względu na życie pełne stosów i procesów nie pozostała w nim jeszcze odrobina współczucia. Wszelako gdy wziął pod uwagę nutę zjadliwości w jego głosie, zadał sobie pytanie, co dla człowieka tego pokroju oznacza szerząca się trwoga przed sądem ostatecznym.

U wejścia do pałacu powitało ich dwóch zbrojnych z włóczniami. Zapytali, kim są, a poznawszy powód przybycia, pokierowali ich do wielkiej sali na piętrze.

Rocheblanche'owi nie była ona obca. Ledwie znalazł się wśród jej ścian, pokrytych arrasami i freskami oraz poprzedzielanych biforiami, przypomniał sobie to, jak pierwszy raz wprowadzono go na dwór Estów. Aby pokazać, że jest tego godzien, musiał znieść ostre szyderstwa sędziego Rady Dwunastu Mędrców i walczyć na miecze z wasalem markiza. Teraz jednak czekała go zupełnie inna próba.

Obizzo d'Este siedział w fotelu z ciemnego drewna jakieś dziesięć kroków od niego. Towarzyszył mu *notarius*, który zapisywał wypowiedane przezeń słowa i najwyraźniej traktował go zbyt poufale, aby mógł być tylko sługą. „Znak czasu”, pomyślał Maynard. Postąpił na środek sali z bratem Lambertem i zanim dominikanin zdążył przejąć inicjatywę, skłonił się.

Markiz przerwał gwałtownie skrybie i utkwiał w rycerzu nieruchomy wzrok. W oczach zalśnił mu błysk gniewu, po czym zniknął w czarnych źrenicach. Zupełnie jakby powietrze przesyciły trujące fluidy wydzielane przez jego osobę.

– Biskup powiadomił, że przybędziecie, messer – przemówił szorstko. – Mimo wszystko zdumiewa mnie wasze zuchwalstwo.

– Zdaję sobie sprawę, czym się turbujecie, panie – odparł rycerz – i jak wiecie, jestem gotów wam zadośćuczynić za krzywdę. Teraz wszakże przed wasze oblicze sprowadza mnie inna przyczyna.

– Domyślam się jej natury. – Obizzo odprawił notariusza i wstał, odrzucając poły obszernego brokatowego płaszcza. Wystudiowany gest na wyłączny użytek Maynarda, mający na celu odsłonięcie pochwy z mieczem u boku. Następnie zbliżył się z dłonią na rękojeści i przeniósł wzrok na brata Lamberta. – Jak widzę, towarzyszy wam brat kaznodzieja. Zastanawiam się, czy...

Zamiast odpowiedzi dominikanin opuścił kaptur i odsłonił twarz. To wystarczyło, by markiz zastygł w bezruchu, wpadłszy nagle w popłoch. Wpatrywał się weń szeroko otwartymi oczami, a słowa zamarły mu na ustach.

Lamberto da Cingoli odwzajemnił mu się sardonicznym grymasem.

– Nie trzeba mnie przedstawiać – oświadczył. – Prawda, Wasza Wysokość?

Teraz Obizzo zaciskał palce na rękojeści, jakby chciał uśmierzyć lęk, który raptem przeniknął jego członki. Maynard był rozdarty między zdumieniem jego reakcją a ciekawością, by zgłębić jej przyczynę. Dobrze znał zręczność, z jaką szlachcic ukrywał wszelkie stany ducha pod nieodgadnioną maską. Jednakże akurat w tej chwili na jego obliczu malował się strach.

Odzyskanie panowania nad sobą nie okazało się łatwe dla Obizza, przewyciężył wszak trwogę i ruszył ku wyjściu.

– Zechcecie udać się za mną.

Zszedł po schodach i poprowadził ich na dziedziniec za pałacem, zwalniając pod okalającymi otwartą przestrzeń arkadami tworzącymi krużganek. Mimo że całkowicie przykrywał ją śnieg, Maynard rozpoznał znajdującą się pośrodku studnię, przy której

udzielał lekcji fechtunku młodemu Aldobrandinowi. Nieopodal dostrzegł żywopłoty, posągi i drzewa o tak wysokich koronach, że muskały długi balkon, na którym przed swą tajemniczą i przedwczesną śmiercią zwykła siadywać Lippa Ariosti. Powiadano, że Obizzo poślubił ją *in extremis*, aby uznać za prawowite swe potomstwo, chociaż zdaniem ludu markiza dotarła do ołtarza martwa. Wystarczyło, że Maynard ponownie znalazł się w pałacu, by poczuć się uczestnikiem tych wydarzeń pomimo długiego czasu, jaki spędził z dala od dworu i istotniejszej misji, jakiej się poświęcił. Zupełnie jakby oplótł go gąszcz istnień, zmarłych i losów, odnawiając związek ze spowitymi mgłą ziemiami Ferrary.

Szlachetny Obizzo, otulony płaszczem, przystanął pod arkadą. Choć robił wszystko, by ukryć swe uczucia, nadal był wyraźnie wzburzony z powodu obecności brata Lamberta. Zerkał nań z ukosa, obserwując z kocią czujnością każdy jego ruch.

– Z pewnością zrozumiecie ostrożność – odezwał się zniecierpliwiony, mając na myśli miejsce, jakie wybrał na rozmowę – ale nie zamierzam podsycać pogłosek. W tych murach krąży już wystarczająco dużo opowieści.

Rocheblanche uniósł brew.

– Opowieści o... ropuchach?

– Nie tylko – odparł markiz, odwracając wzrok.

Rozdrażniony tą skrywaną powściągliwością Lamberto da Cingoli, pragnąc jak najprędzej dojść do sedna, wtrącił:

– Wasza Wielmożność – zwrócił się do Obizza – znajdujemy się tutaj dlatego, że messer Maynard uznał za konieczne zapoznać was z wynikami dochodzenia. Gdybyście zechcieli łaskawie go wysłuchać, może zdołalibyśmy wyłuskać jakiś nowy punkt zaczepienia dla naszych poszukiwań.

Rycerz zaczekał na przyzwolenie markiza, po czym przystąpił do wyjaśnień:

– Na początku muszę przyznać, że żywiłem wątpliwości, jakoby istniał związek pomiędzy pojawieniem się wiadomości z ropuchami a tajemniczym orszakiem widzianym przez łowcę wilków. Bez względu na poglądy biskupa i brata Lamberta w tej kwestii sądziłem, że to tylko podszept wyobraźni. Wszelako niezaprzeczalne dowody pokazały coś przeciwnego: jedno i drugie musi stanowić część tego samego planu, którego celem jest uderzenie w Estów. Otóż kilka dni temu, zapuściwszy się w las, natrafiłem na kukłę z herbem przedstawiającym białego orła oraz na resztki pewnej mikstury na bazie opium i *herba diaboli*. Mikstury, jaką musieli się posłużyć członkowie orszaku. Ustalając jej pochodzenie, niemal wytropiłem człowieka...

– Jakiego człowieka? – Obizzo aż podskoczył.

– Czmychnął ulicami Ferrary, ale udało mi się zobaczyć jego twarz – powiedział Maynard. – Nad lewym okiem ma czerwone znamię. Możeście go widzieli, wasza wielmożność...

Markiz dumiał przez chwilę, po czym pokręcił przecząco głową.

– Uprzedzę strażę – zapewnił, gdy tymczasem na jego obliczu jął się malować niepokój. – Wiedźcie, że zdążyła się pojawić kolejna wiadomość.

– *Pro bono malum?* – wyrecytował brat Lamberto.

– Owszem, tekst się nie zmienił – przytaknął Obizzo. – Jak zwykle na pergaminie i jak zwykle wraz z przekłutą nożem ropuchą. – Zgrzytnął zębami. – Lecz tym razem przybito ją do drzwi komnaty mojego najstarszego syna.

Maynard pomyślał o młodym Aldobrandinie i nie mógł nie podzielać obaw ojca. Spuścił głowę zakłopotany.

– Macie jakieś podejrzenia?

Markiz oparł się o kolumnę.

– Co do wrogów, mam ich wielu – odparł – ale żaden z nich nie może bezkarnie przekroczyć tych murów. W dodatku strażę zapewniają, że nie zauważyły nikogo niebudzącego zaufania. A ja... ja... – jego twarz wykrzywił gniew. – Ja muszę to bezsilnie znosić!

– Uspokójcie się, wasza wielmożność – rzekł łagodnie brat Lamberto. – W końcu jeszcze nikomu nie stała się krzywda.

– O mały włos by się stała.

– Co przez to rozumiecie?

– To się wydarzyło przedwczoraj. – Markiz odsunął się od kolumny, przybierając bardziej godną postawę i ton. – Gdy przemierzałem plac, jakiś szaleniec ośmielił się zagrozić mi sztyletem. To był człowiek z ludu, niemający żadnych powiązań z wysoko postawionymi rodami.

– Czy wyznał coś? – zapytał z nadzieją Maynard.

Obizzo zaprzeczył ruchem głowy.

– Moja eskorta natychmiast go zgładziła. Zdążył tylko zawołać: *Pro bono malum*.

„Znów to przekłete zdanie”, pomyślał Rocheblanche. Splótł ramiona na piersi i jął się przechadzać po dziedzińcu. Znał aż za dobrze pułapki czyhające w walce z wrogiem ukrytym w cieniu albo wśród tysiąca twarzy w tłumie. Zarówno on, jak i jego siostra wielokrotnie unikali zasadzek Bertranda du Pougeta, nie zdołali wszakże pokonać jego zawziętej natury. Wszelako w przypadku Obizza dostrzegął inną naturę, może nawet bardziej zwodniczą i sprytną. Zanim wyraził swe zdanie, udeptywał butami śnieg, dopóki nie poczuł na sobie wzroku obydwu rozmówców.

– Skłaniam się raczej ku przekonaniu – oznajmił – że za historią czarów kryje się spisek.

– Mówcie jaśniej, messer – ponaglił markiz.

Niespodziewanie Rocheblanche rozpostarł ramiona niczym nędzny aktor.

– Mydlenie oczu, Wasza Wielmożność – wykrzyknął. – Orszak Diany i wiadomości z ropuchami to nic innego jak sposób na odwrócenie naszej uwagi i wmówienie nam, że mamy do czynienia z czymś szatańskim. Według mnie

prawdziwego zagrożenia należy szukać gdzie indziej, może nawet w samym sercu waszego dworu.

– Ale przecież obraz bestii jest rzeczywisty! – prychnął Lamberto da Cingoli. – Pamiętajcie o bestii! O przyjściu fałszywego proroka! Łowca wilków przysiągł na krzyż, że widział ją między drzewami wraz z niegodziwą niewiastą siedzącą na jej grzbiecie.

– Bez względu na to, co zobaczył Silvano da Focomorto – ciągnął Maynard – dopóki nie dowiedziemy istnienia tego czegoś, pozostanie ono w sferze domysłów.

Frater zganił go nerwowym śmiechem.

– Czyżby święte pisma nie stanowiły wystarczającego dowodu?

Obizzo d'Este postąpił krok naprzód i stanął pomiędzy nimi.

– Ktokolwiek to jest – oświadczył cichym głosem – nasz wróg wykazał się zręcznością, splatając siecią to, co rzeczywiste, z tym, co wyimaginowane. Siecią, w którą wpadliśmy niczym zwierzęta w sidła, a teraz czekamy na śmiertelny cios, zadany przez kogoś, kto patrzy z ukrycia. – Wynurzywszy się następnie spod krużganka, stanął przed Maynardem i spojrzał mu prosto w oczy. – Zgadzam się z wami, messer.

Na chwilę w oczach markiza zagościły lojalność i szacunek, którymi niegdyś go darzył. Na samym dnie Rocheblanche dostrzegł w nich jednak także ukryte błaganie. Ocalcie mego syna, zdawał się czytać w jego czarnych źrenicach. Ocalcie Aldobrandina. Zmarszczył czoło i lekceważąc obowiązujące reguły zachowania się w imię o wiele wyższych wartości, wobec których tytuły i różnice są niczym, odważył się położyć mu dłoń na ramieniu.

– Pytam po raz ostatni, Wasza Wielmożność – wyszeptał z uporem. – Czy w świetle tego, cośmy powiedzieli, narzucają się wam jakieś przypuszczenia?

Z początku szlachcic zerknął na dłoń Francuza niemal obojętnie, ale nagle cofnął się, jakby go sparzyła.

– Po raz pierwszy stykam się z podobnymi groźbami – odparł rozsierdzony. – Gdybym chociaż znał powód, mógłbym wyrobić sobie jakiś osąd. Mam wszakże tylko to jedno zdanie... to przekłete zdanie! *Pro bono malum*. – Wzniósł ręce do nieba. – Gdybym przynajmniej wiedział, co oznacza!

Maynard posłał bratu Lambertowi pytające spojrzenie, lecz widząc, że się oddalił, prawdopodobnie urażony za zbycie jego teorii z powątpiewaniem, ponownie zwrócił się do markiza:

– Być może w swej zagadkowej lakoniczności zdanie to odnosi się do jakiegoś zdarzenia z przeszłości, które przechowujecie w pamięci. *Pro bono malum*. Pojmujecie? Zło w zamian za dobro. Tak jakbyście zawiedli czyjeś oczekiwania albo zaufanie.

Słowa te zraniły dumę markiza.

– Pomyślcie o waszych zdradach, Rocheblanche! – wykrzyknął mu w twarz, ponownie rozwścieczony. – Dlaczego mnie dręczycie? Sądzicie, że gdybym był w stanie odnaleźć winnych tej zniewagi, zwróciłbym się do biskupa? Idźcie więc sobie! Wracajcie do waszych powinności!

– Uczynię to, szlachetny Obizzo – odparował twardo rycerz. – Ale z pewnością nie dlatego, że tak mi nakazano. – Skłonił się sztywno i walcząc z pokusą, by go spoliczkować, pożegnał się. – Ja dokonałem wyboru, zapamiętajcie to sobie.

Zanim ruszył do wyjścia, obejrzał się na brata Lamberta, który nadal stał z boku, pod portykiem.

– Idźcie beze mnie, messer – odpowiedział dominikanin na jego nieme ponaglenie. Następnie obdarzył Obizza uśmiechem. – Ja dotrzymam przez chwilę towarzystwa Jego Wielmożności.

– O czym będziecie rozprawiać? – zapytał rozeźlony Maynard.

– O kwestiach... – Lamberto da Cingoli ubarwił swe słowa nieokreślonym gestem – ducha.

Maynard opuścił pałac, kipiąc ze złości. Oburzył go sposób, w jaki został odprawiony przez markiza, czuł się upokorzony niczym sługa. Tak często się narażał i dokonał tak wielu wyczynów, że z coraz większym trudem przychodziło mu powściągnąć język, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z zalet rozsądnego działania. Jego urazę podsyciło dodatkowo przeświadczenie, że zmarnował czas. Może było lepiej posłuchać rady brata Lamberta i poniechać spotkania ze szlachetnym Obizzem... Dlaczego w takim razie inkwizytor pozostał na dworze? Rycerz zmełł w ustach przekleństwo. Nie potrzeba było przenikliwego umysłu, by wyczuć nieczyste zagranie. Lamberta i Obizza musiały łączyć jakieś więzy. Prawdopodobnie oparte na starym, ciągle niezalagodzonej sporze. I mimo że w tej chwili Rocheblanche nie miał sposobu, by się o tym przekonać, już wiedział, do kogo się zwrócić z pytaniem.

Myśli te tak bardzo zaprzętały mu głowę, że podążając w stronę rynku, nie zauważył pewnego chłopca, który szedł w przeciwnym kierunku z jakimiś flakonami. Wpadł na niego i przewrócił go na przysypany śniegiem bruk.

– Najmocniej przepraszam – wykrzyknął odruchowo i pochylił się, aby pomóc mu wstać.

– To wy mi wybaczcie – odparł pospiesznie zakłopotany młodzieniec. – Spieszyłem się, flakony zasłaniały mi widok... – Po czym podniósł wzrok i rozdziawił usta ze zdumienia. – Och, messer, to wy!

Maynard wpatrywał się weń osłupiały, lecz w pierwszej chwili go nie rozpoznał. Przyglądał się pasiastej szacie wskazującej na przynależność do czeladzi, po czym skupił się na jego łagodnych, jeszcze dziecięcych oczach. Zaczęło mu świtać, że gdzieś go już widział.

– Teraz sobie przypominam... – mruknął. – Jesteście na służbie u syna markiza, dobrze mówię?

– Już nie, messer – westchnął chłopiec. – Odkąd szlachetny Aldobrandino został mianowany dowódcą, mam inne zadania.

– Aldobrandino dowódcą? – dopytywał się rycerz, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Przecież ma dopiero czternaście lat!

– Tak zdecydował jego wielmożność.

Maynard prychnął, nie wierząc własnym uszom. Zdawał sobie sprawę, że to odpowiedni wiek, by wprowadzać młodego panicza w obowiązki dowodzenia. Niektórzy zaczynają nawet w młodszym wieku. Wszelako wydawało mu się, że dla Aldobrandina to za wcześnie. Pamiętał, że jest błyskotliwy i uparty, lecz ma jeszcze

zbyt dziecinne usposobienie, by wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Jego gniew na Obizza przybrał na sile.

– Nigdy wam nie podziękowałem, messer.

Powróciwszy do rzeczywistości, Rocheblanche zmierzył chłopca wzrokiem.

– Za co?

– Tamtego dnia, kiedyście stanęli w mojej obronie po tym, jak mnie ukarano... – wyjaśnił pacholek, upewniając się, czy flakony, które potoczyły się po śniegu, są całe. – Może dla was to nic nie znaczy, ale dla mnie...

– Owszem, przypominam sobie – rzekł Maynard, uśmiechając się uprzejmie. – Tamtego dnia nie zasłużyliście na żadną karę.

Młodzieniec obdarzył go szerokim uśmiechem, jakby usłyszał pochwałę. Po czym na jego twarzy pojawiło się zaciekawienie.

– Wezwano was na dwór, żebyście przegnali upiora?

– Jakiego upiora?

– Tego, który zostawia wiadomości ze zdechłymi ropuchami.

Rycerz spoważniał. Aż do tej pory nic na ten temat nie słyszał i chociaż teraz miał do czynienia z którąś z kolei wersją fantastycznej opowieści, należało zadać sobie pytanie, dlaczego markiz w ogóle o tym nie wspomniał. Nie chciał wręcz mówić o krążących po pałacu pogłoskach.

– Gdzież tam – uspokoił chłopca – nie ma żadnego upiora.

– Ale go widzieli, messer! – upierał się młodzieniec. – Widział go kuchenny posługacz. Przysięga, że natknął się na niego w spiżarni, po zmierzchu... I go rozpoznał.

– Zatem upiory mają twarze? – dodał z niedowierzaniem Rocheblanche.

– To markiza Lippa Ariosti! – Młodzieniec stał z wybałuszonymi oczami, ściskając przed sobą flakony niczym tarczę. – Teraz pojmujecie? Powróciła z królestwa umarłych, aby się zemścić, że ją zamordowano.

Francuz po raz kolejny jął się zastanawiać, skąd się wzięły te pogłoski. Wprawdzie dotarło do niego wiele wieści w kwestii śmierci Lippy Ariosti, doszedł jednak do wniosku, że najwyraźniej zmoęła ją nagła choroba, być może zwiastun zarazy.

– Nie powinniście wierzyć we wszystko, co mówią ludzie – skarcił go dobrodusznie. – Wiele podróżowałem, odwiedzałem krypty i pola bitew i po prawdzie nigdy nie natknąłem się na żadne widziadło. – Przez głowę przemknęła mu wszakże niczym błyskawica pewna myśl. – Lecz jeśli poza upiorem – zastrzegł – zoczyliście jakieś inne dziwne osoby albo o nich słyszeliście, to by zupełnie zmieniło postać rzeczy...

Sługa wpatrywał się weń oniemiały.

– O czym mówicie, messer?

– O wysokim, postawnym mężczyźnie z czerwoną plamą nad lewym okiem.

– Nigdy go nie widziałem.

– Czy pomimo to moglibyście popytać wśród pałacowej służby? – poprosił Maynard. – Często czeladź dostrzega więcej szczegółów niż straż. Sprząta komnaty, pilnuje drzwi, stajni i ogrodów. Może ktoś coś zauważył.

Chłopiec skinął potakująco głową.

– Czerwona plama nad lewym okiem – powtórzył z powagą. – Uczynię tak, messer. A w razie gdybym coś odkrył, jak mogę was powiadomić?

Zadowolony Rocheblanche pogładził go po włosach i ruszył przed siebie.

– Zapytajcie o mnie w konwencie Świętego Dominika – odparł. – Tylko nie przekazujcie wieści nikomu innemu.

– Myślałem, że jesteście w Bolonii, *magister*. Z dala od inkwizytorskich powinności.

– Dlaczego sądzą, że przyszedłem tu jako inkwizytor?

Obizzo d'Este przyjrzał się zagadkowej minie brata Lamberta, zmuszając się, by wytrzymać jego wzrok.

– Potrafię się zorientować, gdy ktoś celuje we mnie bronią.

Wśród arkad krużganka rozbrzmiał śmiech zakonnika.

– Szczerze mówiąc to, co we mnie dostrzegacie, nie jest niechęcią, ale ciekawością. Ciekawością wobec waszych powiązań z rycerzem Rocheblanche'em.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – nachmurzył się markiz. – Przez krótki czas był mistrzem fechtunku mojego syna.

– Musi być coś jeszcze – zauważył dominikanin, odrywając sękaty palec od czarnego płaszcza. – Nie odprawia się sługi z taką odrazą.

– Sposób, w jaki odprawiam służbę, to nie wasza sprawa – prychnął niemal wrogo Obizzo. Już miał zakończyć rozmowę, lecz w niespodziewanym porywie wbił mu palec w pierś i popatrzył srogo. – Coście sobie ubzdurali, *magister*? Dawno minęły dni, kiedy mogliście mnie przesłuchiwać do woli. Skończone. Odpokutowałem, a nad moją głową nie wisi żadna ekskomunika.

Lamberto da Cingoli nadal słodko się uśmiechał, powoli splatając dłonie.

– Pojednaliście się z papieżem, to prawda – przyznał. – Ale w wydarzeniach będących przedmiotem mojego dochodzenia znać piętno Szatana, co usprawiedliwia moją gorliwość. Wręcz ją narzuca. Nie mogę więc zignorować waszych powiązań z przybyłym z daleka rycerzem, który bawi na tych ziemiach z niewiadomych przyczyn, pomijając to, że polecił mi go biskup.

Obizzo cofnął się i pogrążył w zadumie niczym wilk na widok najeżonej siłkami ścieżki. Jego oczy ani przez chwilę nie zdradziły, o czym myśli, a kiedy ponownie przemówił, głos miał spokojny, niemal bezdźwięczny.

– Rocheblanche był przyjacielem, dopóki nie okrył się hańbą. Tyle musi wam wystarczyć.

– Mowa o najeździe na kurię? – zapytał dominikanin.

– Za mało wiecie – odparował markiz. – Jeśli o to chodzi, messer Maynard twierdzi, że działał w obronie własnego honoru, czego dowiódł, pokonując w pojedynku dowódcę moich najemników.

– Sąd boży – skwitował z nutą przygany zakonnik.

– To szlachcic. Miał do tego prawo.

– Tak czy inaczej, nazywacie go niegodziwcem.

Obizzo odwrócił się i jął się przechadzać po ośnieżonym dziedzińcu, omijając miejsca, w których pozostały ślady Maynarda.

– Zbrodnie zdolne zniszczyć przyjaźń są innego rodzaju – oznajmił.

Brat Lamberto przyglądał mu się spod ceglanego łuku.

– Takich słów spodziewałbym się po waszym bracie Rinaldzie. Nie przypuszczałem, że jesteście aż tak wrażliwi w kwestiach osobistych.

– Przychodzi mi to z trudem, gdy ktoś dopuszcza się wiarołomstwa.

Dominikanin roześmiał się, tym razem na całe gardło, odsłaniając nagle swą drapieżną naturę.

– A wobec mnie pozostajecie wierni, messer? – zapytał niemal drwiąco. Zmrużył powieki i wyszedł w mrok, zanurzając sandały w warstwie śniegu. – To znaczy jako przedstawiciela Świętego Kościoła Rzymskiego.

– Owszem, jestem wierny – odparł zaskoczony Obizzo. – Przysiągłem bronić papieża, jego wikariuszy i wszystkich przedstawicieli aż do ostatniego wiejskiego księdza.

Lamberto da Cingoli stanął przed nim. I choć nie dorównywał mu wzrostem ani tym bardziej budową, zdołał przybrać tak groźny wygląd, że zmusił go, by się cofnął.

– Tym bardziej – dodał – nie odmówicie wsparcia awiniońskiemu kardynałowi.

– O kim mowa?

– Jego imię nie ma znaczenia – odpowiedział frater. – Wiedźcie jednak, że niedługo, bardzo niedługo, zjawi się, by zażądać waszych usług.

**KLASZTOR ŚWIĘTEGO ANTONIEGO,
REZYDENCJA PRZEORYSZY**

– Usiądźcie, siostró Eudeline.

Francuska zakonnica przyjrzała się krzesłu, które wskazała jej wielebna matka. Niskie i bez poręczy, wyglądało tylko odrobinę lepiej niż zydeł w porównaniu z siedziskiem z wysokim oparciem, na którym umościła się gospodyni. Już samo zaproszenie, by zajęła miejsce, wydało jej się obelgą.

– Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, wolałabym stać.

Przeorysza skrzywiła się niezadowolona.

– Jak sobie życzycie. Zresztą nie będzie to długa rozmowa.

Eudeline skinęła głową, nie dbając o ukrytą w jej głosie groźbę. Otaczające ją ściany świadczyły, że ma do czynienia z osobą wymagającą, z fanatyczką porządku i kontroli. Wrażenie to umocnił dodatkowo widok krosna z dopiero co zaczęta osnową, a sądząc po kłębku przędzy u jej stóp, wielokrotnie już utkaną i sprutą.

– Nie zwlekajcie więc.

Wielebna matka przytknęła wargi do splecionych dłoni i dumiała przez chwilę, przedłużając oczekiwanie.

– Muszę was trzykrotnie upomnieć – powiedziała. – Trzykrotnie z tego samego powodu: waszej pychy.

– Mnie też każecie klęczeć na ziarnie? – odparowała zakonnica z wyzywającym uśmiechem.

Przez chwilę przeorysza udawała, że podziela jej wesołość, w końcu jednak spoważniała.

– Nie potraficie się powstrzymać, prawda? – skarciła ją cicho. – Koniecznie musicie podkreślać, że to wy górujecie. Nawet teraz, waszym zuchwalstwem! Może sądzicie, że tytuł i pozycja, jaką niegdyś zajmowaliście, dają wam do tego prawo?

Eudeline nie siliła się, by okazać żal.

– Przykro mi, że stwarzam takie wrażenie – oznajmiła tylko.

– Wybaczcie, ale w to wątpię – odcięła się wielebna matka – albowiem prosiliście o przysługi naszą zielarkę i wysyłaliście w wielkiej tajemnicy listy. Myśleliście, że nigdy się o tym nie dowiem? Głupia! W dodatku, co stwierdziłam na własne oczy, oddaliliście się z klasztoru bez pozwolenia.

Eudeline westchnęła. Podejmując decyzję o wyjeździe do Pomposy, z pewnością

nie łudziła się, że jej nieobecność pozostanie niezauważona. Z drugiej jednak strony, przynależąc do wspólnoty Świętego Antoniego wyłącznie jako gość, nie miała skrupułów. To samo mogła powiedzieć w kwestii zielarki i listów. W jej mniemaniu spora suma, jaką wpłaciła za schronienie w owym przybytku, oznaczała pozwolenie na swobodne działanie.

– Postępki podyktowane koniecznością – wyjaśniła wcale nieskruszona – które nikomu nie wyrządziły krzywdy.

– Nie udawajcie niewiniątka! – syknęła przeorysza, marszcząc brwi. – Doskonale wiecie, jak szkodliwe było wasze zachowanie. Podważyło mój autorytet i zaszkodziło współsiostrom. Teraz muszę się spodziewać kolejnych aktów nieposłuszeństwa, o ile natychmiast nie naprawię szkód.

– Dlaczego mielibyście to uczynić? – sprzeciwiła się Eudeline. – Mniszki z tego zakonu są łagodne i grzeczne.

Wielebna matka zerwała się na równe nogi oburzona.

– Mówicie tak, jakby to była wasza trzódka, nie moja.

– Podła insynuacja.

– Czyżbyście chcieli zająć moje miejsce? – Przeorysza nie przestawała jej prowokować. – Czego innego mogłabym oczekiwać? Zachowujecie się tak swobodnie, jakbyście to wy tu zarządzili.

Zakonnica już miała odpowiedzieć z równą zapalczywością, lecz ugryzła się w język, uzmysłowiła sobie bowiem, że owa napastliwość wynika z naturalnego lęku. Dobrze rozumiała uczucia przeoryszy i zdawała sobie w pełni sprawę, że sama je wywołała. Ponadto ostatnimi czasy zbyt wiele straciła, by pozostawać obojętną na cudze nieszczęścia. Wzruszyła więc ramionami, manifestując niechęć do zamiany ról, ale również do przyznania się do winy.

– Ukarzcie mnie zatem – wykrzyknęła stanowczo, aby czym prędzej uciąć dyskusję.

– Zrobię to, bez obaw – parsknęła przeorysza. – Tylko że ukarzę was dla przykładu.

Eudeline zbyła ją machnięciem ręki.

– Zamknijcie mnie w odosobnieniu na dziesięć dni albo nawet na miesiąc. Jest mi to obojętne.

Wielebna matka pokręciła przecząco głową.

– Nie w ten sposób nauczycie się pokory – obwieściła, spoglądając na krosno. Podeszła do niego i pogładziła osnowę, ale rozsierdził ją widok jakiejś niedoskonałości. Po chwili znów ją się wpatrywać w zakonnice z okrutnym zadowoleniem. – Jutro opuścicie wyspę Świętego Antoniego, przy czym nikt nie będzie was eskortował, i pójdziecie na kolanach aż do katedry, odmawiając *Ave Maria*.

– Ależ to... szaleństwo! – wybuchnęła Eudeline.

– Jeszcze nie skończyłam – ostrzegła wielebna matka. – Przywdziejecie szatę uszytą z worka i będziecie mieli odkrytą głowę.

Pani de Rocheblanche cała się trzęsała. Wyprostowana, z ramionami sztywno przylegającymi do boków i zaciśniętymi pięściami, najpierw zrobiła się trupio biała, następnie oblała szkarłatem, ani na chwilę nie odrywając wzroku od swej prześladowczyni. Jak ona śmie, ta nikczemna niewiasta. O mały włos nie wykrzyczała jej tego w oczy i nie rozorała pazurami tej nadętej twarzy. Ona, odziana w łachmany, miałyby się tarzać w błocie... żeby sprawić przyjemność jakiejś nędznej białogłowie! Na samą myśl poczuła falę wściekłości wzbierającą od żołądka ku piersiom, powstrzymała wszakże odruch, by dać jej upust. Stała nieruchomo, mając wrażenie, że zaraz zapłonie ogniem. Aż nagle wybuchnęła śmiechem. Zrazu wymuszonym, nerwowym, potem coraz serdeczniejszym. Śmiała się dopóty, dopóki oczy nie zaszyły jej łzami, co nie zdarzyło się, odkąd była dzieckiem. W końcu oznajmiła z niezłomnością, która ją samą zdumiała:

– Nigdy nie zgodzę się na podobne pośmiewisko.

– Ośmielacie się okazać nieposłuszeństwo? – nasrożyła się przeorysza.

– Nie będzie takiej potrzeby – odrzekła Eudeline. Po czym ze spokojem, o jaki się nie podejrzewała, ściągnęła welon i poluźniła binde, uwalniając włosy. – Jeszcze dziś opuszczę klasztor wraz z moją siostrą.

Oblicze wielebnej matki zastygło w masce przerażenia.

– Ale...

– Boicie się o floreny, które wręczyłam wam, gdy tu przybyłam? – zapytała zniecierpliwiona, przywołując ją do rzeczywistości.

Na te słowa przeorysza odzyskała panowanie nad językiem i własnym oburzeniem.

– Bezczelna aż do samego końca!

Eudeline pominęła milczeniem ostatnią prowokację. Od długiego czasu po raz pierwszy stanęła przed nieznanym, przed życiem z dala od klasztoru, pozbawionym reguł i nakazów. Być niewiastą, a nie zakonnicą, jak pragnąłby jej umiłowany Robert. Na myśl o nim poczuła ból, jak każdej przeklętej nocy, kiedy to cicho płakała, szepcząc jego imię. Och, Robercie! Nawet w owym krótkim czasie spędzonym w jego ramionach nie wykazała się wystarczającą determinacją, by porzucić klasztor. Wtedy zresztą ciągle jeszcze czuła się przeoryszą, na której swe piętno odcisnęły obowiązki, niezliczone obawy i cierpienie po stracie współsióstr. Natomiast teraz, w obcym mieście, świat stał przed nią otworem niczym jakiś labirynt.

Musiała milczeć dłużej, niż sądziła, bo nagle zdała sobie sprawę, że wielebna matka wpatruje się w nią i owszem, z czujnością, ale już bez urazy. „Nic dziwnego”, przemknęło przez głowę Eudeline. Zapewne uznała jej decyzję o wystąpieniu

z klasztoru za akt poddania. „Niech sobie tak myśli”, roześmiała się w duchu. „Wkrótce obróci to na swoją korzyść”.

– Możecie zatrzymać te pieniądze – oświadczyła, chcąc ją uspokoić.

– Jesteście pewni? – zadrżała przeorysza, nie tracąc czujności. – Przecież to mała fortuna.

– Pozostanie do waszej dyspozycji – zapewniła Eudeline z determinacją i zarazem nutą przebiegłości. Po starannie uczynionej pauzie dodała: – Pod warunkiem, że użyjecie mi swego najszybszego posłańca.

Wielebna matka uniosła brew. Mimo całej swojej nieufności musiała być ciekawa, bardzo ciekawa, gdyż po krótkim wahaniu zdecydowała się zapytać:

– Co wam chodzi po głowie, jeśli łaska?

Przed odpowiedzią pani de Rocheblanche przemierzyła izbę i obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem nędzny zydeł, który dla niej przeznaczono, rozsiadła się na okazałym krześle swej rozmówczynie. Położyła ręce na poręczach i uniosła wysoko głowę ze spokojem lwicy, która zdała sobie sprawę, że odzyskała siłę. Zastanawiała się przez chwilę nad tym, co na temat biskupa Guida di Baisia powiedział ojciec Andrea, i utwierdziła się w przekonaniu, że nie ma innego sposobu na rozwikłanie tajemnicy tego imienia.

– Posłaniec będzie musiał udać się do Paryża z moim listem w sakwie – wyjaśniła władcym tonem. – I będzie musiał zrobić to natychmiast, nie zważając na śniegi, lód ani zimowe wiatry.

Po opuszczeniu Pałacu Signorii Maynard długo snuł się po ulicach Ferrary w poszukiwaniu mężczyzny z czerwonym znamieniem na twarzy. Dobrze wiedział, że jego trud jest daremny, nie czuł się jednak na siłach, by powrócić do Świętego Dominika po nowe rozkazy. Głównie dlatego, że ciągle był rozeźlony z powodu obcesowości, z jaką odprawił go Lamberto da Cingoli.

Jedynym sposobem na odegnanie owej myśli była dalsza przechadzka pod południowym białawym niebem i wpatrywanie się w oblicze każdego mijanego człowieka. Zastanawiał się, czy nie rozsądniej by było zapuścić się aż na tamtą zadaszoną ulicę, gdzie wywiódł go w pole chłopiec z drągiem. Niewykluczone, że ścigany zostawił jakiś ślad albo że ktoś go widział.

Już miał posłuchać tego wewnętrznego głosu, lecz jakieś przeczucie kazało mu skrócić na wschód, w kierunku Bramy Furmignańskiej, gdzie siedziby bogatych patrycjuszy, duchownych i mieszczan ustępowały miejsca o wiele skromniejszym budynkom. Silvano da Focomorto mieszkał w jednym z nich. Maynard nigdy tu nie był, lecz przypominał sobie, że rozmawiał o tym z bratem Prudenziem. Chodziło o mały, stojący z dala od innych dom z wyrytą podobizną wilka na skrzydle drzwi. Gdy się za nim rozglądał, podążając wolnym krokiem i niemal powłócząc nogą z powodu bólu w kolanie, który od poprzedniego wieczoru nie dawał mu wytchnienia, rozważał, jak niewiele wie na pewno.

Mężczyzna z czerwonym znamieniem zdołał uciec wraz z miksturą na bazie opium i *herba diaboli*, toteż zapewne się nią posłuży. Rocheblanche nie miał co do tego wątpliwości, był też przekonany, że przeczesując lasy, prędzej czy później natrafi się na kolejny orszak. Znakomita sposobność, by pojmać spiskowców. Wszelako aby mieć oko na opuszczony kościół, dla poprawy bezpieczeństwa należało zwiększyć obszar poszukiwań. A komu zaufać, jeśli nie komuś, kto doskonale zna to miejsce?

Pomysł, żeby zwrócić się właśnie do Silvana da Focomorto, tchórza, który jakiś czas temu porzucił go w lesie, budził w Maynardzie niechęć, zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma wyboru. Nie ustawał więc w poszukiwaniach jego domostwa aż do późnego popołudnia i w końcu dotarł przed przylegający do wschodniej części murów dom.

Była to pokryta słomianym dachem rudera z krzywym kominem przypominającym stary but z cholewą. Na drewnianych drzwiach widniał wizerunek wilczego łba o niemal ludzkich rysach, jeśli nie liczyć ostrych kłów i szpiczastych uszu.

Rycerz zapukał, lecz nie było odpowiedzi.

Zapukał ponownie, wołając imię łowcy. Na próżno.

Mocno rozsierdzony rozejrzał się dokoła. Zmierchało już, nie potrafił sobie zatem wyobrazić, gdzie też ten łajdak mógł zniknąć. Ani przez chwilę nie powstała mu w głowie myśl, żeby szukać go pośród ferraryjskich szumowin.

Lepiej zaczekać.

Skrzyżował ramiona na piersi, oparł się plecami o drzwi i otulił płaszczem. Dzień miał się ku końcowi. W miarę jak noc spowijała wszystko coraz bardziej nieprzeniknionym mrokiem, znad progów wyłaniały się postacie mężczyzn i niewiast, aby pozapalać pochodnie pozatykane w ścianach domostw, wzdłuż ulic czy na płotach. Następnie w powietrzu jęły się unosić wonie przygotowywanych na wieczrę potraw. Jadła skromnego, lecz o tak zachęcających zapachach, że oczyma duszy Francuz ujrzał obrazy ognisk, dymiących garnków i rodzin skupionych z dala od wiatru. Tymczasem oczekiwanie trwało coraz dłużej, ziąb przenikał aż do kości. Wszelako po łowcy wilków nie było śladu.

„Do diabła”, rzekł w duchu Rocheblanche. „Lepiej zaczekać pod dachem”.

Spróbował więc otworzyć drzwi, lecz mu się nie udało. „Dziwne”, pomyślał, nie było bowiem ani kłódki, ani zamka. Jedyne wyjaśnienie, że zaklinowano je od środka. Prawdopodobnie deską. Tylko... Jak to możliwe, skoro wewnątrz nikogo nie było?

– Silvano! – Zapukał jeszcze raz, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Zdjęty ponurym przecuciem okrążył dom. Tymczasem zaczął wyc wiatr, podrywając w powietrze tumany śniegu. Płomienie nielicznych pochodni w pobliżu drżały niczym dusze owiewane tchnieniem piekieł.

Dotarłszy na tyły chaty, Maynard dostrzegł otwarte okno, wystarczająco duże, by zdołał się przez nie przecisnąć. Wewnątrz było ciemno, choć oko wykol, jakby milczące ostrzeżenie, żeby trzymać się z daleka. Wszedł do środka, dotknął stopami podłogi i ruszył przed siebie po omacku, starając się o nic nie zawadzić w ciemnościach.

Owionęła go woń skór i żrących substancji używanych do ich garbowania przemieszana z odorem stęchlizny. Wkrótce jego zmysły rozpoznały coś innego, jakiś mniej wyraźny, lecz wystarczająco przenikliwy zapach, by miał się na baczności. Odnosił wrażenie, że nie jest sam, chociaż pomieszczenie wydawało się tak ciasne, że gdyby ktoś znajdował się obok, usłyszałby jego oddech.

Wtem musnął czubkiem stopy jakiś przedmiot, wywołując szcęk żelastwa. Podskoczył z sercem w gardle, po czym w powietrzu rozległ się kolejny trzask.

– Do licha ciężkiego! – zaklął. – Co się, u diabła, dzieje?

Odpowiedziało mu echo.

Dobył miecza i jał nim macać przed sobą niczym ślepiec kijem. W ten sposób uruchomił ukryte w mroku następne pułapki, aż udało mu się dotrzeć do jakiejś drewnianej powierzchni. Dotknął jej, aby się przekonać, co to takiego. Drzwi!

Odsunął deskę i otworzył je na smaganą wichrem ulicę. Podbiegł do najbliższej pochodni, chwycił ją, zawrócił i oświetlił wnętrze domu Silvana da Focomorto.

Wreszcie dojrzał pokryte zwierzęcymi skórami ściany i wałacy się strop. Podłogę stanowiło nędzne klepisko, usiane przerażającymi potrzaskami, które uruchomił, przechodząc.

W kącie, oparty grzbietem o ścianę, leżał łowca wilków.

Sądząc po ranach ciętych na całym ciele, walczył. Wszelako przyczyną śmierci musiała być jedna z jego pułapek. Za sprawą okrucieństwa napastnika albo nieszczęśliwego wypadku wpadł w nią głową, a żelazne szczęki zmiażdżyły mu kość gnykową.

Obok trupa nie było ani jednej zdechłej ropuchy.

Tylko skrawek pergaminu z wiadomością.

Pro bono malum.

Niczym ostrzeżenie i szyderstwo z rodu Estów.

CZĘŚĆ DRUGA

NIEWIASTA I BESTIA



MIASTO BOLONIA
10 KWIEŹNIA, WIECZOREM

Kaplica Świętych Gerwazego i Protazego mieściła się na obrzeżach miasta, wciśnięta w szereg domów wyposażonych w galerie, wystające poddasza i portyki z drewnianymi kolumnami. Ukazywała się oczom przechodniów niemal niechętnie, nie skrywając jednak swych wiejskich korzeni, sięgających czasów, gdy mury *Circla* nie oddzielały jej jeszcze od otaczających Bolonię ziem. Po wielu wiekach nadal łączyła ją więź z mieszkańcami okolicznych miasteczek, którzy odkładali motyki, sierpy i pługi i przekraczali bramę Mascarella, aby posłuchać mszy w jej maleńkiej nawie.

Gualtiero mieszkał tam od kilku dni. W zamian za skromną zapłatę i możliwość przycupnięcia w nocy we wnęce w zakrystii zgodził się ozdobić freskami refektarz na tyłach kaplicy. Było to najlepsze zajęcie, jakie trafiło mu się w ciągu trzech ostatnich miesięcy po wyczerpującej wędrówce po bolońskich przedmieściach w poszukiwaniu kapłanów, którzy chcieliby odrestaurować malowidła w starych kościołach albo odświeżyć emalię na posągach świętych.

Pokonawszy wstępną trudność zdobycia zaliczki, młodzieniec kupił farby, zaprawę, potrzebne narzędzia i zabrał się do dzieła. W ciągu zaledwie dwóch dni pokrył ścianę wielkości trzech *pontate*⁴. Tryptyk przedstawiał Ostatnią wieczerzę, Ukrzyżowanie i *Noli me tangere* – tematy wybrane przez przeora dla uczczenia zbliżającego się święta Zmartwychwstania Pańskiego.

Sporządzając szkic synopią, inspirował się paroma miniaturami z *Catena aurea* Świętego Tomasza z Akwinu, jednakże w fazie malowania nadał większej cielesności postaciom: od wiszącego na krzyżu Jezusa po te u jego stóp, zwłaszcza Matkę Boską i Świętego Jana przedstawił w obszernych niebieskich i szkarłatnych szatach. Z kolei na Ostatniej wieczerzy umieścił uczniów wzdłuż prostokątnego stołu, jak nakazuje tradycja, z Mistrzem siedzącym pośrodku i naprzeciw niego Judaszem, którego można było rozpoznać po rudych włosach i po tym, że sięgał z talerza lewą ręką.

Ostatnia scena, *Noli me tangere*, okazała się najprostsza do wykonania. Tylko dwie postaci – Zmartwychwstały i Magdalena – przeciwstawione w gwałtownym porywie, ona wychylona do przodu, on majestatyczny i cofający się, by uniknąć jej dotyku. Gualtiero właśnie ukończył tę scenę i wpatrywał się w nią z zadowoleniem w wieczornym półmroku, drżącym od blasku świateł.

Wreszcie odkrywał, co czuje człowiek podziwiający dzieło, które jest owocem jego talentu i rąk. Przez całe lata zazdrościł pocziwemu Sigismondowi, następnie mistrzowi Vitalemu, gdy przy ostatnim dotknięciu pędzla dostrzegał w ich oczach błysk dumy. Już od dziecka nie potrafił sobie wyobrazić silniejszego doznania i potężniejszego uniesienia niż włożenie całej duszy w malowidło, tak aby setki, tysiące ludzi mogły zobaczyć świat tak, jak on go widzi. Poprzez jego kształty, jego barwy. Poprzez jego pasję. Teraz, kiedy to się stało, czuł drżenie rąk, niemal fizyczne pragnienie, by na nowo chwycić pędzel i namalować okazalsze i doskonalsze obrazy.

Tylko jaką cenę trzeba zapłacić za podobne wzruszenia? Odsunął się od ściany dręczony wyrzutami sumienia. Patrzył na śmierć Sapii i Sigismonda, zrezygnował z Isabeau i zdecydował się na wygnanie. Nic nie byłoby w stanie wynagrodzić tych strat, nic nie byłoby w stanie przywrócić mu dawnego życia... Mimo to stał tu dumny jak paw i śmiał się jak głupiec. Bo ozdobił wnętrze starego refektarza.

Obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, opuścić to nagle zbyt ciasne pomieszczenie i odsunąć od siebie cichą obietnicę złożoną Isabeau.

Tak po prawdzie nie zdoła sobie z niczym poradzić. Został skazany na spędzenie reszty swych dni jako zbieg, gdyż nigdy nie będzie mógł nikomu zaufać i ciągle będzie zmuszony do oglądania się za siebie z obawy przed zdradzieckim ciosem. Szlachetna spuścizna po Estach i Bonacossich!

Przemierzył małą nawę kościoła Świętych Gerwazego i Protazego i wyszedł na ulicę ze wzrokiem utkwionym w niebo. Księżyc był w ostatniej kwarcie, otoczony gwiazdnym pyłem, który lśnił w przejrzystym wiosennym powietrzu. Po śmierci matki zwykł myśleć, że ona przygląda mu się z góry, z owego jakże odległego i tajemniczego blasku. Nie wyobrażał sobie innego miejsca, w którym błogosławione dusze mogłyby spoczywać w oczekiwaniu na sąd ostateczny, i chociaż Sapia była zakłamana i pełna tajemnic, bez wątplenia zasłużyła na podobny przywilej. Choćby tylko z powodu miłości, jaką go otaczała.

– To jest ten łotr!

Okrzyk sprawił, że czar prysł i zmusił go, by spojrzeć w dół, w uliczny mrok. Z portyku wyłoniło się właśnie trzech mężczyzn, którzy zmierzali prosto ku niemu. Ten, który przemówił, szedł pośrodku krokiem pyszałka, dzierżąc pochodnię, która oświetlała w ciemności jego groźny szyderczy uśmiech.

– Jesteś pewny? – zapytał kompan z prawej.

– Owszem, jestem pewny – odparł tamten.

Gualtiero pożałował, że zostawił w zakrystii pod posłaniem baselard. Przeczuwał kłopoty, choć nie znał ich przyczyny.

– Panowie są o coś na mnie źli? – odezwał się stanowczym tonem.

Cała trójka zachichotała. Po czym mężczyzna z pochodnią przyłożył dłoń do

biodra, pokazując zatkniętą za pasek pałkę.

– Zdaje się, że zwie się de' Bruni.

– Myślałem, że jest starszy – stwierdził osobnik, który do tej pory milczał.

– Przecież wam mówiłem, że to dzieciak – szczerknął drugi.

– Młody czy stary, nie wywinie się.

Gualtiero zerknął ukradkiem na portal kaplicy za plecami, lecz zamiast zachować się jak tchórz, postąpił krok naprzód i powiedział dobitnie:

– Jam jest de' Bruni i Bóg mi świadkiem, że nie mam długów u nikogo ani z nikim zatargów.

– A właśnie że tak, huncwocie! – Mężczyzna z pochodnią rzucił się nań i złapał go za kołnierz. – Obnosicie się z tytułem malarza i kradniecie innym pracę, nie pytając o pozwolenie. Jak śmiecie?

Młodzieniec wyswobodził się i go odepchnął.

– Dlaczego miałbym prosić o pozwolenie? I kogo? – zawołał wojowniczo. – Nie mam panów nad sobą!

Jeden z pozostałych splunął na ziemię.

– O, spuście z tonu, kiedy staniecie przed dowódcą straży! – ostrzegł z drwiną.

– Nie – warknął złośliwie drugi. – On nie stanie przed dowódcą straży! – I niespodziewanie zadał Gualtierowi cios w splot słoneczny.

Młodzieniec runął na ziemię, zaciskając zęby z oburzenia.

– Podłe kundle! – syknął zdławionym głosem, podnosząc się w pośpiechu.

Kolejne zaskakujące uderzenie trafiło go w bok, pozbawiając resztek oddechu. Runął w błoto, żywiąc nadzieję, że atakujące go sukinsyny tym upokorzeniem zaspokoili swą próżność.

Lecz mężczyzna z pochodnią dobył pałki.

– Teraz za to zapłaci! – Rąbnął go między łopatki. Zaklął jeszcze wściekle, zachęcając kompanów, by przyszli mu z pomocą. Jeden z nich zbliżył się, nie żałując mu kopniaków.

Skulonemu na ziemi Gualtierowi nie pozostało nic innego, jak się poddać, choć był zbyt rozjuszony i obolały, by pojąć, co się dzieje. Gdyby tylko mógł, zabiłby wszystkich tych trzech łotrów, nie dbając o ich racje. Razy padały jednak tak szybko, że nie zdążył nawet miotać przekleństw.

„Zaraz umrę”, pomyślał nagle. „Jak jakiś głupiec, nie wiedząc nawet dlaczego”.

– Dosyć! – zagrzmiął zniecierpliwiony gromki głos.

Trójka napastników zastygła w bezruchu ze wzrokiem wbitym w mężczyznę, który wyłonił się z ciemności. Kątem oka młodzieniec dostrzegł jego potężną sylwetkę i ciemną brodę. Stał z pięściami na biodrach, z dobrze widocznym sztyletem zawieszonym na szarfie.

– Powiedziałem: dosyć! – powtórzył.

– Ależ, mistrzu... – próbował się usprawiedliwić jeden z kamratów. – I to mówicie wy, którzy znacie powód...

Mężczyzna zbliżył się, kręcąc głową.

– Nie dobyłem jeszcze broni, panowie – huknął – wyłącznie dlatego, że mamy Wielki Post. Ale jeśli nie puścicie tego młodzieńca, nie zawaham się.

Gualtiero zorientował się, że słysząc tę groźbę, jego prześladowcy się odsunęli. Pluł krwią, próbując wstać.

– Pozostańcie na ziemi, synku – poradził jego wybawca. – Nie chciałbym, żebyście podjudzali te psy. – Teraz dzielił ich tylko krok. Trzymając dłoń na rękojeści sztyletu, ukląkł przed nim i sprawdził, w jakim jest stanie. – Jak się czujecie?

Młodzieniec machnął pogardliwie.

– Bywało gorzej, messer.

Vitale de Equis się uśmiechnął. Gdy podniósł wzrok, wszystkie trzy kanalie zniknęły w mroku nocy.

Vitale de Equis pomógł mu wstać i upewniwszy się, że trzyma się na nogach, poprowadził go do gospody w głębi ulicy. Gualtiero był poobijany, chociaż kolana drżały mu bardziej ze złości niż z bólu.

– Łotry... – mrucał pod nosem, przyciskając ramiona do żeber. Większość ciosów otrzymał właśnie tam i w plecy, na szczęście czuł jednak, że nie ma żadnych złamań. Najwięcej wątpliwości budziło wszakże burzliwe wtargnięcie mistrza malarskiego. – Skąd... wiedzieliście? – zapytał.

Uśmiechając się zagadkowo, de Equis położył mu dłoń na ramieniu i przepuścił go w drzwiach. Kilku gości siedziało jeszcze nad dzbanem wina i czarką zupy. Rzuciwszy parę słów na powitanie, Vitale ruszył do stołu przy ogniu i zaprosił młodzieńca, by zajął miejsce.

– Jak się czujecie?

Gualtiero wykrzywił usta.

– Skończy się na paru siniakach. Dzięki Bogu zjawiliście się w samą porę.

Mistrz malarski oparł łokcie o blat.

– Jedliście coś, synku?

– Nie dziś, messer.

Vitale skinął na karczmarza, który kiwnął potakująco głową, a następnie skupił wzrok na młodzieńcu.

– Wasza obecność w Bolonii nie pozostała niezauważona. Mam na myśli ludzi naszej profesji. Od pewnego czasu krązycie od pracowni do pracowni, kupując pigmenty, albo staracie się o zlecenia w kościołach na przedmieściach... Pogłoski prędko się rozchodzą, wiecie? I choć są tacy, co mają to w nosie, nie da się tego powiedzieć o niektórych członkach Czterech Sztuk.

– Czterech Sztuk? – powtórzył Gualtiero.

– Cech sztuk niższych – wyjaśnił de Equis. – Płatnerzy, kaletników, rymarzy i... malarzy. Wszyscy mistrzowie rzemieślnicy w mieście do niego należą. Przestrzegają jego reguł i w zamian otrzymują opiekę.

Młodzieniec machnął lekceważąco ręką.

– Ja nie należę do Bolonii.

– Mimo to odkąd przekroczyliście jej mury, podlegacie jej prawom – uprzytomnił mu Vitale. – Baczcie, w innym okresie nikt nie zwróciłby na was uwagi. Ale w czasach chudych krów obcy malarz, który wykonuje swój zawód bez pozwolenia cechu, w dodatku zbyt młody na mistrza, oznacza zniewagę dla wszystkich mistrzów,

którzy ciężko pracują na kawałek chleba. I wierzcie mi, jest ich niemało.

– Zatem... – Gualtiero wybałuszył oczy. – Tamci trzej napastnicy to byli... malarze?

De Equis odczekał, aż karczmarz poda im dzban wina i dwie pajdy chleba, po czym przytaknął.

– Słyszałem ich rozmowy, wiedziałem, że dziś w nocy złożą wam wizytę, i... cóż, reszty możecie się domyślić. Nie byłem pewien, że chodzi o was, chociaż jeden z tych trzech gamoni wspomniał coś o jakimś de' Brunim.

– Nie musieliście się wtrącać. Jestem waszym dłużnikiem.

– Owszem, jesteście – odparł malarz, napełniając mu ponownie kielich. – Dlatego odpowiedzcie na moje pytanie: co was przywiodło do Bolonii? W Ferrarze byłoby wam łatwiej.

Gualtiero spochmurniał.

– Nie mogę już wrócić do Ferrary.

– Nie odpowiedzieliście – naciskał Vitale.

Nim młodzieniec zaspokoił ciekawość mistrza, odłamał kęs chleba i przełknął. Żołądek okazał mu tak ogromną wdzięczność, że na chwilę zapomniał o bólu.

– Pragnąłem się doskonalić w technice malarskiej – wyznał. – Widząc, jak pracujecie, uznałem, że w Bolonii sporo się nauczę. Pomiędzy jednym zleceniem a drugim obejrzałem wszakże najpiękniejsze freski w mieście, włącznie z tymi, które wykonał Giotto w fortecy Galliera. Jednocześnie ciągle żywiłem nadzieję, że przyjmą mnie do jakiejś pracowni.

Przez twarz malarza przemknął błysk podziwu.

– Dlaczego nie zostaliście w Pomposie? – wypytywał jednak dalej. – Założę się, że opat Andrea znów powierzyłby wam funkcję miniaturzysty.

Gualtiero pokręcił przecząco głową.

– Mój ojciec był malarzem. Po jego śmierci przysiągłem, że pójdę tą samą drogą.

– Nie sądzicie, że wzbudzicie we mnie wyrzuty sumienia – ostrzegł go Vitale. – Jedyne pomoć, jakiej mogę wam udzielić, to rada, byście czym prędzej wrócili tam, skąd przyszliście. Dalej więc, dojedźcie ten chleb. Potem odprowadzę was do kościoła Świętych Gerwazego i Protazego, aby mieć pewność, że nie spotka was już więcej nic złego.

Wracając do miejsca, gdzie go napadnięto, Gualtiero dumiał nad nikczemnością ludzi mieszkających w pobliżu kaplicy. Gdy go bito, nikt nie raczył nawet otworzyć okna ani wezwać straży. Przystanął przed portalem Świętych Gerwazego i Protazego, by po raz ostatni okazać wdzięczność mistrzowi malarskiemu.

– Winienem wam pieniądze – dodał.

– Także coś! – obruszył się Vitale. – Za kwartę wina.

– Jednakże zamierzam za nią zapłacić – nalegał Gualtiero.

– Dumny do szpiku kości.

– Zechciecie pójść za mną. Zostawiłem sakiewkę w zakrystii wśród moich rzeczy. Co rzekłszy, młodzieniec powiódł go do pogrążonego w mroku kościoła i z przebiegłym błyskiem w oku celowo zmylił drogę i przekroczył próg refektarza.

Płomienie świec nadal oświetlały pomieszczenie, rzucając szkieletowe cienie rusztowania na dopiero co ukończone freski.

Vitale de Equis zatrzymał się instynktownie, by popatrzeć. Z narastającym zaciekawieniem, mrużąc oczy z wysiłku, by dostrzec szczegóły dzieła w półmroku, kilkakrotnie pokiwał głową. Wreszcie zwrócił się do Gualtieria:

– Naprawdę to wy je namalowaliście?

– Zaledwie w dwa dni – potwierdził z dumą.

Ponownie kiwając głową, mistrz malarski powrócił do studiowania fresków. Sposób, w jaki jął szarpać brodę, zdradzał mieszaninę zadowolenia i niezdecydowania. Z jego ust nie wydobyła się wszakże ani jedna pochwała. Po długim milczeniu wymamrotał tylko: „A to dopiero szelma”. Po czym poklepał Gualtieria po ramieniu.

– Za kilka dni wyruszam do Udine, gdzie czeka mnie poważna praca w katedrze Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny – oznajmił z udawaną obojętnością. – Chociaż wcale tego nie przewidywałem, nagle doszedłem do wniosku, że przydałaby mi się pomoc.

Młodzieniec wpatrywał się weń osłupiały.

– Czy to znaczy, że mógłbym...

– Udine jest daleko – zauważył de Equis, powściągając jego zapał. – Zedrzenie buty.

„Daleko, a jakże”, pomyślał Gualtiero. „Daleko od spisków biskupów i opatów. Daleko od Estów, Bonacossich oraz ich wrogów”.

– Nie frasujcie się, messer – odparł z szerokim uśmiechem. – Mam dobrego wierzchowca.

FERRARA, PLAC PRZED KATEDRĄ
12 KWIETNIA

Z czoła Chrystusa zdawała się kapać prawdziwa krew. Ojciec Andrea wstrzymał oddech i wpatrywał się w aktora, który zbliżał się do środka placu, dźwigając na plecach krzyż. Za nim podążała chmara żołnierzy w antycznych strojach, którzy poganiali go, dźgali włóczniami i chłostali. „To tylko na niby”, próbował przekonać samego siebie wbrew narastającemu pragnieniu, by przerwać misterium. Uzmysłowił sobie, że ma spoconą twarz i dłonie zaciśnięte na połach habitu, i poczuł niemal zawstydzenie na widok obojętności siedzących obok ludzi. Tkwiąc nieruchomo na stallach, na podeście naprzeciw portalu Świętego Grzegorza, przyglądali się Barankowi, obarczonemu brzemieniem grzechu, którego nie popełnił. Na ich korzyść przemawiała niewiedza brutalnego świata, nie potrafił im wszakże współczuć. Jakie zresztą usprawiedliwienie zdołaliby dla nich znaleźć, gdyby kazano mu wytłumaczyć, dlaczego utracił wiarę? Popatrzył na Chrystusa, szukając odpowiedzi. Korona cierniowa, powalane stopy, wcielona boskość o krok od męki... „Może On też poznał strach”, przemknęło mu przez myśl. Strach i zwątpienie na miarę każdej ludzkiej istoty. Widział, jak odkłada krzyż na ziemię i pada nań z oczyma wzniesionymi tęsknie ku niebu. Ojczy, przyglądasz mi się? Andrea poczuł, że się dusi. Przyglądasz mi się? Instynktownie podniósł wzrok, spodziewając się zobaczyć burzowe chmury przepełnione gniewem aniołów. Tymczasem niebo było bezwstydnie czyste, jakby drwiło z przelanej na Golgocie krwi. W skroniach rozbrzmiewał mu łoskot młotów wbijających gwoździe.

– Opacie, dobrze się czujecie? – upewnił się siedzący obok biskup Guido. – Pobleśliście.

Andrea wskazał na słońce, krzywiąc się z rozdrażnieniem.

– To światło wydaje mi się... oślepiające.

– Zbyt wiele czasu spędzacie w zamknięciu – zachichotał Jego Ekscelencja. – Przez chwilę sądziłem, że wzruszyło was misterium.

– Przeciwnie – odparł Andrea. – Dało mi do myślenia.

Odpowiedź ta nie spodobała się Guidowi.

– Wyrażacie się jak syn ludu – orzekł cichym głosem, omiatając wzrokiem siedzącą na podeście publiczność – szlachtę i prałatów, wyprężonych, jakby to oni występowali dla zgromadzonego na obrzeżach placu plebsu. Po czym zwrócił uwagę

na scenę, nie dbając o to, że Chrystus ma zostać wkrótce ukrzyżowany. – Malarstwo, rzeźba i efemeryczna *comoedia* to sztuki niższe, przeznaczone dla ludzi o ubogim rozumie – wyjaśnił. – Jedynie teologia i filozofia potrafią dogłębnie i doskonale wpłynąć na nasze sumienie.

Aby udowodnić mu, jak bardzo się myli, Andreę aż kusilo, by odwołać się do geniuszu Gualtieria.

– Jak to się zatem dzieje, że tak lubicie się otaczać mistrzami rzemiosła? Powiadają, że taki zwyczaj ma sam Bertrand du Pouget, podobnie jak wielu innych wielkich ludzi Kościoła, Suger de Saint-Denis czy papież Klemens Szósty. – Ostatnie imię wymówił z nutą uszczypliwości, dając wyraz swemu potępieniu dla trwonienia bogactwa przez Ojca Świętego.

– Dobrze wydane pieniądze – bronił się Guido – jeśli w zamian otrzyma się kościoły, święte obrazy i *Bibliae pauperum*, będące w stanie uczcić łaskę Bożą. Zresztą dla kogoś, kto nie zna łaciny i nie może słono zapłacić za odpust, dzieła te stanowią jedyną drogę do duchowego zbawienia.

– Natomiast co do zbawienia doczesnego – odparował niespodziewanie opat – często zastanawiam się nad zbawieniem mojego przyjaciela Rocheblanche’a. – Wbił wzrok w długi balkon Pałacu Signorii, skąd szlachetny Obizzo d’Este wolał oglądać święte widowisko jedynie z rodziną i kilkoma przedstawicielami patrycjatu. – Liczyłem, że go tu znajdę, lecz...

Wielebny Guido wzruszył ramionami.

– Rocheblanche cieszy się doskonałym zdrowiem, mogę was zapewnić.

– Nie możecie zdradzić nic więcej?

– Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chętnie nie wracałbym więcej do tego tematu.

Andrea przyjrzał się bacznie minie prałata, pomny wyniosłej niechęci, z jaką odprawił go przed kilkoma miesiącami z pałacu podesty.

– W czasie naszej ostatniej rozmowy dałem się porwać uniesieniu, przyznaję – oznajmił dyplomatycznie. – Wszelako dzisiejsze zaproszenie pozwala mi żywić nadzieję na waszą przychylność względem mnie.

– Przebaczenie jest mile widziane w okresie Wielkanocy – odrzekł biskup. – Z drugiej strony wcale nie ukrywam, że tak głęboka nieufność co do mojego postępowania trochę mnie uraziła. Zrzuciliście mi zdradę wobec człowieka godnego szacunku tylko dlatego, że zapewniłem o mej wierności względem Awinionu.

– Daleki jestem od użalania się, pamiętam wszakże emfazę, z jaką usiłowaliście nakłonić messer Maynarda do zmiany zdania.

– Macie na myśli *Lapis exilii*?

Opat posłał mu wyzywający uśmieszek.

– A co innego mógłbym mieć?

Dla obydwu mężczyzn widowisko na placu stało się już tylko odległym szmerem, pozbawionym wszelkiego uroku.

– Nadal żywię przekonanie – nachmurzył się biskup – że Rocheblanche jest w błędzie. Relikwię Chrystusa powinno się powierzyć Matce Kościołowi, aby jego teologowie mogli przebadać jej naturę i ocenić jej autentyczność. Inaczej istnieje niebezpieczeństwo, że zniknie w mrokach dziejów albo, co gorsza, że stanie się narzędziem nowej herezji.

Andrea nie zdołał mu się przeciwstawić. Skądinąd dobrze znał zagrożenie, jakie niosły ze sobą *Codex Millenarius* i zgłębianie jego tajemnic. Słowa Flegetanisa rozdarły mu sumienie, przypominając nieufność jego mistrza Seweryna z Padwy wobec dogmatów, nakazów i hierarchii na korzyść objawienia kierowanego wyłącznie przez umysł. „Porzuć wszystko”, zdawały się odpowiadać owe tajemnicze stronicie, odsłaniając przed nim otchłań herezji. I choć zuchwały Seweryn zwykł twierdzić, że herezja nie istnieje, należy przypuszczać, że przemawiała przezeń nie bojaźń Boża, ale pycha uczonego, który uległ czarowi nauk astrologicznych Piotra Apońskiego, Makrobiusza i Michała Skotta.

W tej jednak chwili opat z Pomposy wolałby raczej poświęcić własny tytuł, byleby móc się cieszyć radą swego umiłowanego mistrza. Czuł się zagubiony, pokonany i zły na samego siebie. Popatrzawszy na *Crucifixus dolorosus* pośrodku placu, rozpoznał słodką Maryję, zdjętą nieludzkim cierpieniem, które powaliło ją na kolana. Tajemnica mistycznych bólów zamiast przy porodzie dręczyła ją podczas konania Chrystusa i narodzin Kościoła. Jakże mylili się teologowie! Jakże mało szlachetności przyznali uczuciom niewiasty! Owa przepelniona udręką istota była tylko matką zdruzgotaną przez śmierć syna, matką, która skupia w sobie płacz tysięcy matek z narodów dotkniętych wojną, zarazą i głodem.

Spuścił głowę, by ukryć wzruszenie – plebejską reakcję, jak określiliby to biskup – i powrócił do tematu rozmowy.

– Bez względu na wasze przekonania – rzekł do Guida – wybór nie zależy ani od was, ani ode mnie.

Odnosił wrażenie, że wielebny Guido spogląda nań ze świata nieskończenie dalekiego od jego własnego. Świata, w którym istoty ludzkie żyją w blasku złotych łańcuchów, wolne od wątpliwości, wahania i wyrzutów sumienia.

– Obowiązek duchownego – odrzekł prałat – rozciąga się daleko poza jego osobę, podobnie jak to się dzieje z rodzicielem. A może odmówilibyście ojcu prawa do skarcenia własnego syna?

Jego ton niemal rozbawił Andreeę.

– Jedyne prawo, jakie ceni Rocheblanche, to honor. Zginąłby w jego obronie.

– Za cenę strącenia do piekła?

– Zupełnie szczerze? Sądzę, że tak.

– Spodziewam się, że nie zaraził was swym szaleństwem – zachnął się Guido di Baisio.

– Ja ufam Opatrzności – odparł opat – i z ogromną pokorą żywię nadzieję, że to właśnie ona prowadzi messer Maynarda, nawet jeśli nieodgadnionymi ścieżkami.

Biskup musiał pojąć znaczenie słów zakonnika, albowiem jął go świdrować podejrzliwym wzrokiem. Wszelako zdradzał skrywane poczucie winy, tak jakby po namyśle zmienił zdanie.

– Jeśli chowacie jakieś tajemnice – oznajmił – to odpowiednia chwila, żeby je wyjawić.

Andrea wyczuł groźbę, mimo to się nie wycofał. Był zresztą zbyt zmęczony i wzburzony, aby się martwić, czy na jego twarzy nie maluje się strach.

– Tajemnice? Zdaje się, że sami macie dość własnych – powiedział uszczypliwie. – Tak czy inaczej – dodał – sumienie nakazuje mi was ostrzec.

– Przed czym? – ponaglił Guido.

– Przed Eudeline de Rocheblanche. Znacie ją?

– Nigdy dotąd nie słyszałem tego imienia.

– To siostra messer Maynarda – wyjaśnił Andrea. – O ile się nie mylę, wkrótce was odwiedzi. I dalibóg, nie wiem, co szykuje.

PRZEDMIEŚCIE ŚWIĘTEGO JERZEGO
14 KWIETNIA

Eudeline przez całą zimę mieszkała w budynku stojącym przy jednej z uliczek okalających rynek, płacąc za wynajem poddasza z dwoma posłaniami, stołem i kominkiem. Wiedziała wprawdzie, że po zarazie jest wiele wolnych domów, wołała jednak pozostać poza miastem, chroniąc się w miejscu, z którego można łatwo uciec. Nie z obawy przed rzeczywistym zagrożeniem, lecz dlatego, że pragnęła uniknąć decydujących wyborów, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Nie mówiąc o tym, że wydanie sporej sumy pieniędzy na zakup przyzwoitego domu przykułby uwagę sędziego z Rady Mędrców, budząc podejrzenia i apetyty co do bogactw Rocheblanche'ów. Niewiasta zadowolona się więc dzieleniem z Isabeau nędznego poddasza, które miało tę zaletę, że znajdowało się nad pracownią cieśli, dostatecznie gburowatego i porządnego, by trzymać z dala od nich okolicznych obwiesiów. A zdaniem Eudeline bezpieczeństwo było ważniejsze od wygód, jeśli człowiek posiadał trzy skrzynie złotych florenów przywiezionych z Francji.

Za bardzo zresztą pochłaniało ją odkrywanie na nowo wolności, by zaprzętać sobie głowę miejscem, w którym mieszkała. Do tej pory już samo pojawienie się bez welonu odczuwała niemal jak zuchwałą rozwiązłość. Teraz natomiast nabrała zwyczaju przechadzania się z rozpuszczonymi włosami, odziana w zielony bądź błękitny *bliaut*⁵, na który narzucała wełniany płaszcz ze skromnym haftem. Nie potrafiła uwierzyć, że może robić sprawunki na jarmarku i rozmawiać z ludźmi na ulicy, niepomna lęków, jakie niegdyś ją dręczyły. Tłum przestał ją przytłaczać, podobnie jak widok brudu czy nędzy. Stawiała im czoło, traktując je jak to, czym naprawdę były, i nie czując, by stanowiły zagrożenie.

Niekiedy odnosiła wrażenie, że Robert idzie obok, ciesząc się z jej odważnego wyboru. Kiedy indziej zaś to znów Isabeau dodawała jej siły niezbędnej do tego, by mogła zostawić za sobą klasztorne życie. Wszelako Eudeline zbyt długo była przeoryszą, by nie czuć zagrożenia w szatach plebejuszki, szczególnie gdy pomyślała, jak niewiele niewiast wyzwoliło się spod panowania mężów albo innych męskich krewnych. Nierzadko jej uroda budziła żądzę w oczach mężczyzn, przywołując wspomnienie gwałtu zadanego jej przez ojca. W takich chwilach skrywała twarz pod kapturem płaszcza, żałując, że tak nieroztropnie opuściła klasztor.

Z kolei Isabeau najwyraźniej czuła się swobodnie w każdych okolicznościach.

Szczęśliwa, że porzuciła klasztor, stała się dla niej niezastąpioną nauczycielką życia: pokazała jej, jak unikać ulicznych pułapek, nie dać się wykorzystać ludziom i poruszać w ciżbie. W ciągu zimowych miesięcy ich więź zacieśniła się do tego stopnia, że Eudeline jęła ją miłować niczym młodszą siostrę. Czuła jednak ukłucie zazdrości, widząc, jak owo dziewczę o anielskiej buzi potrafi zawsze być otwarte i nieustraszone.

Tego dnia wszakże natura Isabeau mogła je obie drogo kosztować. Właśnie krążyły wśród kramów wokół starej bazyliki Świętego Jerzego, robiąc sprawunki, gdy pewien garbarz wypowiedział parę niewybrednych uwag o Eudeline.

– Wygląda jak wieprz – zachichotała dziewczyna, ubierając w słowa wzburzenie swej towarzyszki.

Zamiast odpowiedzi mężczyzna zagroził jej skrobakiem, którym oczyszczał akurat wilczą skórę, polecając, by zamilkła.

Isabeau splunęła na ziemię.

– Wieprz – powtórzyła.

Wówczas wtrąciła się żona garbarza, megiera o włosach spiętych szpilkami, które upodabniały ją do poduszczeni na igły.

– Idź precz, złooka! – syknęła.

Chociaż jej reakcję należało przypisać raczej zazdrości niż zamiarowi obronienia męża, Eudeline natychmiast się zorientowała, że słowa niewiasty skierowały uwagę kilku przechodniów na różnobarwne tęczówki Isabeau.

– Chodźmy stąd – nakazała.

– Pozwalając się upokarzać tym łachudrom? – odparowała dziewczyna.

– Złooka! – urągała dalej żona garbarza, podjudzona zaciekawieniem ludzi. – Zabierz precz swoje nieszczęście!

Obawiając się najgorszego, Eudeline chwyciła swą towarzyszkę za ramię, niemal sprawiając jej ból, i ostrożnie się cofnęła.

– Nie opierajcie się – wyszeptała. Podczas wędrówki przez spustoszoną przez zarazę Francję widziała, jak dokonywano samosądów nad biednymi włóczęgami z powodów o wiele błahszych, wspomnienie to zaś uzmysłowiło jej, że sama jest cudzoziemką, w dodatku białogłową, że znajduje się na przedmieściu pełnym ciemnych, wierzących w zabobony ludzi, którzy przeszli przez piekło. – Chodźcie za mną! – poleciła po raz wtóry, ciągnąc Isabeau w wąski zaułek.

W końcu dziewczyna zdecydowała się jej posłuchać i przyspieszyła kroku, kierując się ku ulicy za bazyliką, którą mogły dotrzeć do domu.

– Można wiedzieć, dlaczego nie posłuchaliście od razu? – skarciła ją poczerwieniała ze złości niewiasta, gdy tylko zyskała pewność, że są bezpieczne. – Czyżbyście czekali, aż krzykną „oczy diabła”?

Isabeau wymamrotała coś, co miało być przeprosinami. Nie zwykła otwarcie

przyznawać się do własnych błędów.

Zamiast coś odpowiedzieć, Eudeline nagle się zatrzymała. Zdążyły już dobrnąć przed drzwi domu, w którym mieszkały, pozostawiając za sobą wszelkie widoczne niebezpieczeństwo. Mimo to tkwiła nieruchomo, zapatrzona w ulicę.

Naprzeciw niej stał mężczyzna w szarym płaszczu z niemowlęciem na ręku. Nie zdając sobie sprawy, że przykuł jej uwagę, przyglądał się warzywom na straganie.

Eudeline wystarczyło jedno spojrzenie, by go rozpoznać. Nie tyle z powodu ciemnej skóry Saracena czy wytwornej postawy, ile z powodu niezwyklej aury tajemniczości, którą dostrzegła już przed laty, gdy ów nieznajomy pewnej przerażającej nocy ocalił jej życie, wyrывая z łap wysłannika Bertranda du Pougeta.

Niepewna, czy widzi upiora, czy własne urojenie, zebrała się na odwagę, by podejść bliżej, lecz aż podskoczyła na dźwięk głosu za plecami.

– Jaśnie pani Eudeline de Rocheblanche?

Tak rzadko słyszała, by ktoś wypowiadał jej imię i nazwę rodową, że zaczęła podejrzewać zasadzkę.

– We własnej osobie – odparła, zaciskając pięści.

Na wychudzonym i powalonym niemal aż do kłębów gnadoszu siedział jeździec w chroniącej przed deszczem pelerynie. Dziwny osobnik, równie zabiedzony i umorusany jak jego koń, jął szperać w sakwie, oznajmiając:

– Przywożę odpowiedź na wasz list.

– Z Paryża? – upewniła się Eudeline.

Jeździec przytaknął i wręczył jej zwój opatrzony pieczęcią kościoła Świętego Dionizego.

– Co to takiego? – zapytała Isabeau.

Przed odpowiedzią niewiasta podziękowała posłańcowi i go odprawiła.

– Wieści, o które poprosiłam bliską mi osobę, na temat pewnego ferraryjskiego prałata – wyjawiała, ponaglaając dziewczynę, by czym prędzej schroniła się w domu. – Biskupa Guida di Baisia.

Przekraczając w pośpiechu próg, nie zauważyła, że Arab odwrócił się i na nią patrzy.

Jeszcze zanim wspięła się po schodach wiodących na poddasze, Eudeline przeczytała wiadomość z Paryża, a teraz dumiała nad jej treścią, stojąc w oknie. Ze swego miejsca mogła zoczyć dzwonnice kościoła Świętego Bartłomieja na południowy wschód od osady, a także spadziste dachy ciągnące się nieprzerwanie aż do porośniętych trawą brzegów Padu. Jej oczy utkwione były wszakże w ulicę na dole, w poszukiwaniu dostrzeżonego dopiero co Maura. Ale zniknął bez śladu. Przez chwilę myślała nawet, że się pomyliła. Jakże zresztą było prawdopodobieństwo, że tego rodzaju indywiduum trafi do Ferrary? Na dodatek z niemowlęciem na ręku? A jednak...

– Co jest w liście?

Odwróciła się powoli i napotkała wzrok Isabeau.

– Nie chcę rozbudzać w was złudnych nadziei – rzekła – ale zdaje się, że znalazłam sposób, abyście połączyli się z waszym Gualtierem.

Dziewczyna wpatrywała się w leżący na stole list.

– I pozostaną tylko... złudnymi nadziejami?

– Może nie. – Eudeline oddaliła się od okna, usiadła przed pulpitem i ponownie odczytała wiadomość, ważąc każde słowo. Napisała ją zaufana osoba, która nie miała żadnego powodu, by ją okłamać. – Według tych doniesień – przemówiła wreszcie – jest nadzieja. Ale będzie to niebezpieczna gra.

– Warto by poprosić o pomoc Maynarda – podsunęła Isabeau.

Niewiasta pokręciła przecząco głową.

– Mój brat musi pozostać w ukryciu – odrzekła stanowczo. – Obawiam się, że jego stosunki z biskupem mogą nam wszystko popsuć, nie mówiąc o jego talencie do gmatwania każdej i tak już zagmatwanej sprawy.

– To dlatego jeszczeście mu nie wyjawili, że porzuciliście welon?

– Dlatego i... z innych powodów.

Dziewczyna się zasepiła.

– Boicie się, że może nas odwieźć z powrotem do klasztoru?

Eudeline dostrzegła malujące się na jej twarzy troskę i niechęć.

– Nie jest tak, jak myślicie – uspokoiła ją. – Uczyniłby to, żeby nas chronić.

– Prędzej bym uciekła, niż tam wróciła – prychnęła Isabeau.

– Lepiej dla was, żebyście trzymali się mnie, jeśli zależy wam na waszym Gualtierze. – Co powiedziawszy, niewiasta pomachała jej przed nosem listem, jakby to była broń. – Teraz, gdy znam tajemnice *monsignore* Guida di Baisia, nie omieszkam go nawiedzić. I narzucić mu surowych warunków.

Maynardowi nie pozostało nic innego, jak przyznać się do porażki. Wierny własnemu planowi od miesięcy przeczesywał lasy, lecz nie natrafił na żaden ślad procesji z latarenkami ani tym bardziej mężczyzny z czerwonym znamieniem. Rozpłynęli się w powietrzu razem z listami, którym towarzyszyły martwe ropuchy. Wyglądało na to, że po zabójstwie łowcy wilków wszelka wrogość wobec Estów ustała. Ostatnimi czasy mnożyły się zupełnie inne zagrożenia, przede wszystkim szerzące się na wsiach i przedmieściach powstanie chłopów. Oliwy do ognia dolewał hrabia Romanii, Jego Wielmożność Hector de Durfort, który jako dowódca papieski żądał posiłków przeciwko zbuntowanym seniorom Faenzy. Markiz Obizzo zwlekał, dopóki nie doszły go słuchy, że na wezwanie kondotiera odpowiedziały rody Viscontich z Mediolanu i Pepolich z Bolonii.

W owej nawałnicy wydarzeń Rocheblanche czuł się pionkiem bez znaczenia, tym bardziej że przytłoczony nowymi obowiązkami markiz przestał zaprzętać sobie głowę dochodzeniem w sprawie spisku – albo *maleficium*, jak uparcie określał go Lamberto da Cingoli. Jedyne wsparcie otrzymał od szlachetnego Aldobrandina, który w odpowiedzi na modlitwę biskupa podesłał Maynardowi jakichś dziesięciu zbrojnych, którzy mieli mu pomóc przeszukiwać puszcę. Kolejny argument utwierdzający Francuza w przekonaniu, że poniósł dotkliwą klęskę.

Po przekroczeniu murów uczucie to jeszcze się wzmogło. Po długich dniach spędzonych w lasach aż do chwili znalezienia się w środku miasta nie opuszczało go wrażenie, że przechodnie spoglądają nań z wyrzutem. Nawet jeśli było to przywidzenie wywołane bezsilnością, nie mógł powiedzieć tego samego o złym nastroju towarzyszących mu ludzi. Brudni i wycieńczeni zbrojni spędzili z nim zimę pośród drzew i zarośli, na próżno szukając apokaliptycznych bestii i orszaków Diany. Dotarwszy na plac, rycerz rozkazał im zaczekać na ulicy, sam zaś stawiał się w Pałacu Signorii i zażądał widzenia z naczelnym wodzem.

Wkrótce w atrium pojawił się Aldobrandino d'Este. Miał na sobie kolczugę, na którą przywdział brokatową tunikę, pendent i płaszcz. Na jego widok Maynarda ogarnęło poczucie dumy. Chociaż młodzieniec miał jeszcze mleko pod nosem, najwyraźniej potrafił już przybrać zdecydowaną postawę i patrzeć tak, że wzbudzał natychmiastowy posłuch.

– Chyba zbyttno się frasowałem waszą nominacją na naczelnego wodza – przyznał, idąc mu na spotkanie. – Pod każdym względem sprawiacie wrażenie wojownika godnego Białego Orła.

– Cieszę się, widząc zadowolenie u mego dawnego mistrza – odrzekł oschle syn markiza.

Rocheblanche zeszywniał.

– Zabrakło mi i czasu, i sposobności, toteż nie nauczyłem was dość, by zasłużyć na to miano – skwitował bezbarwnym głosem.

– Tak czy inaczej, nie traćmy czasu – zbył go Aldobrandino – i zdradźcie mi powód waszej wizyty.

– Nie ma pośpiechu, Wasza Wielmożność. Pragnę jedynie zwrócić wam tych dziesięciu zbrojnych, których mi powierzyliście.

– Nie mogliście ich po prostu odprawić? Sami by wrócili do pałacu.

– Uczyniłbym to, gdybym nie musiał przedstawić wam także przeprosin – wyjaśnił Maynard, coraz bardziej rozsierdzony lekceważącym traktowaniem. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie się podział ów panicz o łagodnym usposobieniu, którego poznał przed dwoma laty, potem jednak przemknęło mu przez myśl, że życie tego młodzieńca prędko uległo zmianie. Zakłopotany spuścił głowę. – Przedsięwzięcie okazało się porażką.

Aldobrandino poprawił sprzączkę płaszcza na lewym barku.

– Nie mnie powinniście zdać sprawę – oznajmił – lecz mojemu panu ojcu.

– Tak właśnie bym zrobił – usprawiedliwił się rycerz – gdyby Obizzo nie przemierzał wsi, tłumiąc rebelię.

– Mogliście dołączyć do niego na polu bitwy – podsunął ze szczyptą złośliwości. – A może lękacie się z nim spotkać?

Rocheblanche postąpił krok do przodu z uśmiechem, który budził trwogę.

– Ostrzegam was, chłopcze – pogładził głowicę rękojeści miecza – nie zwykłem wybaczać zniewag nawet delikatnym latoroślom.

Aldobrandino wpatrywał się weń niewzruszony.

– Po prostu wyraziłem wątpliwość, messer. Wy zaś uniknęliście odpowiedzi.

– Odpowiedzi udziela się wtedy, gdy ktoś jest gotów słuchać. Wygląda jednak na to, że wy skłaniacie się raczej ku obelgom. Najwyraźniej niesnaski między mną a waszym ojcem zniszczyły szacunek, jakim mnie niegdyś darzyliście.

– Gdyby to był brak szacunku, nie wysłałbym wam na pomoc dziesięciu zbrojnych. Tu chodzi bardziej o nieufność, messer. Bo widzicie... – Młody pan nagle sposepniał, przejawiając nieoczekiwaną wrogość. – Chociaż nie wiem, w jakim stopniu jesteście w to zamieszani, włożyłbym rękę w ogień, twierdząc, że macie coś wspólnego ze śmiercią mojej matki.

– Niedorzeczność – zachnął się rycerz, nie spodziewając się podobnych słów. – Kiedy jaśnie pani Ariosti wyzionęła ducha, nie było mnie w pałacu. Usłyszałem tę nowinę wiele dni później, z niedowierzaniem.

– Tylko z niedowierzaniem?

Maynard westchnął. Uraza sprzed chwili zniknęła na wspomnienie niewieściego uśmiechu. Delikatnego uśmiechu pełnego żaru i namiętności.

– Ja... – wyszeptał. – Ogarnął mnie smutek.

– Powiedzcie no... To było nieprzyzwoite zauroczenie?

Ugodzony do żywego Maynard spoglądał na Aldobrandina z narastającym oburzeniem. „Uważaliście, że jestem aż tak naiwny?”, wyczytał w jego stalowych oczach.

– Nie wasza rzecz – odparował, wybiegając myślami poza ową zaczepkę w poszukiwaniu przyczyny, która ją wywołała. Jednocześnie niemal czuł zadowolenie, widząc, jak ten młodzieniec z mlekiem pod nosem nauczył się zadawać ciosy w odsłonięte miejsca. – A nawet gdyby – dodał nagle – co mógłbym mieć wspólnego ze śmiercią Lippy Ariosti? Czyż nie zmoęła jej choroba?

– Tak twierdzi mój ojciec, aczkolwiek do jej łóża nie wezwano żadnego medyka. – Młodzieniec mierzył go coraz bardziej ponurym wzrokiem, jego zmarszczone czoło świadczyło o tym, że coś nie daje mu spokoju. – Wiem tylko, że na parę dni przed śmiercią cieszyła się doskonałym zdrowiem, aż tu nagle... – Głos mu się załamał, przechodząc w szloch.

Maynard czekał, aż przewycięży falę bólu. „Znów powrócił wrażliwy chłopiec, którego nauczyłem władać mieczem”, powiedział sobie w duchu. Uspokoiwszy się, splótł ramiona na piersi.

– Mówcie dalej, proszę.

Aldobrandino odzyskał głos dopiero po chwili.

– Powalona jakąś niewytłumaczalną chorobą – wykrzyknął z błyszczącymi oczyma. – Ojciec utrzymuje, że właśnie w takim stanie ją zastał. Wykrwawioną we własnym łóżu. Niemal bez tchu.

– I nie zapytał o zdanie żadnego *magistri medicinae*?

– Jak wyjaśnił, nie zdążył, albowiem śmierć już weszła do jej ciała. Nie wiem, czy tymi słowami chciał mi oszczędzić jeszcze gorszej prawdy, ale wątpię, żeby podobna tragedia mogła nastąpić ot tak, z niczego. – Kiedy Aldobrandino mówił, narastała w nim ponownie zimna wrogość, która w przerażający sposób upodabniała go do ojca. – Coś musiało się stać... Coś, co przede mną ukryto... I chociaż nie potrafię jeszcze pojąć znaczenia tego, jednego jestem pewien: zmarła nazajutrz po waszej ucieczce z pałacowego więzienia.

Maynard się cofnął. Winien czy nie, uzmysłowił sobie, że stoi przed ogromnym niebezpieczeństwem. Wszelako rozmowa ta nasunęła mu jeszcze inne wnioski. W istocie nagle przypomniał sobie, co przed wieloma miesiącami powiedział mu w zaufaniu młody sługa, na którego natknął się na ulicy. Otóż wyznał on, że wśród murów pałacu krąży cień niewiasty, Lippy Ariosty, która chce pomścić własne zabójstwo. Wówczas rycerz tylko uspokoił pachołka. Teraz jednak, wobec podejrzeń

syna Obizza, był skłonny nadać tym opowieściom zupełnie inną wagę.

– Mówicie o nader osobliwych rzeczach – zauważył jedynie. – Lecz to za mało, by dowieść, że mam z tym coś wspólnego.

W oczach Aldobrandina płonęła niechęć.

– Zatem macie czelność zadawać kłam memu ojcu – odparł ostrzegawczo. – Bo przecież jeden z was wyraźnie mnie okłamał.

W umyśle Rocheblanche'a zrodziło się przypuszczenie, które okazało się jeszcze bardziej zwodnicze. Francuz uśmiechnął się gorzko i skłonił z szacunkiem.

– Może powinniście poszukać prawdy gdzie indziej – poradził.

– Nawet gdybym zdecydował się tak uczynić – uprzedził go młodzieniec – nigdy nie przestałbym was podejrzewać.

– Ja zaś z pewnością nie zdołam wam w tym przeszkodzić.

Maynard oddalił się z przekonaniem, że już nigdy nie będzie mógł przekroczyć bram Pałacu Signorii, dopóki nie uda mu się rozwikłać tej, już którejś z kolei, tajemnicy. Skądinąd zaczynał się coraz usilniej zastanawiać nad tym, czy istnieje jakiś związek między śmiercią Lippy a osobliwymi wydarzeniami, które stanowiły przedmiot jego nieudanego dochodzenia.

„A nawet gdyby tak było?”, przemknęło mu zniechęcająco przez głowę. Dlaczego miałby brać sobie do serca owe intrygi, zamiast wrócić na własną ziemię, do własnych obowiązków? Na chwilę jego myśli przybrały niefrasobliwy ton brata Prudenzia, rozbrzmiewając mu w uszach z natrętnym śmiechem. „Co ty wyprawiasz, Rocheblanche? Co się z tobą stało? *Lapis exilii*, opat Manessier, zaginione relikwie z Mont-Fleur... Do diabła! Może Eudeline miała rację. Może naprawdę nadszedł czas, by wziąć los we własne ręce”.

Ruszył ku wyjściu, nie zdążył wszakże jeszcze dotrzeć do ulicy, gdy z niszy przy skierowanym na plac portalu dobiegł go szept. Odwróciwszy się gwałtownie, ujrzał młodego sługę, z którym dawno temu rozmawiał.

– Messer, messer... – przynaglił cicho Maynarda chłopak. – Muszę się z wami rozmówić...

Francuz zbliżył się niezauważony przez strażę.

– Mężczyzna z czerwonym znamieniem... – wyjąwił sługa. – Widziałem go dwa dni temu.

– Dlaczegoście nie przyszli do mnie od razu do Świętego Dominika? – skarcił go Maynard.

– Poszedłem tam, ale was nie było... – odparł. – Nie miałem zaufania do fratrów. Ledwie o was zapytałem, nabrali podejrzeń.

– Cóż, mówcie teraz.

– Dobrze, messer, ale na ulicy – zastrzegł chłopiec, chwytając go za rękę. – Zaprowadzę was do jego domu.

DZIELNICA BOCCACANALE

Gdyby urojenia miały twarz, Lamberto da Cingoli wpatrywałby się teraz w grymas, w którym rysy Maynarda de Rocheblanche'a zlewałyby się z rysami Bertranda du Pougeta. Po prawdzie dziwaczny grymas, zdolny się zmienić szybciej niż kapryśne chmury owego wiosennego wieczoru. Kardynał zmierzał w pośpiechu ku ulicom Boccacanale, nie zwracając uwagi na opatulone postacie na skraju drogi. W większości dzieci, wygłodzone sieroty. Był to jedyny rodzaj żebraków, jaki tolerowały w mieście straże, doskonale wiedząc, że znalezienie się wewnątrz murów wcale nie gwarantowało przeżycia. Tam bowiem, gdzie nie dotarła zaraza, zrobiła swoje zima, toteż teraz mogły przepełnione były dziecięcymi szkieletami. Inkwizytor dość się już wszakże na nie napatrzył, by podobny widok mógł wzbudzić w nim litość. Dla niego istoty ludzkie to były zwykłe cielesne szkatuły, które mają na celu wyłącznie otworzyć się niczym purpurowe kwiaty w chwili, gdy ich tajemnice posłużą do wydobycia herezji i grzechu. I sam tak właśnie się czuł. Jak strażnik tajemnic. Po miesiącach spędzonych pośród zapisków, rejestrów i szpargałów, na wysłuchiwanie wyznań i nieprawdopodobnych relacji z pewnością mógł uznać, że wie najwięcej na temat złego uroku, który nagle przestał wisieć nad rodem Estów. Mimo to winowajcy nadal mu się wymykali, jedynym zaś powodem usprawiedliwiającym jego pobyt w Ferrarze były niepoohamowane pragnienia kardynała.

Wszedł do budynku, który nauczył się już nienawidzić, i udał się do izby, gdzie odbywały się jego tajne narady. Otwór kominka stanowił okno wychodzące na piekło, nikt nie siedział naprzeciwko.

Monsignore Bertrand zjawił się wkrótce. Miał na sobie jedwabną szatę, pod którą prawdopodobnie był nagi. Zakłopotanie brata Lamberta nagle przerodziło się w niesmak, gdy w jego nozdrza uderzył zapach niewiasty.

Najwyraźniej jego reakcja rozbawiła du Pougeta.

– I cóż, wielbny ojczy – odezwał się – zamierzacie czekać, aż umrę ze starości?

Dominikanina kusilo, by się odciąć, instynktowny lęk kazał mu się jednak ugryźć w język.

– Byłem zmuszony wspierać Rocheblanche'a – usprawiedliwił się.

– Przez ponad trzy miesiące?

– To nie moja wina, lecz biskupa. Grając na zwłokę, zażądał wręcz od naczelnego wodza wysłania zbrojnych na pomoc rycerzowi.

Kardynał usiadł na rozgrzanym przez ogień krześle i pogładził brodę.

– Ostatnimi czasy wielebny Guido się od nas oddalił – przyznał ochryplym głosem. – Może temu słabowitemu opatowi, Andrei z Pomposy, udało się wzbudzić w nim wyrzuty sumienia. Nic nie szkodzi, nadeszła pora zacisnąć pętlę.

Widząc wyraźny przejaw nieufności wobec Guida di Baisia, dążący do dominacji nad wszystkimi brat Lamberto poczuł przelotną rozkosz. Zdołał nawet wyzbyć się niedawnej pogardy i skupić na powinności służenia nie człowiekowi, lecz instytucji.

– Markiz Obizzo jest gotów do współdziałania – powiedział na potwierdzenie.

– Nie nim się martwię – sapnął Bertrand – tylko bliskością Hectora de Durforta.

– Niby dlaczego? Przecież to awinioński prałat, podobnie jak wy.

– Jest także hrabią Romanii i dowódcą papieskiej armii. Awanturnikiem jak ja kiedyś. Gdyby dowiedział się, że przebywam na tej ziemi, poczułby się zagrożony. Albo gorzej, śledzony.

Inkwizytor pokręcił przecząco głową.

– Mało prawdopodobne, by jego wzrok sięgał aż tutaj. Z najnowszych wieści wynika, że zbiera milicję między Imolą a Faenzą.

Szyderczy śmiech kardynała napełnił go wstydem.

– Jesteście dostatecznie szczeni – skarcił go Bertrand – by wiedzieć, że jeden ruch często służy jako zasłona dla innych, zwłaszcza jeśli mowa o księciu Kościoła. O ile nam wiadomo, sieć jego intryg może sięgać aż do nas.

Do uszu słuchającego jego wywodów brata Lamberta z przyległej izby dobiegł niewieści jęk. „Wezwanie do alkowy”, pomyślał z niesmakiem.

– Zatem bierzmy się do dzieła – odparł, zdjęty nieoczekiwaną chęcią, by się pożegnać. – Uprzedzam jednak, że nie dysponuję dostateczną liczbą elementów, by wszcząć proces o herezję.

– Będziemy musieli się tym zadowolić, nie bacząc na waszą gorliwość. – W blasku ognia twarz kardynała zastygła w grymasie nieokiełznanej niecierpliwości. – Najważniejsze to nakłonić Rocheblanche’a do mówienia. I żeby zdradził nam, gdzie jest ukryty *Lapis exilii*.

PAŁAC KURII, WIECZOREM

Eudeline pojęła, że już od pierwszego spojrzenia zrobiła wrażenie na Guidzie. Chociaż kazała się zapowiedzieć jako „pani de Rocheblanche”, przekroczywszy próg jego pracowni, uzmysłowiła sobie, że spodziewał się zakonnicy. Wyczuła to po minie, z jaką zatrzymał wzrok na jej rozpuszczonych włosach i skromnych, lecz z pewnością nie klasztornych szatach. „Skądinąd świecka niewiasta, która wpada do kurii z pilnym listem, i w dodatku potrafi przeczytać jego treść, musi być bestią jedyną w swoim rodzaju”, rzekła sobie w duchu. Nie udzieliła żadnych wyjaśnień, lecz wykorzystawszy ów chwilowy nimb tajemnicy, by samej mu się przyjrzeć, zobaczyła przed sobą sflaczałego tłuściocha – obraz głębokiego wewnętrznego zmęczenia.

Biskup tkwił na końcu pomieszczenia, przy oknie wychodzącym na dachy, które otulał zmierzch, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że mają niewiele czasu. Szlachcianka dostrzegła w nim jednak również skrywaną ciekawość i właśnie ją zdecydowała się pobudzić. Poniechawszy złożenia mu hołdu, natychmiast pokazała otrzymaną z Paryża wiadomość.

– Ach – mruknął z nieszczerym uśmiechem Guido. – Odkąd zapowiedzieliście się u mojego szambelana, z powodu tego sławetnego listu nie zmrużę oka przez wiele tygodni.

– Gdyby nie chodziło o ów list – odparła z wyższością Eudeline – wątpię, byście udzielili mi posłuchania.

– Widzę u was taką samą przywarę jak u waszego brata – zbył ją. – Wydaje wam się, że budzicie w bliźnich natychmiastową trwogę.

Pokręciła przecząco głową.

– Daję słowo, przybyłam tu tylko po to, by pertraktować.

Biskup spoważniał i podszedł do pulpitu, lecz nie usiadł.

– Wyjaśnijcie mi, w czym rzecz – zachęcił – zaczynając od autora listu.

– To mój czcigodny wuj, Antoine Tempier, przeor klasztoru Świętego Dionizego – oznajmiła. – Znacie go?

– Świętego Dionizego? Nigdy nie dostąpiłem tego zaszczytu.

Eudeline nie dała się zwieść jego lekceważeniu. Wzmianka o jednej z najważniejszych bazylik w Paryżu wyprowadziłaby z równowagi każdego człowieka Kościoła. Nie z powodu słynnych witraży mozaikowych, lecz ogromnych wpływów, jakie wywierało mające tam swą siedzibę duchowieństwo.

– Mój wuj, Antoine Tempier – powtórzyła – napisał odpowiedź na pytanie, jakie mu postawiłam, usłyszawszy po raz pierwszy wasze *cognomen*. Baisio. Słowo raczej niewiadomego pochodzenia, jeśli wolno mi zauważyć, jako że w kancelaryjnych dokumentach można spotkać rozmaite formy zapisu: Baysio, Abaisius, Abaixi, Baypho... Zaskakująca różnorodność.

Jego Ekscelencja uniósł brew.

– Jakie dokumenty macie na myśli?

Tym razem to Eudeline się uśmiechnęła i uczyniła to z istic kocią przebiegłością.

– Zowiecie się Guido di Filippo di Baisio, nie mylę się? Wasz ojciec Filippo miał starszego brata, który zwał się tak jak wy, Guido, i zmarł jakieś trzydzieści lat temu. Mówię o emiliańskim prałacie, który po błyskotliwej karierze jako znawca prawa kanonicznego został mianowany... Zaraz, zacytuję z tekstu. – Otworzyła list i poszukała właściwego wersu, przedłużając oczekiwanie ponad miarę. – O, jest, *Guidus Baysius, litterarum contradictarum auditor et cappellanus domini papae* – wyrecytowała głośno, a biskup skinął potakująco głową. – Otóż ów wasz czcigodny krewniak otrzymał tę funkcję od Benedykta Jedenastego i zachował przez okres panowania Klemensa Piątego, przenosząc swą siedzibę do Awinionu. Wszelako był tak zachłanny, że nie zrezygnował z dochodów, jakie przynosiła poprzednia inwestytura biskupia w diecezji bolońskiej, przy czym funkcję jej zwierzchnika sprawował aż do swej śmierci za pośrednictwem pewnego wikariusza należącego do rodziny. Ścisłej biorąc, was. Przypominacie sobie? W tamtych czasach musieliście być rośłym diakonem.

Usiłując zachować kamienny wyraz twarzy, Guido usiadł przy pulpicie zgarbiony, jakby ugiął się pod niewidzialnym ciężarem.

– Wspomnienia nikną wśród mgieł dziesięcioleci – wyznał. – Nie pojmuję wszakże, co chcecie udowodnić. Wydobyliście na światło dzienne wiadomości o mojej rodzinie. Zresztą zgodne z prawdą, nie przeczę. I co dalej?

– Może nie wiecie – przeszła do sedna pani de Rocheblanche – że czerpiąc dochody z bolońskich beneficjów, wasz stryj unikał płacenia podatków. Nader zręcznie oszukiwał poborców, fałszując księgi dzięki swej wysokiej pozycji. Nie mógł tego jednak trzymać w tajemnicy przed dawnymi przyjaciółmi, którzy ukrywali jego przestępstwa. Zaliczał się do nich mój wuj, Antoine Tempier.

Biskup zmarszczył czoło.

– Zakładając, że to prawda, jak do tego doszliście?

– Mam dobrą pamięć, Ekscelencjo – odrzekła, decydując się wreszcie, by usiąść naprzeciw niego. – Po przybyciu do Ferrary usłyszałam, jak wymieniano nazwę waszego rodu, i przypomniałam sobie pewne słowa, jakie padły przed laty z ust mego czcigodnego wuja na temat niejakiego Baisia, awiniońskiego audytora. Często opowiadał, jak to przemilczał jego występki, aby nie psuć dawnej przyjaźni, wszelako

gryzły go wyrzuty sumienia, dlatego też nawet dzisiaj gotów byłby wyznać prawdę.

– Niechaj więc uciszy swoje sumienie! – prychnął biskup. – Niby co miałyby mnie to obchodzić?

– Powinno was obchodzić, i to jeszcze jak – sprzeciwiła się Eudeline – albowiem po śmierci wuja wynikający z oszustwa dług obciąża was. Mówię to z własnego doświadczenia, wierzcie mi. Z listu, który znajduje się w moim posiadaniu, wynika, że jesteście winni Kamerze Apostolskiej prawdziwą fortunę.

Guido wychylił się do przodu, zdradzając chęć, by ją pochwycić.

– A gdybym was zmusił do oddania mi tego listu?

Szlachcianka nie zmieszała się ani trochę.

– Tak czy inaczej, pozostałoby świadectwo mego wuja i jego dzienników, skrzętnie skrywanych w murach Świętego Dionizego. Wystarczyłoby jedno moje słowo, by wszcząć dochodzenie, które by was zrujnowało. Zastanówcie się, Eminencjo. Mowa o patrymonium obejmującym kanonie, ziemie, budowle i dobra rozmaitej natury. Biorąc pod uwagę awinioński system podatkowy i metody poboru, bez wątpienia popadlibyście w niełaskę.

Baisio cofnął dłonie niczym zranione szpony.

– Mam potężnych przyjaciół – ostrzegł ją.

– Przyjaciół upasionych na tym samym systemie, wobec którego okazaliście się niewypłacalni?

– Czyżbyście mieli lepszych?

– Nie potrzebuję ich – odparła Eudeline. – Antoine Tempier czeka na moją odpowiedź, a jej treść będzie zależała od tego, czy zechcecie współdziałać. Jeśli nie otrzyma jej po upływie rozsądnego czasu, uzna, że spotkało mnie coś złego, i oskarży was przed władzami kościelnymi.

Guido zmełł przekleństwo, pozwalając sobie na krótką zwłokę, tymczasem jego obojętność przerodziła się w pełną oburzenia rozpacz. Kilkakrotnie już miał coś powiedzieć, za każdym jednak razem gryzł się w język, wreszcie postanowił przerwać milczenie.

– Za jaką cenę wysłalibyście tę przeklętą odpowiedź?

– Pod dwoma warunkami – odrzekła zdecydowanie. – Po pierwsze, przestaniecie prześladować Gualtieria de' Bruniego. Po drugie, uwolnicie mojego brata Maynarda od niedorzecznego dochodzenia, w które go wplątaliście.

Biskup udał, że nie pojmuje.

– Gualtieria de' ... Bruniego? – wydukał.

– Proszę o wybaczenie – wycedziła zimno. – Powinnam była chyba powiedzieć syna Elisy d'Este.

Na te słowa biskup poderwał się jak ukąszony przez węża.

– Kto wam to powiedział? – zapytał piskliwym głosem. – Kto?

Eudeline zrobiła zagadkową minę. Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, jak groźną broń trzyma w rękach. Gdyby list zamiast świadectwa jej wuja zawierał papieską klątwę albo inwektywę, nie wywołałby takiej reakcji. Mimo to nadal nie potrafiła zrozumieć źródła tak ogromnego strachu. Nieszczęsny prałat miał wybałuszone oczy i krótki oddech niczym zwierzę, które obudziło się w klatce, jakby już widział przed sobą potworne niebezpieczeństwo.

– Prześladować, powiadacie! – ryknął Guido, odzyskawszy częściowo panowanie nad sobą. – Nawet gdybym chciał, nie mógłbym nic zrobić dla tego biedaka. Nie wiem, gdzie się skrył.

– Śmiem w to wątpić – zaprotestowała, pomna tego, co wyjawili jej na temat młodzieńca Maynard i ojciec Andrea. Syn kościelnego szpiega, w dodatku o szlacheckich korzeniach, z pewnością nie mógł zapaść się pod ziemię jak zwykły plebejusz.

– Jak uważacie, pani. – Biskup wydał grobowe westchnienie i odwrócił się do okna. Zdążył już zapaść mrok. – Co do waszego brata... – próbował się wykręcić.

– Nie tak szybko, Eminencjo. – Eudeline podeszła do niego z wyniosłością królowej, nie bacząc na otaczającą go aurę złości i strachu. – Żądam gwarancji, że jeśli Gualtiero de' Bruni kiedykolwiek dostanie się w wasze ręce, nie spadnie mu włos z głowy.

Baisio ciągle wpatrywał się w ciemne niebo, na którym widniały smugi delikatnej mgły, aż w końcu na jego obliczu nie pojawił się kpiący grymas.

– Gwarancji? – powtórzył. – Otrzymacie ją dopiero wtedy, gdy będę pewien milczenia waszego wuja.

Zamiast odpowiedzi usłyszał nerwowy śmiech pani de Rocheblanche.

– Godząc się na to, okazałabym łatwowierność. Zwłaszcza że po wizycie awiniońskich poborców zostanie wam niewiele władzy.

Jego Ekscelencja odwrócił się z wściekłością.

– Zmija z was.

Oboje przyglądali się sobie w milczeniu, wyczerpani tą słowną utarczką. Eudeline stała mocno, wyprostowana, tymczasem prałat powoli odzyskiwał przytomność umysłu, tak jakby pogrążenie się w zadumie podziało nań ożywczo. Bez wątpienia zastanawiał się nad więzami łączącymi jego nowego wroga z młodym malarzem i nad tym, co tę niewiastę popycha, aby go bronić. Zachował wszakże te pytania dla siebie, kiedy zaś ponownie przemówił, starał się, aby zabrzmiało to dyplomatycznie.

– Czy dostanę chociaż kilka dni na przemyślenie waszej propozycji?

– Na własną odpowiedzialność – odparła Eudeline.

– Nie każę wam długo czekać.

Jego reakcja była zbyt nieoczekiwana, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Udała, że rozważa jego słowa, po czym pokręciła przecząco głową.

– A co z moim bratem?

– Zawsze darzyłem messer Maynarda najwyższą estymą – wyznał biskup, którego nagle ogarnęły nieprzewidziane wyrzuty sumienia. – W przeciwieństwie do tego, co twierdzą inni, nigdy nie zawiodłem jego zaufania.

– Niemniej wywieracie na niego niezaprzeczalny wpływ – odparowała Eudeline, ani myśląc dać mu czas na wytchnienie. – Chcę znać tego przyczyny, począwszy od kwestii, co każe wam trzymać go w Ferrarze.

– Ależ, pani... – Guido cofnął się – przecież to on uparł się, żeby zostać.

– Nie kłamcie! – Władza nad tym nikczemnikiem napawała ją wewnętrzną rozkoszą. – Maynard nader niejasno o tym mówił, ale od jakiegoś czasu podejrzewam, że jesteście wplątani w jego intrygi. W przeciwnym razie nie przybywalibyście mu tak często z pomocą, narażając się na gniew markiza i niewygodną obecność inkwizycji. Musi tu istnieć związek wspólnych korzyści. Korzyści i... – Zastanawiała się nad ostatnim słowem, jakie przyszło jej do głowy, tak jakby wpadła jej w ręce jakaś wskazówka. – Korzyści i... lęków! – Popatrzyła mu w twarz z drapieżnym błyskiem w oczach. – Czym się trwożycie, Ekscelencjo? Jakie obawy zasiał w was mój brat?

– Zostawcie mnie w spokoju! – zawołał błagalnie Guido, zakrywając nagle twarz. Chwycił się rozpaczliwym gestem ościeżnicy, a z jego gardła wydobył się długi jęk. W jego umyśle musiało się nagromadzić zbyt wiele wzburzenia, zbyt wiele niepokoju.

– Strzeżcie się – pogroziła mu niewzruszona Eudeline – to także stanowi część naszej umowy! Będziecie mi musieli wszystko wyznać albo przysięgam na Boga, że sępy z Kamery Apostolskiej opadną was, nim zdążycie odmówić pacierz!

Drgnął niczym smagnięty biczem.

– Zbyt wiele żądacie... – wymamrotał. – Nie rozumiecie... Mówicie o tajemnicach, których dzielenie z kimkolwiek jest niebezpieczne...

– O tajemnicach, które rozwieją się w świetle dnia – zapewniła szlachcianka. – A więc, Wasza Wielbność, decydujecie się być mężczyzną? Jak już mówiłam, nie zamierzam was zastraszyć, tylko z wami pertraktować. Żebyśmy oboje mogli żyć w spokoju.

Po długim wahaniu Guido di Baisio odsłonił twarz.

– A przychylność waszego wuja?

– Będziecie ją mieli.

Na te słowa prałat skinął potakująco głową. Posiniały i znużony, z cieniem rezygnacji w oczach, usiadł przy pulpicie.

– Stawicie się przede mną dokładnie za siedem dni – wyszeptał, ciężko dysząc – i w mojej obecności napiszecie do wuja list, a ja zadbam o to, żeby moi posłańcy dostarczyli go do bazyliki Świętego Dionizego. To będzie wystarczająca gwarancja, bym mógł wam zaufać. – Zebrawszy ostatnie myśli, dodał: – W zamian dostaniecie moje wyznanie na temat więzów łączących mnie z waszym bratem. Wy zaś już teraz

zobowiązecie się nikomu tego nie wyjawić pod groźbą wiecznego potępienia dla waszej duszy.

– Niech będzie – rzekła niewiasta nadal z marsową miną.

– Wobec tego zawarliśmy pakt, pani.

Eudeline posłała Jego Ekscelencji długie spojrzenie, chcąc się upewnić co do jego szczerości, po czym pożegnała się i ruszyła do drzwi.

– Tak dla ostrzeżenia – oznajmiła na odchodnym. – Jeśli padnę ofiarą waszych zbrojnych albo zorientuję się, że ktoś mnie śledzi, do mego wuja natychmiast trafi zupełnie innego rodzaju wiadomość.

Po czym uwolniła go od swej obecności z wdzięcznym ukłonem.

– Widziałem go, widziałem go – powtarzał w kółko sługa, idąc szybkim krokiem przez plac. Zwał się Duccio i nie mógł mieć nawet piętnastu lat.

Za każdym razem, gdy ich spojrzenia się krzyżowały, Maynarda gryzły wyrzuty sumienia, że wplątał w swe dochodzenie tak młodą istotę. Niecierpliwe pragnienie, by dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie z czerwonym znamieniem, było wszakże silniejsze.

– Opowiedzcie mi wszystko – ponaglił – w najdrobniejszych szczegółach.

– Widziałem go na dworze w niedzielę po południu – odparł chłopiec. – Doskonale pamiętam, bo to było święto Zmartwychwstania Pańskiego. W pałacu odbyła się wielka uczta z mnóstwem wysokiej rangi gości, ale żadna dama nie dorównywała urodą tej, która zjawiła się ostatnia...

– Kogo macie na myśli?

– Damę o rudych włosach! Przyjechała kareta, kiedy uczta dobiegała końca, tylko z jedną osobą z eskorty. To był on, messer. Zbrojny o dość posępnej twarzy, z czerwoną plamą nad lewym okiem.

Rocheblanche przestał zważać na drogę, a tym bardziej na ludzi, którzy szli obok niego w mroku. „Niewiasta o rudych włosach”, zastanawiał się. Czyż opis ten nie odpowiadał opisowi postaci, jaką łowca wilków widział na grzbiecie bestii na czele procesji z latarenkami?

– A co do tej damy – mruknął. – Słyszeliście jej imię?

– Nie miałem sposobności – odparł Duccio. – Za to nie spuściłem z oka jej towarzysza. Zamiast wziąć udział w uroczystościach, pozostał na dziedzińcu, pilnując karety.

– I co dalej?

– Dalej... Nie zrobił nic niezwykłego. Zdrzemnął się trochę na koźle. Szpiegowałem go, jak tylko miałem wolną chwilę, dopóki nie zobaczyłem, że gotuje się do odjazdu. Wtedy przyczałem się za żywopłotem i podążyłem za nim.

Maynard zmierzył go osłupiałym wzrokiem.

– Na piechotę?

Sługa przytaknął.

– Po ciasnych uliczkach Ferrary tego rodzaju pojazdy poruszają się powoli. Jeśli człowiekowi starczy tchu, żeby biec, i dobrze zna skróty, da sobie radę.

Rycerz z zadowoleniem zmierzwił mu czuprynę dobrodusznym gestem.

– O ile dobrze zrozumiałem, mężczyzna odjechał sam.

– Owszem, nie czekając na damę.

– I udaliście się za nim aż do jego domu?

Po raz kolejny Duccio skinął potakująco głową.

– Stoi na skraju *Burgus Superior*.

– Zauważyliście, czy są tam strażę?

– Ani strażę, ani psów. To skromna budowla z dziedzińcem, otoczona wystarczająco niskim murkiem, żebym mógł rzucić okiem.

– Świetnie się spisaliście. – Maynard zanurzył palce w sakiewce i wręczył mu srebrnego solda, po czym ostrożnie rozejrzał się dokoła. Zdażyli już minąć Świętego Romana i zmiierzali na południe drogą obok klasztoru Świętego Jakuba. Mężczyzna przystanął w podcieniach i odciągnął młodzieńca na bok. – Zaraz się przekonamy – szepnął, gdy tylko znaleźli się w osłoniętym miejscu – czy potraficie pokonać kolejną trudność.

– Zamieniam się w słuch, messer – pisnął sługa, drżąc ze strachu.

– Wiele miesięcy temu wspomnieliście coś o zjawie jaśnie pani Ariosti. Przypominacie sobie?

– Doskonale. Poradziliście mi, żebym nie słuchał podobnych banialuk.

– I ponawiam radę – rzekł rycerz. – Wszelako przy tej sposobności wyraziliście podejrzenie, że owa niewiasta została zamordowana.

Chłopiec nagle się cofnął.

– Proszę o wybaczenie – wybełkotał – musiałem się pomylić.

– Doprawdy? – Maynard wpatrywał się weń nieufnie. – O ile mnie pamięć nie myli, byliście raczej pewni.

– Cóż, ja... Jak to wyjaśnić... Powtarzałem tylko pogłoski.

– Rozpuszczane przez kogo?

– Nie pamiętam.

Na te słowa Rocheblanche przysunął się do chłopca z groźną miną.

– Lepiej, żebyście odświeżyli sobie pamięć – przynaglił. – Nie zadaję wam tych pytań dla własnego widzimisie, ale z rozkazu biskupa Ferrary. Czy to jasne? Wolicie udzielić odpowiedzi przede mną czy osobiście przed Jego Ekscelencją?

Biedny Duccio przywarł do ściany.

– O mój panie, wybaczcie! – zawołał cały roztrzęsiony. – Ja... Ja nie wiedziałem, że działacie w imieniu *monsignore* Guida.

– Milczeć! – rozkazał Maynard, usłyszawszy odgłos kroków. Odwrócił się raptownie, próbując coś wypatrzeć w ciemnościach, w końcu ponownie spojrzął na sługę. – No dalej, synku, powiedzcie wszystko jak na spowiedzi.

– Markiz nie chce, żeby o tym mówić – chlipnął chłopiec. – Służkę markizy ukarano chłostą, bo o tym wspomniała.

– Markiz się o tym nie dowie – obiecał Francuz. – A teraz wyjaśnijcie mi, co ma

z tym wspólnego słuźka.

– Cóż, widzicie... – Duccio przełknął ślinę. – To ona przygotowywała Lippę Ariosti, aby odprowadzono ją uroczyście do kościoła Świętego Franciszka. Nałożyła jej szaty, w których tego samego dnia powiedziano ją do ołtarza i do grobu. I właśnie wtedy zauważyła ranę.

– Jaką ranę? – Rocheblanche podskoczył.

Sługa zawahał się przed odpowiedzią.

– Tę, którą markiza miała w brzuchu.

Czający się pod arkadą podglądacz zmełł w ustach przekleństwo.

W spokojniejszym skrzydle Pałacu Signorii w blasku świecy do swych komnat zmierzał właśnie szlachetny Aldobrandino. Znużony i w podłym nastroju, włókł się noga za nogą, pragnąc opaść na łożo. Zastępowanie ojca w rządzeniu było wyczerpującym zajęciem. Pragnął, by Obizzo jak najprędzej wrócił i osobiście poświęcił uwagę miastu oraz szeptom intrygantów, pochlebców i urzędasów, które rozbrzmiewały w korytarzach nawet po zachodzie słońca.

Ach, gdybyż tylko mógł ich uciszyć! Wydawało się, że na dworze nie ma ani jednego człowieka, który byłby w stanie uczynić z honoru siłę zamiast słabości. Kolejny powód, by żałować, że potraktował messer Maynarda w taki sposób.

Aczkolwiek Aldobrandino był przekonany, że miał on coś wspólnego ze śmiercią jego matki, uważał, że jest zbyt prawy, by spiskować przeciw wysoko urodzonej szlachciance. Właśnie z tego powodu chciał go sprowokować, nawet za cenę rzucenia oskarżenia. Zamiarował wzbudzić w nim poczucie obowiązku, mimo że złość, boleść i tysiące podejrzeń kazały mu zachować zimną krew, drażniąc dumę Rocheblanche'a.

Z zamyślenia wyrwało go drżenie płomyka. Znajdował się przed drzwiami do komnaty w całkowitej samotności, wszelako odnosił wrażenie, że ktoś go szpieguje. Wyczuł ostrą woń, ostrzejszą niż woń kadzidła, i jął się zastanawiać, skąd dochodzi.

– *Pro bono malum* – wyszeptał ktoś za jego plecami.

Odwrócił się z sercem w gardle.

– Matko, czy to wy? – zapytał odruchowo. Wpatrywał się w mroczny korytarz, rozdarty między zdumieniem a lękiem. Ten głos... Ten głos... Czy to możliwe, żeby to była ona? To musiał być sen!

– *Pro bono malum* – rozległo się znów, tym razem wyraźniej. I niechaj mu Bóg wybaczy, ale to był głos Lippy Ariosti!

Tymczasem cienie jęły się poruszać, jakby przybrały postać kłębow dymu albo głowy Meduzy. Aldobrandino postąpił niepewnie krok do przodu, trzymając świecę przed sobą w nadziei, że dojrzy wyłaniającą się z piekieł postać matki.

Z ciemności wynurzyła się natomiast włochata łapa grubości łapy niedźwiedzia. Pazury drapały posadzkę z potwornym chrobotem.

Panicz cofnął się gwałtownie ze wzrokiem utkwionym w przerażającą istotę, która

z wolna nabierała kształtów. Po czym z jego ust wydobył się krzyk.

A potem pogrążył się w otchłani.

Dom człowieka z czerwonym znamieniem wznosił się niezbyt daleko od miejsca, z którego zimą Maynard pozwolił mężczyźnie uciec. Można się tam było dostać ulicą Sklepień, wiodącą do kościoła Matki Boskiej przy Ujściu, następnie należało skręcić na południe, ku na wpół wyludnionej dzielnicy położonej między bramą Świętej Agnieszki a bramą Świętego Piotra.

Po drodze rycerz nie przestawał wypytywać Duccia.

– Rana od sztyletu, jesteście pewni?

– Tak twierdzi służka markizy – westchnął młodzieniec.

Rocheblanche nie przejął się jego zakłopotaniem, zbyt był bowiem pochłonięty dopasowywaniem fragmentów mozaiki, która okazała się obszerniejsza, niż przypuszczał. Jeszcze nie wiedział dlaczego, domyślał się jednak, że hipoteza na temat związku pomiędzy spiskiem przeciwko Estom a śmiercią Lippy nie jest aż tak nedorzeczna. Ponadto czuł, że zbliża się do rozwiązania zagadki.

Podszedł do murku otaczającego dom wskazany mu przez chłopca i zerknął ponad furtką.

– Śledziliście go aż do tego miejsca? – upewnił się.

Duccio przytaknął.

– Zaczekajcie na mnie tutaj, w cieniu – polecił Maynard i przeskoczył przez ogrodzenie.

Wszystko wyglądało tak, jak opisał sługa. Skromna chata z tak ciasnym dziedzińcem, że z trudem zmieściła się tam stajnia z jedynym koniem u żłobu. Ani śladu karety. Nikłe światło wpadające przez okna pozwalało wszakże dojrzeć ślady kół w błocie.

Rocheblanche ruszył ku małej werandzie, pragnąc, by opowieść Duccia sprawdziła się również w kwestii braku straży. W istocie nie dostrzegł ani jednego zbrojnego. Szybko minął wejście i przywarł do przymkniętego okna, przez które zobaczył jakąś postać siedzącą przy ogniu.

Nie potrafiłby powiedzieć, czy to osobnik, którego szukał. Najwyraźniej był sam, nie mógł więc zmarnować takiej sposobności.

Z ręką na sztylcie powoli otworzył drzwi i wśliznął się do środka. Ów sposób działania z pewnością nie napawał go dumą, wszelako spieszo mu było uzyskać odpowiedzi. Poza tym już raz został wywiedziony w pole, nie zamierzał zatem czekać kolejne miesiące na trzecią sposobność.

Mężczyzna przed kominkiem siedział na zydlu pogrążony w półśnie. Maynard podszedł ukradkiem, by spojrzeć mu w twarz, ledwie jednak znalazł się tuż obok, tamten raptownie się obudził. Instynktownie zatkał mu usta, grożąc, że ugodzi go ostrzem. To był on, do kroćset! Czerwona plama nad lewym okiem nie pozostawiała

cienia wątpliwości.

– Teraz sobie porozmawiamy, na miły Bóg! – powiedział z rosnącym podnieceniem. – Wyśpiewacie mi wszystko!

Na widok sztyletu nieszczęśnik powstrzymał się od nieprzemyślanej reakcji. Jego wzrok, pełen zdumienia, a następnie złości, spoczął na Rocheblanche'u.

– Możecie sobie patrzeć z ponurą miną do woli. – Rycerz zabrał dłoń z jego twarzy. – Dla mnie ważne jest tylko to...

– Do mnieeee! – wrzasnął mężczyzna, gdy tylko mógł swobodnie mówić. – Zbir Estów! Do mnieeee!

Maynard nie zdążył się zorientować, co się dzieje, a już przez boczne drzwi wpadło dwóch osiłeków. Cofnął się, by go nie dosięgli, przełożył sztylet do lewej ręki i pochwycił z kominka płonące polano, aby trzymać ich z daleka.

Mężczyzna ze znamieniem skorzystał z tego, by czmychnąć ku wyjściu. Rocheblanche podstawił mu nogę, po czym zajął się obydwoma przybyszami. Nosili plebejskie odzienie i nie mieli broni, za to byli słusznej budowy. Pierwszego porządnie ugodził polanem w skroń, następnie odparł atak drugiego. Zrobiwszy unik, zaszlachtował go jak wieprza.

Tymczasem zbieg, któremu podstawił nogę, podniósł się z podłogi i wziął nogi za pas. Próbując go złapać, Rocheblanche poczuł, że ktoś ściska mu szyję. Napastnik miał silne ramiona, nie potrafił jednak zastosować odpowiedniego chwytu. „Niedoświadczony wojownik”, pomyślał Francuz, wypuszczając z rąk polano. Dał susa w tył i jął się szarpać, dopóki nie odsunął się na wystarczającą odległość, by się wyswobodzić.

– Śmierć Estom! – ryknął rywal, dotykając skaleczonej skroni.

Zamiast odpowiedzi Rocheblanche zrobił unik, machając połą płaszcz, i powalił go na ziemię pięścią. Następnie rzucił się na zewnątrz i zdążył jeszcze zobaczyć, jak mężczyzna ze znamieniem ucieka, dosiadając na oklep wierzchowca.

– Tchórz! – wysyczał, goniąc go przez chwilę.

Dotarłszy na ulicę, przystanął, sięgnął prawą ręką pod płaszcz i wydobył małą kuszę. „Sam tego chciałeś, psi synu”. I strzelił.

Świst w powietrzu. Zbieg runął na ziemię, tymczasem koń popędził dalej, znikając pośród spowitych w mroku fasad.

– Trafiliście go! Trafiliście go! – wykrzyknął Duccio, wyłoniwszy się z kryjówki w pobliżu padłego uciekiniera.

– Żyje jeszcze? – zapytał Rocheblanche, podbiegając długimi susami.

Sługa się pochylił.

– Ledwie dycha...

Po chwili Maynard sam go odwrócił i obejrzał. Bełt przebił na wylot szyję i spowodował gwałtowny krwotok. Wiedząc, że ma mało czasu, chwycił konającego

za kołnierz i potrząsnął nim.

– Mówcie! – rozkazał. – Zdradźcie imię waszego pana!

Jedyną odpowiedzią było tchnienie duszy opuszczającej ciało.

Gdybyż tylko diabłu tak się nie spieszyło, by domagać się tego łotra! Maynard zawrócił, przeklinając samego siebie i piekło. Teraz, gdy jedyny podejrzany już nie żył, uczeplił się słabej nadziei, że natrafi na jakąś wskazówkę w domu, w którym go znalazł.

Z depczącym mu po piętach Ducciem wszedł na korytarz i przekroczył próg pod werandą. Natychmiast się zorientował, że ranny w skroń rzezimieszek zdążył się ulotnić. W nagiej izbie pozostał trup jego kompana.

– Tu nic nie ma – skwitował sługa, rozejrzawszy się dokoła.

Rocheblanche'a kusiło, by go uciszyć, lecz się powstrzymał. Chłopiec miał słuszną rację. Bez względu na to, jakiej mężczyzna z czerwonym znamieniem strzegł tajemnicy, najwyraźniej w tych murach nie został po niej żaden ślad. Francuz omiótł izbę uważnym wzrokiem, nie potrafiąc dostrzec dokumentów, herbów ani jakichś znaczących przedmiotów. „Czy to możliwe?“, zapytał sam siebie w przyływie gniewu. „Możliwe, żeby dosłownie nic tu nie było?“

Zajrzał do wnętrza żłobu, po czym go przewrócił, potem przetrząsnął kufer pełen gałganów i zwałił stojak, na którym wisiał pospolitych kształtów miecz. Nic! Następnie zajął się przyległymi izbami, nędznymi kłitkami bez okien. Trochę pieniędzy, świece, zapas drewna... Wyglądało na to, że nic więcej tam nie ma.

Poddawszy się rozpacz, Maynard wrócił do pomieszczenia, w którym rozegrała się potyczka, i obejrzał wylot kominka. Miał ochotę krzyczeć, zniszczyć wszystko, co mu wpadnie w ręce. Jedynie obecność młodego Duccia zmuszała go do trzymania się w ryzach.

Och, gdybyż ten przeklęty bełt trafił odrobinę niżej!

Rąbnął pięścią w belkę kominka, nie bacząc na ból, który rozchodził się od kłykci aż po grzbiet dłoni. „Idź precz“, szepnął jakiś wewnętrzny głos. „Idź precz z tego miasta“.

Nagle owo wołanie rozplynęło się w powietrzu.

Coś wzmoгло jego czujność. Jakiś przedmiot nad belką, tak bardzo na widoku, że go wcześniej nie zauważył.

Portret niewiasty.

Ogarnięty niespodziewanym wrażeniem, że już widział to oblicze, Maynard podszedł bliżej, aby mu się dokładnie przyjrzeć. Rude włosy, alabastrowa cera, zmysłowe wargi...

Z dreszczem triumfu poczuł, że znalazł to, czego szukał.

DZIELNICA BOCCACANALE

Gdy Guido di Baisio stawił się w tajemnej siedzibie Bertranda du Pougeta, wiał wiatr zwiastujący burzę. Zdążyła już nadejść noc i panował chłód, w głowie kłębiło mu się jednak tak wiele myśli, że nie potrafił zaczekać do rana.

Kardynał przyjął go niechętnie, niemal z drwiną.

– Ekscelencjo – przemówił – miałem silną pokusę, by zostawić was pod drzwiami.

– Z jakiego powodu? – szepnął prałat, rzucając płaszcz na krzesło.

Bertrand nagle sposepniał.

– Jeszcze raz zakpicie z mojej bystrości, a pożałujecie – pogroził, celując weń palcem. – Gdybyście się niefortunnie nie wtrącili, już miałbym Rocheblanche’a w garści.

Guido stał, wpatrując się weń lodowatym wzrokiem. Pośpiech, z jakim pragnął naprawić szkody, kazał mu zapomnieć o ostatnich wydarzeniach.

– Rocheblanche... Rocheblanche... – powtarzał zmieszany. – Czyż naszym celem nie było zatrzymanie go jak najdłużej w Ferrarze? Otóż uznałem, że najskuteczniejszym sposobem będzie przeciągnięcie dochodzenia, ile się tylko da, nawet gdyby miało się okazać bezowocne. Dlatego też zwróciłem się do naczelnego wodza, aby podesłał mu zbrojnych, którzy pomogliby mu w poszukiwaniach.

– Taką taktyką odsunęliście go od konwentu Świętego Dominika i od moich szpiegów. Nieszczęsny! Jestem niemal skłonny uwierzyć, że to celowe działanie.

– Ależ, Eminencjo... Chyba nie sądzicie...

– Właśnie że tak! – oskarżył go Bertrand. – Od jakiegoś czasu odnoszę wrażenie, że gryzą was wyrzuty sumienia, zapytam więc bez ogródek: darzycie tego rycerza życzliwością?

Guido poczuł ukłucie w sercu i odruchowo przypomniał sobie swój pobyt w Pomposie, gdy szalała czarna śmierć. W owych dniach intryg, objawień i trwogi tylko jeden człowiek okazał się tak nieustraszony, by opuścić klasztor w poszukiwaniu jada i medykamentów. Biskup nieustannie zadawał sobie pytanie, co kazało mu za każdym razem powracać, zamiast uciekać i chronić własną tajemnicę. Spuścił głowę z westchnieniem.

– Ocalił mnie przed zarazą.

– Ostrożnie, Ekscelencjo – ostrzegł du Pouget. – Bywają dużo gorsze losy.

– Pozwólcie mi wyjaśnić – dodał pospiesznie Baisio. – Wcale nie zamierzam się

przeciwko wam buntować. Zawsze byłem wobec was lojalny i chyba potrafiłem tego dowieść. Wszelako bez względu na popełnione przez niego błędy i na to, kim jest w waszych oczach, nie można odmówić Rocheblanche'owi ogromnego hartu ducha.

Kardynał wpatrywał się weń z grymasem niedowierzania.

– Chcielibyście zatem ubrać oszustwo w płaszczyk moralności? – zgromił go. – Na litość boską! Staliście się większym hipokrytą niż wasz przyjaciel opat!

Obrzucanie błotem ojca Andrei go rozsierdziło. Wprawdzie był czas, kiedy podzielał ów pogląd, teraz jednak uważał się za innego człowieka. Może bardziej wrażliwego, ale zarazem przekonanego o własnej wielkoduszności. Był to powolny proces, który zakończył się po Wielkanocy, kiedy wielbny Andrea zaprosił go do Pomposy, aby pokazać mu wyniki reformy duchowej przeprowadzonej zgodnie z *De perfectione monachorum*. Wyniki godne podziwu, jak stwierdził, niemożliwe do uzyskania, jeśli nie pójdzie się w ślady dzielnego messer Maynarda. Biskup doskonale znał siłę tej odwagi, do tego stopnia, że poczuł się w obowiązku ukryć przed Bertrandem du Pougetem część poznanej prawdy.

– Mam tylko na myśli to – ośmielił się powiedzieć – że taki święty przedmiot jak *Lapis exilii* zasługiwałby na godniejsze dochodzenie.

– Godniejsze dochodzenie – wycedził złośliwie kardynał. – Rzeknijcie no... Czy w imię tego coś przede mną zatailiście?

Biskup spochmurniał.

– Ależ skąd, Eminencjo!

– Jesteście pewni? Zwabiliście mnie do Ferrary listem, w którym była mowa o Maynardzie de Rocheblanche'u i jego tajemnicy, *Lapis exilii*. Pisaliście, że dowiedzieliście się o tym od niego samego, ale że ów człowiek nigdy, przenigdy nie zdradziłby miejsca ukrycia tego cymelium. Wszelako... Moje podejrzenia budził zawsze brak pewnego szczegółu.

– Pewnego... szczegółu?

Bertrand przytaknął.

– *Lapis exilii* chroni zagadka spisana na skrawku pergaminu, który widziałem na własne oczy przed szesnastu laty, lecz nie zdążyłem przeczytać jej treści. Pozostała w rękach króla Jana Ślepego, a po jego śmierci nowym strażnikiem tajemnicy został Rocheblanche. Chociaż przypuszczam, że ten niegodziwiec gdzieś ją ukrył, dziwi mnie... aż nadto mnie dziwi, że nic wam o tym nie wspominał.

Guido odniósł wrażenie, że kardynał wyczuwa jego strach. Przewyciężył odruch, by się wycofać, i udał, że nie pojmuje.

– Przykro mi, nie rozumiem, o czym mówicie.

– W takim razie – prychnął purpurat – można wiedzieć, po coście tu przyszli?

Mimo że jego reakcja była gwałtowna, w gruncie rzeczy uspokoiła Guida. Biskup westchnął głęboko i podszedł do pulpitu w nadziei, że otrzyma zaproszenie, by usiąść.

– Odwiedziła mnie wielmożna pani Eudeline de Rocheblanche.

Bertrand wybałuszył oczy.

– Siostra messer Maynarda? Jest w mieście?

– Jeszcze parę godzin temu też o tym nie wiedziałem.

– A cóż ją przywiodło przed wasze oblicze?

– Instynkt opiekuńczy wobec brata oraz... niejakiego Gualtieria de' Bruniego.

– De' Bruniego? A co to za jeden?

Biskup zawahał się przed odpowiedzią, po czym przemknęło mu przez myśl, że przecież tkwiący przed nim prałat stał na czele sieci wysłanników i zauszników, do której należała sama Elisa d'Este.

– Dla tego, kto nie zna jego prawdziwych korzeni, Gualtiero jest młodym malarzem z plebsu. W istocie jednak chodzi o syna Passerina de' Bonacossiego i Elisy d'Este.

– Bonacossi, senior Mantui. – Bertrand zacisnął powieki. – Pamiętam, powiadano, że zmarł, nie zostawiwszy potomstwa. Z kolei Elisa d'Este... To imię... Ależ tak, oczywiście! Szpieg! Zmarła na zarazę w fortecy Villeneuve w pobliżu Awinionu.

Guido skinął głową.

– To ja wydałem rozkaz, by ją tam uwięziono po tym, jak widam zupełnie przypadkiem ją rozpoznał. Spodziewam się, że pojmujecie niebezpieczeństwo, gdyby rozeszły się pogłoski o intrygach, jakie owa niewiasta snuła na polecenie Kościoła...

– W istocie dobrze postąpiliście. – Wreszcie purpurat wskazał mu krzesło. – Przypominam sobie młodego pielgrzyma, który trafił do bram Awinionu i pytał o nią...

– Gualtiero de' Bruni, jak mniemam – odparł biskup, zajmując miejsce.

Coraz bardziej zaciekawiony du Pouget usiadł naprzeciwko.

– Cóż, Ekscelencjo, co łączy wielmożną panią Eudeline z tymi osobami?

– Tego nie wiem. Przybyła tylko po to, by stawiać warunki, usiłując coś wymusić.

– Wymusić?

– Jest kilka długów zaciągniętych przez mego czcigodnego stryja Guidusa Baysiusa, audytora Awinionu – wyjaśnił pospiesznie biskup. – Wielmożna pani Eudeline grozi, że powiadomi o nich papieskich poborców, jeśli nie spełnię jej żądań.

– Zatem – doszedł do wniosku kardynał – przybyliście tu, żeby prosić mnie o pomoc.

Baisio oblał się szkarłatem ze wstydu na myśl o przeprowadzonej przez nich dopiero co rozmowie. Wszelako był zmuszony przytaknąć.

– Gdybyście mogli się za mną wstawić u waszych przyjaciół z Kamery Apostolskiej...

Bertrand zmierzył go rozbawionym wzrokiem.

– Gdzie się podziało wasze poczucie przyzwoitości?

– Ta niewiasta ma mnie w garści – odrzekł nieśmiało biskup. – Gdybym odmówił spełnienia jej żądań, byłbym zrujnowany, w przeciwnym zaś razie musiałbym zignorować groźbę, jaką stanowi syn Elisy d’Este.

– Pojmuję wasze racje, ale nie racje Eudeline – oznajmił coraz bardziej zamyślony Bertrand. – Po co zaprzętać sobie głowę jakimś młodym malarzem? To by nie miało sensu, chyba że... – uderzył otwartą dłonią w poręcz i spojrzał na Guida z nagłą ekscytacją – tego całego Gualtieria de’ Bruniego coś łączy z Maynardem de Rocheblanche’em!

– To możliwe, Eminencjo. Obaj przez długi czas mieszkali w Pomposie. Może się zaprzyjaźnili, a nawet...

– Mają wspólne tajemnice?

Biskup drgnął.

– Nie wykluczam tego.

Du Pouget pozwolił sobie na chwilę milczenia, po czym posłał mu groźny uśmiech.

– Pomogę wam, Ekscelencjo – obiecał. – Postaram się, żeby długi waszego stryja zostały wykreślone z ksiąg rachunkowych Kamery Apostolskiej. Ale tylko pod warunkiem, że oddacie w moje ręce zarówno Gualtieria de’ Bruniego, jak i Eudeline de Rocheblanche.

– Ale... – wyjąkał mocno zmieszany Guido. – W tej chwili Gualtiero jest nieuchwytny, co zaś do Eudeline, gdyby tylko wyczuła niebezpieczeństwo, nie zawahałaby się mnie zniszczyć!

Śmiech kardynała zmroził mu krew w żyłach.

– Jeszczeście nie pojęli, biedny głupcze? Już jesteście zniszczeni! Zawiedliście moje zaufanie i oczekiwania. – Poderwał się, chwycił go za ramię i zawlókł do wyjścia z zaskakującą siłą.

Biskup wbrew swej woli znalazł się przed otwartymi drzwiami, zalękniony, niezdolny wykrztusić choćby słowa.

– Pozostaje wam tylko mieć nadzieję – ciągnął Bertrand – że gdy cała ta sprawa dobiegnie końca, zadowolę się, widząc was u moich stóp. I to nie na szubienicy, lecz odartego ze skóry jak dzikie zwierzę!

Po tych słowach Guida di Baisia czekały wyłącznie lodowate objęcia nocy.

Pałac Signorii wyróżniał się olbrzymią ciemną sylwetą na tle nocy. Górował nad placem chłostanym wiatrem i obfitym deszczem, który wylewał się na bruk, tworząc potoki błota. Rozświetlony nagłą błyskawicą Maynard wyłonił się z dzielnicy Świętego Romana i w strugach wody pobiegł ku siedzibie markiza. Podążały za nim dwie postacie w czarnych płaszczach.

Widząc go, jeden ze zbrojnych stojących w wejściu pod łukiem zagroził mu włócznią.

– Czyście postradali rozum, messer? – wykrzyknął, każąc mu trzymać się z daleka. – W taką pogodę i o tak późnej porze!

– Zagradzając mi drogę – ostrzegł Rocheblanche – nie wpuscicie też fratrów od Świętego Dominika, którzy mi towarzyszą. – Wskazał zakonników za plecami. – Jeden z nich to Lamberto da Cingoli, inkwizytor Ferrary.

Jakby dla podkreślenia jego słów jedna z okutanych postaci postąpiła naprzód i zsunęła przemoczony kaptur.

– Cóż to za zwłoka? – zapytała gromkim głosem, odsuwając zbrojnych władcym gestem. – Messer Maynardzie, bracie Prudenzio, za mną! – Nie czekając na pozwolenie, ruszyli ku westybulowi. – Nie ma czasu do stracenia!

Błyskawice rozświetlały pałacowe korytarze nieziemskim blaskiem, wywołując trwożliwe piski brata Prudenzia. Nie bacząc na owo lwie serce, Rocheblanche zmierzał szybkim krokiem ku komnatom messer Aldobrandina. Lamberto da Cingoli podążał u jego boku, spoglądając płonąącym wzrokiem.

– Jeszcze mi nie wyjawiliście powodu tak wielkiego pośpiechu – przypomniał. Mówił szeptem, aby jego słowa nie doszły do uszu prowadzącego ich zbrojnego.

Maynard nie chciał wdawać się w wyjaśnienia. Zwrócił się do brata Lamberta wyłącznie po to, by mieć pewność, że zostanie wpuszczony do pałacu w środku nocy. Nie miał czasu na ocenę, czym groził ten wybór, pilno mu bowiem było uzyskać dowody. Zdołał coś mruknąć w odpowiedzi, kiedy towarzyszący im strażnik niespodziewanie się odezwał.

– Dzisiejszej nocy panicz źle się czuje – oznajmił.

– Co to znaczy? – zapytał Rocheblanche.

Zbrojny wzruszył ramionami.

– O zmierzchu panicza Aldobrandina zmoęła nagła choroba. Wygląda na to, że już doszedł do siebie, chociaż nadal wydaje się... jak by to powiedzieć... wstrząśnięty.

– Dziwne jest to, co mówicie. Widziałem się z nim dziś wieczorem i wszystko

wskazywało na to, że cieszy się znakomitym zdrowiem.

– Sęk tkwi nie w zdrowiu – odparł lakonicznie zbrojny.

Nie dodał nic więcej przez całą drogę do komnat Aldobrandina, który ukazał się w progu blady jak płótno.

– Messer... – wydyszał młodzieniec, zwracając się bezpośrednio do Maynarda. Miał błędny wzrok, drżały mu wargi.

Wprawdzie rycerz wiedział, że tamten niedomaga, z pewnością jednak nie spodziewał się takiej przemiany.

– Wasza Wielmożność – cofnął się z przepaszającym gestem – gdybym zdawał sobie sprawę z waszego stanu, nigdy, przenigdy nie ośmieliłbym się...

– Nie, nie – przerwał syn markiza, wpuszczając go do środka. – Ale tylko wy – dodał czym prędzej, omiatając nieufnym spojrzeniem obydwu dominikanów. – Tylko wy.

Zamknawszy drzwi do komnaty, Aldobrandino podszedł do krzesła i opadł na nie wyczerpany. Miał na sobie nogawice i nocną koszulę, co wskazywało na niezdrowe niezdecydowanie, czy powinien zasnąć, czy czuwać.

Rocheblanche zerknął na rozgrzebane łoża i zapalone świece – zbyt wiele jak na nocną porę – zastanawiając się, co trapi młodego pana. Jego czujność wzbudził widok sztyletu na pościeli.

– Złe samopoczucie nie wymaga używania broni – mruknął niemal do siebie.

– Wieść o złym samopoczuciu to kłamstwo – wyjaśnił panicz, opuszczając głowę na oparcie. – Rozgłosiłem ją, żeby nie wzbudzać trwogi na dworze.

– Trwogi?

– Takiej samej, jaka mnie zdjęła, messer. – Syn markiza szarpnął za wycięcie koszuli, jakby się dusił. – W nocy widziałem... Widziałem coś, czego nie potrafię wytłumaczyć.

– Zechcielibyście mi o tym opowiedzieć?

– To niełatwe, daję słowo... Czy wierzycie w *visiones*?

Maynard odsunął zasłonę i dostrzegł szalejącą na zewnątrz burzę.

– Podobno prawdziwe są tylko wizje świętych i królów. Głos Boga, jak twierdzą teologowie.

Aldobrandino zachichotał nerwowo. Chociaż najwyraźniej obecność rycerza sprawiała mu ulgę, jego wzrok nadal szukał czegoś wśród cieni.

– Nie wiem, czy było to dzieło Boga, diabła, czy jakiś podstęp – rzekł, próbując opanować niepokój. Napełnił puchar wodą i wychylił duszkiem. – Po zmroku, kilka kroków od tej komnaty, stanąłem oko w oko z bestią... Ni to wilkiem, ni to kozłem, może obydwoma naraz. Wyłoniła się z ciemności jak... jak zły sen!

Rocheblanche, którego uderzył bardziej rozgorączkowany wyraz twarzy młodzieńca niż jego słowa, przypomniał sobie z drżeniem opis Silvana da Focomorto.

Bestia, którą ujrzał w zaroślach na czele procesji z latarenkami! Bestia, której tak długo szukał w ferraryjskich borach! Podszedł do młodzieńca i wpatrzył się w jego oczy, w których czaiło się szaleństwo.

– Czy zrobiła wam krzywdę?

Aldobrandino pokręcił głową.

– Musiałem stracić przytomność, bo nic nie pamiętam... Poza tym głosem.

– Jakim głosem?

Syn markiza poderwał się i grubiańsko go odsunął.

– Głosem niewiasty, messer. Głosem, który, przysięgam na Maryję Dziewicę, należał do mojej matki. Tak, do mojej matki! – wykrzyknął. – Dobiegał z mroku, z jakiegoś odległego miejsca, dokąd mój wzrok nie zdołał sięgnąć... A jednocześnie jakby była blisko, obok mnie...

Francuz poklepał go po ramieniu, aby przywołać do rzeczywistości.

– Jakie słowa wypowiedziała?

Aldobrandino zawahał się, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. W końcu wyrecytował z bolesnym grymasem:

– *Pro bono malum.*

Maynard pokiwał głową. Chociaż w osobliwy sposób, słowa te potwierdzały z logiką jego podejrzenia. Poglądził brodę, pozwalając sobie na chwilę wytchnienia, aby uporządkować myśli. Nie trzeba dręczyć chłopca kolejnymi pytaniami na temat owego przerażającego przeżycia. Nie trzeba nawet dzielić się własnymi poglądami w tej kwestii. Powrócił więc do motywu, który go tu przygnał, i popatrzył na młodzieńca z powagą.

– Wiecie przypadkiem, czy może ostatnimi czasy ojciec nie przyjął w pałacu jakichś nowych gości?

Pytanie zbiło chłopca z tropu.

– Sam nie wiem – mruknął. – Obecnie niemal ciągle wyjeżdża, żeby zdławić bunty na wsi. Z kolei mnie tak bardzo pochłaniają obowiązki, że nie zwracam uwagi na takie błahostki.

„Wcale nie takie znów błahostki”, pomyślał z goryczą rycerz. Wzruszył ramionami i spojrział na drzwi.

– Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak zwrócić się do samego Obizza – oświadczył.

– Stójcie! – Aldobrandino poczerwieniał. – Co przede mną ukrywacie?

– Musicie mi zaufać – uciszył go Rocheblanche, przybierając uspokajający ton, którym uczył go fechtunku. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to dla was trudne, w tej jednak chwili mogę wam tylko poradzić, byście zachowali czujność i nie wierzyli w te osobliwości, o których mi właśnie opowiedzieliście. Odkryję prawdę o waszej matce, przysięgam. – Już miał się pożegnać, wszelako przypomniawszy

sobie, kto na niego czeka za progiem, ponownie przemówił do młodzieńca. – Ostatnie pytanie, jeśli pozwolicie: dlaczego nie chcieliście przyjąć brata Lamberta da Cingoli i jego konfratra?

– Taki był rozkaz pana ojca – odparł młodzieniec, siadając na posłaniu. – Z nieznanymi mi przyczyni kategoriycznie zabronił mi widywania się z tym zakonnikiem.

Nader zaciekawiony Francuz poprzestał na ukłonie.

– Odpocznijcie, Wasza Wielmożność – powiedział. – Czekają was trudne dni.

Ledwie opuścił komnatę, rzucił się nań brat Lamberto.

– Cóż – wysyczał dominikanin – czekam na wyjaśnienia!

Rocheblanche nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, tylko ruszył szybkim krokiem ku wyjściu z pałacu.

– Na razie to jedynie domysły. Najpierw będę musiał je sprawdzić.

– To nie do przyjęcia! Żądam wyjaśnień.

– Otrzymacie je, lecz nie teraz.

Na te słowa Lamberto da Cingoli wczepił swe haczykowane palce w jego ramię.

– Jak śmiecie zrywać mnie po nocy, a potem wszystko przede mną zatajać?

– Pobłogosławcie pałac, *magister*. – Maynard wyswobodził się, przewracając go na ziemię. – Dzięki temu wasza obecność nie okaże się daremna.

Jeszcze trochę, a z nozdrzy inkwizytora buchnęłyby płomienie.

– Wy... wy... – Odepchnął brata Prudenzia, który przybiegł mu z pomocą, i poderwał się na nogi.

– Zapłacicie mi za to, messer!

Rocheblanche zdążył już dotrzeć do wyjścia. Za bardzo się spieszył, by przystawać i słuchać. Musiał się rozmówić z Obizzem d'Este! Tylko ta jedna myśl nie dawała mu spokoju. Zatrzymał się na chłostanej ulewę ulicy i przywołał jednego z pełniących wartę zbrojnych.

– Straż, konia! – wrzasnął rozgorączkowany. – I to najszybszego, jaki jest!

PAŁAC KURII
15 KWIETNIA, RANKIEM

Biskupowi Guidowi nigdy nie przyszłoby do głowy rozpaczać po widanie Superanzju Orsinim ani po swym zabijacie Petricciolu, któremu zwykł powierzać brudną robotę. Dzięki nim przez całe lata mógł żyć, łudząc się jak Piłat, że wystarczy odwrócić wzrok, by nie poczuć smrodu łajna, któremu pozwolił narosnąć z powodu własnej gnuśności. Aż do tej pory nie zauważył, jak nisko upadł. Zawsze był przekonany, że należy do surowych, lecz sprawiedliwych hierarchów, w imieniu których miecz narzuca prawa podyktowane świętością. Zresztą, czyż nie siłą ujarzmia się woły? I czyż nie w ten sam sposób pasterze trzymają stada z dala od przepaści?

Pierwsze wątpliwości nasunęły mu się po spotkaniu Rocheblanche'a, niespokojnego, lecz prawego rycerza, pełnego zarówno niewiadomych, jak i tajemnic. Z początku bezsprzecznie dostrzegł u niego oznaki zagubienia, odruchowo chciał mu zatem udzielić rad i zachęcić go, by się otworzył, jak to się zazwyczaj czyni w przypadku trawionych przez ogień dusz, które toczą ze sobą walkę. Dopiero potem *monsignore* Guido zdał sobie sprawę, że ten człowiek nie potrzebuje przewodnika. Miał twardszą naturę niż wielu duchownych, a przede wszystkim bujający w obłokach ojciec Andrea, który deptał własną dumę, niemal czerpiąc z tego przyjemność.

Pomimo dzielących ich różnic biskup wiedział, że sporo się nauczył także od opata z Pomposy. Ta jego irytująca nieufność wobec polityki Awinionu kropla po kropli żłobiła w nim niepewność, czy aby stoi po właściwej stronie. Zwątpienie to nasiliła dodatkowo łatwość, z jaką Bertrand du Pouget bawił się ludzkim życiem.

Jeden z powodów, dla których Guido okłamał kardynała. Rzecz jasna nie od początku, kiedy jego oddanie wobec hierarchii można było określić jako niezłomne. Nastąpiło to zatem z ostrożności. Na świecie roiło się od fałszywych proroków, a po katarach, Braciach Apostolskich, Bractwie Wolnego Ducha i kwestii *Filioque* brakowało tylko tego, żeby odnalezienie *Lapis exilii* wywołało schizmę w Kościele.

Skrupuły pojawiły się później, po przybyciu Bertranda do Ferrary. Chociaż biskup zdawał sobie sprawę, że winien jest mu posłuszeństwo, jał dostrzegać u niego niepokonaną ambicję, z pewnością niezrodzoną z prawdziwej wiary.

Mimo to był zmuszony okazać mu posłuszeństwo po raz kolejny, za co powinien podziękować wielmożnej pani Eudeline. Gdyby tylko ta niewiasta nie stawiała się przed jego obliczem! Szantaż, do jakiego się uciekła, zamienił się w podwójną groźbę:

z jednej strony bankructwa, z drugiej sprawienia zawodu kardynałowi. Jeden Bóg wiedział, jakie miał ponieść konsekwencje!

Siedząc za pulpitem, biskup szykował się do wydania rozkazów swoim szpiegom. Odnaleźć Eudeline, odnaleźć Gualtiera de' Bruniego: muszą to uczynić, nie budząc podejrzeń. Bez wątpienia zadania nienależące do najłatwiejszych, zwłaszcza że zabrakło Superanzia Orsiniego, który rozwikłałby zagadkę. Guido nie uważał się za zdolnego, by osobiście popełniać podobne łajdactwa. Czuł się przez to jeszcze bardziej skalany i zakłamaný. Uzmýslawiało mu to dodatkowo, jak niewiele trzeba, by się stoczyć.

Uznał, że warto wykorzystać ową chwilę oczekiwania, aby uciszyć wyrzuty sumienia. Pokonawszy niechęć, wziął pióro i pergamin, po czym jął wyliczać własne przewinienia i tajemnice. Było ich sporo, o wiele więcej, niż Eudeline de Rocheblanche mogła przypuszczać.

A gdyby pewnego dnia, stojąc przed koniecznością wykupienia się bądź obrony, okazał się zbyt wielkim tchórzem, by wyznać prawdę, zrobią to za niego owe skreślone inkaustem wersy.

ZIEMIE FERRARY

16 KWIETNIA

Mężczyzna na koniu pojął, że przybył na miejsce, gdy tylko wjechał na błotnistą drogę, wzdłuż której stały drzewa z wisielcami. Na jego widok znad trupów poderwała się chmara kruków, a od pól dochodziło złowróżbne krakanie. Jeszcze jedno szarpnięcie wodzy i ujrzał obóz. Po prawdzie bardzo niewiele namiotów, tak jakby markiz zaszył się na tych równinach, aby zwalczyć mniej licznych wrogów, niż krzyczano.

Dotarłszy do stajni, zeskoczył z siodła i zwrócił się do pierwszego koniuszego, jaki mu się nawinął. Był mocno zdrożony i wyczerpany myślami, które dręczyły go, mnożąc się podczas galopu.

– Muszę się rozmówić z Jego Wysokością – rzucił.

Mężczyzna zareagował natychmiast.

– Wzięliście mnie za pacholka?

– Wziąłem was za tego, kim jesteście, a teraz żwawo! – Złapał go za szaty. – Kwestia życia lub śmierci!

Obizzo d'Este siedział przed swym namiotem i karmił krogulca paskami mięsa. Pozwalał, by ptak wyrywał mu je z palców, zmuszając go do siłowania się zakrzywionym dziobem. Podchodząc bliżej, Maynard nie mógł się powstrzymać, by nie patrzeć w jego czarne źrenice, utkwione nieruchomo w drapieźniku. Trudne zadanie: odgadnąć skrywane przez nie myśli.

– Nie wiedziałem, że przybyliście aż tutaj, aby oddać się sokolnictwu – zagaił dalekim od żartobliwego tonem.

– Raczej po to, by podumać, kto jest łowcą, a kto ofiarą – odparował szlachcic, podnosząc wzrok.

Rocheblanche nie zważał na tę pozorną obojętność.

– Czyż w każdym z nas nie mieszkają obie te natury?

Jego Wysokość postawił krogulca na koźle.

– Nie mówię o posiadanych przez człowieka instynkcie myśliwego – sprostował – lecz o tym, że każdy z nas uzmysławia sobie, iż ma nad głową szpony, które w każdej chwili gotowe są go pochwycić.

– Ja nie tylko je sobie uzmysławiam. – Maynard uśmiechnął się gorzko. – Ja je dokładnie widzę.

– Doprawdy? – Obizzo posłał mu zagadkowe spojrzenie. – Może za bardzo ufacie zasięgowi waszego wzroku.

– A czy z kolei wasz wzrok kiedykolwiek spoczął na tym? – zapytał Francuz, otwierając sakwę, którą miał pod płaszczem, i pokazał portret damy znaleziony przedwczorajszej nocy.

Obizzo d'Este nagle się nachmurzył.

– O czym wy właściwie mówicie?

– Od kiedy go znalazłem, nie daje mi spokoju – wyznał, wpatrując się w malowidło. – Nie potrafię pojąć, dlaczego tak bardzo przypomina Lippe Ariosti.

– Podobieństwo jest oczywiste – prychnął Obizzo – albowiem to jej siostra.

Rycerz drgnął.

– Siostra?

Markiz najwyraźniej rozkoszował się jego zdumieniem.

– Margherita Ariosti, urodzona przez inną matkę i o kilka lat młodsza – wyjął. – Jakiś miesiąc temu obwieściła zamiar osiedlenia się w Ferrarze, na co się zgodziłem, uznawszy za słuszne, żeby wśród obcej szlachty przybyłej, by dodać miastu świeżej krwi, znaleźli się również członkowie rodu Ariostich z Bolonii.

Maynardowi wydało się, że dostrzegł cień pożądania, które świadczyło o bardziej osobistych źródłach przychylności markiza, niż to przedstawił. Zresztą Margherita Ariosti tak bardzo przypominała siostrę, że nie można było wykluczyć, iż wzbudziła pożądliwość Obizza. A może nawet i zazdrość.

– Muszę się rozmówić z tą damą – oznajmił. – Gdzie mogę ją znaleźć?

– Skąd przypuszczenie, że ja to wiem?

– Jeśli nie wy, to kto?

– Przydzielanie siedzib należy do obowiązków sędziego z Rady Mędrców. – Obizzo stanął przed nim z wyzywającą miną. – Do moich natomiast należy przekonanie się, czego niewierny rycerz chce od ferraryjskiej szlachcianki.

– Będziecie się musieli zadowolić tą samą odpowiedzią, jakiej udzieliłem bratu Lambertowi da Cingoli – odparł cierpko Francuz.

Na wzmiankę o inkwizytorze Obizzo się cofnął.

– Lamberto da Cingoli też jest w to zamieszany?

Rocheblanche zerknął na niego z ukosa.

– Podejrzewam, że ten dominikanin budzi w was lęk – rzucił buńczucznie. – Powiedźcie no, Wasza Wielmożność, czyście nie zaszyli się tutaj, chcąc uciec przed jego szponami? Pewnie umknęło to waszym urzędnikom, ale dla wojownika z moim doświadczeniem jest oczywiste, że na tych wsiach nikt nie zwalcza zażartej rebelii.

– Nie chodziło o zwalczanie rebelii – sprostował Est – lecz o to, by wypalić gniazdo żmij.

– Nikczemne przedsięwzięcie, jeśli wolno mi stwierdzić. Zauważyłem wisielców

na drzewach.

– Nie wyrażalibyście się z takim lekceważeniem, gdybyście słyszeli ich bojowy okrzyk. – Obizzo odwrócił wzrok, drżąc ze złości, i zniemacka wycedził: – *Pro bono malum*.

Dla Maynarda było to niczym grom z jasnego nieba.

– Jak te wiadomości znalezione w pałacu?

Markiz pokiwał głową.

– Po prawdzie nie było ich wielu. Zgraja chłopów uzbrojonych w sierpy i widły. Po wybiciu tych najbardziej zaciekłych wysłałem zwiadowców, żeby wyłowili tych, co przeżyli, chowając się w okolicznych lasach.

Rocheblanche natychmiast dostrzegł podobieństwo do tego, co przytrafiło mu się dwie noce wcześniej w domu mężczyzny ze znamieniem. Wówczas także natknął się na dwóch plebejuszy wrogich Estom. Za to doskonale pamiętał, że podczas poprzedniego pościgu przewrócił się przez jakiegoś odzianego w łaachmany smarkacza. W jednej chwili pojął. Ktokolwiek tkął pajęczynę spisku, chciał podburzyć lud przeciw Białemu Orłu. Zatrzymawszy to przeczucie dla siebie, wyraził na głos zupełnie inne przypuszczenia.

– Rozumiem wasze racje, messer. Nie wystarczy to jednak, by wyjaśnić waszą przedłużającą się nieobecność na dworze.

– Gram na zwłokę, pojmujecie? – wybuchnął niespodziewanie Obizzo. – Gdyby ten diabeł Durfort, papieski dowódca, wiedział, że jestem gotów do natarcia, nie zawahałby się zażądać mojej pomocy w stłumieniu buntu w Faenzy. A ja nie mam ani czasu, ani chęci zajmować się rzeczami, które mnie nie obchodzą!

Maynard wpatrywał się weń osłupiały.

– Dlaczego mi o tym mówicie?

– Bo nie chcę, żebyście uważali mnie za tchórza – burknął Obizzo. – A może wam się wydaje, że byle frater od Świętego Dominika może mnie zastraszyć?

Wszelako rycerz naprawdę zaczynał mu wierzyć, lecz choć nie znał powodu, uznał, że lepiej poszukać odpowiedzi gdzie indziej i kiedy indziej.

– Otrzymacie zatem swoją odpowiedź – zapewnił z powagą, zbierając się do odejścia. – Moim zdaniem owa dama jest zamieszana w śmierć wielmożnej pani Lippy, waszej małżonki.

– Czyście postradali rozum? – wysyczał markiz. – Jak śmiecie wymieniać imię wielmożnej pani Lippy? Nie wiedzieliście o tym? Przecież zmoęła ją nagła choroba! – Odepchnął go szorstko, rozwścieczony. – Idźcie precz, przeklęty, zanim dobędę miecza! Idźcie precz albo przysięgam, dotrzymam przyrzeczenia i wyślę was do piekła!

– Na to będzie jeszcze czas, messer. – Powściągnąwszy dumę, rycerz skinął mu oschle na pożegnanie. Zanim się jednak oddalił, dodał: – Wiedźcie, że spisek ciągle

trwa. Ale z pewnością nie tutaj, na tej podłej ziemi. W istocie nie minęło wiele czasu, odkąd waszego syna napadnięto w pałacu.

Po czym skierował wzrok ku stajniom, mając umysł zaprzątnięty Margheritą Ariosti. Tajemniczą damą o rudych włosach.

PRZEDMIEŚCIE ŚWIĘTEGO JERZEGO

Venturino wiedział, że ma zapewnioną przyszłość, gdy tylko ją zobaczył. *Monsignore* biskup nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia, że ten spośród jego zbrojnych, kto wyśledzi przynajmniej dwie z poszukiwanych osób, może liczyć na nominację. Nie było zresztą tajemnicą, że po śmierci Orsiniego stanowisko widama ciągle pozostawało nieobsadzone, a wielu zaprzedałoby duszę diabłu, byleby je zdobyć. Tylko że to właśnie on ją wypatrzył.

Rozpoznał ją dzięki dziewczynie, która szła obok niej. Krążyły słuchy, że to jej młodsza siostra. Różnobarwne oczy owej panny przykuwały uwagę niczym mak na polu pszenicy, a to, że natknął się na nią akurat tutaj, dokąd doprowadziły go ślady, nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że towarzyszącą jej niewiastą jest Eudeline de Rocheblanche.

Szpiegował ją zza drewnianej kraty, oddzielającej portyk od ulicy. Nie spodziewał się tego rodzaju niewiasty. Piękna i wyniosła, przechadzała się wśród ludzi nieufnie, jakby w każdej chwili spodziewała się napaści. Zdawała sobie jednak sprawę, że budzi respekt. Więcej, zdawała się go wymagać.

Właśnie wracała z jarmarku i zmierzała wraz ze swą młodą towarzyszką ku domowi. Było to skromne mieszkanie wynajęte u pewnego cieśli. Venturino odnalazł jego trop bez trudu, chociaż nie pojmował, dlaczego szlachetnie urodzona białogłowa wybrała podobną norę.

Puszczając wodze fantazji, wyobrażał sobie przez chwilę, jak by to było ją posiąść, po czym powrócił myślami do rozkazów biskupa. Porwać bez wzbudzania podejrzeń. Niełatwe zadanie na tak ruchliwym przedmieściu. Powinien zaczekać do nocy, zakraść się do jej domu po uprzednim zdobyciu zaufania czynszowników. A może w ciemności nadobna Eudeline zdobędzie się na jakieś wyznanie w nadziei na uwolnienie...

Wtem zakrzywione ostrze musnęło mu szyję niczym pieszczota.

Przy pierwszej próbie uniku metal zagłębił się nieznacznie w ciele. Venturino zrozumiał, że nie pozostawiono mu wyboru. Człowiek, który pojawił się znikąd, miał na sobie szary płaszcz i skórę czarniejszą niż grzech.

– Gdybyście wiedzieli, kim jest mój pan... – ostrzegł Venturino.

– Wystarczy, że znam imię mojego – odparł Maur z ponurą miną. – Lecz być może on zechce się dowiedzieć więcej – dodał i zmusił go do wycofania się

w mroczny zaułek. – Teraz pójdziecie powoli, ja poprowadzę. I byście powściągnęli zapał albo głupotę, wiedźcie, że w drugiej ręce, tej ukrytej przed waszym wzrokiem, trzymam drugi sztylet, którym celuję wam w plecy.

DZIELNICA ŚWIĘTEGO ROMANA
19 KWIETNIA

Mężczyzna, który stanął przed obliczem biskupa Guida, był tak potężnej postury, że na jego widok prałatowi wyrwał się okrzyk zdumienia. Był odziany cały na czarno, miał skórzaną przeszywanicę, którą rozsadzały mięśnie torsu. Jego dłonie były wystarczająco duże, by obłapić dziecięcą głowę, a bary szerokie niczym jarzmo wołu. Nie brakowało mu wszakże pewnej wytworności, której dawał dowód za każdym razem, gdy zmieniał pozycję na drewnianym krześle.

Jego Ekscelencja zgodził się go przyjąć w osobnej izbie, do której wchodziło się wyłącznie przez krużganek bazyliki Świętego Romana. Co jakiś czas jednak spoglądał na zawiniątko, które nieznajomy wręczył mu na znak hołdu, i wątpił we własny rozsądek. Wcale nie musiał odchyłać powalanych krwią brzegów tkaniny, by zapoznać się z jego zawartością. Skończyły się zresztą czasy półśrodków. Być może wyrzuty sumienia i obawy popychały go do nierozważnych posunięć, wszelako nieustannie poszukiwał sposobu, by wyplątać się z nieszczęść.

Przemierzył pomieszczenie z dłońmi splecionymi za plecami, po czym przystanął przed przybyszem. Mimo że gość nie był uzbrojony, jego wygląd budził grozę. Zerknąwszy ku drzwion (uspokoił się na myśl o dwóch zbrojnych czekających za progiem), hierarcha spochmurniał.

– Tylko śmiałek albo szaleniec odwiedziłby prałata, ofiarowując mu w darze głowę jego sługi.

Nieznajomy uśmiechnął się niemal dobrotliwie.

– A co z kolei powiedzieć o kimś, kto przyjmuje ów dar bez mrugnięcia okiem? – W jego głosie słychać było silną francuską wymowę. Zamiast czekać na odpowiedź, wskazał ruchem głowy zawiniątko. – Zwał się Venturino i był żmiją. Chociaż aby nakłonić go do mówienia, musiałem użyć noża.

– Znacie moje imię oraz imię członka mojej straży – zauważył Guido. – Nie kwapicie się jednak z podaniem waszego.

– Gdybym je wypowiedział, sam Szatan by po mnie przyszedł. – Mężczyzna pochylił się do przodu, jakby zamierzał coś wyznać. – W razie jakiegokolwiek potrzeby zwijcie mnie Namó.

– Namó, doradca Karola Wielkiego. – Jego Ekscelencja popatrzył nań z powątpiewaniem. – Nie wydaje mi się, byście przybyli tutaj udzielać wskazówek.

– Po prawdzie szukam odpowiedzi, chociaż kilka z nich otrzymałem już od waszego zbrojnego. Mój sługa pojmał go, gdy tamten szpiegował Eudeline de Rocheblanche.

– Znacie tę niewiastę? – Guido podskoczył.

Mężczyzna wybuchnął tubalnym śmiechem, od którego zadrżało powietrze.

– Owszem – rzekł. – Wystarczająco dobrze, by się zastanawiać, czego od niej chcecie.

– Jesteście na jej usługach?

– A wyglądam na sługę?

– Oddajcie mi ją więc, a potrafię się odwdziżyć.

Namo zacisnął palce na poręczach, aż zatrzeszczały.

– Nigdy nie spełnię podobnego żądania – wykrzyknął, a nagła wściekłość wykrzywiła mu twarz. – Eudeline należy do mnie! – dodał władcym tonem. – Tylko do mnie.

To wystarczyło, by prałat poczuł ukłucie trwogi. Cofnął się mimo woli, omiatając wzrokiem drzwi.

– Jeśli nie po to – zdobył się na odwagę, by przemówić – co skłoniło was, aby poprosić mnie o posłuchanie?

Mężczyzna w czerni odzyskał spokój, chociaż pod czaszką nadal wyraźnie kłębiły mu się jakieś przerażające myśli. Odpowiedział tak, jakby ogłaszał wyrok śmierci:

– Maynard de Rocheblanche.

Guido zakrył dłonią usta.

– Nie wiem, o czym...

Namo pokręcił głową.

– Kiedy messer Venturino jeszcze miał głowę zrośniętą z szyją, wyznał, że coś was łączy z tym rycerzem. – Podniósł się z krzesła, podszedł do drzwi i oparł się o nie, zastawiając wyjście. Splecione ramiona i odprężona twarz zdradzały całkowitą pewność, że o ile sam tego nie zechce, nawet mysz się tędy nie prześliznie. – Musicie zrozumieć – ciągnął z teatralną obojętnością – że jestem na tropie tego człowieka od bardzo, bardzo dawna. Był czas, gdy uważałem go za martwego, a potem odkryłem, że jest zamieszany w nader podejrzaną przedsięwzięcie, które w ogóle mnie nie zajmuje. Zależy mi wyłącznie na nim. Czy to jasne? Pragnę jak najprędzej się z nim zobaczyć, aby wyjaśnić pewną kwestię, nierozwiązaną od zbyt wielu lat, doprawdy zbyt wielu, abym mógł nadal zwlekać. I chociaż usłyszałem z pewnego źródła, że mieszka teraz w Ferrarze, nie potrafię wpaść na jego trop. Wygląda na to, że nikt go nie zna. Nikt poza wami. Oto zatem wyjaśnienie mojej tu obecności: chcę, byście mi wyjawili, gdzie on się ukrywa.

Guido di Baisio oparł się chęci, by krążyć po izbie niczym szczur w klatce. Uzmysłowił sobie, że ciągle ma przewagę. W końcu nieznajomy sam dopiero co

przyznał, że nie zdoła odnaleźć Maynarda, skoro nie wie, gdzie szukać. Tylko że Jego Ekszelencja wcale nie miał ochoty na współpracę.

– Piękne żądanie – rzekł wyzywająco – jak na kogoś, kto nie daje nic w zamian.

Namo obdarzył go porozumiewawczym uśmiechem.

– Wszelako jest coś, na czym wam zależy, a czego nikt nie jest w stanie wam zaofiarować.

Biskup usłyszał cichy głosik dobiegający gdzieś z głębi duszy. W istocie było coś takiego... Wystarczyłoby podsunąć temu szubrawcowi, żeby kluczył od lasu do Świętego Dominika, a otrzymałby w zamian ogromną przysługę. Jednakże ten sam odruch, który skłonił go do okłamania Bertranda du Pougeta, kazał mu oprzeć się tej pokusie.

– Czego dokładnie chcecie od Rocheblanche’a? – zapytał.

– Już mówiłem. To sprawa osobista.

– Żądacie, bym zdradził człowieka honoru.

– To żadna zdrada, Ekszelencjo. Zapewniam was, że gdyby messer Maynard wiedział, że żyję, zaprzedałby duszę diabłu, byleby zdobyć to samo, o co was proszę. I uczyniłby to właśnie w imię honoru, o którym wspominaacie.

Guido wpatrywał się w jego twarz. Namo był szczery, nie miał co do tego wątpliwości. Zdecydował się wszakże mówić z powodu niespodziewanego wrażenia, którego doznał, zajrzawszy mu w oczy, że jest w nim coś znajomego. Z początku nie potrafił pojąć, skąd się wzięło owo doznanie, lecz potem musiał przytknąć dłoń do piersi, by powstrzymać zdumienie. O Panie! Jak to możliwe? Żadne prawa logiki nie mogły wytłumaczyć podobnego zbiegu okoliczności... Żadne, żadne! Przecież wpatrywał się w nie zbyt długo, by myśleć, że uległ złudzeniu! Tak, nie miał wątpliwości! Te płonące oczy należały do... Eudeline i Maynarda!

Powściągnął w pośpiechu wzburzenie, oceniając propozycję mężczyzny o tajemniczej przeszłości. Zwał się Namo... A może *nemo*, „nikt”? W istocie lepiej by było, gdyby zniknął jak kamfora. Jednakże jego żądanie... Biskup przygryzł wargę, rozdarty między ciekawością a obawą przed tym człowiekiem, który się przed nim pojawił. „Jest szczery”, odezwał się ponownie jego wewnętrzny diabelski głosik. W gruncie rzeczy co innego się liczyło? Ostatni rzut oka na obciętą głowę Venturina i Jego Ekszelencja zbliżył się do niego zdecydowany.

– Stawiam warunek – oznajmił – żeby wielmożna pani Eudeline na zawsze opuściła Ferrarę, z wami albo sama, to nieistotne, i aby ani teraz, ani nigdy nie rozgłaszała wieści o istnieniu jakichś długów zaciągniętych przez mojego przodka. Możecie się podjąć tego zadania?

Nie odsuwając się ani odrobinę, mężczyzna w czerni dumiał przez chwilę, po czym skinął głową.

– To nie wszystko – dodał Guido. – Ja także kogoś szukam. To młody malarz,

zwie się Gualtiero de' Bruni. Jeśli okażecie się tak sprytni, że go odnajdziecie i oddacie żywego w ręce osoby, którą wam wskażę, otrzymacie w zamian Maynarda de Rocheblanche'a. Wraz z moją dozą wdzięcznością.

Arab czekał w ustronnym miejscu, kilka kroków od fasady Świętego Romana. Lewą ręką podtrzymywał dziewczynkę w powijakach, która usnęła w ciepłe bijącym od jego szat, przesiąkniętych wonią przypraw korzennych. Prawa spoczywała pod płaszczem, na rękojeści sztyletu.

Ledwie ujrzał, jak pan wychodzi z budynku, dał mu znak.

– I co? – zapytał, gdy tamten tylko się zbliżył, upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie.

– Biskup wie – parsknął mężczyzna w czerni – ale żąda zbyt wiele.

ZAMTUZ GAMBARO
21 KWIECIEŃ

Na północ od Ferrary, nieopodal przedmieścia Świętego Leonarda, równoległe do murów, wzdłuż fosy połączonej z Padem biegła uliczka Gambaro. Chociaż należała do parafii Świętego Krzysztofa od Sierot, pod rzędem wiązków dawała schronienie wielu niewiastom, które kupczyły własnym ciałem. Wznosiła się tu również tawerna o nazwie *Ganea*⁶, lepiej znana pod nazwą ulicy, gdzie te najpowabniejsze oddawały się temu, kto był gotów najobficiej sypnąć groszem.

Nie było to pierwsze podejrzone miejsce, które Maynard odwiedzał tego popołudnia. Między dzielnicami Świętego Pawła i Świętego Romana roilo się od nie zawsze łatwych do rozpoznania lupanarów. Wszelako był pewien, że znalazł ten właściwy, gdy tylko dostrzegł stojących przed wejściem dwóch zbrojnych w odpowiednich barwach.

Podszedł z zasłoniętą twarzą, aby któryś z nich go nie rozpoznał, po czym przywiązał karego i przekroczył próg, pokazując stręczycielowi, że nie nosi broni. Teraz już mógł się swobodnie poruszać po westybulu, po prawdzie dość ohydny, otoczony względami przebywających w przybytku dziewczek. Mimo że znajdowały się w zamknięciu, wiele z nich nosiło bezwstydnie – jakby z przyzwyczajenia – obróżki z dzwoneczkami, nakazane ladacznicom przez ustawy przeciw zbytkom.

Przystanął przed schodkami na piętro i zapytał o coś młodą pomywaczkę szorującą właśnie stopnie, po czym wręczył jej monetę i pospiesznie ruszył dalej.

Pomieszczenie na górze było urządzone mniej po spartańsku, chwilami wręcz wyszukanie. Wazy, świeczniki i dywany służyły polepszeniu nastroju tego rodzaju gościom, którzy nie zadowalali się gorączkowymi uściskami ani kwartą podłego wina. Na szczęście jednak pokoje nie miały drzwi, ale najzwyklejsze kotary. Rocheblanche'owi wystarczyło dyskretnie odsunąć każdą z nich po kolei, by znaleźć mężczyznę, którego szukał.

Filippo Migliorati moczył się właśnie w szerokiej balii z siedzącą na nim okrakiem dziewczyną. Był tak bardzo pochłonięty miętoszeniem jej piersi, że nie od razu spostrzegł obecność intruza. Rocheblanche zdążył wejść, zarzucić połę płaszcza na prawe ramię i oprzeć się o ościeżnicę.

Sędzia Rady Mędrców zauważył go dopiero wtedy. Zmełł w ustach przekleństwo, strącił amazonkę, wyskoczył z balii i zbliżył się do okna.

– Na pomoc! – wrzasnął.

Zanim wszakże zdołał przywołać zbrojnych z ulicy, Maynard chwycił gliniany nocnik i roztrzaskał mu go na głowie.

Messer Filippo runął na podłogę grzbietem do góry, dając Rocheblanche'owi możliwość uspokojenia dziewczyny i odprawienia jej za pomocą kilku monet. Następnie Francuz złapał wiszące na krześle nogawice i rzucił je leżącemu mężczyźnie.

– Ubierzcie się, Wasza Wielmożność.

Sędzia Rady Mędrców stanął na czworakach i potarł sobie głowę.

– Mogliście... mnie zabić – jęknął nadal na wpół zamroczony.

– Byłaby to aż nazbyt zaszczytna śmierć dla was – zadrwił rycerz, spoglądając na jego pochłapaną i usianą skorupami głowę. Drobną zemstą za wyniosłość, z jaką ów wstrętny Toskańczyk zawsze go traktował.

Kpina otrzeźwiła Miglioratiego, który nagle się poderwał i jął wymachiwać nogawicami niczym sztandarem.

– Nędzny kogucie, postradaliście rozum? – wykrzyknął rozjuszony. – Poczekajcie, aż zawiadomię Jego Wysokość...

– Przysłał mnie do was nie kto inny jak właśnie Jego Wysokość – odparował Maynard – tylko zapomniał doradzić, bym szukał was po zamtuzach.

– Brednie! Messer Obizzo nigdy by się nie zwrócił do zdrajcy, do zabójcy...

– Po prawdzie to ja zwróciłem się do niego. Jestem na tropie pewnej osoby i wszystko wskazuje na to, że jedynie wy potraficie mi wskazać, gdzie ona przebywa.

Na te słowa sędzia Rady Mędrców przestał pokrzykiwać i się cofnął.

– Macie mnie za szpiega? – warknął oburzony.

– To dla dobra waszego pana – wyjaśnił rycerz.

– Skoro tak, osobiście pomówię z Jego Wysokością. – Migliorati machnął pogardliwie i zaczął się ubierać. – Co do was, messer, zabawiajcie się w tym zamtuzie do woli! O ile nie jesteście skorzy dać się zarżnąć w bitwie, tyle z was pożytku, co ze starej ladacznicy.

Nawet gdyby Rocheblanche był nastawiony tak ugodowo, by puścić podobną zniewagę mimo uszu, i tak zostało mu niezbyt wiele czasu. Poczł się więc usprawiedliwiony, chwytając półnagiego robaka za kark i ciskając go gwałtownie o ścianę.

– Margherita Ariosti, przybyła z Bolonii! – wysyczał przez zęby, grożąc, że rąbnie go w podbrzusze. – Wyjawcie natychmiast, gdzie ją umieściliście, albo przysięgam na Boga, że owszem, staniecie przed obliczem markiza, ale zaśpiewacie z niewieścim wdziękiem, dyszkantem!

Aby dotrzeć do domu Margherity Ariosti, należało wyjść poza mury na wysokości zamku Tedalda, przekroczyć most wzniesiony na barkach, następnie posuwając się wzdłuż Padu na wschód, minąć Łąkę Szubienic i kościół Świętego Jakuba. Na granicy z przedmieściem Świętego Łukasza Maynard natknął się na dom, który wskazał mu Francesco Migliorati. Była to *villa* rozciągająca się aż do brzegów rzeki i młyna wodnego, zbudowanego na palach, jednego z niewielu, które nie weszły w skład dóbr biskupstwa. Sędzia Rady Mędrców podkreślił, że uwagę szlachcianki przyciągnął właśnie ów budynek – oczarował ją do tego stopnia, iż porzuciła myśl o bardziej wytwornych i mniej kosztownych rezydencjach.

Po namyśle Rocheblanche rozpoczął więc poszukiwania właśnie tam. Przywiązał karego do znajdującego się przy brzegu płotu i przemierzył most wiodący do nabrzeża na palach. Przed nim, otoczony szarobłękitnymi falami, wznosił się drewniany młyn, którego olbrzymie koło pieściła woda.

Rycerz rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nie ma straży, po czym ruszył ku wejściu. Dopiero wówczas spostrzegł, że młyn nie wznosi się na palach jak nabrzeże, lecz jest przycumowany. Kadłub przypominał tratwę, był jednak tak szeroki, że utrzymywał na wodzie dwie kondygnacje. Maynard uzmysłowił sobie wówczas, że widział już podobne, gdy po raz pierwszy płynął Padem.

Obejrząwszy się za siebie, wszedł do środka. Dolne pomieszczenie wypełniał niemal w całości kamień młyński, połączony z ogromnym mechanizmem w spoczynku. Wszechobecna warstwa kurzu świadczyła o tym, że od dawna niczego tu nie ruszano.

Na ów widok rycerz jął się zastanawiać, co też Margheritę Ariosti uderzyło w tym miejscu. Nie mogła przecież przejąć starego młyna dla zwykłej zachcianki, chociaż oczy podpowiadały mu co innego. Wspiął się po schodach na galerię w nadziei na otrzymanie odpowiedzi.

Wdrapawszy się na górę, popatrzył przez oculus w głąb łądu. Widok odsłaniał rezydencję szlachcianki niemal w całej okazałości, blankową wieżę okoloną palisadą wraz z dziedzińcem i stajniami. W pobliżu stał wóz zaprzężony w dwa konie. Ktoś gotował się do drogi.

Następnie zajrzał do środka i obrzucił wzrokiem galerię, zawałoną beczkami, kosztami słomy i zwojami sznura. Mocno zawiedziony, właśnie miał zejść na dół, gdy wtem jego zmysły pobudził jakby znajomy zapach. Przenikliwy i zarazem nieokreślony, prawdopodobnie wydzielany przez... przyprawy korzenne! Maynard

odetchnął głęboko, zastanawiając się, gdzie już się na niego natknął. Był pewien, że się nie myli, że to wiąże się z czymś, co wydarzyło się niedawno... Tylko co to było? Ostatnimi czasy nie odwiedzał zbyt wielu miejsc, toteż wystarczyłoby wykluczyć je po kolei, żeby sobie przypomnieć.

Zrazu przyszły mu do głowy kadzidła u Świętego Dominika, natychmiast jednak odrzucił tę hipotezę. Nie była to woń używana w kościołach, mimo to Francuz żywił przekonanie, że poczuł ją w podobnym czy przynajmniej równie majestatycznym przybytku.

Nagle wróciło wspomnienie ostatniego spotkania z Aldobrandinem. I ze zgrozą pojął.

Rozgorączkowany jął szukać źródła owego zapachu. Zdawał się dochodzić z dołu, rycerz schylił się więc, by go dokładniej umiejscowić.

Wtedy zauważył rysy na podłodze.

Coś wielokrotnie zatoczyło półkole. Jakby skrzydło drzwi.

Wiedziony przecuciem odsunął przedmioty utrudniające mu ruchy i przyjrzał się bacznie ścianie nad śladami. Okazało się, że to ruchome przepierzenie. Maynard przebiegł po nim palcami i znalazł wystarczająco szeroką szczelinę, by zdołał się ucześcić, po czym mocno pociągnął, otwierając przejście.

Dolatująca z wnętrza woń była o wiele silniejsza.

Maynard zasłonił nos skrajem płaszcza i ruszył naprzód.

Za przepierzeniem kryło się pomieszczenie przylegające do galerii, dostatecznie obszerne, by pomieścić pulpit, parę regałów z książkami i posłanie.

Zanim wszakże Rocheblanche zorientował się, do czego służy to miejsce, niespodziewanie osłupiał ze zgrozy.

Stała tu, kilka kroków od niego, w ciemności.

Bestia.

Dopiero po chwili odzyskał oddech i z westchnieniem ruszył ku ohydному stworzeniu, które wpatrywało się weń z kąta izby. Miało rogi kozła, lecz proporcje pyska właściwe dla niedźwiedzia. Przy jego rozwartych szczękach, odsłaniających dwa rzędy ostrych zębów, potrzaski Silvana da Focomorto wydały się śmieszne. Wszelako oczodoły były puste.

Rocheblanche zadrżał z niepewności, po czym wsunął palce w czarne otwory. W gardle zamarł mu niepohamowany śmiech.

Następnie starannie obejrzał resztę ciała. Kończyny i tors pokrywało brązowe futro, ozdobione pasami i ćwiekami podobnymi do łusek, jakimi przystrajano konie bojowe, aczkolwiek ich wygląd budził większą trwogę. Chwycił łapę zakończoną szponami przypominającymi zakrzywiony dziób, zważył ją w dłoni i wypuścił. Zwisła sflaczała, niegroźna.

„Otóż to!”, pomyślał triumfalnie. Gdybyż tylko u jego boku stał Lamberto da Cingoli! Oto nareszcie ma swoją apokaliptyczną bestię!

Pustą skorupę wiszącą na ścianie.

Mężczyzna potężnej postury mógłby bez zbytniego wysiłku oblec się w tę skórę i naśladować ruchy dzikiego zwierza. Nie wystarczyłoby to wszakże, by zwieść doświadczonego łowcę wilków ani tym bardziej panicza Aldobrandina.

Dlatego właśnie Maynard powrócił do poszukiwania źródła zapachu, który przywiódł go aż tutaj, coraz bardziej przekonany, że to on wywołał nadnaturalną *visio*. Przetrzęsął stół i półki, aż natrafił na ukrytą w półmroku skrzynię. Ukląkł nad nią i głowicą sztyletu wyłamał kłódkę, ledwie jednak otworzył wieko, owionęła go tak silna woń, że musiał się cofnąć.

Opium, *herba diaboli*, lulek... Szczypały go nozdrza i oczy. Potarł twarz skrajem płaszcza i przysunął się z większą ostrożnością, aby sprawdzić zawartość kufra, gdy nagle zakreśliło mu się w głowie i stracił równowagę.

Stanął na czworakach, czując mdłości; uznał, że przyczyną tych doznań są substancje, które dopiero co wdychał. Potem jednak uzmysłowił sobie, że podłoga naprawdę się porusza, jakby... kołysały nią fale!

Jeszcze zanim ubrał tę myśl w słowa, wypadł z izby i runął po schodach na złamanie karku. Ściany wokół kamienia młyńskiego wydawały złowieszcze jęki, jakby ożyły. Gdy tylko Maynard wychynął na zewnątrz, potwierdziły się jego obawy.

Młyn właśnie dryfował.

Po nabrzeżu oddalał się biegiem jakiś mężczyzna. Prawdopodobnie przeciął cumy.

Rocheblanche w okamgnieniu zdjął płaszcz i wskoczył do rzeki. W zetknięciu z lodowatą wodą natychmiast pożałował swej instynktownej reakcji. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma ani chwili do stracenia. Został przyłapany, ludzie odpowiedzialni za spisek wkrótce uciekną!

Wynurzył się na powierzchnię i jął płynąć pod prąd, do brzegu, uderzając ramionami o fale. Przemoczone szaty i zdrętwiałe z zimna członki nie ułatwiały mu zadania, w dodatku zносиła go woda. Maynard wcale jednak nie zamierzał się poddać. Nie teraz, gdy był o krok od rozwikłania tajemnicy. Płynął zaciekle do brzegu.

Dotarł do trzciny i przedarł się przez bagno, brodząc w nim po kolana, wyczerpany wspiął się na grzbiet i przystanął dopiero przed karym. W oddali dostrzegł wóz opuszczający posiadłość Margherity Ariosti.

Rocheblanche dosiadł konia i ruszył w pogoń.

Za wozem wzbijał się tuman szarego kurzu. Maynard zboczył w lewo, by zyskać lepszą widoczność, i spiął karego. Przemoczone odzienie stwardniało niczym skóra, w kościach nadal czuł lodowaty chłód rzeki. Galopujący wierzchowiec pozwolił mu dogonić osłonięty plandeką wóz i znaleźć się obok woźnicy. Tamten zaś pędził ku makii, chłoszcząc lejcami konie.

Obawiając się, że gęstniejące zarośla uniemożliwią mu swobodne poruszanie się, Rocheblanche przystąpił do działania. Przeniósł ciężar ciała na bok siodła, uchwycił się krawędzi wozu i zawisł w powietrzu, tymczasem woźnica jął go okładać batem z wściekłym grymasem na twarzy. Pod nimi ciągnął się jezor błota, kamieni i korzeni. Starając się nań nie patrzeć, Francuz wytrzymał razy i wdrapał się na kozioł. Był o włos od zmiżdżenia przez koła, z trudem zachowując równowagę, gdy znalazł się twarzą w twarz z wrogiem. Zachwiał się, próbując uniknąć zepchnięcia, w końcu jednak zdołał złapać przeciwnika za głowę i wbić mu kciuk w oko. Usłyszał rozdzierający wrzask bólu, mimo to nie zwolnił ucisku, dopóki nie obezwładnił zbira. Następnie zrzucił go na ziemię.

Odzyskawszy oddech i panowanie nad wozem, mknął dalej wśród drzew, a jego kary galopował obok. Spod plandeki ktoś jął ciskać obelgi. Niewieścim głosem.

„Krzyczcie sobie, ile wlezie”, pomyślał Rocheblanche. Chociaż był o krok od prawdy, czuł jedynie znużenie następującymi po sobie błyskawicznie wypadkami. Do diabła z markizem, biskupem i fratrami od Świętego Dominika. Pragnął nie mieć już z nimi nic do czynienia i z powrotem przejąć władzę nad własnym życiem. Dotarłszy na skraj łąki, zatrzymał konie i zeskoczył na ziemię, ciekaw, czy owa tajemnicza niewiasta ukryta w wozie to rzeczywiście ona, Margherita. Kiedy jednak odsłonił płachtę, osłupiał.

Był to żywy portret Lippy Ariosti.

Poczerwieniała na twarzy dama stała ze sztyletem w dłoni. Skinąwszy, by się odsunął, postawiła stopy na trawie. W jej pogardliwych gestach, jakimi wygładziła szatę – *bliaut* z czarnego aksamitu z delikatnymi ząbkowaniami – był wdzięk. Gdy mierzyła Francuza chytrym wzrokiem, w milczeniu, na jej wargach pojawił się nieoczekiwany uśmiech.

– Zdradźcie mi waszą cenę, a z rozkoszą wam zapłacę.

Maynard, który ciągle jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia, drgnął, słysząc ów obraźliwy ton.

– Co wy sobie wyobrażacie? – odparł. – Nie macie przed sobą byle rzezimieszka.

– Przecież pozostajecie na usługach zabójcy – odrzekła.

Francuz odgadł, kogo ma na myśli niewiasta, lecz po zmitręczeniu wielu miesięcy na szukaniu odpowiedzi pragnął rozpatrzeć kwestię stopniowo, nie zakładając niczego z góry.

– Porozmawiamy o tym za chwilę – oznajmił władczo. – Najpierw wyjawcie mi wasze imię, abym zyskał pewność, że stoję przed właściwą osobą.

Białogłowa nadal wpatrywała się weń swymi szmaragdowymi oczami. Właśnie one, nie smukłe ostrze, którym uparcie weń celowała, raniły jego dumę.

– Margherita Ariosti z Bolonii – potwierdziła – siostra zamordowanej szlachcianki.

– Jeżeli mówicie prawdę – powiedział – pomogę wam uzyskać sprawiedliwość.

Białogłowa roześmiała się, być może, aby go uwieść albo ukryć gniew wywołany porażką. Drobnym kroczeniem zatoczyła półkole, niczym gotowa do ataku wilczyca, i odchyliła głowę.

– Messer Maynard, zgadza się? – zaskoczyła go ponownie. – Pewnie o tym nie wiecie, ale znam was. Moja siostra Lippa napisała mi o was w liście, tylko raz, to jednak wystarczyło, bym zrozumiała, żeście ją oczarowali. – Jednym mrugnięciem powiek ucięła rozmowę, a potem została już tylko wzgarda. – Co pozwala wam przypuszczać, że was potrzebuję, by uzyskać sprawiedliwość?

– Jeśli macie na myśli spisek przeciwko Estom – ostrzegł Rocheblanche – z pewnością to nie jest sprawiedliwość, ale szaleństwo.

– A czyż nie szaleństwo popchnęło Obizza d’Este do popełnienia tak łajdackiego czynu? To on pozbawił życia moją siostrę!

– Nie możecie mieć co do tego pewności...

– A jednak mam! – Margherita Ariosti uniosła sztylet w obronie przed wyimaginowanym przeciwnikiem. – Dobrze wiem, jak Lippa bała się tego człowieka, po tysiącokrotnie wspominała mi o tym w listach. Nigdy wprost, ma się rozumieć, to wszakże wystarczyło, by wzbudzić mój niepokój. Oto dlaczego, gdy tylko doszły mnie słuchy o jej śmierci, wyruszyłam w przebraniu do Ferrary i w sprzyjających ciemnościach odkopałam jej ciało, szukając dowodów, które potwierdziłyby moje przeczucia. A wtedy ją ujrzałam... O tak, ujrzałam przeklętą ranę!

Maynard poczuł dreszcz u nasady karku. Jej słowa za bardzo zgadzały się z tym, co mówili Duccio i Aldobrandino, by mogły okazać się kłamstwem, wszelako budziły tak odpychające obrazy, że musiał uporządkować myśli. Nagle zdało mu się, jakby powrócił do Reims, do zamku Rocheblanche’ów, i do gwałtów zadanych przez ojca jego siostrze Eudeline. „Czy to możliwe?“, zapytywał sam siebie z rosnącym gniewem. „Czy to możliwe, że każdy ród szlachecki ukrywa jakieś potworności?“ Wydał zdławiony jęk i chwycił niewiastę za nadgarstek, aby ją rozbroić.

– Można wiedzieć, o czym wy mówicie?

Margherita próbowała się wyswobodzić, używając o wiele większej siły, niż wskazywała jej drobna figura, tymczasem jej oczy miały błyskawice, kierując się to na twarz Maynarda, to na sztylet, który upadł na trawę. Lecz daremnie. Pojawszy, że nie zdoła się uwolnić z uścisku rycerza, jęknęła z rozpaczą.

– Mówię o śladzie po pchnięciu sztyletem, który okaleczył ciało mojej siostry! – Wpatrywała się w skupione oblicze rycerza, ciągnąc: – Ranę starannie zasłonięto ciasnym opatrunkiem pod szatami, aby nikt nie mógł ani zobaczyć, ani podejrzewać...

Szarpnął jej rękę.

– Dlaczego obwiniecie samego Obizza?

– Bo każdy inny drogo by za to zapłacił – odrzekła Margherita. – On musiał wiedzieć, messer. Musiał! Jeszcze tego samego dnia poślubił Lippę, po czym złożył ją do grobu. Zdawał sobie sprawę z jej stanu, a zatem i z tego, co odebrało jej życie... Dlaczego miałby puścić płazem podobną nikczemność?

Na widok łez niewiasty rycerz zwolnił uścisk i omiótł wzrokiem drzewa, jedynych świadków owego szalonego przesłuchania.

– Nawet gdyby to była prawda, odpłacilibyście za tę zbrodnię jednakową podłością. Czy tak chcecie uczcić pamięć waszej siostry?

– *Pro bono malum!* – wysyczała Margherita, ocierając twarz. – W moim mniemaniu kara powinna być nader powolna, zwłaszcza gdy chodzi o pomszczenie zdrady, jaką odpłacono mojej siostrze za jej oddanie. Zresztą czyżbyście wy sami, tak skorzy do karcenia, znali lepsze sposoby, by zadać cios potężnemu człowiekowi? Posłużyłam się ludem, aby zacieśnić sieć moich sprzymierzeńców. Rzecz jasna, mimowolnych sprzymierzeńców, za to zbratanych przez niezadowolenie i lęk przed nadprzyrodzonym. Dzięki nim nadałam kształt groźbie budzącej o wiele większy strach niż ta, którą stanowiłaby zwykła białogłowa.

Maynard nadal wpatrywał się w zarośla. Nie zwykł oskarżać niewiast, a uprzytomnienie sobie, że ma przed sobą tę, która wywołała zamęt w ciągu ostatnich miesięcy, nie pomagało mu postępować z należytą bezwzględnością. Poza tym ilekroć na nią spoglądał, widział twarz Lippy.

– Obalenie markiza drogą od dołu, wykorzystując przesady i nędzę ludu... – szepnął z przyganą. – Jeśli to macie na myśli, ponieśliście klęskę.

Margherita Ariosti pokręciła głową.

– Zrobiłam, co trzeba, aby zmylić pościg i niepostrzeżenie szpiegować moich prześladowców. I jednocześnie wśliznęłam się na dwór.

– Tamtej nocy... – Rycerz zacisnął zęby. – To wy nastraszyliście młodego Aldobrandina?

– Pragnęłam dać Obizzowi do zrozumienia, jak bezbronny jest jego pierworodny.

– Wszelako nie spadł mu nawet włos z głowy.

Margherita wzruszyła ramionami.

– Dostrzegłam coś w jego oczach...

– To wasz głos – wyjaśnił Rocheblanche. – Przypomnił mu głos matki.

Zamiast się rozczulić, szlachcianka machnęła z pogardą.

– Moim celem było natchnienie go zupełnie innymi myślami!

– Takimi jak te, które zasialiście wśród swoich wyznawców? Wykorzystaliście ich niewiedzę, prostolinijność.

– I co z tego? Postąpiłam jak każdy, kto posiada talent przewodzenia tłumom. Ropuchy, narady w lasach, kukły... Bzdury dla kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy, jaką wspaniałą broń stanowią strach przed nieznanym i urojenia.

– Do tego była wam potrzebna mikstura z opium i *herba diaboli*? Żeby przedstawić jako rzeczywistość coś, co nią nie jest?

– A wy sami, messer, jesteście pewni, że potraficie odróżnić rzeczywistość od imaginacji? Biedny głupcze! Mikstura, o której mówicie, nie uwalnia zwykłych omamów, lecz ukazuje świat takim, jakim jest naprawdę, a nie spowijającą go sieć fałszu i ułudy.

Rocheblanche nie potrafił pojąć, dlaczego Margherita tak chętnie udziela wyjaśnień, zamiast błagać o litość, buntować się albo próbować uciec. W każdym jej słowie pobrzmiewała złość niemal tak namacalna, że skłonny był uwierzyć, iż gdyby tylko mogła, zabiłaby go bez wahania. Mimo to komedia trwała nadal, tak jakby białogłowa nie martwiła się tym, że została uwięziona. Albo nie uważała się za uwięzioną. Chcąc zmusić ją do odsłonięcia kart, rycerz uciekł się do prowokacji.

– Gdyby było tak, jak powiadacie – droczył się – dostrzegłbym w was mądrość. Tymczasem dostrzegam jedynie oznaki gniewu i szaleństwa.

– Wszelako mnie rozumiecie, widzę to – odparła – inaczej nie wdawalibyście się w podobne rozmowy.

– Rozumiem was, to prawda, ale tylko po części. Sprawiedliwej zemsty nie dokonuje się za cenę życia niewinnych istot. – Maynard wyciągnął dłoń, by ją pochwycić. – Dlatego pojedziecie ze mną i staniecie przed markizem nie jako więzień, lecz jak się godzi wysoko urodzonej szlachciance.

Margherita cofnęła się wojowniczo.

– Chcecie mnie zamknąć w klatce.

– Nie macie wyboru – oznajmił.

– Właśnie że mam! – Wargi niewiasty wykrzywiły się w wyzywającym grymasie. – Puście mnie wolno, messer, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Albo jak Bóg na niebie, będziecie winni czyjejś śmierci.

– Dworujecie sobie ze mnie? – Francuz oblał się szkarłatem i zacisnął palce na jej ramieniu.

– Bez oszustwa – powiedziała, nie próbując się już uwolnić. – Pamiętacie, co mówiłam? Miałam czas na szpiegowanie, na rozpoznanie swoich wrogów... I traf

chciał, że moja pułapka okazała się skuteczna akurat dziś. – Sięgnęła ręką do jego twarzy, aby ją pogłaskać pieszczotliwym gestem, po czym rozorała mu paznokciami skórę.

Rocheblanche unieruchomił jej dłoń, wywołując wybuch złośliwego śmiechu.

– O, mój biedny panie! – zakpiła Margherita Ariosti, upajając się swoim triumfem. – Macie mało czasu na decyzję, a tym samym na zapobieżenie potężnemu nieszczęściu. Malutko! Dlatego pozwólcie mi odejść. Bądźcie posłuszni! Tylko pod tym warunkiem zdradzę wam imię następnej ofiary.

PAŁAC KURII

Eudeline długo się zastanawiała, czy stawić się na spotkanie z biskupem, w końcu jednak postanowiła dotrzymać danego słowa. Zresztą jej obawy nie dotyczyły wielebnego Guida, lecz pułapek czyhających na ulicy. W ostatnich dniach ponownie dostrzegła Saracena, raz na rybim rynku, a za drugim razem, gdy szła do kościoła. Zawsze widziała go tylko przelotnie, co nie wywoływało żadnych następstw, aż w końcu wracając do domu przed zmierzchem, zorientowała się, że jest śledzona. Zatrzasnąwszy drzwi, rzuciła się do okna, aby przyjrzeć się postaci w szarym płaszczu, która okrążyła dom, po czym oddaliła się wolnym krokiem. Tego było dla Eudeline za wiele. Ściągnęła z posłania Isabeau, następnie obie zebrały swoje rzeczy i opuściły przedmieście Świętego Jerzego, aby poszukać schronienia w innej części miasta.

Cokolwiek knuł Saracen, już ich nie odnajdzie. Ale myśl ta nie wystarczyła, by uspokoić panią de Rocheblanche, zwłaszcza wtedy, gdy była zmuszona krążyć bezbronna po ulicach Ferrary. Wszelako nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby poprosić o pomoc brata. Dopóki nie zawrze umowy z biskupem, Maynard o niczym się nie dowie.

Toteż dokładnie tydzień po ich pierwszym spotkaniu znowu stanęła przed biskupem. Odniosła wrażenie, że Jego Ekscelencja przyjął ją w swej pracowni z jeszcze większą niechęcią niż poprzednim razem. Więcej, z irytacją.

Eudeline usiadła naprzeciw niego, nie prosząc o pozwolenie.

– Wróciłam, Wasza Wielbność. Zgodnie z obietnicą.

– Widzę, pani – burknął prałat.

– Wydajecie się niemal zdumieni – zauważyła, po czym pozwoliła sobie na gest zniecierpliwienia. – Czy podjęliście decyzję?

– Muszę was rozczarować, ale nie.

– Dobrze, podejmiecie ją teraz.

Guido wstał z rozpaczliwym westchnieniem.

– Nie możecie mi niczego nakazywać, jestem biskupem Ferrary!

– To okoliczności wam ją nakazują – podkreśliła Eudeline. – O ile nie lękacie się poborców z Kamery Apostolskiej.

– Gdybyż to było takie proste... – zaczął hierarcha. Urwał w pół zdania z powodu nagłej udręki i jął się przechadzać po pomieszczeniu, schowawszy twarz w dłoniach.

Szukając ucieczki, niczym bestia, zerknął ku biforium wychodzącemu na przedmieście Świętego Romana. – Nie pojmujecie... – ciągnął łamiącym się głosem. – Nie wiecie o pewnych delikatnych i nader drażliwych kwestiach, których pod żadnym pozorem nie mogę zlekceważyć... ot co.

Pani de Rocheblanche wpatrywała się weń obojętnie.

– Przemawiacie do mojego współczucia czy do własnego sumienia?

– Nie zdołałoby mnie ocalić ani jedno, ani drugie – odparł ze smutkiem Baisio.

Eudeline była wszakże jak najdalsza od litości. Rozpalona nienawiścią do próżniaków podniosła się z krzesła z szyderczą miną.

– Jeżeli szukacie rozgrzeszenia, nie ode mnie je otrzymacie – ostrzegła. – Przyszłam tu tylko po to, by ocalić mojego brata i niewinnego młodzieńca.

– Niewinnego? – wykrzyknął nerwowo duchowny. – W tej kwestii nikt nie jest niewinny. Nikt!

– Włącznie z wami, Ekscelencjo.

– Uważacie mnie za aż tak godnego pogardy? Doskonale zdaję sobie sprawę z własnych win.

– A więc? Nie widzicie, że moja obecność podsuwa wam sposobność do ich odkupienia? – Wyprostowana niczym struna przyglądała się, jak wzburzony Guido krąży po komnacie. Była pewna, że usłyszała w głosie prałata nutę wyrzutów sumienia. Nawet teraz, wpatrując się, jak stawia ciężkie kroki, dostrzegła cień skruchy. Nie wiedziała, co jest powodem owego stanu, pojmowała jednak, że ma przed sobą zupełnie innego człowieka niż ten, z którym rozmawiała przed tygodniem. Wszelako żal równoważył strach. Eudeline uzmysłowiła sobie, że wielebny Guido waha się właśnie z jego powodu, lecz postanowiła go pokonać jeszcze silniejszym strachem. – Czyżbyście zapomnieli o moich groźbach? – rzekła napastliwie. – Nie wyjdę z tej komnaty, dopóki nie dacie mi słowa.

– Nie powinno was tu być! – wrzasnął Baisio zamiast odpowiedzi. Jego wzrok jął błądzić po ścianach komnaty, jakby domagał się obecności kogoś trzeciego. – Nieszczęsny Namo – mruknął – dlaczego nie dotrzymał obietnicy?

– O kim mówicie? – Eudeline drgnęła, nadstawiając ucha.

– Milczcie, Rocheblanche. – Biskup uczeplił się kolumnienek biforium, wznosząc oczy do nieba. – Ten wasz ród... Rocheblanche! O Panie, jego nazwa spadła na mnie jak przekleństwo! A teraz, teraz, kiedy nie wiem, co począć...

– Sami jesteście przekleństwem – odparowała Eudeline. – Gdybyż tylko Maynard was nie posłuchał...

Widoczna pod światło postać Guida di Baisia zdrząła.

– Ja chronięm waszego brata! Nie bacząc na jego błędy i zawziętość. Chronięm go, dopóki mogłem, wszelkimi środkami, którymi...

Zdanie przerwał charkot.

Jego Ekscelencja zachwiał się i zawadził o brzeg kobierca.

Eudeline z narastającą zgrozą ujrzała, jak pada ze strzałą utkwioną w piersi.

Rzuciła się ku niemu i uniosła mu głowę.

– Ekscelencjo... – wyjąkała, patrząc to na jego twarz, to na ciągnące się za oknem dachy. Łucznik. Myśl ta przemknęła niczym błyskawica. Łucznik przyczajony gdzieś w górze.

Prałat zakaszał konwulsyjnie, podczas gdy niedowierzanie w jego oczach przeistaczało się w niespodziewane przerażenie. Usiłował ucześcić się niewiasty, błagając o ratunek. Ona jednak nie wiedziała, co czynić. Obejrzała ranę, lecz była tak skamieniała, że zabrakło jej tchu, by wezwać pomoc. „Uciekaj!”, nakazywał instynkt. „Uciekaj, nim strzelec trafi i ciebie!”

Odwróciwszy się ku wyjściu, przypomniała sobie o strażach, stojących w korytarzu za drzwiami. Napięła mięśnie nóg, gotując się do biegu w tym kierunku, ale poczuła, że jest powstrzymana.

Guido wpatrywał się w nią z zimną przytomnością.

– Prędko... – wyszeptał. – Szuflada...

– Ekscelencjo, ja...

– Szuflada... w moim... skryptorium...

Z początku Eudeline nie rozumiała, potem jednak uzmysłowiła sobie, że źrenice rannego spoglądają w stronę jedyne go pulpitu w komnacie.

– Prędko.

Niewiasta zastanawiała się, czy trwoga przed śmiercią nie pomieszała mu rozumu. Następnie usiłowała sobie wyobrazić, co w takich okolicznościach stałoby się ważne dla niej, i pojęła, że chce spełnić życzenie tego człowieka. Zerknąwszy nieufnie ku oknu, ruszyła ostrożnie do pulpitu, lecz niespodziewany świst kazał jej się cofnąć. Strzała utkwiała w ścianie, o włos od jej szyi.

– O Panie... – wymamrotała. Ten psi syn nadal czaił się tam, na którymś z dachów! Pokonawszy strach, rzuciła się naprzód, by nie zdążył w nią wycelować, i schowała się za skryptorium. Zastygła w bezruchu, serce waliło jej jak oszalałe, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

Chociaż biskup znajdował się kilka kroków od niej, wydawało się, jakby dzieliła ich mila. Leżał na podłodze blady niczym płótno. Przez chwilę miała wrażenie, że jest martwy, po czym ożywił się nagle i gestem, który kosztował go olbrzymi wysiłek, dał jej znak, by spełniła jego żądanie.

Wówczas Eudeline otworzyła szufladę. Wewnątrz spoczywał zapisany inkaustem pergamin.

– Weźcie go – wybełkotał biskup z rozszerzonymi źrenicami. – Weźcie go, pani... i uciekajcie, zanim...

Jego głos zamarł w westchnieniu.

Minęła cała wieczność, nim Eudeline zdołała oderwać wzrok od tej pozbawionej życia twarzy. Następnie uczyniła pospieszny znak krzyża i podążyła ku drzwiom, zastanawiając się, czy zdąży do nich dobiec, zanim trafi ją łucznik.

Maynard pojął, że przybył za późno, w chwili gdy zatrzymał konia przed pałacem biskupim. Plac przed fasadą zajmował tłum gapiów, mocno utrudniając obchód strażom przed wejściem. Rycerz podjechał, jak mógł najbliżej, zeskoczył z siodła i przepchnął się przez ciżbę. „Powściągnij zapał”, nakazał sobie. Przecież nie było powiedziane, że zasadzka Margherity Ariosti się powiodła. Może Guido di Baisio przeżył albo nawet odniósł tylko lekką ranę. Niemniej obecność wszystkich tych ludzi nie wróżyła nic dobrego.

– Messer, musicie pójść z nami!

Rocheblanche odwrócił się raptownie i natknął na czterech zbrojnych. Dwaj z tyłu dumnie dzierżyli włócznie, a dwaj pozostali trzymali dłonie na rękojeściach mieczy.

– Kto wydał wam taki rozkaz? – zapytał, tymczasem tłum cisnął się wokół, jakby za chwilę miał oglądać starcie. Z kolei Maynard liczył na to, że wystarczą słowa, by prędko uwolnił się od intruzów. Musiał koniecznie sprawdzić, jak się miewa biskup, a potem pędzić do Pałacu Signorii, by wyjawić zdradę Margherity Ariosti.

– Święta Inkwizycja – padła odpowiedź.

– Przekażcie bratu Lambertowi da Cingoli, że nie omieszkam zdać mu sprawozdania. Najpierw jednak jestem zmuszony...

– Mylicie się, messer – odrzekł jeden ze zbrojnych, dając znak kompanom, by otoczyli rycerza. – Nie będzie żadnego sprawozdania, jesteście zatrzymani.

Nie mogąc uwierzyć własnym uszom, Rocheblanche cofnął się oburzony.

– Na jakiej podstawie?

– *Magister* osobiście wam to wyjaśni. A teraz żywo, oczekują was u Świętego Dominika.

Maynard rzucił mu wyzywający uśmiech. On zatrzymany, dobre sobie! Jak nic to była zasadzka, zaskoczenie nie pozwoliło mu wszakże chłodno rozumować. Nadeszła właśnie jedna z owych delikatnych chwil, kiedy to umysł rozpatruje wszelkie za i przeciw przed sięgnięciem po broń, lecz nagle spostrzegł wyłaniającą się z ciżby niewieścią postać, która oddalała się zwawym krokiem w kierunku rynku. „Eudeline?”, pomyślał oniemiały. Nie, to nie mogła być ona! Przecież wiedział, że jest bezpieczna, z dala od czyhających na nią zagrożeń. A jednak ta twarz, ten chód...

Odruchowo chciał zawołać jej imię, lecz nie zdążył wydobyć głosu, bo poczuł na plecach grot włóczni.

Przemierzywszy rynek, niewiasta puściła się biegiem aż do zadaszonego przejścia, gdzie skryła się przed spojrzeniami przechodniów. Była wyczerpana, przepełniona lękiem. Oparła się plecami o ścianę i osunęła na ziemię. Cudem ocalała! Po opuszczeniu komnaty biskupa wystarczył jeden jej krzyk, by przywołać strażę, po

czym rozpętało się piekło. Na szczęście natychmiast się okazało, że ona nie ma nic wspólnego ze śmiercią wielbnego Guida, albowiem strzała została najwyraźniej wypuszczona z zewnątrz. Pozwolono jej się zatem oddalić, toteż gdy wyszła z pałacu, czym prędzej czmychnęła, by nie zostać wmieszana w pojmanie mężczyzny, którego nie zdołała dostrzec.

Teraz znajdowała się o kilka kroków od swej kryjówki, gdzie czekała na nią Isabeau, jednak mimo że nadal była wstrząśnięta, nie potrafiła dłużej zwlekać. Musiała się dowiedzieć!

Sięgnęła do prawego rękawa szaty po dokument, który zabrała z szuflady biskupa, cudem uniknąwszy ugodzenia strzałą. Wprost nie mogła sobie wyobrazić, czym kierował się ten umierający człowiek, tak się upierając, by go wzięła.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak testament. Jego autor, sam Guido di Baisio, rozpoczął swój tekst od formuły odpuszczenia grzechów, po czym przeszedł do...

Eudeline de Rocheblanche poczuła, że brakuje jej tchu.

KATEDRA ŚWIĘTEGO JERZEGO

23 KWIETNIA

Nieprzebrana rzeka narodu płynęła od dzielnicy Świętego Romana do Bramy Pielgrzymiej, wlewając się do majestatycznej bryły katedry. Isabeau nigdy jeszcze nie widziała takiej rzeszy ludzi przesuwających się w szyku i w absolutnej ciszy. I nigdy by też nie przypuszczała, że śmierć jednego prałata może przyciągnąć takie tłumy. Rzecz jasna, kościelni heroldowie odegrali tu swoją rolę, lecz każda z tych osób była obecna przy zbyt wielu zgonach, by nie czuć mdłości na odgłos żałobnych dzwonów. Dało się to wytłumaczyć jedynie tym, że znaleźli się tutaj nie dlatego, by oddać hołd człowiekowi, lecz najwyższemu symbolowi ferraryjskiego życia religijnego.

Na dźwięk *tintinnabula* procesja rozstała się, by przepuścić wóz, spowity dymem kadzidła, wśród którego można było dostrzec sarkofag Guida di Baisia.

Dziewczyna przystanęła na skraju placu i przyglądała się scenie u boku Eudeline. Pomimo wiosennego ciepła obie opatuliły się w ciemne płaszcze i schowały głowy pod kapturami. „Nikt nie może nas rozpoznać”, nie omieszkała jej powiedzieć pani de Rocheblanche. Ponadto dodała, że śmierć biskupa przysłuży się zarówno Gualtierowi, jak i Maynardowi. Niemniej jednak wydawała się zmartwiona. Isabeau widziała, jak przepatruje wędrujący tłum, po czym zatrzymuje wzrok na gromadzie fratrów w białoczarnych habitach.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytała po raz kolejny.

Zamiast odpowiedzi szlachcianka chwyciła ją za rękę i ruszyła ku zakonnikom.

– Wielebni ojcowie – rzekła z szybkim ukłonem – czy mam zaszczyt rozmawiać z kaznodziejami od Świętego Dominika?

Najmłodszy i najbardziej pucołowaty z nich postąpił naprzód.

– Tak, córko.

Eudeline wahała się przez chwilę. Isabeau wyczuła drzenie ściskających jej dłoń palców.

– Szukam pewnego człowieka, który jest gościem w waszym konwencie. – Usłyszała głos Eudeline. – Sądziłam, że weźmie udział w pogrzebie biskupa, ale go nie widzę.

Frater skrzywił się niepewnie.

– Nasz zakon posiłkuje się wieloma sługami i konwersami – zauważył. – Kogo dokładnie macie na myśli?

– Pewnego rycerza – oznajmiła niewiasta. – Zowie się Maynard de Rocheblanche.

Isabeau zdążyła dostrzec na twarzy dominikanina niespodziewany wyraz zdumienia, jednak szmer ciżby skierował jej uwagę w głąb rynku, gdzie na czele orszaku szlachty posuwał się oddział zbrojnych. Pochód otwierali markiz Obizzo III d'Este i jego najstarszy syn, dosiadający przepięknych karych rumaków. Na znak żałoby po prałacie czarne były również ich szaty i końska uprząż.

Zanim dziewczyna zdążyła wszystko obejrzeć, poczuła szarpnięcie i została odciągnięta w pośpiechu w miejsce oddalone od gawiedzi.

– Co się dzieje? – zapytała z niepokojem.

Nie puszczając jej dłoni, Eudeline przemierzała wściekłym krokiem bruk.

– Niechaj Bóg ich przeklnie! – wycodziła przez zęby. – Uwięzili mojego brata!

KONWENT ŚWIĘTEGO DOMINIKA

Chociaż Maynard przebywał w celi od dwóch dni, nikt nie raczył mu jeszcze wyjawić powodów pojmania. Zbrojni odprowadzili go prosto do kościelnych lochów i zamknęli *intra arctos muros*, jak to zwykle czyniono z tymi, których zamierzano poddać przesłuchaniu albo powierzyć katu. To, że byli niewinni, nie miało większego znaczenia. Podobnie jak każdy pozbawiony złudzeń umysł, Rocheblanche doskonale wiedział, że trafienie pod opiekę Świętej Inkwizycji równało się domniemaniu winy, a zatem, wbrew wszelkiej oczywistości, uznaniu winnym ciężkich zbrodni.

Dręczyło go jednak, że pozwolił uciec Marghericie Ariosti, która odpłaciła mu za zaufanie kolejną perfidią. Dotarłszy do pałacu kurii, w istocie zdał sobie sprawę, że nigdy nie miał nadziei, iż zdoła ocalić wielbego Guida.

Niełatwo byłoby to wyjaśnić tym, których to bezpośrednio dotyczyło, niemniej Maynard liczył, że dzięki podobnym wieściom uda mu się odzyskać wolność. Oczywiście o ile Lamberto da Cingoli nie miał innych powodów, by trzymać go w klatce.

Przede wszystkim więc usiłował zrozumieć, o co go oskarżano. Niemal sam uwierzył we własną winę.

Skądinąd trudno zachować zimną krew w takich okolicznościach, zwłaszcza jeśli człowieka gryzą wyrzuty sumienia. W owej czarnej norze obojętność wobec siostry, grzechy pychy, złamane istnienia i ciągle obecna, nieuśmierzona złość na ojca stały się niemal czymś namacalnym, a rycerz czuł się niezdatny do niczego. Próba obrony *Lapis exilii* okazała się daremna. Na przekór upragnionej ekspiacji czuł, że nie stanął na wysokości zadania. Podsycał tylko w duszy furję, mając cichą nadzieję, że prędzej czy później da jej upust w postaci jakiegoś haniebnego i niszczycielskiego czynu.

Uderzył pięścią w ścianę. Najwyraźniej nie był lepszy od Margherity Ariosti ani markiza Obizza, ani tym bardziej od swego nikczemnego rodziciela. Ludzie ci wykazali się przynajmniej wystarczającą uczciwością, by pogodzić się z własną naturą. A cóż takiego on zrobił poza ukrywaniem się za czczą gadaniną o prawości?

Ponownie rąbnął w ścianę, wznosząc gniewny okrzyk.

– Kto się odezwał? – Usłyszał niespodziewany szept.

Brzmiał on raczej jak jęk z grobu niż głos żywego człowieka. Rocheblanche otrząsnął się z zadumy i nadstawił ucha.

– Kto to powiedział? – zapytał po chwili wahania.

Odpowiedź nie padła od razu. W ciemnościach rozległo się coś jakby szuranie, jakby czyjeś ciało doczołgało się i przywarło do muru.

– Abraham, na imię mi Abraham... – wyszeptała wreszcie z nieznaczną ulgą niewidzialna istota. – Kto... Kto przemówił?

Maynard przypuszczał, że znajduje się w przyległej celi, i ogarnął go niewysłowiony smutek. Z każdego słowa wypowiedzianego przez tego nieszczęśnika biły strach i uległość, co świadczyło o długim pobycie w lochach Świętego Dominika. Już miał wyjawić własne imię, gdy wtem ogarnęło go tak niepokojące przeczucie, że nie zdołał powstrzymać się od pytania:

– Abraham z Bazylei... *Confectionarius*?

– Tak, tak... – wyskrzecztał mężczyzna. – A wy, messer... Kim jesteście, skoro rozpoznaliście mnie tylko po mowie?

– Rocheblanche – zagrzemiał rycerz. – Lecz... nie pojmuję! Sądziłem, żeście uciekli z Ferrary...

– Rocheblanche? – W głosie Żyda zabrzmiała zawzięta pogarda. – Bądźcie przeklęci!

Maynard odsunął się od ściany z rosnącym niedowierzaniem.

– Messer, nie pojmuję... Ja nie...

– Wyłupili mi oczy z waszej winy! Moje biedne oczy! – Rozległo się chlipnięcie. Następnie po słabym westchnieniu w mroku dał się słyszeć ponownie głos Abrahama. – Bestia... Latarenki... *Maleficium*... – szeptał gorączkowo. – Ja o niczym nie wiedziałem, a oni i tak... Och, oni! Ciągłe nie mieli dość... Pojmujecie? Mówili, że krew Judasza jest fałszywa... A ja... Ja... – Kolejna chwila milczenia, kolejne jęki w ciemnościach. W końcu nieszczęśnik najwyraźniej się ożywił, rozsierzdzony. – Dlaczegoście ich do mnie przysłali?

Dla rycerza to było jak policzek. W czasie śledztwa powstrzymywał się od donoszenia na kogokolwiek do Lamberta da Cingoli właśnie po to, by nie mnożyć pomyłek i niedomówień. Skoro to jednak nie on, kto wobec tego mógł się wygadać? Któż inny, jak nie... brat Prudenzio, psi zdrajca!

W przypiływie nagłej wściekłości rąbnął dłońmi w drzwi celi. Ta ohydna glista! To z pewnością on. Szpiegował go od samego początku, drepcząc za nim z przymilnym uśmiechem. Francuz zapragnął złapać go za kark i zmusić, żeby wyśpiewał wszystko po kolei.

Nagle usłyszał odgłos kroków i spostrzegł światło za kratką Judasza.

– Kto tam, u licha? – zaklął za złością.

Nikt nie odpowiedział. Wyglądało na to, że Żyd rozpląnął się w powietrzu.

Wreszcie w szparze w drzwiach ukazała się czyjaś twarz.

Maynard zaś spojrział w pozbawione blasku oczy Obizza III d'Este.

– A więc to prawda! – wykrzyknął. – W piekle człowiek spotyka diabły.

– I potępieńców – dodał markiz, mrugając do niego.

– Spodziewam się, że jesteście tu, bo chcecie mi coś powiedzieć.

„To nie do mnie należy”, dał do zrozumienia Obizzo z przelotnym uśmiechem. Jego twarz za judaszem stanowiła wszakże jedynie mozaikę cieni. Popatrzył w prawo, potem w lewo, jakby oczarowała go atmosfera lochów.

– Osobliwe okoliczności, nie sądzicie? – stwierdził uszczypliwie. – Przywodzą na myśl jakże podobne niedawne wydarzenia.

Maynard oparł się pokusie, by splunąć mu w twarz. W tej chwili ów człowiek stanowił jedyny związek łączący go ze światem zewnętrznym. Jeśli chce się dowiedzieć, co go czeka, musi tańczyć, jak on zagra.

– Macie na myśli moje uwięzienie w pałacu z powodu waszej zachcianki? O ile sobie przypominam, to właśnie wtedy wyjawiliście mi, że kazaliście zabić ojca Facia di Malaspinę.

– A gdyby nawet tak było? – zapytał Obizzo z nutą szyderstwa. – Teraz to wy zgnijecie w kozie.

– Gdyby to była prawda, również tym razem to nie ja mam krew na rękach.

– Czyżby powinno mnie to obchodzić?

– Ponad wszelką miarę, mój szlachetny panie. – Rycerz wsunął palce między kratę i spojrzał nań z wyzywającą miną. – Bo, widzicie, ja wiem, kto zabił Lippę Ariosti.

– Znowu majaczycie i wygadujecie te bzdury? – uniósł się gniewem Obizzo. Rąbnął w drzwi obiema rękami, aż zadrżały. – Moją żonę zmogła gorączka! Sam znalazłem ją bez czucia w łożu!

– Zatem – dodał Rocheblanche głosem, w którym pobrzmiwała coraz większa stanowczość – zapewne wam nie umknęło, że została ugodzona w żebra.

Złość minęła markizowi w jednej chwili. Nastąpiła przytłaczająca cisza, po czym Obizzo pojawił się ponownie w judaszu z grymasem ni to nienawiści, ni to zagubienia.

– Nędzny intrygancie! Jak zdołaliście... Jak wam się udało...

– Tego dowiedzieć? – Maynard posłał mu chytry uśmiech. – Na początek dzięki paru zeznaniom. Chociaż są nie do końca spójne, wzbudziły moje podejrzenia, aż wreszcie odsłoniły prawdę o zbrodni. Zbrodni dokonanej przez tchórza. Nie ma zresztą potrzeby wdawać się w szczegóły, dobrze mówię? Doskonale je przecież znacie.

Chociaż przepełniająca markiza wrogość widoczna była nawet w ciemnościach, odezwał się bezbarwnym głosem.

– Po raz kolejny łudzicie się więc, że doszliście do prawdy.

Rycerz wzruszył ramionami.

– Dostrzegam wystarczająco dużo, by wami gardzić.

Szlachcic za kratą skinął głową. Był to wyrachowany gest, pozbawiony skruchy i niemal wszelkich innych uczuć.

– Uważacie, że człowiekowi z moją pozycją łatwo jest utrzymać *potestas*? W wyniku bitew, ustępstw i anatem moi dwaj bracia ponieśli śmierć, przeżyłem tylko ja. Nie ma poranka, bym nie budził się z dłonią na rękoności sztyletu przy moim łożu, zawsze gotów tropić wrogów, zasadzki, spiski! Tymczasem wyprawicie mi morały, oskarżając o... Właściwie o co? Można mi zarzucić wszystko, ale nie słabość, messer. Naprawdę sądziliście, że mógłbym znosić wybryki niewiasty?

Rzecz jasna Maynard nie spodziewał się przyznania do winy, zdumiał go wszakże brak skrupułów Obizza. Zdawał się przesłaniać wszystko i wszystkich wokół niczym gęsta mgła, pograżając ich w mroku, przeobrażając. Za owym nieuchwytnym woalem skrywała się jednak ludzka istota wraz z jej afektami i lękami.

– Czy przed synem także usprawiedliwiacie się w ten sposób?

Markiz cofnął się, złorzecząc przez zęby.

– Jeśli zachowaliście odrobinę serdeczności wobec Aldobrandina...

– Sądzicie, że jestem aż tak podły? – przerwał mu Rocheblanche. – Z pewnością nie ja nastawię go przeciw ojcu, wyjawiając mu taką potworność. Dobrze wiem, co znaczy odwieczna nienawiść do rodziciela. To rana, która zatruwa dzień po dniu każde inne uczucie. Prędzej czy później przyjdzie wam ją otworzyć niczym słuszny odwet za krew, którą przelaliście. Mimo to... – Westchnął głęboko, przypomniawszy sobie nagle, że jest zamknięty w przedsiönku piekła. Choć honor zabraniał mu paktować z tym, który zamordował własną żonę, potrzebował monety przetargowej, która pozwoliłaby mu polepszyć swe położenie. – Mimo to wasz ród musi być chroniony – ciągnął. Dlatego zamierzam was ostrzec przed Margheritą Ariosti w interesie Aldobrandina, nie waszym.

Markiz przymknął oczy.

– Siostrą Lippy?

Rycerz przytaknął.

– Maczała palce w spisku przeciwko Estom. Wizje bestii, wiadomości z ropuchami, bunty chłopskie... Wszystko to jej sprawka! Nawet omamy waszego syna są dziełem tej niewiasty. Jej celem zawsze było mącenie wam w głowie i zmuszanie do walki na wielu frontach, tymczasem sama tkła swą pajęczą sieć, by pomścić siostrę.

– Jesteście tego pewni?

– Sama mi to wyznała na krótko przed tym, nim mnie pojmano. Gdyby tylko strażę pozwoliły mi się wtedy z wami rozmówić...

– Zemsta... – zastanawiał się Obizzo. – Nawet gdyby tak było, Margherita nie zdołała wyrządzić mi żadnej szkody.

– Doprawdy? – zapytał z niedowierzaniem Maynard. – Ilu jej wyznawców zabiliście na wsiach? Zanim związali się z tą niewiastą, byli waszymi poddanymi. Dzięki jej urokom uznali was za despotę, uosobienie zła. Ponadto... Nie

uwzględniście tego, co stało się z biskupem Guidem.

– Chcecie powiedzieć, że...

– Owszem, wasza wielmożność. Za pośrednictwem swych szpiegów Margherita Ariosti dowiedziała się o prowadzonym przez inkwizycję dochodzeniu i wytropiła tych, którzy za nie odpowiadają. Przede wszystkim biskupa Ferrary, który zapłacił życiem, i spodziewam się, że gdybym jej nie przepłoszył, następny byłby brat Lamberto da Cingoli. Tymczasem niewiasta skupiłaby się na was, zakradając się na dwór. Oczarowałaby was, ogłupiała tak bardzo, że stalibyście się bezsilni.

Markiz zamknął się w nieprzeniknionym milczeniu, a gdy poruszył oczami, zalśnił w nich kąśliwy błysk.

– Zakończyliście zatem dochodzenie, winszuję – stwierdził. – Być może jednak powinniście wykorzystać własną bystrość, aby rozejrzeć się dokoła, messer, i uzmysłowić sobie własne bolączki. Jak powiadają, o wiele poważniejsze niż moje.

– Zmierzę się z nimi z przekonaniem, że postępuję słusznie – bronił się dumnie Maynard.

– Uciekła wam, rzekliście – powtórzył Obizzo tonem, w którym znów pobrzmiwał chłód. Na jego wargach pojawił się bezlitosny uśmiech. – Z pewnością moim ludziom nie ucieknie. – Po czym odsunął się na bok i położył dłoń na ryglu.

Nim Rocheblanche zdążył się cofnąć, drzwi się otworzyły. Światło, choć słabe, zalało całe wejście, pośrodku którego pojawiła się postać zakapturzonego fratra.

Tymczasem w oddali rozbrzmiewał głos markiza:

– Więzień należy do was, *magister*. Nie krępujcie się. Dla waszego bezpieczeństwa postawię w progu strażę.

Przekroczywszy próg celi, brat Lamberto da Cingoli zdjął kaptur i rozejrzał się oczami barwy popiołu. Popatrzył na plamy pleśni na ścianach, podążył wzrokiem za nietoperzem, który zagnieździł się na belce w sklepieniu, wreszcie splótł ręce na piersi. Najwyraźniej dopiero wtedy dostrzegł Rocheblanche'a.

– Pomódlmy się – powiedział, dając mu znak, by ukląkł.

Rycerz, który trząśł się z wściekłości nagromadzonej z powodu Obizza, wolałby raczej stanąć do zażartego pojedynku. W dodatku czuł się zdradzony i oczekiwał wyjaśnień. Tkwił wyprostowany, walcząc z odruchem, by złapać zakonnika za gardło.

– Dlaczegoście mi to uczynili? – zapytał oskarżycielskim tonem.

Inkwizytor tylko wycelował palec w podłogę, ponawiając coś, co nie było zwykłym zaproszeniem, lecz rozkazem. Maynard zerknął nań wyzywająco, zastanawiając się, jak niewiele trzeba, by wziąć go jako zakładnika i zmusić strażę do paktowania w kwestii ucieczki. Ale po co? Bez wątpienia brat Lamberto zdążył poczynić odpowiednie kroki. Robił to od miesięcy, rozciągając swą sieć daleko poza granice Świętego Dominika, może nawet do kryjówki Eudeline albo nawet do opactwa w Pomposie. Rozumując w ten sposób, Maynard ocenił, że roztropniej będzie zachować spokój i spróbować odgadnąć strategię wroga.

Ukląkł.

Na ten widok brat Lamberto uczynił znak krzyża i położył mu dłoń na głowie.

– *Confiteor Deo quia peccavi in cogitatione, in locutione et in opere* – rzekł, po czym jął szeptać. – Zgrzeszyliście, messer, splamiwszy się tak odrażającą winą, że nie mogę się nadziwić, iż nadal żyjecie, zamiast smażyć się w ogniu piekielnym. Nie lódźcie się jednak, albowiem jesteście skazani na potępienie. – Szept stawał się coraz sugestywniejszy i bardziej złowróźbny, był w stanie natchnąć rozpaczą nawet najmężniejsze serca. Maynarda przeraziły wszakże kolejne słowa, po których wyrwało mu się pełne niedowierzania przekleństwo. – Jesteście skazani na potępienie, a jakże – zauważył frater – odkąd postanowiliście przemilczeć pewną bardzo starą tajemnicę przed księciem Kościoła. Och, biedny synu! Dlaczegoście to uczynili? Dlaczego nie ulżycie swemu sercu *hic et nunc*, aby naprawić tak bluźnierczy występpek?

Rocheblanche poczuł, jak palce fratra zaciskają się na jego głowie niczym szpony, jakby chciały zaszcześcić mu siłą poczucie winy. On jednak otrząsnął się już z zaskoczenia i wpatrując się w warstwę słomy pokrywającą podłogę, starał się opanować lęk. Cóż za okrutny los! Nigdy by nie przypuszczał, że to może się wydarzyć – że dozna całkowitego upokorzenia! Dumając nad najwyższą próbą, jaka

go czekała, często wyobrażał sobie starcie z otwartą przyłbicą, we wzajemnym poszanowaniu obydwu wrogów, którzy długo mierzą się wzrokiem, ukryci jeden przed drugim w cierpliwej grze pozorów. A tymczasem może zostać zbity jak pierwszy lepszy pion, zanim nastąpi mat.

„Nie!”, powiedział sobie nagle. „Tak nie będzie”. Uśmiechnął się okrutnie, rozkoszując się nadciągającą bitwą. Skoro przeciwnicy zamierzają go złamać za pomocą owego niecnego podstępu, nieźle się rozczarują. Podniósł zatem głowę, spoglądając na inkwizytora wojowniczym wzrokiem.

– Wolicie, abym wyznał swą tajemnicę bezpośrednio wam – odparł tubalnym głosem – czy waszemu tajemniczemu panu?

– W świętym zgromadzeniu Kościoła nie ma ani sług, ani panów – skarcił go brat Lamberto – tylko bracia zjednoczeni jedyną miłością Ojca.

– Ojca, który wszelako ma także bękarcich synów – odrzekł rycerz, podrywając się raptownie – jak Jego Eminencja Bertrand du Pouget. Powiedzcie prawdę! To on jest księciem Kościoła, o którym wspominaliście? To dla zaspokojenia jego żądz zgodziliście się zainscenizować tę wstrętną komedię?

– Jak śmiecie! – wysyczał dotknięty do żywego dominikanin. – Drogo zapłacicie za swoje bluźnierstwo!

– Kończąc w jeszcze głębszej celi? – odparował Maynard. – No dalej, zróbcie to! Pokażcie mi żelazną pięść! Ale jeśli jesteście choć w połowie mężczyzną, jak usiłujecie wmówić, ubierzcie to w słowa i powiedzcie, kiedy postanowiliście mnie zdradzić.

Brat Lamberto wcale nie dał się zastraszyć. Jego niespokojne i chude niczym szczapa ciało, spowite w habit, zastygło w bezruchu.

– Inkwizytor nie zdradza – obwieścił. – Co najwyżej bada podejrzanych, aby wgrzyzać się w ich występki.

– Zatem od początku dochodzenia! – skwitował Rocheblanche, rozważając łańcuch wydarzeń, który doprowadził go aż do tej chwili. Dopiero teraz potrafił dostrzec łączącą je nić. Nieoczekiwane wezwanie biskupa, przyjazd do Świętego Dominika, wścibskie pytania brata Prudenzia... Wszystko po to, by mieć go na oku, by zgłębić jego tajemnice pod pretekstem dochodzenia. – Żądam wyjaśnień – rzekł. – Czy to był pomysł Guida di Baisia?

Lamberto da Cingoli odpowiedział cierpkim śmiechem.

– Jesteście niczym mucha w sieci, messer! Miotanie się tylko rozwścieczy pająka.

– Niech tu przyjdzie! – prychnął rycerz. – Gdzie teraz jest?

– *Monsignore* du Pouget jest bardzo blisko, wierzcie mi. Nalega wszakże, abym to ja was doglądał.

– A więc ten nikczemnik już jest w murach Ferrary! Och, ojczy... Gdybyście wiedzieli, jakich dopuścił się zbrodni, nie darzylibyście go takim poważaniem.

– Nie rójtcie sobie, że wam uwierzę – zniechęcił go inkwizytor. – Udając niewinnych, heretycy są zdolni zrzucać niewyobrażalne winy na swych oskarżycieli.

Nagle Rocheblanche uzmysłowił sobie, że właśnie wpadł mu w ręce ostatni fragment mozaiki. Oto co mu się zarzuca!

– Ja nie jestem heretykiem! – odparł z pełnym niedowierzania oburzeniem. – Jestem wierny Chrystusowi i zostałem pasowany na rycerza w najświętszym spośród paryskich kościołów! Moja rodzina broni krzyża od pokoleń, ja sam zaś służyłem Filipowi Szóstemu Walezjuszowi, na wskroś katolickiemu królowi, na francuskiej ziemi!

– Jednakże – sprzeciwił się natychmiast Lamberto da Cingoli – uparcie ukrywanie cymelium, zdaniem kardynała du Pougeta będące cenną relikwią. Zdaje się, że zowie się *Lapis exilii*. Cóż, nie wiem, z jakiego powodu *monsignore* Bertrand chce je posiadać, lecz po purpuracie o takiej mądrości spodziewam się wyłącznie świętej woli oceny autentyczności owej relikwii. Gdyby bowiem autentyczność ta nie została potwierdzona, uznano by was za strażnika dzieła rąk ludzkich, stworzonego po to, by rozpowszechniać kłamliwy kult... albo herezję! Czy teraz to jasne? Moje oskarżenie opiera się na tym przypuszczeniu, które może obalić wyłącznie oczywista prawda.

– Żądacie zatem, by jakaś rada teologów zbadała *Lapis exilii*?

– Zgadza się.

Maynard nie posiadał się z oburzenia. Aż do tej pory żywił wobec inkwizytora uczucia będące mieszaniną szacunku i chęci rywalizacji, która pozwalała mu z nim współdziałać, mimo że nie podzielał jego poglądów. Nawet po pojmaniu przyznał mu przywilej wątpienia, odczytując ową zniewagę jako przejaw nadgorliwości. Teraz jednak zdumiał się, słysząc, jak człowiek, którego dopiero co uważał za dalekiego od tej sprawy, wspomina o relikwii Chrystusa. Najwyraźniej Bertrand nie miał skrupułów, by wyjawić fratrowi, ile trzeba, aby osiągnąć własne cele. Tylko że rycerz nie zamierzał tańczyć, jak mu zagrają. Nigdy, przenigdy nie zdradzi, że *Lapis exilii* to święty stół z ostatniej wieczerzy, skrywany przed światem właśnie po to, by nie wpadł w ręce zepsutych prałatów pokroju Bertranda du Pougeta. Nigdy nie zdradziłby jego kryjówki ani imienia opata, któremu przysiągł milczenie aż po grób.

– Wasze żądanie byłoby możliwe do spełnienia jedynie wtedy, gdybym doprowadził was do *Lapis exilii*, lecz tak się nie stanie – odparł.

Inkwizytor spojrzał nań z fałszywą słodyczą.

– Czyżbyście sądzili, że macie wybór?

– Och, *magister*, doskonale rozumiem, że czepiając się mojego milczenia, możecie mnie z czystym sumieniem oskarżyć o *crimen heresae*. Wszelako wolałbym skończyć jako męczennik, niż pomagać wam w plugawych kruczkach.

– To żadne kruczki, messer. To zwykła chrześcijańska moralność. Jeśli przyjąć, że prawda musi zostać wyjawiona zawsze i bez względu na wszystko, wasze milczenie

można odczytać wyłącznie jako celowe ukrywanie kłamstwa. Wyzywam was, byście dowiedli, że jest inaczej.

Maynard uśmiechnął się z goryczą.

– Nie warto by było najpierw się przekonać, ile i jakie kłamstwa naopowiadał wam du Pouget?

– Zuchwały z was człowiek, Rocheblanche. – W głosie brata Lamberta zabrzmiała nuta złośliwości. – Lecz widziałem, jak w tutejszych lochach ludzie odznaczający się większym hartem ducha nader prędko zmieniali zdanie.

– Wyłupicie oczy i mnie – odrzekł wyzywająco Maynard – zgotujecie mi los, jakiego doświadczył żydowski *confectionarius*?

Zanim padła odpowiedź, z twarzy dominikanina znikł współczujący grymas.

– Czyżbyście się z tym nie zgadzali? A może czujecie się wykorzystani? Cóż, użyłem wszelkich dostępnych narzędzi, aby przeprowadzić dochodzenie, a wy byliście jednym z nich, messer. Czy wam się to podoba, czy nie. Zadbalem o to, by przesłuchać Żyda, gdy tylko brat Prudenziio powiadomił mnie o jego powiązaniach z napojem zastosowanym przy *maleficium*.

– Mogliście go oszczędzić. Jeśli do waszych uszu dotarło to, co powiedziałem przed chwilą Jego Wielmożności, zapewne wiecie, że zakończyłem dochodzenie. W dodatku nikogo nie torturując. Nawet gdybym miał wam sprawić zawód, mogę stwierdzić, że w całej tej intrydze za sznurki pociągał nie diabeł, lecz niewiasta.

– Często są to synonimy – odrzekł bezbarwnym głosem inkwizytor.

– Ocaliłem markiza – zauważył z dumą rycerz. – Czy to nie są zasługi?

Zamiast odpowiedzi Lamberto da Cingoli posłał mu drwiący uśmiech.

– Pochwalam wasze zasługi, messer – oznajmił, wznosząc dłonie ku górze. – Tylko że moje ręce to nie są szale wagi, na której dobre uczynki zdołają zrównoważyć ciężar grzechu. – Cofnął się ku drzwiom i beztrąsko w nie zastukał. – Będziecie mówić, Rocheblanche, przysięgam. W imię Boga, z żalu albo ze strachu. Ale wierzcie mi, będziecie mówić.

Po czym drzwi się otwarły i dominikanin zniknął, a za nim niósł się echem ostatni okrutny śmiech.

DZIELNICA BOCCACANALE

Bertrand du Pouget wiedział, że zwyciężył. To kwestia czasu, kiedy Rocheblanche zacznie mówić, co pozwoli mu wreszcie wejść w posiadanie *Lapis exilii*. I zostać papieżem. Gdy obwieści światu istnienie najwyższej relikwii Chrystusa, bez trudu pokona przeszkody na drodze do zdobycia władzy. Karol Luksemburski, *rex Romanorum*, udzieli mu wsparcia wraz z licznym zastępem prałatów pragnących przełomu w Kościele. Skoro papież Klemens VI nadal ukrywa się za francuskim tronem, kardynał nie zawaha się odzyskać Rzymu.

Podszedł do dębowego stołu przed kominkiem i otworzył leżącą na nim szkatułkę. Nie czynił tego od dawna, powstrzymywał go bowiem nabożny lęk przed tym, co zawierała. W tym decydującym dniu zapragnął poczuć na sobie oko boże.

Spod wieczka wyłoniły się dwa czarne jak smoła przedmioty. Kielich i grot włóczni. Purpurat zmówił modlitwę i dotknął ich, tymczasem od palców po kark przebiegł mu lekki dreszcz.

Relikwie żyły. Tak jakby w materii, z której je wykonano, została uwięziona iskra boża.

Ta sama iskra, która sprawiła, że stały się czarniejsze niż noc. I grzech.

Bertrand włożył wiele trudu, by wejść w ich posiadanie. Wytropił zakonnik Facia di Malaspinę, pozbył się Jana Ślepego, nasyłał szpiegów, manipulował ludźmi u władzy... Knuł tak przemyślnie intrygi, że niemal z żalem zmuszony był zataić je przed światem. Nikt jednak nie powinien się dowiedzieć, jak daleko się posunął, by zdobyć skarby wzmiankowane w księdze Żyda Flegetanisa. W odpowiedniej chwili ogłosi, że na ich ślad naprowadziło go boskie objawienie, takie, jakie miewają święci. Wystarczy zwrócić się do jakiegoś skryby i podyktować mu całą historię słowo po słowie, a następnie uczynić z niej legendę wybrańca aniołów, który odzyskał kielich Chrystusa i włócznię Longinusa.

To jednak jeszcze było za mało. Jeśli zamierzał zyskać sławę najszacowniejszego i zasiąść na papieskim tronie, musiał zdobyć również trzeci proroczy przedmiot opisany przez Flegetanisa. Przedmiot, o którym nikt z wyjątkiem jego strażników nie wiedział, jak wygląda ani gdzie jest ukryty. *Lapis exilii*.

Odpowiedź była na wyciągnięcie ręki, zamknięta w umyśle człowieka uwięzionego w ciemnych zakamarkach Świętego Dominika. Należało tylko trochę poczekać.

Tylko że du Pouget nie potrafił usiedzieć na miejscu.

Był stary. Chociaż posiadane przezeń relikwie pozwalały mu zachować wigor i – był tego pewien – ocaliły przed zarazą, nie uwolniły go od natrętnej myśli o przemijaniu. Z każdym dźwiękiem dzwonu z coraz większym trudem dźwigał ciężar sześćdziesięciu lat na karku, uzmysławiający mu, jakże tragiczna byłaby śmierć na krok od zaspokojenia własnych ambicji. Nie była to zatem odpowiednia pora, by spocząć na laurach. Brat Lamberto da Cingoli będzie musiał działać skutecznie i szybko.

Słyszając zbliżające się kroki, zamknął wieczko. Zmył z twarzy wszelkie oznaki niepokoju, usiadł na krześle i czekał na pojawienie się sługi.

– Wasza Wielbność – przemówił odziany w kaftan młodzieniec – jakiś człowiek o was pyta.

Purpurat drgnął.

– Co za człowiek? – Nikt nie wiedział, że jest w Ferrarze. Nikt poza Lambertem i Guidem di Baisiem, który dopiero co został pochowany. Wtem przez głowę przemknęła mu trwożliwa myśl, że odnalazł go Hector de Durfort, papieski dowódca.

– Twierdzi, że zowie się Namo – oznajmił sługa – i że przybywa w imieniu Jego Ekscelencji biskupa.

Po chwili wahania du Pouget wykrzywił usta.

– Wpuść go... Ale niech strażę będą w gotowości.

Wkrótce miał przed sobą odzianego na czarno szaleńca o szyderczym wyrazie twarzy. Wprawdzie nie nosił broni, ale biła od niego tak silna i niecodzienna groźba, jakby ją miał. Wyglądał bardziej na rzeźnika niż na gwardzistę albo weterana.

Odgrodzony dębowym stołem Bertrand wolał nie wstawać, toteż skinął mu tylko na powitanie.

– Przybywacie w imieniu zmarłego prałata – zauważył.

– Owszem, zmarłego – przyznał Namo – chociaż jego ciało jeszcze nie ostygło. – Stał przed hierarchą ze splecionymi dłońmi. – Ściślej biorąc, nie minęło wiele czasu, odkąd *monsignore* Guido wspomniał mi o pewnym młodym malarzu, którego miałem do was doprowadzić.

– Doprawdy? Wszelako o ile mnie pamięć nie myli, nie mam do zlecenia żadnych fresków.

– Mówię o Gualtierze de' Brunim.

– A, tego malarza – odparł prałat, ukrywając zdziwienie. – Wiecie, gdzie przebywa?

– Nie, Eminencjo.

– Dlaczego więc przede mną stoicie?

– Ponieważ w zamian za Gualtiera de' Bruniego wielbny Guido obiecał oddać mi Maynarda de Rocheblanche'a. Po śmierci biskupa podumałem trochę i doszedłem do

wniosku, że prawdopodobnie wy również znacie tego rycerza i wiecie, jak go odnaleźć.

Bertrand uniósł brew, z całego serca pragnąc, by Baisio usmażył się w piekle. Wiarołomny do cna! Jak ten chłystek śmiał dzielić się z innymi tajemną wiedzą? Pal lichu syna Elisy d'Este, ale wyjawienie obcemu człowiekowi, że awinioński kardynał jest w Ferrarze *incognito*, równało się zdradzie. Stłumił wściekłość, gładząc brzegi stołu.

– Co jeszcze wydaje wam się, że wiecie?

Namo wykonał nieokreślony gest.

– Cóż, warto się zastanowić nad przyczyną, dla której prałat przyczaił się w takiej dziurze jak ta. Tym bardziej że niecały dzień konno stąd stacjonują papieskie oddziały.

– Już niedługo pozostanę w ukryciu – odrzekł trochę nerwowo du Pouget.

– Jednakże – ciągnął wojowniczo mężczyzna – Guido di Baisio kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem o waszej obecności.

Bertrand zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– Czy to wy go zabiliście?

– Ależ skąd. A skoro zadajecie sobie to pytanie, dla was też nie stanowią zagrożenia.

– Już sama wiedza, że tu jestem, dowodzi czegoś przeciwnego.

– Zatem zdradźcie, gdzie jest Rocheblanche, a zniknę jak kamfora.

Prałat pozwolił sobie na chytry grymas.

– Wszystko w swoim czasie. Opowiedzcie mi o młodym malarzu. Czy Guido di Baisio posunął się tak daleko, by wyjawić wam, dlaczego mnie on ciekawi?

– Nie lubię wtrącać się w nie swoje sprawy – prychnął Namo.

– Mimo to stoicie tu i wysuwacie żądania.

– Potraficie je spełnić?

W głosie mężczyzny po raz pierwszy zabrzmiała groźba. Opuścił ramiona wzdłuż boków, jego zaciśnięte pięści były twarde jak gotowe do uderzenia młoty. „Oto rzeźnik”, pomyślał Bertrand. Uniósł dłonie z udawaną obojętnością.

– Przykro mi – westchnął – nie znam żadnego Maynarda de Rocheblanche'a.

Zamiast odpowiedzi Namo raptownie się pochylił i chwycił go za lewy nadgarstek.

– Nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie przyjrzeć herbowi na waszym pierścieniu – wysyczał. – Na jego widok natychmiast powróciło wspomnienie pewnego zbrojnego, który dwa lata temu uprowadził przeoryszkę z Reims i zamknął w starej wieży. Zabił go mój sługa, wiecie? Nie zdążył wyjawić, kim jest jego pan, za to nosił na klamrze u pasa pewne godło. Lwa... Tego samego, którego widzę teraz na tym sygnecie. Osobliwy zbieg okoliczności, jeśli wziąć pod uwagę, że wspomniana

przeorysza jest siostrą Rocheblanche'a! Nadal utrzymujecie, że go nie znacie?

Poczerwieniały ze zdumienia i złości kardynał szarpnął się, próbując wyswobodzić rękę.

– Straże! – wycharczał wściekle. W tej samej chwili prawą dłonią pod stołem uruchomił schowaną pod blatem kuszę. Uwolnił w ten sposób dwa bełty, które wystrzeliły jednocześnie, trafiając napastnika w udo i pachwinę.

Krzyk Nama przypominał ryk diabła. Mężczyzna rzucił się do tyłu zdjęty bólem, szukając oparcia wśród mebli. Drzwi za jego plecami zdążyły się już otworzyć na oścież, wpuszczając dwóch zbrojnych z mieczami w dłoniach. Na ich widok wstrząsany drgawkami Namo wybuchnął ponurym śmiechem, który kazał Bertrandowi się podnieść i jak najdalej odsunąć.

– Nie wiem, jak bardzo rzeczywistość pomieszała się wam z urojeniami – zawołał kardynał – ale nie mogę sobie pozwolić na pozostawienie przy życiu kogoś, kto zna tak wiele tajemnic!

Namo wcale jednak nie zamierzał się poddać. Chwiejąc się na powalanych krwią nogach, rozpostarł ramiona i wydobył dwa długie sztylety ukryte w rękawach. Jeden wbił pierwszemu zbrojnemu w szyję i runął ku wyjściu, po czym został ugodzony przez drugiego. Drzwi, które tymczasem się zamknęły, zgrzytnęły pod naporem jego ramienia i o mało się nie roztrzaskały.

– Zatrzymać go! – rozkazał Bertrand, przywierając do ściany.

Zbieg już był na zewnątrz, poza zasięgiem jego wzroku.

Kardynał usłyszał odgłosy toczącej się w westybulu walki, dźwięk upadającego ciała, otwieranej z impetem bramy... Na koniec rzenie galopującego ulicą konia.

Furia mężczyzny w czerni trwała ledwie parę chwil.

Wszelako wystarczyła, by wprowadzić w jego życie chaos.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE**24 KWIECZNIA**

Zaszywszy się w zakrystii, ojciec Andrea kartkował zakurzony mszał z wyraźnym zamiarem znalezienia wskazówek do niedzielnego kazania *in albis*. Po prawdzie nie był w stanie czerpać inspiracji wyłącznie z teologii, skoro na dwanaście dni przed Wielkanocą świat już spowijał mrok. Śmierć Guida di Baisia stanowiła niespodziewany cios, a wiadomość o tym, że nastąpiła w wyniku zbrodni, dodatkowo pogłębiała zgrozę.

Z każdą przewróconą stroną szelest pergaminu zamieniał się w pieszczotę, zdolną odciągnąć go od rzeczywistości. Przywołał w pamięci ostatnie spotkanie z biskupem na ferraryjskim rynku, gdy oglądali święte przedstawienie, które poróżniło ich w kwestii wartości sztuk niższych i więzów lojalności między ludźmi. Może gdyby przy tej sposobności użył innych słów, sprawy przybrałyby odmienny obrót. Nie tylko to jednak napawało go smutkiem. Żałował również, że nie uczestniczył w pogrzebie prałata. Irytujący i gwałtowny kaszel, który jeszcze nie zdążył zupełnie minąć, przykuł go bowiem do łóżka na cały tydzień.

Główną przyczyną frasunku Andrei było wszakże podejrzenie istnienia związku między zabójstwem Jego Ekscelencji a dochodzeniem, jakie powierzono Rocheblanche'owi.

Naturalnie nie miał dowodów, aczkolwiek wieści dochodzące na temat rycerza nie zapowiadały nic dobrego. Pojmanie przez gwardię na rozkaz inkwizycji zwiastowało bez wątpienia nadciągającą burzę.

Opat dysponował zbyt nikłą wiedzą, by wyrobić sobie pogląd o całej sprawie. Ostatnimi czasy przyglądał się, jak Francuz porywa się na tak zuchwałe przedsięwzięcia, że już sam nie był pewien, czy dyktowała je odwaga, czy raczej szaleństwo. Chwilami go przeklinał, niemal się go bał, po czym pod wzgardliwym grymasem dostrzegwał twarz szlachetnego człowieka.

Z drugiej strony szlachetność nie była zaletą sprawiedliwych. Istniały całe zastępy heretyków, lekkoduchów i pomyleńców, których można by uznać w pełni za szlachetnych, chociaż wcale nie zasługiwali w równym stopniu na pomoc. Krótko mówiąc, ojciec Andrea zniósł już wystarczająco dużo, by dać się wciągnąć w kolejną bitwę. Bez względu na panujące w Ferrarze zepsucie klasztor w Pomposie stał się wreszcie wyspą doskonałości duchowej. Współbracia za pośrednictwem reguł Piotra

Damianiego odkryli surowe i niczym nieskażone życie zakonne, głucho na pochlebstwa świata.

Do ukoronowania dążeń opata brakowało tylko jednego: odrestaurowania fresków w nawie głównej. Och, gdybyż Bóg zesłał mu mistrza malarskiego, który stanąłby na wysokości zadania! Andrea marzył o tym od tak dawna, że w wyobraźni po tysiącokrotnie podziwiał ukończone dzieło. Żeby niczego nie zabrakło, ułożył nawet odpowiednie wersy, którymi miano opatrzeć poszczególne obrazy, podobnie jak w przypadku *Biblii pauperum*, namalowanej przed trzema wiekami w bazylice Montecassino na polecenie opata Dezyderiusza.

Opat nie łudził się jednak. Jeśli zamierzał przywrócić Pomposie dawną świetność, powinien zmienić strategię. Począwszy od Gualtieria de' Bruniego. Ten zuchwalec zapuścił się w zbyt ciemny las, aby mógł się spodziewać powrotu syna marnotrawnego. Ponadto potrzeba było pieniędzy, dużo pieniędzy. A skoro Andrea nie chciał znów prosić o jałmużnę Rocheblanche'ów, ze względu na ich postępowanie będzie zmuszony poszukać pomocy gdzie indziej. Na przykład u następcy Guida di Baisia. Chociaż nie mianowano jeszcze nowego biskupa Ferrary, w gruncie rzeczy istniał przecież niejeden sposób, by odkryć nowego ulubieńca papieża i uzyskać jego opiekę, zanim opadną go tabuny petentów. Wystarczyłoby się zwrócić do przeorów z Nonantoli, Vallombrosy i Santa Giustina, którzy zawsze doskonale wiedzą, co w trawie piszczy.

Tymczasem dłonie zakonnika błędziły niespokojnie pośród kart mszału. Niełatwo było pogodzić Andrei obie natury, praktyczną i uczuciową, zwłaszcza przy przewidywaniu korzyści, podczas gdy miłych jego sercu ludzi czekał niepewny los. Dlatego też w głębi duszy ciągle zadreślał się z powodu Maynarda, Gualtieria i tajemniczego zabójstwa wielbego Guida. Instynktowny brak wiary w Opatrzność nakazywał mu trzymać się z dala od wydarzeń, które zniweczyłyby jego plany osiągnięcia wyższego dobra.

Z zadumy wyrwał go czyjś szczebiotliwy głos.

W drzwiach na końcu zakrystii ukazała się jasna czupryna. Był to Agostino, który przyszedł na miejsce Bonusa po pladze czarnej śmierci. Zbyt młody, by godnie zastąpić swego poprzednika, brak doświadczenia nadrabiał żywiołową wesołością, jaką wnosił w klasztorne mroki.

– Jakaś pani, *dominus* – obwieścił sługa. – Pyta o was.

– Jakaś pani... – powtórzył w zamyśleniu opat. Określenie to było tak mgliste, że wzbudziło jego niepokój. Oderwał się od pulpitu nachmurzony. – Mów jaśniej. Chodzi o zakonnice? O szlachciankę?

Agostino się zawahał. Poruszył głową niezdecydowany, po czym wskazał za siebie.

– Domaga się posłuchania w rozmównicy.

– Zapamiętałeś przynajmniej imię? – naskoczył nań Andrea tonem wymówki.

– Tak, *dominus* – odparł Agostino. – Eudeline de Rocheblanche.

Gdy ją ujrzał, od razu zorientował się, że coś ją trapi. Przechadzała się w tę i z powrotem z dłońmi na podołku, oddychając płytko jak ktoś, kto próbuje zapanować nad lękiem. Ojciec Andrea zamknął za sobą drzwi i pozdrowił ją, bojąc się szalejącej w sercu niewiasty burzy.

– Mój brat! – zawołała, odwracając się gwałtownie ku niemu. – Święta Inkwizycja pojmała mojego brata!

Opat poprosił, by ściszyła głos, dbając o to, by nikt ich nie usłyszał przez drzwi rozmównicy.

– Doniesiono mi o tym – odrzekł spokojnie.

Eudeline była wszakże zbyt mocno wzburzona, by martwić się o zakłócanie klasztornej ciszy. Zbliżyła się do Andrei i chwyciła go za rękaw habitu.

– Musicie coś poradzić! – Potrząsnęła nim. – Musicie mi pomóc!

– Nie czyńcie sobie złudzeń, błagam was. – Zakonnik wyswobodził się zakłopotany. – Bardzo mi przykro z powodu messer Maynarda... Ale co ja mogę zrobić?

Na te słowa pani de Rocheblanche cofnęła się ze wzrokiem pełnym oburzenia. Andrea doskonale zdawał sobie sprawę, że ją upokorzył, spodziewał się więc potoku wściekłych obelg, lecz ku jego ogromnemu zdziwieniu niewiasta otworzyła usta z kamienną twarzą.

– Nie macie przyjaciół w zakonie Świętego Dominika?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Chociaż bardzo ubolewał nad tym, co spotkało jej brata, nigdy by nie przypuszczał, że białogłowa jej pokroju byłaby zdolna zrezygnować z dumy.

– Ani jednego, który by się liczył – rozczarował ją. – Gdyby żył wielebny Guido, z pewnością bym się do niego zwrócił. Wszelako w tych okolicznościach jestem bezsilny.

– Przecież jesteście człowiekiem Kościoła, opatem! – upierała się Eudeline. – Czy to możliwe, żeby wasze słowo nie miało żadnego znaczenia?

– Tak nikłe, że drzę o własny los – odparł, chowając się za świecznik z kutego żelaza. Zawahał się, czy mówić dalej, i musnął dłonią ogarek świecy. – Gdybym naraził się, próbując ocalić człowieka oskarżonego o herezję... – wyjaśnił po chwili niechętnie – rozgnietliby mnie jak pluskwę.

Niewiasta prychnęła drwiąco.

– Jesteście aż tak bojaźliwi?

– Mam wiele do stracenia – odpowiedział. – Klasztor, mnichów... Gdyby coś mi się stało, kto by się nimi zaopiekował?

– Wszelako sporo zawdzięczacie memu bratu, już zapomnieliście?

– Ależ nie! Waleczny Rocheblanche po wielekroć przyszedł mi w sukurs i jestem mu za to głęboko wdzięczny. Jednakże mogę się tylko modlić, by...

– Gwiżdżę na wasze modły! – W przypiływie gniewu Eudeline strąciła na ziemię świecznik i podniosła głos, przekrzykując rozlegający się w pomieszczeniu metaliczny łoskot. – Maynard wpadł w potrzask, a ja nie zamierzam się temu przyglądać! Nawet gdybym miała obciążyć winą osoby trzecie!

Opat poczuł się przyparty do muru.

– Nie do końca rozumiem... wasze słowa...

– A właśnie, że doskonale je pojmujecie, albowiem przejawiacie aż nazbyt dużą powściągliwość w ignorowaniu ciężących na Maynardzie podejrzeń. Chodzi o księgę Flegetanisa, nieprawdaż? Fałszywego proroka! Odmawiacie działania z obawy przed ujawnieniem waszego udziału w tej sprawie.

– Nie powinniście... – Ojciec Andrea stracił wątek, przygwożdżony własnym strachem. Poczuł się bardzo zagrożony, niczym pod pręgierzem, i jeszcze bardziej bezbronny, gdyż podobna bojaźń dotyczyła tajemnic niemożliwych do wyjawienia, nawet na spowiedzi. Powstrzymawszy drżenie kończyn, stawiał czoło niewieście. – Skąd o tym wiecie?

Jej twarz oblała się szkarłatem, chociaż uśmiech był zimny, niemal zuchwały.

– Brat zdradził mi wszystkie szczegóły na temat *Lapis exilii* i kodeksu napisanego przed wiekami przez Żyda Flegetanisa – wyznała. – Na temat kodeksu *Millenarius*, co do którego mam pewność, gdzie się obecnie znajduje.

Opat przeczuwał, że kryje się za tym coś innego, był jednak zanadto wstrząśnięty i nie zdołał uporządkować myśli.

– Przecież *Codex Millenarius* jest w posiadaniu waszego brata – bronił się.

– Mimo to wątpię, by trzymał go przy sobie. Przeciągające się dochodzenie i pobyt u Świętego Dominika naraziłyby kodeks na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Na przykład na zagubienie albo dostanie się w niepowołane ręce. Bezsprzecznie lepiej ukryć go w pewnym miejscu, oddać pod opiekę zaufanych ludzi, daleko od miasta. – Co powiedziawszy, Eudeline jęła się rozglądać dokoła. – I tak między nami, w miejscu takim jak opactwo w Pomposie.

Bacząc, by nie dać po sobie nic poznać, Andrea pomyślał odruchowo o księdze, którą chował od miesięcy w tajnym zakamarku we własnej pracowni, i nawet nie był w stanie się zastanawiać, co by się stało, gdyby znalazł ją inkwizytor Ferrary.

– A gdyby nawet? – odważył się zapytać. – Oskarżając mnie, nie oczyścicie waszego szlachetnego brata. A poza tym skąd możecie mieć pewność, że to właśnie *Codex Millenarius* jest winien jego pojmania?

– Och – westchnęła – co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Zakonnik zmierzył ją wzrokiem zawiedziony. Nagle przestał już widzieć w tej białogłowie choćby cień wrogości. Co więcej, usłyszał w jej głosie, że potajemnie mu

sprzyja. „Zresztą czyż nie po do mnie przyszła, żeby szukać pomocy?”, przemknęło mu przez głowę.

– Daleki jestem od kwestionowania waszej bystrości – zastrzegł ostrożnie – ale nawet gdybyście znali każdą tajemnicę messer Maynarda, i tak nie dostrzeżlibyście pełnego zasięgu intrygi, o której wspomnieliście. Wierzcie mi, chyba prościej by było rozwiązać węzeł gordyjski.

– Przyznałabym wam rację, gdyby moja wiedza była równie ograniczona jak wasza – skwitowała Eudeline – ale tak nie jest. Nie po tym, jak wielebny Guido di Baisio został zabity na moich oczach.

Przez oblicze opata przemknął cień zgrozy.

– Zatem to wy...

– Nie zrozumcie mnie źle, ojczy – uspokoiła go, posępniejąc. – Sama o mały włos nie straciłam życia w tej zasadzce. Sowiłą nagrodą było wszakże to, co Jego Ekscelencja zdradził mi, nim wydał ostatnie tchnienie.

Chociaż Andrea odznaczał się żywą wyobraźnią, nie potrafił sobie uzmysłwić, jak wiele i jakich tajemnic strzegł tak wprawiony w oszustwach prałat jak biskup Baisio. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy rozsądnie byłoby chcieć je poznać. Potem zwyciężyła ciekawość, która kazała mu zerknąć niecierpliwie na panią de Rocheblanche.

– Bylibyście skłonni mi o tym opowiedzieć?

Zdawała się tylko na to czekać, toteż w Andrei zrodziło się przeczucie, że jej zniewaga nie była niczym innym jak pretekstem, by podkopać jego obronę i doprowadzić dokładnie do tego punktu rozmowy.

Wszelako Eudeline nie dała mu czasu na wyciąganie wniosków. Okrążyła zygzakiem rozmównicę i upewniła się, że jedyne drzwi są szczelnie zamknięte. Wreszcie wyjęła z kieszeni zwój pergaminu i mu go wręczyła.

– Oto ostatnia spowiedź Jego Ekscelencji – oznajmiła. – Jest tu wszystko, czego potrzeba, aby pokonać wrogów Maynarda. Ale, jak już mówiłam, niezbędna będzie wasza pomoc.

– Jeszcze nie zdecydowałem, że jej wam udzielię – zaprotestował, wyciągając dłoń. Niewiasta udała, że nie słyszy.

– A także schronienie dla mnie i mojej siostry Isabeau.

Opat wybałuszył oczy niezadowolony.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ w ostatnich dniach zauważyłam pewnego mężczyznę – odparła z nieznacznym lękiem. – Mężczyznę, który podąża za mną od Reims z nieznanymi mi powodów.

**DZIELNICA MATKI BOSKIEJ Z BRODU,
GOSPODA POD CZARNYM PUKLERZEM**

Człowiek, który kazał zwać się Namo, leżał na pościeli, w powalanej szkarłatem pościeli z podłej jakości lnu i bawełny. Dotarł tu, gdy dzwony biły na nieszpory, na grzbiecie konia poplamionego tą samą krwią, która płynęła strumieniami po udach mężczyzny. Kiedy się pojawił, Arab musiał wysupłać małą fortunę, aby kupić milczenie obecnych na drodze świadków, a zwłaszcza karczmarza, który pomógł mu przenieść nieprzytomnego jeźdźca na górę.

Teraz, nareszcie sam, stał nad rannym i uważnie oglądał dwa niewiarygodnie ostre bełty, które wydobył mu z okolic pachwiny.

– Nie wierzę w cuda, mój łaskawy panie – mruknął w zadumie – ale daję słowo, że żaden *medicus* nie potrafiłby wytłumaczyć, jak zdołaliście uciec i zachować czujność mimo takich pocisków tkwiących w ciele.

– Wściekłość i... strach – warknął ranny, walcząc ze skurczami.

– Gdybyście tylko zachowali ostrożność...

– Milcz, czarna gębo! – wrzasnął, szarpiąc się gniewnie. Jego twarz przypominała wykrzywioną bólem woskową maskę. – Milcz albo przysięgam na Boga...

Arab położył mu dłoń na piersi.

– Złość jedynie nasili krwotok – ostrzegł. Po czym spojrzał w przeciwną stronę izby, jego uwagę przykuł bowiem płacz dziecka.

– Ucisz ją... – wycharczał jego pan.

– To nie będzie konieczne. – Co powiedziawszy, mężczyzna o skórze czarnej jak heban zanurzył zakrzywioną igłę w czarce z octem i upewnił się, że ma pod ręką szpulkę otrzymanych ze świńskich jelit nici, katgutu, którego zamierzał użyć, by zeszyć ranę. – Zaraz ból was oślepi i ogłuszy, panie. Na dłużej, niżbyście pragnęli pamiętać.

DZIELNICA BOCCACANALE

17 MAJA

– Głód i pragnienie nie robią na nim wrażenia. Najwyraźniej nawet tortury nie są w stanie go złamać.

– Nawet chłosta?

– Nawet rozpalone żelazo, *magister*. – Brat Lamberto da Cingoli oznajmił to z lekką pogardą, jakby dla podkreślenia, że to nie on ponosi winę za tę porażkę. Pełniąc funkcję inkwizytora, zawsze potrafił w każdym wzbudzić odpowiednio silny strach i zmusić do mówienia najbardziej opornych. Zawsze aż do teraz.

Bertrand du Pouget wpatrywał się weń z grymasem zawodu. Czekał na próżno już od miesiąca i zaczynał przejawiać wyraźne oznaki zniecierpliwienia.

– Może jakieś tajemne czary chronią go przed bólem?

– Och, ból to on odczuwa – sprostował frater w nadziei, że zdoła go choć po części zadowolić. – Jego wrzaski słysząc aż na blankach wieży Świętego Dominika. Mimo to ani nie błaga, ani nie mówi.

Kardynał burknął coś przez zęby. Siedział na swym zwykłym miejscu, muskany promieniami światła wpadającego przez okno. Mocno rozeźlony bębnił palcami po stojącej na stole szkatułce, następnie przytaknął.

– Pycha męczennika.

– A jeżeli... – zdobył się na odwagę zakonnik – naprawdę nie wie tego, o co pytamy?

– Nie wygadujcie głupstw! – wysyczał prałat. – Oczywiście, że wie. Wie, a jakże! – Podniósł się z krzesła i chwycił go za habit, świdrując dzikim wzrokiem. – Ten łotr strzeże więcej tajemnic niż Szymon Mag, jeszcze to do was nie dotarło? Tylko... ciągle ma nadzieję, że ujdzie mu to na sucho!

Zakonnik, którego duma została zraniona, zacisnął usta.

– Albo po prostu nienawidzi was do tego stopnia, że nie chce wam dać satysfakcji – odparował.

– Skoro tak, znienawidzi mnie jeszcze bardziej.

– Co macie na myśli?

W szyderczym uśmiechu du Pougeta było coś nienaturalnego. Kardynał stanął przy oknie, by popatrzeć na ruch uliczny.

– Zaprzestańcie tortur – rozkazał. – Jest już oczywiste, że Rocheblanche nie boi się

ani śmierci, ani męki. Trzeba go zachęcić za pomocą subtelniejszych sztuczek.

– Mówicie o jego afektach? – dopytywał frater.

– Owszem, o jego siostrze, Eudeline de Rocheblanche. Na krótko przed śmiercią Guido di Baisio przyznał się do odkrycia, że przebywa w Ferrarze.

– I cóż z tego, Wasza Eminencjo?

– Być może ta niewiasta nadal mieszka w mieście. Każcie jej poszukać. Widząc ją zakutą w łańcuchy, messer Maynard z pewnością nabierze chęci do współpracy. – Pogrążywszy się ponownie w zadumie, kardynał zamierzał go odprawić. Niespodziewanie jednak zmienił zdanie i podniósł palec. – W razie gdyby poszukiwania Eudeline spełzły na niczym – dodał – każcie też poszukać niejakiego Gaultiera de' Bruniego. To człowiek z plebsu, ledwie malarz. A przynajmniej tak się wydaje tym, którzy nie znają jego korzeni.

Dotknięty do żywego i pragnący jak najprędzej się oddalić Lamberto da Cingoli nie potrafił powstrzymać grymasu zaciekawienia.

Bertrand nawet nie raczył na niego spojrzeć.

– Ostatnio odkryłem, że tego młodzieńca coś łączy z Rocheblanche'em – oznajmił po prostu. – Nie wykluczam, że wie nawet o istnieniu *Lapis exilii*.

KONWENT ŚWIĘTEGO DOMINIKA, LOCHY

Sen o trzech jeźdźcach od dawna go już nie prześladował. Wszelako ostatniej nocy spadł na niego niczym grom z jasnego nieba. Wyłonili się zniecacka spod całunu mgły w płomienistych aureolach przypominających ogon komety. Pierwszy jako trofeum wioził koronę, drugi włócznię, a trzeci kielich pełen krwi. Wykrzykiwali zagadkowe słowa, pędząc wściekle w zapadającym zmierzchu. Wokół panował mrok czarniejszy niż w Tartarze, fala wieczystej ciemności, z której dobiegało przerażające rżenie. Maynard wpatrywał się w nią ze zgrozą, owładnięty tajemniczą fascynacją, dostrzegając pośrodku najbardziej odrażającą rzecz, jaką kiedykolwiek widziały jego oczy. Pysk chudego niczym szkielet konia, rozwarty w sprośnym grymasie.

Gdy oprzytomniał, w celi ciągle jeszcze rozlegał się łoskot, który słyszał we śnie. Panujące ciemności były niemal namacalne, przesiąknięte tą samą wilgocią, którą czuł w kościach, z pewnością jednak nie nieprzeniknione. Była to raczej płatanina cieni, złagodzona dochodzącym z zewnątrz blaskiem.

Opanował zgrozę. I jak po każdym przebudzeniu, przypominał sobie o własnym losie więźnia. I o bólu. Jego kończyny pokrywały poparzenia, siniaki i blizny, choć żadne z obrażeń nie było śmiertelne. Ten, kto zadawał mu męki – posłuszny rozkazom Lamberta da Cingoli – wywoływał cierpienia, nie okaleczając go. Może po to, by wzbudzić w nim nadzieję, że jeśli tylko zacznie mówić, powróci do dawnego życia.

Maynard wiedział, jak zwodnicza jest owa cicha obietnica, i właśnie dlatego poprzysiągł sobie nie zwracać na nią uwagi, o wiele bardziej bowiem wolał uważać się za już martwego. Chwilami o mało zresztą nie umarł! Aż do tej pory znosił ostrza, batożenie i rozżarzone obcęgi wyłącznie dzięki noszonej w sercu złości. Złości tak silnej, że zagłuszała ból. Ledwie otrzeźwiał, instynktownie jej poszukał, jak to miał w zwyczaju, aby się jej ucześcić.

Zorientował się, że ma towarzystwo.

Mężczyzny w zakonnym habicie.

Zanim pojął, czy to sen, czy jawa, przybysz chwycił kaptur szkaplerza i powoli go zsunął, odsłaniając twarz starca pod obszerną tonsurą. W półmroku ledwie dało się rozpoznać rysy, wystarczająco wszakże, by wprawić rycerza w osłupienie. O Panie... ta twarz! Pełen wątpliwości Maynard powstrzymał wzruszenie. „To na pewno obłąd”, rzekł sobie. Albo diabeł, który zjawił się tutaj, by z niego zakpić.

Prawdopodobnie odgadując jego myśli, mnich podniósł dłoń i położył mu na

głowie opiekuńczym gestem.

– Mój przyjacielu – szepnął. – Synku... – Jego oczy przepełnione były litością, w głosie brzmiało oburzenie.

Maynard zdławił szloch, chcąc zachować resztki dumy, jakie mu jeszcze zostały. Od jak dawna nie miał przy sobie przyjaciela? Poczul, że wzruszenie ściska go za gardło.

– Och, ojciec Andreo... – wyjąkał. – Co robicie w tym piekle?

Dłoń zakonnika zatrzymała się w pieszczocie.

– Przybyłem, aby dać wam nadzieję.

– Nadzieję? – Rocheblanche cofnął się raptownie. – Cała moja siła bierze się z rezygnacji, bo gdybym tylko odważył się mieć nadzieję... – Ukrył twarz w spoconych dłoniach. – Idźcie stąd, błagam was! Idźcie stąd, zanim sami traficie do lochu.

Spojrzenie opata, na wpół przesłonięte woalem mroku, zdawało się ustępować uśmiechowi.

– Nawet gdybym chciał, nie mógłbym tego uczynić. Najpierw muszę dotrzymać przyrzeczenia złożonego waszej siostrze.

– Eudeline? – wykrzyknął więzień.

– Mówcie ciszej, na litość boską. – Zakonnik spojrzął ostrożnie na Judasza w drzwiach. – Jestem tu tylko dlatego, że pozwolono mi was wypowiadać. Gdyby strażnik domyślił się prawdziwego powodu...

Maynard wyteżył wzrok.

– Rozmawialiście zatem z Lambertem da Cingoli?

– Musiałem to zrobić – odparł Andrea – albowiem celi, w której was zamknęto, pilnuje jego zaufany człowiek.

– A inkwizytor nie nabrał podejrzeń?

– A gdyby nawet? Przecież nie mógłby mi odmówić podobnej przysługi.

– Narażacie się.

– Gdybym tego nie uczynił, okazałbym się gnuśny – wyjaśnił Andrea, po czym dodał surowszym tonem: – Przejdźmy teraz do rzeczy, mamy mało czasu.

Na te słowa Rocheblanche zapomniał o tragedii, którą właśnie przeżywał, czując, jak ogarnia go znajoma gorączka. Nie była to zwykła ciekawość, ale łagodne zadowolenie, że po raz kolejny uczestniczy w intrydze.

– Może nie wiecie, że w dniu śmierci biskup Guido – mnich ściszył głos do tak słabego szeptu, że rycerz musiał mocno wyteżyć słuch – przebywał w towarzystwie waszej siostry. I że nim wyzionął ducha, powierzył jej spowiedź, spisaną po to, by jak sam określił, oczyścić sumienie.

Maynard skrzywił się pogardliwie.

– To dość wygodne z jego strony.

– Nie nam sądzić. Zwłaszcza jeśli treść owego dokumentu mogłaby wam zapewnić przewagę nad wrogami.

– Macie na myśli Bertranda du Pougeta?

Opat przytaknął.

– Jego Wielobność przyjechał do Ferrary.

– Już o tym słyszałem – odrzekł rycerz. – Znajduję się tutaj z jego woli. Du Pouget dyryguje Lambertem da Cingoli jak kukiełką w nadziei, że skłoni mnie do wyjawienia tajemnic *Lapis exilii*.

– Niemniej jednak umyka wam pewien szczegół – dodał Andrea – mianowicie, że kardynał nie zna zagadki, która zdradza kryjówkę tej relikwii.

– Wszelako... – Rocheblanche nie zdołał opanować zdumienia – czyż to nie wy, ojcze, powiedzieliście mi, że biskup Guido wszedł w posiadanie owego tekstu?

– W istocie tak jest. Lecz wygląda na to, że nigdy nie wyjawiał tego kardynałowi Bertrاندowi.

Rycerz nadal nie dowierzał.

– Zatem po części Baisio pozostał lojalny wobec mnie.

Opat westchnął.

– Był rozdarty między tępą wiernością Awinionowi a rozumieniem, co jest słuszne, z pewnością więc gryzły go wyrzuty sumienia... To zaś tłumaczy spowiedź, którą powierzył waszej siostrze. Nader szczegółową spowiedź, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Z jej treści wynika, że w istocie nie walczyacie tylko z Lambertem da Cingoli i Bertrandom du Pougetem. Ten ostatni ma bowiem drugiego, potężnego sprzymierzeńca: Obizza III d'Este.

– Zdażyłem się już o tym przekonać, chociaż nie potrafię pojąć, dlaczego markiz stanął po stronie dawnego oponenta.

– Wyjaśnienie tkwi w przeszłości tych ludzi – zwrócił mu uwagę Andrea. – Otóż przed dwudziestu laty wybuchł niebezpieczny spór między rodziną Estów a Jego Świątobliwością papieżem. Szlachetny Obizzo i jego bracia sprzyjali Ludwikowi Bawarskiemu, dlatego inkwizycja oskarżyła ich o herezję i wytoczyła im proces. Częściowo rolę oskarżenia powierzono Bertrандowi du Pougetowi, który posiadał wówczas tak silną władzę, że napuścił na seniorów Ferrary najzjadlejsze psy Kościoła. Należał do nich między innymi niejaki Lamberticius Cingulanus.

– Czyli... Lamberto da Cingoli! – W rosnącym napięciu Maynard zapomniał na chwilę, by ściszyć głos. – Wreszcie rozumiem osobliwe zachowanie jego wielmożności w stosunku do tego dominikanina! To była niezdarna próba ukrycia strachu.

Andrea skinął potakująco.

– Na widok Lamberta Obizzo d'Este musiał się zmierzyć prawdopodobnie ze swym największym lękiem, a mianowicie, że czeka go kolejny proces o herezję.

Wyobrażacie sobie, co musiał czuć, gdy ten sam inkwizytor powiadomił go, że Bertrand du Pouget przebywa w Ferrarze? Guido di Baisio wyraźnie o tym pisze w swych wyznaniach. Dokładniej, opisuje markiza, który znalazł się w potrzasku.

– Obizzo postanowił zatem wesprzeć Bertranda z tchórzostwa.

– A także, jak mniemam, z powodu niewątpliwej niechęci wobec was.

– Tak czy inaczej, jestem zgubiony. – Francuza ogarnęło nagłe zniechęcenie. – Nie zrozumcie mnie źle, wielebny ojcze. Jestem wam ogromnie wdzięczny za wyjaśnienie tej sprawy, ale nie pojmuję, w jaki sposób miałyby mi to pomóc, a zwłaszcza umożliwić doprowadzenie do końca dawnej misji.

Opat posłał mu zagadkowy uśmiech.

– Macie na myśli przysięgę, że odzyskacie relikwie Chrystusa?

– Owszem, grot włóczni i kielich – odparł Maynard, posępniejąc jeszcze bardziej. – Niedawno mi się śniły, wiecie? Znajdowały się w rękach jeźdźców Apokalipsy. To powracająca *visio*, o której wam wspominałem wiele miesięcy temu. Uwierzyłem wręcz, że ci trzej wysłannicy stanowili zapowiedź zarazy, a tymczasem... oni na grzbietach swych diabelskich rumaków znów budzą we mnie trwogę. Dziś w nocy po raz pierwszy ujrzałem, jak za ich plecami zapada nieprzenikniona ciemność, po czym wyłania się z niej... wierzchowiec czwartego jeźdźca. – Spuścił głowę z rezygnacją. – Śmierć.

– Jeszcze nie wszystko stracone, messer – pocieszył go Andrea. – W swojej spowiedzi biskup Guido wymienia także relikwie, po które przybyliście na te ziemie. Jak pisze, przeszły one z rąk Facia di Malaspiny w ręce Bertranda du Pougeta.

Rocheblanche wpatrywał się weń oniemiały.

– Zatem teraz znajdują się w... Ferrarze?

Andrea przytaknął.

– Ściślej biorąc, w jednej z budowli w dzielnicy Boccacanal. W szkatułce, której kardynał nieustannie pilnuje jak oka w głowie.

Nie bacząc na rozdzierający ból w kończynach, rycerz poderwał się na nogi i chwycił go za ramiona.

– Zapomnijcie o mnie, ojcze, i odzyskajcie te relikwie. Natychmiast! Tylko to się liczy.

– Ależ, messer... – Zakonnik wyswobodził się z uścisku.

– Następnie oddajcie je pod opiekę pocziwemu Gualtierowi – ciągnął Rocheblanche. – On wie, gdzie należy je zawieźć, już był w tym miejscu i wystarczy, że...

– Zachowajcie rozsądek, w imię Boże! – przywołał go do porządku zakonnik, po czym dodał szeptem: – Nie pojmujecie? Gdybyśmy zdołali dowieść, że Bertrand du Pouget kazał was uwięzić nie dla słusznej sprawy, ale by przywłaszczyć sobie trzecią relikwię Chrystusa, uznano by was za niewinnego.

– Tylko że w tym wypadku tajemnice *Lapis exilii* wyszłyby na jaw, a ja złamałbym przysięgę – sprzeciwił się Maynard.

– A o siostrze nie pomyśleliście? – nie dawał za wygraną zakonnik.

Rycerz rozłożył bezradnie ręce. Czuł się potwornie winny wobec Eudeline. Gdyby zamiast gonić za utraconym honorem, postanowił trwać u jej boku, z pewnością mniej by cierpiała, a może nawet w tej chwili byłaby już poślubiona człowiekowi, który wraz z dziećmi zdołałby ją jeszcze uszczęśliwić. O wiele lepiej więc uwolnić ją od brata, który zmuszałby ją do nieustannych poświęceń, dopóki by nie postradała zmysłów.

– Moja siostra... – mruknął – zrozumie.

Opat wszakże nie tracił wojowniczego ducha.

– Wykazała się odwagą, narażała się... A wy tak jej odpłacacie?

Rocheblanche skulił się z powrotem w kącie celi.

– Powiedzcie jej, że przegrałem, i błagam, przekażcie, jak bardzo żałuję. Ale ja nie mogę... Nie chcę, żeby nadal przeze mnie cierpiała.

– Rozumujecie jak głupiec, messer.

– Nieważne. Uczynicie to, o co was proszę?

Usłyszawszy jego pytanie, Andrea jął się miotać pomiędzy niemal wyraźnym przerażeniem a wahaniem.

– Ja... ja nie...

Nim zdążył sformułować zdanie, więzień podniósł się z ziemi i złapał go za skraj habitu, dysząc ze złości.

– Ośmielilibyście się pozostawić relikwie Zbawiciela w rękach złego człowieka?

– Przenigdy! – zapewnił z drżeniem zakonnik.

Maynard go puścił.

– Przysięgacie?

– Zrobię... co w mojej mocy. – Opat oparł się o ścianę, przygnieciony równie niespodziewanym, co przytłaczającym brzemieniem. – Zaklinam was, messer, zrozumcie... Ja nie jestem człowiekiem czynu.

– Jeszcze lepiej: jesteście człowiekiem wiary.

– Kiedyś może i byłem.

– A teraz co zapełnia tę pustkę? – zapytał wyzywająco rycerz. – Strach?

Ojca Andreę korciło, by udzielić ostrej riposty, lecz ugryzł się w język. Zastygł w bezruchu wsparty o ścianę, jak przeszyty strzałą. Przez chwilę dał się słyszeć jedynie jego oddech i odgłos kapiących w jakimś odległym miejscu lochów kropli wody. Wreszcie westchnął głęboko.

– Niech będzie. Przysięgam.

Twarz Rocheblanche'a się rozpogodziła.

– W takim razie, przyjacielu, nie pozostaje wam nic innego, jak mnie

pobłogosławić i opuścić ten przybytek. Na zawsze.

Mnich nie posiadał się ze zdumienia.

– Co to to nie, nie mogę na to pozwolić – wybuchnął.

– A właśnie, że tak uczynicie – odrzekł ostrzegawczo Maynard. – Uczynicie tak, by nie utwierdzać brata Lamberta da Cingoli w jednym z jego głównych podejrzeń.

– Czyli? – zapytał Andrea.

– Daremnie usiłuje to ze mnie wydusić, bez chwili wytchnienia – oznajmił. – Otóż ta gnida zasadza się na was, wielebny ojcze. Inkwizytor żywi przekonanie, że w sprawie *Lapis exilii* jesteście moim współnikiem.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE**23 MAJA**

Ojciec Andrea przechadzał się w tę i z powrotem, nie umiając uwolnić się od obrazu więźnia. Już w nowicjacie przestały na nim robić wrażenie ślady po mękach zadawanych podejrzanym o herezję, jednakże widok takich śladów na ciele człowieka, którego uważał za swego przyjaciela, okazał się dotkliwym ciosem. Bardzo się starał, by nie zdradzić przed Rocheblanche'em własnych uczuć, a po opuszczeniu konwentu zaszył się w jakimś pustym zaułku, aby się wypłakać. Nawet w półmroku dojrzał jego przeraźliwe obrażenia, powstrzymał się wszakże od okrzyku litości, by nie zranić dumy rycerza.

Od tamtej pory nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Podążając na grzbiecie muła do klasztoru, zastanawiał się, czy to odwaga pozwala Maynardowi znosić owo katowskie żelazo, czy raczej chęć ukarania samego siebie dla odpokutowania dawnych win. Rzecz jasna, opatowi z Pomposy nieobce były chorobliwe pokusy samobiczowania ani urojenia, które skłaniały do podobnych praktyk, lecz zbyt dobrze znał Maynarda, by podejrzewać go o takie skłonności. Może Francuz odczuwał wręcz wdzięczność wobec Pana za to, że poddał go owej nieludzkiej próbie. Wszelako była to niesprawiedliwość.

Niepokój towarzyszył mu w drodze powrotnej aż do tamtej proroczej chwili, gdy musiał zdać relację Eudeline de Rocheblanche.

Niewiasta z rękami na podołku tkwiła nieruchomo, w milczeniu, pośrodku rozmównicy. Odkąd udzielono jej gościny w opactwie, przywdziewała ciemną szatę przypominającą habity noszone przez beginki. Podobnie Isabeau, przycupnięta przed kominkiem, zabijała czas, bawiąc się uszami Moczarka.

Nim Andrea się odezwał, spojrzął na charta. Z ukłuciem zazdrości dostrzegając leniwe zadowolenie, z jakim zwierzę poddawało się pieszczotom dziewczyny, zwrócił się do pani de Rocheblanche.

– Gdybyście tylko widzieli, w jakim stanie go znalazłem! – wykrzyknął z ponurą miną.

Isabeau natychmiast odsunęła dłoń i podniosła głowę przerażona. Pytanie zadała wszakże Eudeline.

– Zadawali mu męki? – wysapała.

Zakonnik skinął potakująco. Chociaż długo rozważał, jakich użyć słów, trudno mu

było zachować powściągliwość wobec tego, co zobaczył. Potrzebował kilku dni skupienia, by uspokoić duszę i ocenić wszystko na chłodno, z pewnością jednak nie mógł się wykręcić od zobowiązań wobec obu niewiast. Chrząknął z zakłopotaniem.

– Brat Lamberto da Cingoli nie okazał ani szacunku, ani miłosierdzia.

Eudeline zdławiła okrzyk wściekłości.

– Wszelako – dodał, chcąc ją pocieszyć – odniosłem wrażenie, że messer Maynard nie został trwale okaleczony.

– Kardynał chce go żywego – doszła do wniosku niewiasta, wyraźnie usiłując ukryć lęk. – Ma wobec niego dalekosiężne plany.

– To wykracza poza moje i wasze rozumienie – skwitował Andrea. – Co gorsza, wasz uparty brat w ogóle się tym nie frasuje.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Że nie zamierza odpierać zarzutów.

– Ale... Wyjaśniliście mu, w jakim jest położeniu?

– W najdrobniejszych szczegółach, pani. Mimo to obstaje przy swoim niedorzecznym postanowieniu. Jest zagubiony, udręczony ponad miarę... lecz zamiast was narażać, wybiera skazanie.

Niewiasta pokręciła głową.

– Musicie go nakłonić do zmiany zdania.

Opat rozłożył bezradnie ręce.

– Kazał mi przysiąc, że nigdy więcej się z nim nie zobaczę – odparł ku jej rozczarowaniu. Już miał usprawiedliwić ów wybór, przytaczając ciężące na nim podejrzenia Lamberta da Cingoli, zdecydował jednak zatrzymać je dla siebie. Aby uzyskać sprawiedliwość, nieposkromiona Eudeline de Rocheblanche bez wątpienia oddałaby w ręce inkwizycji nie tylko opata, ale cały pomposiański klasztor. Lepiej skierować ją ku mniej zdradliwym argumentom. – Z drugiej strony – dodał opat z poważną miną – znacie Maynarda lepiej ode mnie. Nawet gdybym przemawiał doń dziesięć, sto, tysiąc razy, i tak nie zdołałbym go odwieść od powziętych zamiarów.

Eudeline zerknęła pytająco na Isabeau, w końcu rzekła zdecydowanie:

– To oznacza, że znajdziemy inny sposób.

– Macie na myśli coś konkretnego? – zapytał.

– Uwolnimy mojego brata, działając od zewnątrz. Opłacę najemników, jeśli będzie trzeba, i pod osłoną nocy...

– To na nic – rozczarował ją. – Konwent Świętego Dominika z tą swoją potężną wieżą i murami strzeżonymi przez łuczników jest niemal nie do zdobycia... Ponadto istnieje niebezpieczeństwo, że tak śmiały czyn skupiłby na was uwagę wrogów Maynarda. Co by się stało, gdyby rozeszła się wieść, że ukrywacie się w tym opactwie?

Już miała zakląć, lecz ugryzła się w język, gniew nie pozwolił jej wszakże nad

sobą zapanować.

– Nie porzucę brata! – wybuchnęła w końcu, unosząc pięści.

– Ani ja – próbował ją uspokoić opat.

Szlachcianka odwróciła się do niego plecami i zmusiła do zastanowienia, choć wyraz jej twarzy zapowiadał nadciągający atak wściekłości. Milczała, podczas gdy złość przeradzała się w zimną, niemal namacalną zawziętość.

– Może istnieje inny sposób – oznajmiła wreszcie. – Mówię o relikwiach Chrystusa, których strzeże Bertrand du Pouget. O grocie włóczni i kielichu.

– Rozmawiałem o tym z waszym bratem – przytaknął zakonnik. – Kazał mi przyrzec, że je odzyskam i schowam w bezpiecznym miejscu.

– Gdybyśmy weszli w ich posiadanie – dumiała na głos Eudeline, nie zwracając na niego uwagi – moglibyśmy wykupić za nie Maynarda.

– Rocheblanche kategorycznie mi tego zabronił – odparł Andrea. – Poza tym zastanówcie się, proszę. Gdyby nawet udało nam się zdobyć te relikwie, byłoby nie do pomyślenia żądać...

– Boicie się, ojczy? – uciszyła go dumnie Eudeline. – Wasze oczy zdają się mówić, że coś ukrywacie.

Opat cofnął się o krok.

– Muszę tylko w spokoju wszystko rozważyć.

– Nie możemy sobie na to pozwolić.

– Przeciwnie, pani. Nasze położenie nie jest tak złe. – Po tych słowach zakonnik usiadł na ławce, aby przedstawić pewien pomysł, który wpadł mu do głowy w czasie ostatnich godzin podróży powrotnej. Wprawdzie był on zbyt mglisty, by dało się go nazwać planem, wszelako stanowił jedyne wyjście, które mogło ostudzić zapały pani de Rocheblanche. – Na przekór podejrzanym układom Lamberta da Cingoli i Pougeta – przystąpił do wyjaśnień – możemy liczyć na dwie rzeczy. Po pierwsze, inkwizycja nie zdoła wytoczyć procesu waszemu bratu ani go skazać, dopóki w Ferrarze będzie brakowało biskupa. Po drugie, obecność papieskiej milicji w sąsiedniej Romanii ogranicza pole działania *monsignore* Bertranda.

Z każdym słowem Andrei Eudeline słuchała z coraz większym skupieniem. Na koniec skinęła głową.

– Wobec tego jak waszym zdaniem powinniśmy postąpić?

– Przedłużyć ten pat, jak tylko się da – odparł z chytrym uśmieszkiem. – Z nieistotnych dla was powodów po śmierci Guida di Baisia zrobiłem rozeznanie, chcąc ustalić, komu się poszczęści, by objąć po nim schedę. I akurat przedwczoraj, za sprawą listu, jaki przysłał mi pewien florencki mnich, poznałem jego imię.

Eudeline wzruszyła ramionami.

– Zatem wkrótce ferraryjska diecezja znów będzie miała biskupa. Jak więc możecie to uważać za okoliczność sprzyjającą?

– Taka się okaże, jeśli zdołam przekonać przyszłego biskupa, aby odroczył inwestyturę, dzięki czemu zyskalibyśmy trochę czasu. Albo z kolei nakłonić go, by wstawił się za waszym bratem.

– O ile Bertrand du Pouget nie zdążył was uprzedzić, zapewniając sobie lojalność tego prałata.

– Uważam, że należy podjąć to wyzwanie. – Andrea splótł dłonie, przybierając bezwiednie błagalną postawę. Jeżeli istniała możliwość, by dopięli swego, nadarzyła się właśnie teraz. – Pozwólcie mi spróbować.

Przecinająca czoło Eudeline bruzda wyrażała jej wątpliwości.

– Jesteście pewni, że nie powinniśmy raczej odzyskać relikwii znajdujących się w posiadaniu Bertranda du Pougeta?

– Na pewno na to też przyjdzie pora. Ale im później to uczynimy, tym później kardynał nabierze podejrzeń.

Niewiasta wzniosła ręce do nieba.

– Cała ta ostrożność jest... irytująca!

– Lecz konieczna, albowiem przejęcie relikwii to nie będzie dziecinna igraszka – zauważył Andrea. – Znajomość położenia określonego przedmiotu wcale nie ułatwia jego kradzieży, zwłaszcza gdy jest pilnie strzeżony.

Eudeline była zmuszona się z nim zgodzić.

– Przydałby się ktoś, kto ma wprawę w tego rodzaju rzeczach...

– Drobnostka – zakpił zakonnik. – Czyżbyście dobrze znali świat złodziei?

– Ja tego dokonam!

Oboje odwrócili się i popatrzyli na Isabeau. Dziewczyna poderwała się z pięściami na biodrach i ze zdecydowaną miną wojownika.

– Córko, nie mówcie głupstw! – zmitygował ją opat.

Nie bacząc na jego słowa, Isabeau jęła świdrować wzrokiem Eudeline.

– Nie byłby to pierwszy raz.

Andrea spojrział na nią ze zgrozą.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Że nie jestem taka, jak wam się wydaje – odrzekła młoda niewiasta. Wyszła na środek izby coraz bardziej pewna siebie. – Maynard i Eudeline ukrywali, kim naprawdę jestem, aby mnie chronić, ale w tych okolicznościach czuję się w obowiązku was oświecić. – Spoglądała nań oczyma o różnobarwnych tęczęwkach, a jego zakłopotanie budziło w niej niemal radość. – Moja krew nie płynie w żyłach ani Rocheblanche'ów, ani żadnego wysokiego rodu. Jestem dzieckiem wędrownego aktora, sierotą od najmłodszych lat. Aby przeżyć, jeszcze dwa lata temu chętnie wślizgiwałam się do najbardziej nieprawdopodobnych miejsc, by dokonywać kradzieży.

Wielebny Andrea rozdziawił usta, chociaż w osłupienie wprowadziła go nie tyle owa

opowieść, ile osobliwe położenie, w jakim się znalazł. Zdawało się, że ledwie zdążył się oswoić z biegiem wydarzeń, gdy rzeczywistość wokół znów ulegała zmianie, po raz kolejny go zwodząc. Teraz zaś na dodatek znajdował potwierdzenie instynktownej niechęci, jaką darzył tę dziewczynę. Zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy. Isabeau złodziejka, przybłęda, kusicielka, która sprowadziła poczciwego Gualtiera na manowce, odsuwając go od Pomposy, od Pana i od drogi ku wielkości... Czując, że go omamiono, wycelował w nią palec.

– Przeklęta kłamczucha!

– Nie pora na chowanie urazy – skarciła go Eudeline. – Jesteśmy tu po to, by działać ramię w ramię, i jak Bóg na niebie, zrobimy to.

– Żądacie ode mnie, bym oddał się w ręce tej małej żmii? – wił się coraz bardziej wzburzony zakonnik.

Szlachcianka pogrążyła się w zadumie.

– Tylko jeśli okaże się to konieczne – stwierdziła. – Na razie chcę się zdać na wasz plan. Umówcie spotkanie z przyszłym biskupem Ferrary, a potem się zobaczy. Lecz o ile się nie mylę, aby odnieść zwycięstwo, będziecie musieli użyć skuteczniejszej broni niż szlachetne intencje, ojcze.

Andrea wpatrywał się w nią urażony.

– Cóż innego mogłoby skłonić człowieka Kościoła, aby poparł naszą sprawę?

– Oczywiście pieniądze – odparła Eudeline. – Pokażna suma pieniędzy.

CZEŚĆ TRZECIA CZWARTY JEŹDZIEC



FLORENCJA, DZIELNICA ŚWIĘTEGO PIOTRA NAD FOSĄ

Pośród muskanych promieniami zachodzącego słońca arkad, kolumn i budowli wykonany z piaskowca o barwie ochry kościół Świętego Piotra stapiał się z Pałacem Przeorów i pozostałościami po starych murach. Ojciec Andrea, znużony niekończącą się przeprawą przez Apeniny, ciemne bory Garfagnany, dolinę Serchio i Drogę Lombardzką, dotarł do niego tak zwaną ulicą Kołysanki. Zabrał ze sobą tylko jednego pachołka, Basilia, który z Bożą pomocą opiekował się nim w pełnej niebezpieczeństw podróży. Teraz wszakże, na widok cudów Florencji, zakonnik zapomniał o troskach, podobnie jak o strachu, którego się najadł, gdy o mało nie spadł do jednego z licznych jarów, mijanych na grzbiecie muła. Ogarniała go dawno niespotykana euforia, jakby cofnął się w czasie i jako nowicjusz odkrywał świat. Wspomniał przy okazji dawnego mentora, Seweryna z Padwy, który przed laty poradził mu, by nigdy nie odrzucał spojrzenia wędrowca, albowiem to właśnie w nim tkwi klucz do umiejętności dostrzegania we wszystkim Boga. Przez chwilę opatowi zdawało się, że istotnie odnalazł ów klucz, po czym prędko został przywołany do rzeczywistości. W istocie akurat wtedy odezwały się dzwony na nieszpory, wzywając duchowieństwo do odprawienia mszy i ofiarowując mu ku temu sposobność, która nie miała się powtórzyć aż do następnego dnia. Zsiadł więc z konia, powierzył go pachołkowi i wygładził podróżny habit.

Nie minęło wiele czasu, a brama pałacu się otwarła, a na bruk wysypał się orszak *gentes togatae*. W sporej części byli to mnisi i fratry, a także paru księży w wystawnych szatach.

Zanim weszli do kościoła, Andrea już miał się do nich zbliżyć, lecz coś go powstrzymało. Otworzył przytroczoną do siodła sakwę, wydobył arkusz bawełnianego papieru i skreślił na nim grafitem kilka wersów, po czym wręczył wiadomość Basiliowi.

– Ty idź – powiedział, wskazując na procesję.

Pachołek zawahał się nieco.

– A może wolisz, żeby twój opat się poniżył zamiast pospolitego postulanta? – ponaglił zakonnik.

– Nie, *dominus*.

– Wobec tego idź, pospiesz się. Oddaj ten list Jego Wielebności przeorowi, tylko nie zapomnij zaznaczyć, kto go przesyła, i nie wracaj bez odpowiedzi.

W oczekiwaniu, aż poczciwy Basilio spełni polecenie, Andrea chwycił muła za wodze i zaprowadził w półcień, z dala od ulicznego zgiełku. Jednocześnie nie spuszczał sługi z oka. Patrzył, jak biegnie ku orszakowi, rozmawia z paroma księżmi i przekazuje wiadomość wysokiemu mężczyźnie o dostojnym wyglądzie, z rzucającym się w oczy złotym krzyżem na piersi. Przypuszczał, że to właśnie on miał zostać biskupem Ferrary. *Monsignore* Filippo di Neri d'Antella. Szpiedzy wyjawili mu tylko jego imię wraz z kilkoma szczegółami, które właściwie na nic się nie przydały.

Wtem ujrzał, że Basilio kiwnął głową, skłonił się z rewerencją i zawrócił.

– I cóż? – zapytał, ledwie pachołek przed nim stanął.

– Przeor przesyła wyrazy szacunku – odparł zdyszany sługa – i ma zaszczyt zaprosić was na jutro wieczór, po nieszpiorach, do swojego pałacu.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE
14 CZERWCA

Po dwudziestu dniach bez wieści na temat brata Eudeline nie opuszczał niepokój. Maynard niemal na pewno jeszcze żył, z kurii doszły ją słuchy, że Lamberto da Cingoli zaprzestał tortur. Stanowiło to wszakże marną pociechę, w dodatku lękała się o powodzenie misji ojca Andrei. Była opatowi wdzięczna za pomoc i doceniała jego bystrość umysłu, nie przywykła jednak polegać na innych. Szczególnie w tak trudnym położeniu. Od dręczącego czekania bezsprzecznie wolałaby sama udać się do Florencji i rozmówić w cztery oczy z tajemniczym następcą Guida di Baisia. Wszelako Andrea uparł się, że osobiście się tym zajmie, uznawszy, że ona koniecznie powinna się ukrywać, ponieważ jej obecność powinna pozostać ścisłą tajemnicą.

Chcąc nie chcąc, Eudeline przystała na to. Gdyby rozeszła się wieść, że pani de Rocheblanche przebywa na ziemiach Ferrary i robi wszystko, by uwolnić brata, wkrótce dopadłyby ją zbiry Bertranda du Pougeta. Dlatego też opat zadbał o to, by nie zdradzać, kim jest, nawet pomposiańskim mnichom, przedstawiając ją jako daleką kuzynkę, która oczekuje na przyjęcie do żeńskiego zakonu.

Tylko jedna osoba w klasztorze poznała prawdziwe imię Eudeline oraz powód, dla którego przyjęto ją w mury opactwa wraz z Isabeau. Był to pewien młody pacholek, któremu powierzono zadanie opieki nad nią i chronienia jej w czasie nieobecności Andrei nawet za cenę życia. Nic więc dziwnego, że gdy niespodziewanie się pojawił, Eudeline przeczuła, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Znajdowała się właśnie w bocznej nawie klasztoru, skupiona na modlitwie przed Matką Boską wstawiającą się za tłumem, namalowaną na fresku po lewej stronie ołtarza. Po prawdzie troski pochłaniały ją tak bardzo, że nie była w stanie zmówić zwykłego „Zdrowaś Maryjo”. Postanowiła wszakże udać się do tego miejsca, aby korzystając z wczesnych godzin popołudniowych, gdy nie odbywają się msze ani nabożeństwa, wyrwać się z ciasnej klitki, którą jej przydzielono.

Młody Agostino podszedł do niej zwawym krokiem, potrząsając jasną czupryną wśród ławek, w których zwykli przyklękać mnisi.

– Pani – szepnął z powagą, stanąwszy przed nią – spieszno mi się z wami rozmówić.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się.

– Późnym rankiem zjawili się jacyś ludzie, którzy podają się za pielgrzymów.

– A w rzeczywistości nimi nie są?

– Stan ich koni nie pozwala przypuszczać, że odbyły długą podróż. Kłamię, dałbym sobie rękę uciąć.

Niewiasta wpatrywała się w twarz pachółka. Miał jeszcze mleko pod nosem, a puszyste loki cherubinka podkreślały dodatkowo jego chłopięcy wygląd. Jego bystre spojrzenie świadczyło, że z pewnością nie nawykł do zatapiania się w marzeniach.

– Nawet gdyby tak było, dlaczego miałoby mnie to ciekawić? – odparła.

– Jeden z tych osobników zwierzył się ojcu furtianowi, że szuka wysoko urodzonej białogłowy, i zapytał, czy przypadkiem nie przebywa w opactwie. Opisał was co do joty, następnie wymienił wasze imię.

– Jesteś pewien?

– Wyraźnie słyszałem, pani, czekając, aż mi powierzą konie.

Eudeline poczuła, jak zalewa ją niespodziewana fala silnego gorąca. Nie miała takiego doznania, odkąd pośród ulic Ferrary spostrzegła Araba, teraz jednak odnosiła wrażenie, że czyha na nią jeszcze większe zagrożenie. Musi natychmiast działać i schronić się gdzieś wraz z Isabeau.

– Czy furtian coś powiedział?

Agostino wzruszył ramionami.

– Powiedział, że owszem, jakaś białogłowa by się znalazła, ale że nie takie nosi imię. Ale ten człowiek i tak nabrał podejrzeń.

– Nie ma czasu do stracenia – zawołała, kierując się ku wyjściu wiodącemu do krużganka.

– Właśnie po to tu jestem – oświadczył pachółek, ciągnąc ją za ramię.

Eudeline mu się wyrwała.

– Uczyniliście wiele, przyznaję, lecz teraz...

– Musicie mi zaufać! – upierał się ze stanowczą miną. – Wielebny opat przewidział taką ewentualność i przed wyjazdem poinstruował mnie, co robić.

Była zupełnie nieprzygotowana na takie słowa, toteż zaniemówiła i skamieniała. Jasnowłosy młodzieniec porządnie nią potrząsnął.

– Prędko, pani! – ponaglił. – Musicie pójść za mną.

FLORENCJA, PAŁAC PRZEORÓW

Była to majestatyczna budowla z fasadą z boniowanego kamienia, a blanki i bryła upodabniały ją do fortecy. Ojciec Andrea podziwiał ją, przemierzając plac, niezdolny oderwać wzroku od przesuniętej w bok wieży, która nadawała całości widowiskowego charakteru. Chociaż zauważył ją już poprzedniego dnia, posuwał się naprzód z zadartą głową, dopóki straż nie wpuściły go na połączoną z główną bramą *aringhiera*⁷.

Monsignore Filippo di Neri d'Antella oczekiwał go w komnacie ozdobionej arrasami i gwelfickimi herbami, pomiędzy którymi widniało ostrołukowe okno wychodzące na ulicę Bramy Matki Boskiej. Prałat stał obok, wpatrzony w handlarzy jedwabiem, którzy uwijali się przy ulicy. Był wysoki, szczupły, odziany całkowicie na czarno, długie palce splótł za plecami. Dostrzegłszy obecność gościa, wskazał mu krzesło z wypolerowanego drewna, sam zaś usiadł naprzeciwko, przejawiając godną pozazdroszczenia wytworność ruchów.

– Wielebny opat Andrea z Pomposy, jak mniemam.

Zakonnik skinął głową.

– Jestem niezmiernie wdzięczny, Wasza Wielebność – dodał – że tak szybko udzieliliście mi posłuchania.

Przeor wykonał nieokreślony gest, jakby chciał nawiązać z nim nic porozumienia, co znalazło odzwierciedlenie w jego oczach.

– Biorąc pod uwagę to, skąd przybywacie – rzekł – uznałem, że przezorniej będzie nie kazać wam czekać.

To wystarczyło, by Andrea poczuł się jak na przesłuchaniu.

– Zatem domyśliliście się...

– Moje rozeznanie wykracza poza domysły. – *Monsignore* Filippo wskazał ciągnące się za oknem dachy z beztroską człowieka, który spogląda na teatrzyk kukiełkowy. – Wiele dni temu rektor Vallombrosy powiadomił mnie, że usilnie pragniecie poznać przed czasem przyszłego biskupa Ferrary. To ja pozwoliłem mu wyjawić mu moje imię.

– Zatem... – zadrżał opat – oczekiwaliście mojej wizyty.

Przeor się uśmiechnął.

– W rzeczy samej, nie znam tylko przyczyny, jaka was przywiodła aż tutaj. Wszelako przy niewielkim wysiłku mogę ją sobie wyobrazić.

Dotknięty do żywego Andrea zacisnął dłonie na poręczach.

– Nie przybyłem tu, by zebrać o gratyfikacje, jeśli to macie na myśli.

– To zaszczytne – uciszył go Antella, pochylając się do przodu. – Cóż innego kazało wam więc porzucić spowite mgłą bezkresy?

Przed odpowiedzią opat nakazał sobie spokój. Nadal umykało mu, czy Filippo di Neri droczy się z nim dla czystej przyjemności, czy po to, by poddać go próbie. Westchnął z żalem.

– Kwestia sumienia, Wasza Wielbność.

– Nie mogliście poczekać na moją inwestyturę? Już niewiele brakuje, żeby Jego Świątobliwość oficjalnie powierzył mi ferraryjską diecezję.

– To niemożliwe – zaznaczył w przychylnym szczerości Andrea. – Co więcej, stanąłem przed wami właśnie po to, by błagać was o opóźnienie tej chwili.

Przeor poderwał się gwałtownie.

– Postradaliście zmysły?

Andrea przyglądał się, jak niedowierzanie w jego oczach przeradza się w gniew, po czym z pokorą spuścił powieki.

– Tu chodzi o życie sprawiedliwego człowieka, Wasza Wielbność.

– Niechby i stu, nie zrzeknę się tego, co mi się należy – wykrzyknął przeor.

– Nawet po to, by spełnić wolę swego poprzednika?

– Jeśli wydaje wam się, że oczarujecie mnie zgrabnymi słówkami, grubo się mylicie. Wytlumaczcie krótko, w czym rzecz, a poznacie moje zdanie.

Opat skinął głową, nie przestając wpatrywać się we własne stopy. Po prawdzie nie spodziewał się, że Filippo aż tak się rozszroży, zazwyczaj miał bowiem do czynienia z prałatami o łagodnym i zagadkowym usposobieniu, którzy zawsze gotowi byli posłużyć się tysiącem nieudomówień. Natomiast z tym Florentyńczykiem należało postępować otwarcie, bez ogródek.

– Człowiek, o którym mówię, w czasach zarazy ocalił życie *monsignore* Guidowi – oznajmił – i z pewnością nie zawahałby się uczynić tego samego dla was, gdyby wymagały tego okoliczności. To nieustraszony rycerz, dla którego liczą się nade wszystko honor i lojalność, oddany Bogu i Kościołowi, jednakże został niesłusznie znieważony i uwięziony przez ferraryjską inkwizycję z powodu oskarżenia o herezję.

Przeor, który najwyraźniej zapanował nad wzburzeniem, teraz dumął z przymkniętymi oczami, gładząc się po brodzie.

– Żaden trybunał Świętej Inkwizycji nie może działać w diecezji pozbawionej biskupa – stwierdził.

– Trafiliście w samo sedno – odparł Andrea, zadowolony z tak ogromnej przenikliwości.

– Co nie oznacza, że spełnię wasze żądanie – uściślił Antella z chytrym uśmieszkiem. – Lepiej, żebym uczynił sobie wrogów z braci od inkwizycji czy

poświęcił obcego człowieka, choćby i niewinnego? Odpowiedzcie, ojcze.

Opat sposepniał.

– Niezłomne serce, za którym się wstawiam, nie zasługuje na traktowanie z tak obraźliwą wyższością.

– Pozwólcie, żebym to ja opowiedział wam o zasługach – odciął się *monsignore* Filippo. – Przed siedmiu laty odmówiono mi biskupstwa Florencji, mimo że przyznał mi je papież Benedykt Dwunasty. Siedem lat, ojcze, lecz zapewniam was, że nadal pali mnie złość. Nawet nie potraficie sobie wyobrazić, co przyszło mi znosić, aby zasłużyć na tę inwestyturę, jaką wytrwałością, gorliwością i niezłomnością musiałem się wykazać! A teraz, gdy po tak długim wahaniu Klemens Szósty postanawia powierzyć mi na pocieszenie biskupstwo odległego, niemal nieznanego mi miasta, miałbym zrezygnować i z niego?

Andrea czym prędzej pokręcił głową.

– Na miłość boską, nie – szepnął. – Znam wasze zasługi i wątpię, by istniał duchowny godniejszy urzędu, który gotujecie się objąć. Papieski kapelan, ambasador Stolicy Apostolskiej, rektor Romanii, a teraz przeor Świętego Piotra nad Fosą. Któż mógłby lepiej od was...

Filippo di Neri zaśmiał się sucho.

– Nie pochlebstwami zdobędziecie moją przychylność.

Andrea doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Tuż po przyjeździe do Florencji polecił Basiliowi węszyć na ulicach, w kościołach i gospodach, aby zdobyć wiedzę na temat *monsignore* Filippa, zasłyszane pogłoski skłoniły go zaś do takiego samego wniosku, do jakiego doszła wielmożna Eudeline. Filippo d'Antella, który został kapłanem i awiniońskim wasalem, wywodził się z rodziny kupców i bankierów. Łatwiej by było zamienić jego krew w wodę, niż przekonać do spełnienia prośby, nie dając nic w zamian.

– Otrzymacie kwotę – wyjaśnił opat – równą, a może nawet przewyższającą dochody, jakie przyniosłoby wam biskupstwo przez cały okres opóźnienia inwestytury.

Nabrawszy zniechęci ostrożności, *monsignore* Filippo jął krążyć wokół niego niczym szakal. Długo przetrwał jego słowa, ukrywając własne uczucia za sardoniczną miną.

– Chętnie rozpocząłbym pertraktacje, gdybym nie wiedział, w jak trudnym położeniu materialnym znajduje się wasz klasztor.

– Pieniądze nie pochodząby z Pomposy – sprostował Andrea – lecz od kogoś związanego z tym, kogo zamierzam uwolnić. – Co powiedziawszy, zmusił się, by odepchnąć dwa uczucia, które rozdzierały mu serce. Pierwsze wywołała odraza na widok chciwości przyszłego biskupa Ferrary. Drugie zrodziło się z przekonania, że aby przedłużyć życie Maynardowi de Rocheblanche'owi, będzie musiał zrezygnować

z florenów potrzebnych na sfinansowanie fresków w swym ukochanym opactwie.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

Tuż przed zmierzchem stajnię opuściła na gniadoszu otulona czarnym płaszczem niewiasta, szarpnąwszy zaś wodze, pędem oddaliła się od klasztoru.

Jeden z trzech fałszywych pielgrzymów, przyczajony przed domem gościnnym, natychmiast ją dostrzegł i gwizdnięciem przywołał kompanów. W okamgnieniu runęli za nią w pościg.

Koń uciekinierki był szybki, ona jednak nie potrafiła nad nim zapanować w galopie. Mężczyźni rzucili się na nią niczym jastrzębie, zmuszając, by zwolniła.

– A teraz, moja pani – zadrwił jeden z nich, przystawiając jej nóż do gardła – zawieziemy was do kardynała.

FERRARA, DZIELNICA BOCCACANALE

Bertrand du Pouget stał, powściągając niecierpliwość, gdy przed jego oblicze doprowadzano zakapturzoną niewiastę. Wydało mu się, że przez czarny płaszcz zasłaniający jej rysy dostrzega drżenie, co tylko wzmogło pragnienie, by spojrzeć w płonące oczy Eudeline de Rocheblanche. „Teraz już ten nikczemnik Maynard nie będzie miał przede mną żadnych tajemnic”, rzekł w duchu.

Skinął niecierpliwie na jednego ze zbrojnych, którego za radą Lamberta da Cingoli wysłał do Pomposy, i nakazał odkryć jej twarz.

Mężczyzna spełnił polecenie.

Kardynał zmierzył białogłową wzrokiem.

Jego oczy, już nie tak bystre jak za młodu, zamieniły się w okolone zmarszczkami szparki. Zrazu z powodu wysiłku, by lepiej widzieć, następnie by dać wyraz dzikiemu, nieokiełznanemu uczuciu, jakie nagle nim owładnęło. Niemal bezwiednie szarpnął się do przodu i szorstko odepchnął zbrojnego.

– Co to za jedna? – wrzasnął.

– Czy to nie... – wymamrotał mężczyzna – niewiasta, której szukaliście?

– Doskonale znam szlachciankę, po którą was wysłałem! – Nadal pluł żółcią, po czym wskazał pojmaną pogardliwym gestem. – A ta twarz z pewnością nie należy do niej!

– Ale to była jedyna dama, jaka przebywała w klasztorze!

– Jaka znów dama? – wtrąciła płacząco białogłowa. – Jestem pomywaczką, zajmuję się kuchnią, sprzątam refektarz... – Wtem zalała się łzami. – A oni... Ci grubianie... uprowadzili mnie w drodze na wieś po warzywa...

– Jechała konno – usprawiedliwił się zbrojny. – Wyglądało, jakby uciekała.

– Spieszyłam się – chlipnęła – na wieczerzę...

Monsignore Bertrand był wstrząśnięty. Nad wyraz zawiedziony i z niejasnym przeczuciem, że z niego zakpiono, przemierzał izbę, wymachując pięściami.

– Precz! Zabierzcie mi z oczu tę plebejuskę!

– Ale dokąd? – ośmielił się zapytać jeden ze zbrojnych.

– Przepędźcie ją. – Kardynał zgromił go wzrokiem. – Co mnie ona obchodzi?

Po czym, trzasnąwszy drzwiami, zaszył się w swych komnatach.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE
27 CZERWCA

Moczarek czekał nań zwinięty w kłębek na schodach portalu. Wybiegł mu radośnie na spotkanie koślawym krokiem, kontrastującym z nobliwą sylwetką charta. Ojciec Andrea czule go pogłaskał, następnie, zwalczywszy pokusę zaszycia się w samotności, by odpocząć, ruszył w stronę krużganka. Podróż powrotna, bardziej wyczerpująca niż jazda do Florencji, uzmysłowiła mu, że się zestarzał. Nawet jeśli dawnymi czasy pielgrzymowanie budziło w nim zachwyt, teraz zastanawiał się, jak owi zacni mnisi pokroju Świętego Romualda czy Świętego Brunona z Kwerfurtu mogli przemierzać konno świat aż do późnego wieku, borykając się ze skwarnymi latami i tak surowymi zimami, że stopy zamarzały im w strzemionach.

Powierzywszy Basiliowi muła i sakwę, wydobył z siodła pastorał i udał się na poszukiwanie ojca furtiana, którego poprosił, by przyprowadził mieszkającą w klasztorze niewiastę.

– Nie przyjdzie – odparł zakonnik.

– A dlaczegóż to? – burknął Andrea.

– Przed dziesięcioma dniami wraz ze swą młodszą towarzyszką zamknęła się w krypcie. I od tamtej pory odmawia wyjścia.

– Kto tam?

– To ja, pani! Otwórzcie.

W ciemności rozległo się metaliczne szczęknięcie i otwarły się drzwi krypty. Ojciec Andrea przekroczył próg, przyświecając sobie pochodnią, gdy zaś się rozejrzał, spostrzegł, jak Eudeline chowa w rękawie sztylet.

– Na wszelki wypadek – wyjaśniła stanowczo dama.

Opat zbliżył się z westchnieniem, nie zważając na podejrzliwy wzrok Isabeau. Odsunawszy zwisającą ze sklepienia pajęczynę, osadził pochodnię w pierścieniu w ścianie.

– Co w ogóle znaczy ta komedia? – wykrzyknął.

– Komedia, powiadacie? – powtórzyła groźnie pani de Rocheblanche, zamykając w pośpiechu drzwi. – Wkrótce się dowiecie, ale najpierw mówcie, jak wam poszło.

Andrea zrobił nieszczęśliwą minę na myśl o Filippie di Neri d'Antelli. Może właśnie za sprawą prałata podróż powrotna okazała się uciążliwa, tak jakby poznanie go równało się spożyciu zepsutego jadła.

– Wszystko zgodnie z planem – odparł, zatrzymując owe rozważania dla siebie. – Spotkałem człowieka, który ma zasiąść na biskupim tronie w Ferrarze, i zawarłem z nim pakt. Jest przebiegły, żądny władzy, a jeszcze bardziej bogactw, w końcu jednak zdołałem go przekonać, by opóźnił dzień inwestytury.

– Za jaką cenę? – zapytała Eudeline, pominąwszy szczegóły.

– Dwustu florenów miesięcznie, poczynając od dzisiaj, aż do dnia, kiedy obejmie urząd.

– Chcę mieć nadzieję, że przemilczeliście kwestię źródła pieniędzy.

– Naturalnie.

– A co z moim bratem? Wspomnieliście mu o nim?

Opat wzruszył ramionami.

– *Monsignore* Filippo d'Antella należy do tych hierarchów, którym trudno zmiękczyć serce.

– Zatem nie zrobi nic, żeby ochronić Maynarda – prychnęła schowana w mroku Isabeau.

Andrea skinął głową.

– Gdy tylko Antella usłyszał o inkwizycji, umył ręce.

– W sumie odsunęliśmy tylko to, co nieuniknione – stwierdziła Eudeline.

– Zyskany czas jest wszakże cenny, pani – podkreślił zakonnik.

– Byłby – sposepniała – gdybyśmy mogli sobie nawzajem zaufać.

– Co macie na myśli?

– Przyczynę, dla której ja i Isabeau gnieźdzymy się tu, na dole. – Co rzekłszy, pani de Rocheblanche splotła ramiona na piersiach i wbiła wzrok w łuki sklepienia. – Na pomysł z kryptą wpadł wasz pachołek, poczciwy Agostino, po tym, jak wyrwał mnie z pułapki zastawionej przez jakichś szpiegów, podstawiając zamiast mnie młodą wdowę po jednym z waszych sług. Bardzo chytne, chociaż, jak sam wyznał, działał zgodnie z ułożonym wcześniej planem. Ułożonym przez was.

– Z pułapki? – powtórzył Andrea.

– Trzech zbirów przebranych za pielgrzymów – oznajmiła dama, wpatrując się weń ponuro. – Mocodawca pozostaje nieznany, ale skoro braliście pod uwagę samą tylko możliwość zasadzki, jesteście w stanie to wyjaśnić.

– Ukrywałem to przed wami – bronił się – aby nie niepokoić was bardziej, niż to było konieczne.

Eudeline zaśmiała się zjadliwie.

– Pozwólcie, że sama będę decydować o własnych obawach.

– Dostrzegam w waszych oczach zarzut – odparł z oburzeniem Andrea – tak jakbyście zapomnieli, skąd powracam i na co musiałem się narażać.

– Przedsięwzięcie, które doprowadziliście do końca dzięki moim pieniądzom – zbyła go – i które pozwoliło wam nawiązać stosunki z przyszłym biskupem Ferrary.

- Jak śmiecie wysuwać podobne insynuacje?
- Wycofam je, kiedy wyjaśnicie mi, co się wydarzyło.

Opat ugryzł się w język. Oskarżenie z ust niewiasty nad wyraz go rozsierdziło, a jeszcze bardziej kose spojrzzenia rzucone przez Isabeau. Wszelako mocno mu ciążyło pozostawanie po złej stronie.

– Lamberto da Cingoli – wycedził, dygocząc z wściekłości. – Przypuszczam, że pułapka, której uniknęliście, to sprawka tego dominikanina. On podejrzewa, że jestem w zмовie z waszym bratem w kwestii *Lapis exilii*.

– Ci ludzie szukali mnie – sprzeciwiła się szlachcianka – nie was.

– Można domniemywać – założył Andrea – że przed śmiercią Guido di Baisio powiadomił Lamberta da Cingoli i Pougeta o waszej bytności w Ferrarze. W tym wypadku powiązania między mną a wami nasuwałyby się same. A zresztą czy nie schroniliście się w opactwie właśnie dlatego, że was, jak twierdziliście, śledzono?

Eudeline skinęła na znak, że pojmuje.

– Gdyby tym łotrom udało się mnie uprowadzić, posłużyliby się mną, by zmusić Maynarda do mówienia.

Opat uśmiechnął się nieznacznie i oświadczył pojednawczo:

- Kolejny dowód na to, że wasz szlachetny brat nadal żyje.
- Owszem – westchnęła niewiasta – tylko jak długo jeszcze?
- Liczę, że wystarczająco, by urzeczywistnić pewien plan.
- Jaki, jeśli wolno zapytać?
- Wasz – odparł wielebny Andrea. – Długo się zastanawiałem i, niech mi Bóg wybaczy, nie widzę innego wyjścia.

FERRARA, PAŁAC SIGNORII
12 WRZEŚNIA

- Żądam procesu, nie widzę innego rozwiązania.
- W tej chwili to niemożliwe, Wasza Eminencjo. Doskonale o tym wiecie.

Przechadzali się właśnie po pałacowym ogrodzie w późnopopołudniowym słońcu. *Monsignore* Bertrand ze spuszczonego wzrokiem wpatrzonym w żywopłot z krzewów różanych, a u jego boku brat Lamberto z palcami zaciśniętymi na krucyfiksie. Z tyłu, kilka kroków za nimi, orszak zamykał osowiały markiz Obizzo.

Pouget, znużony ukrywaniem się w dzielnicy Bocac canale, wyszedł na zewnątrz, posłużony się wymówką, że chce zacząć działać, teraz więc to dominikanin musiał z kolei uciszyć jego zniecierpliwienie.

– Dobrze wiecie – powtarzał ostrożnie – że do wszczęcia formalnego procesu przez inkwizycję potrzeba zgody biskupa. Albo jeszcze lepiej, kardynała. Ale skoro urząd biskupa Ferrary nie został jeszcze obsadzony, na was również nie będzie się można zdać, przewielebny, o ile Ojciec Święty nie uczyni was papieskim legatem.

– Przybyłem tu w tajemnicy, nigdy nie zdobędę takiego dokumentu – westchnął prałat, ciągle wpatrując się w róże. Po tylu miesiącach w zamknięciu najwyraźniej odczuwał radość na widok każdej najdrobniejszej rzeczy muskanej promieniami słońca. – Co wcale nie wyklucza, że proces jest jedynym sposobem na rozwiązanie Rocheblanche’owi języka.

Z tym akurat Lamberto da Cingoli się zgadzał. Aż do tej pory nie poznał nikogo, kto potrafiłby znieść męki i uwięzienie, co nasunęło mu wątpliwości, czy aby nie pomylił się w stosunku do messer Maynarda. A także w stosunku do ojca Andrei. Porażka ludzi wysłanych do Pomposy jedynie wzmogła to uczucie, rodząc obawę, że popełnił olbrzymi błąd. Zastanawiał się wręcz, czy poszukiwania *Lapis exilii* nie były czczą brednią albo urojeniem, związanym z wiekiem i niedomaganiem *monsignore* Bertranda.

A przecież purpurat pokazał mu obydwie relikwie.

Brat Lamberto nie ośmielił się ich dotknąć, wyczuł wszakże ich przyjemną woń wraz z dawną tajemniczą aurą, która nadal rozpaliała jego pamięć, przywodząc na myśl opowieści odkrywców grobów świętych męczenników, schowanych w niedostępnych miejscach. Nawet on rozkoszował się przez chwilę owym cudownym doznaniem! Oba przedmioty otaczał wyraźnie nimb Łaski, mimo że miały czarną barwę, jakby wykuto

je w piekielnej kuźni.

Pozostawało jeszcze milczenie Maynarda, uniemożliwiające odnalezienie trzeciej relikwii Chrystusa. Proces przycisnęła by rycerza do muru i zmusił go, by bronił własnej niewinności, wyjawiając prawdę. I chociaż przewidywał, że ów człowiek wolałby spłonąć na stosie, niż zadowolić swych przeciwników, to aby zdławić jego opór, Lamberto da Cingoli zagroziłby, że odeśle go do Stwórcy bez rozgrzeszenia, z ciężącym mu na duszy potwornym zarzutem. Wszelako przy braku obecności biskupa był zmuszony robić dobrą minę do złej gry.

– A gdyby spróbować bardziej wymyślnych tortur? – podsunął.

– Narażając się na to, że go zabijemy? – odparł z wyrzutem kardynał. – Obetniemy mu nogę albo rękę, obedrzemy ze skóry, zanurzymy we wrzącym oleju... Wszystko to mogłoby nie tylko go unicestwić, ale sprawiłoby, że ostatecznie pogodziłby się ze śmiercią. A wtedy już nic byśmy z niego nie wydusili.

Inkwizytorowi nie pozostało nic innego, jak się z tym zgodzić.

– Jedyne duma zdoła go złamać – ciągnął Bertrand, zerkając w stronę messer Obizza. – Mam rację, markizie?

Wyrwany z zadumy d'Este przytaknął z grymasem niezadowolenia.

– Duma, którą uraziłoby stanięcie przed oskarżającym go trybunałem – objaśnił Bertrand, wracając do rozmowy z dominikaninem. – Stawienie czoła hańbie i plamie na honorze.

– Nie byłby pierwszym szlachcicem, który reaguje w ten sposób – przyznał Lamberto.

– Nie wspominając o tym – dodał kardynał – że wieść o procesie wreszcie zmusiłaby wielmożną Eudeline do opuszczenia kryjówki. A wówczas, jeśli będziemy mieli w garści rodzeństwo Rocheblanche'ów, skłonienie ich do mówienia okaże się czczą igraszką.

Bratu Lambertowi wyrwał się jęk bólu.

– Kwestia jednak nadal wymyka nam się z rąk, Eminencjo. Dostrzegamy wyraźnie rozwiązanie, lecz aby wszcząć proces, brakuje nam pozwolenia biskupa.

Pouget uciszył go porozumiewawczym gestem.

– Biskup już został mianowany.

– Co to znaczy? – Dominikanin podskoczył.

– Dokładnie to, co powiedziałem. Został mianowany wiele miesięcy temu przez samego papieża Klemensa, on jednak mnoży kolejne wymówki, by odsunąć w czasie inwestyturę.

– Ale skąd się tego dowiedzieliście...

– Zapominacie o moich znajomościach w Awinionie – oznajmił prałat, marszcząc czoło. – Wybraniec to *monsignore* Filippo d'Antella z Florencji. Ubłagał Jego Świątobliwość, żeby udzielił mu odroczenia, gdyż chce zaspokoić potrzeby swego

ukochanego klasztoru, zanim powierzy go komuś innemu. Potrzeby, które, tak między nami, najprawdopodobniej nie istnieją.

– Wobec tego nie pojmuję, po co to odkładać.

– Najbardziej oczywista hipoteza mówi, że Antellę przekupił albo mu zagroził ktoś, komu zależy, by zatrzymać go z dala od Ferrary.

– Chyba nie myślicie o... spisku w obronie Rocheblanche'ów!

Bertrand du Pouget wzruszył ramionami.

– Może zawiązała go jego siostra, chociaż nie mam dowodów. – Minąwszy ogród różany, przystanął przed sękatym pnem figowca, aby przyjrzeć się jego owocom. – Skądinąd rozwiązanie nasuwa się samo.

Lamberto da Cingoli wcale jednak tak nie uważał. Skrzywił się niepewnie, zastanawiając się, co odpowiedzieć, aby nie wydać się naiwnym.

– Bezsprzecznie macie większą wprawę ode mnie w takich kwestiach, Wasza Wielebność.

Purpurat zerwał z nisko rosnącej gałęzi figę i otworzył ją, aby wydobyć miąższ, jakby w ogóle nie słyszał. Następnie podniósł wzrok ku jeszcze ciepłym promieniom, które przeświecały przez listowie.

– Zapłacić Florentyńczykowi więcej, rzecz jasna.

Inkwizytor cofnął się zmartwiony.

– Jeśli zamierzacie sięgnąć do skarbcza Świętego Dominika...

– To nie będzie konieczne, wielbny ojciec – uspokoił go Bertrand. Po czym skinął na markiza Obizza, który z udawaną obojętnością uparcie trzymał się z dala. – Mamy już szlachetnego i bogobojnego darczyńcę.

DZIELNICA BOCCACANALE
3 PAŹDZIERNIKA

Pośród ciemnych zaułków Isabeau po raz drugi okrążyła domostwo, lecz nie natrafiła na żadną szparę, przez którą mogłaby się prześliznąć. Wąskie okienka wychodzące na podziemną kondygnację umożliwiłyby jej przedostanie się, gdyby nie były solidnie okratowane. Z kolei wszystkich drzwi i okien strzegli odziani na czarno zbrojni.

„Jakaś możliwość pewnie by się znalazła, gdybym dotarła na zewnętrzną galerię”, pomyślała, podnosząc wzrok ku plątaninie winorośli, która pięła się po południowej ścianie budowli aż do długiego balkonu. Jej pędy sprawiały wrażenie dostatecznie mocnych, by utrzymać ciężar takiej kruszyny jak ona, potrafiącej się szybko i zwinnie poruszać. Była to jedyna scheda po ojcu. Dar być może zbędny dla kogoś, kto znajduje się w takim położeniu, by dyktować reguły bliźnim, za to nader cenny dla każdego, kto musi radzić sobie, mieszkając w lasach i wśród mętów.

Widok strażnika za kratą galerii kazał jej natychmiast zrezygnować z tego pomysłu. Uwagi dziewczyny nie uszedł jednak wysoki komin, który podsunął jej równie osobliwy, co być może skuteczny pomysł. Przyrzekła sobie, że zapyta o radę Eudeline.

Tymczasem ponownie zanurzyła twarz w podartym szalu, który nadawał jej wygląd żebraczki, i przystąpiła do dalszych oględzin. Obok niej podążał czujny Agostino w równie poszarpanym przyodziewku. Z początku Isabeau nie chciała, by jej się plątał pod nogami, potem wszakże pojęła, dlaczego pomposiański opat uparł się, by jej towarzyszył. Młody pacholek miał nie tylko dobre serce, lecz także ów rodzaj życiowej zaradności, która przydaje się w chwilach, gdy sztuka improwizacji staje się koniecznością.

Córka wędrownego aktora posuwała się w milczeniu i wpatrywała ukradkiem w dom, zarazem pamiętając o tym, by błagać o miłosierdzie każdego napotkanego przechodnia. Musiała starannie udawać, jeśli nie chciała źle skończyć. Jeśli rzeczywiście jedyną nadzieją na ocalenie Maynarda były te przeklęte relikwie, znajdzie sposób, by je ukraść, nawet gdyby miała stać się jeszcze cichsza i ulotniejsza niż duch.

Nagle zorientowała się, że Agostino pozostał w tyle, odwróciwszy się zaś, spostrzegła, że uważnie ogląda kratę.

– Rusz się – szepnęła niezadowolona.
– Może pilnikiem... – ociągał się pacholek.
– Zajęłoby to całą noc – skwitowała z lekceważeniem, jakby przemawiała do gamonia.

Jeżeli jednak w tej chwili była na kogoś zła, to tylko na samą siebie. Po tylu gorliwych wysiłkach, by przystąpić do działania, i niekończących się dyskusjach mających na celu wzbudzenie w Eudeline i ojcu Andrei zaufania do niej, zniecała straciła pewność siebie. To prawda, w przeszłości dokonywała licznych kradzieży w rozmaitych domach, a nawet w szlacheckiej posiadłości. Raz już prawie w klasztorze, ale powstrzymał ją strach przed piekłem.

Wszelako budowla, w której ukrywał się Bertrand du Pouget, okazała się bardziej strzeżona, niż przypuszczała. Musiało jej pilnować co najmniej sześciu zbrojnych, prawdopodobnie również w nocy. Twardy orzech do zgryzienia dla każdego, kto chciałby się wśliznąć niepostrzeżenie i nie dać się złapać, gdy już znajdzie się w środku.

Ostrzegawcze gwizdnięcie kompana kazało jej się obejrzeć na strażnika, który właśnie się wyłonił z głównego wejścia. Był ciemnowłosy, wyższy od Maynarda, a u lewego boku miał w pochwie dagę. Zamknąwszy za sobą drzwi, zawołał do dwójki fałszywych żebraków:

– Ej, wy tam, precz stąd!

Agostino już brał nogi za pas, lecz Isabeau go powstrzymała. Wystarczył jej jeden rzut oka, by dostrzec pęk kluczy wiszący u pasa zbrojnego, toteż za nic w świecie nie wypuściłaby z rąk takiej sposobności. Wierna zatem swojej roli schowała twarz i wyciągnęła ręce.

– Grosik, mój panie – wyjęczała błagalnym tonem. – Grosik dla biedaków.

Nim strażnik zdążył odpowiedzieć, uczepiła się jego szat i szarpnęła.

– Precz! – powtórzył okrutnik i popchnął ją tak mocno, że runęła na ziemię.

– Tylko jeden grosik – nalegała klęcząca Isabeau.

Zamiast wręczyć datek, mężczyzna złapał ją za odzienie, gwałtownie uniósł do góry i zaczął policzkować. Dziewczyna się nie wyrywała, myślała jedynie o tym, by zasłonić twarz, chcąc zarówno obronić się przed ciosami, jak i nie dać się rozpoznać.

– Puście ją! – odezwał się piskliwy głos.

Agostino, podniósłszy pięści, z krzykiem na ustach gotował się na odsiecz swojej towarzyszce.

– Puście ją albo przysięgam...

Zbrojny patrzył nań niewzruszony, unosząc Isabeau nad ziemią. Już miał zareagować, ale rozbawiony zacietrzewieniem wdzięcznego przeciwnika, rozciągnął gębę w drwiącym uśmiechu.

– Jeśli jeszcze was tu spotkam... – Cisnął młodą niewiastę w piach. – Biada wam!

Pachołek czym prędzej się nad nią pochylił.

– Nic wam nie jest? – zapytał z troską, pomagając jej wstać.

Dziewczyna szorstko go odepchnęła i nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem, ruszyła szparkim krokiem ulicą Powodzi w kierunku placu. Dopiero gdy znaleźli się z dala od miejsca przykrego zdarzenia, najwyraźniej przypomniała sobie o swym wybawcy.

– Jesteś niezdarnym głupcem! – napadła na niego, dygocząc ze złości. – Powinieneś być mu pozwolić mnie zabić, bo w ten sposób mogłabym mu ukraść klucze!

Zdążyli już dotrzeć do skrzyżowania ulic Powodzi i Bławatników, gdy od strony rynku dobiegła ich głośna wrzawa. Wymienili zdumione spojrzenia, po czym pomknęli szerszym odcinkiem drogi między pałacem markiza a kościołem Wszystkich Świętych. Stamtąd zdołali dostrzec ogromne zbiegowisko przed katedrą dla uczczenia tajemniczego wydarzenia.

Zaciekawiony Agostino zatrzymał pierwszego przechodnia, jaki się nawinął.

– Przepraszam, messer. Co się dzieje?

– Zaraz się dowiecie! – odparł z wielkim poruszeniem tamten. – Do Ferrary właśnie przybył nowy biskup!

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE**4 PAŹDZIERNIKA**

– Nowy biskup... – mruknął z niedowierzaniem ojciec Andrea. – Nie może być...

– Naprawdę nie pojmujecie? – Trupio blada na twarzy Eudeline przechadzała się po rozmównicy w tę i z powrotem. – Pewnie kardynał przejrzał waszą grę.

– Przecież zapłaciłem tej gadzinie!

– Czasem groźby mają większą moc przekonywania niż pieniądze.

– Dla Maynarda to jeszcze nie koniec – wtrąciła Isabeau, ucinając sprzeczkę, która do niczego nie prowadziła. – Widziałam dom.

Szlachcianka stanęła jak wryta i popatrzyła na nią z nadzieją.

– A... Czy można się dostać do środka?

– Może i tak – odrzekła dziewczyna. – Jeśli będzie się miało dużo sprytu.

– Mówcie jaśniej – ponaglił opat.

– Będę musiała działać po ciemku, w pojedynkę – zastrzegła Isabeau, po czym zwróciła się do Eudeline. – Żeby jednak plan się powiódł, potrzebne mi będzie pewne szczególne ziele. Ziele, o którym słyszałam, gdy mieszkałam w opactwie Świętego Antoniego.

KONWENT ŚWIĘTEGO DOMINIKA
2 LISTOPADA

Pierwsze rozległy się dzwony na nieszpory, bijące *pro requie omnium defunctorum*. Potem przyszła kolej na oślepiające światło – albo przynajmniej tak mu się zdawało – pochodni i latarenek. Ciągłe jeszcze odrętwiały, został wywleczony przez oddział straży po kamiennej galerii, a na koniec po krętych schodach wiodących do obszernego korytarza. Gdy podniósł głowę, poczuł na twarzy powiew chłodnego powietrza, co sprawiło, że nieco otrzeźwiało, a wówczas dostrzegł szare żebrowanie sklepienia.

Uzmysłowił sobie, że prowadzą go na szczyt wieży, wcale się tym jednak nie zmartwił. Po wielu miesiącach w zamknięciu już samo to, że mógł iść wyprostowany, uznał za przywilej. Delektował się tym powoli, usiłując stawiać pewne kroki pomimo wyczerpującej go wewnętrznej słabości. Po nieustraszonym rycerzu de Rocheblanche'u pozostał odległy sen, który rozwiął się niczym mgła. Francuz wstydziliby się za samego siebie, gdyby nie myślał, że nie stracił odwagi. Zachowując milczenie.

Wtem oddział zwolnił, on zaś znalazł się przed pyzatem, okrągłym jak księżyc w pełni obliczem. Maynard wpatrywał się w skruszoną, naznaczoną wyrzutami sumienia twarz, ledwie jednak rozpoznał brata Prudenzia, poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Podły robaku! – Napluł mu w oczy.

Czyjaś żelazna dłoń ścisnęła mu kark, zmuszając, by spuścił wzrok, gdy tymczasem obok pojawił się ktoś jeszcze. Francuz spostrzegł skraj białego habitu, spod którego wyzierały chude, kościste stopy, obute w plecione sandały, następnie czarny płaszcz, a na nim szkaplerz. Uścisk oprawcy zelżał, umożliwiając mu spojrzenie w oczy brata Lamberta da Cingoli.

Oblicze inkwizytora przypominało obciągnięty skórą bęben, rozdarty uśmiechem.

– Teraz wyjawicie waszą tajemnicę, messer – oznajmił, chwytając żelazne okowy, które unieruchamiały mu ręce – albo za przyzwoleniem biskupa spłoniecie na stosie.

Bertrand du Pouget opuścił kryjówkę w Boccacanalie pod eskortą czterech zbrojnych, aby zająć miejsce w jednej z wysokich stall, umożliwiających przyglądanie się procesowi Rocheblanche'a. Nikt oprócz niego nie odważył się naruszyć poufności *quaestio*. O ile zresztą w oczach ludu wydarzenie to miało podrzędne znaczenie, nowo

mianowany biskup zrezygnował z żądania wyjaśnień na temat zamieszania wywołanego z powodu przybyłego z Francji mąciwody. Pieniądze markiza i groźby du Pougeta wystarczyły, by nie uległ ciekawości i zostawił wolną rękę jedynie wtajemniczonym osobom.

A oto i kardynał, z góry napawający się chwilą, w której z *Lapis exilii* opadnie woal tajemnicy. Odczuwał niemal zakłopotanie, że musiał się uciec aż do takich środków, chociaż po nieudanych próbach zmuszania Rocheblanche'a do mówienia zaczął podejrzewać, że ów nikczemnik jest opętany przez jakąś nadnaturalną siłę, zdolną wspierać go w rozpacz i udreć. Czyż on także nie był człowiekiem z krwi i kości? Jego umysł rozpalił przelotny podziw, który przygasł na widok oskarżonego wkraczającego właśnie do sali.

Przygarbiony, wychudzony, z podkrążonymi oczami. Oto jego wróg! Ten, który przemierzał pola śmierci na pikardyjskiej ziemi, aby rzucić mu wyzwanie, teraz z trudem trzymał się na nogach przed gremium pod przewodnictwem brata Lamberta. Wszelako, jeśli się dobrze przyjrzeć, w jego źrenicach tliła się jeszcze iskierka dumy.

Lamberto da Cingoli, zasiadający za stołem sędziowskim wraz z dwoma braćmi kaznodziejami, rozpoczął rozprawę, wygłaszając rytualną formułę i wydając polecenie skrybie, by odczytał pozwolenie Jego Wielebności biskupa Filippa d'Antelli. Następnie za zgodą konfratrów przystąpił do przesłuchania oskarżonego.

– To wy jesteście messer Maynard de Rocheblanche – rozległ się jego głos – urodzony w Reims i w ciągu ostatnich dwóch lat zamieszkały na dworze jego wielmożności markiza Obizza III d'Este?

Na dźwięk własnego imienia rycerz przybrał godną postawę, unosząc podbródek.

– Tak.

– Twierdzicie, że jesteście oddani naszemu Panu Jezusowi Chrystusowi i wyznajecie jedyną prawdziwą wiarę, opartą na tajemnicy Ojca, Syna i Ducha Świętego?

– Tak.

– I otrzymaliście sakramenty chrztu świętego i eucharystii?

– Tak.

– Przysięgacie zatem, że nie będziecie głosić pod karą pohańbienia i potępienia kłamstwa przed obliczem przedstawiciela świętej potęgi Pana na ziemi?

– Przysięgam. Nigdy nie dam fałszywego świadectwa i nigdy nie uczynię zła w oczach Ojca Wszechmogącego.

Przed odpowiedzią Lamberto da Cingoli zerknął na kardynała.

– Dlaczego więc – powrócił do oskarżonego – ukrywaliście, że byliście w posiadaniu relikwii, co do której istnieje przypuszczenie, że pochodzi od Chrystusa Zbawiciela?

Przez twarz Maynarda przemknął wyzywający uśmiech.

- Albowiem wasze słowa nie odpowiadają prawdzie.
- Macie czelność mi się przeciwstawiać? – skarcił go inkwizytor.

Rycerz nawet nie mrugnął.

- Nie jestem w posiadaniu żadnej relikwii.
- Ale wiecie, gdzie została ukryta – podkreślił brat Lamberto.

Siedzący na podwyższeniu kardynał zacisnął palce na kolanach. Pytania te zostały uzgodnione dzień wcześniej z dominikaninem, aby skłonić Rocheblanche'a do wyznania prawdy nie w sposób żywiołowy, lecz stopniowo, w reakcji obronnej podsyczonej dumą.

Tymczasem Maynard nie zamierzał odezwać się ani słowem.

– Uważajcie, messer – ostrzegł brat Lamberto. – Brak odpowiedzi zostanie uznany za kłamstwo, a wasze słowa utracą wiarygodność.

– Przysięgłem szczerą przed przedstawicielami Boga na ziemi – bronił się Rocheblanche – ale nie uznaję za takowego żadnego z obecnych na tej sali.

– Cóż za pycha, messer. – Lamberto da Cingoli uciszył gestem szmer oburzenia, jaki rozległ się wśród jego konfratrów. – Wasze oświadczenie samo w sobie wystarczy, by zagwarantować wam męki piekielne. Zdajecie sobie z tego sprawę? Niniejsze gremium okaże wszak wspaniałomyślność i odpuści wam grzechy, o ile będziecie skłonni się wyświadczać.

– Wyświadczać się... ze wszystkich przewin? – mruknął szyderczo rycerz. – Nawet z tej, że nienawidzę własnego ojca, chociaż wiem, że nie żyje?

– Dobrze wiecie, o czym mówię – prychnął inkwizytor.

Po raz kolejny Maynard zamknął się w nieprzeniknionym milczeniu. Du Pouget dostrzegł wysiłek, z jakim pomimo niewątpliwego zagubienia, lęku i wyczerpania próbował zachować waleczną minę. „Jak długo jeszcze?”, zapytał się w duchu. „Jak długo jeszcze, zanim się podda?”

Oskarżony niespodziewanie ponownie zabrał głos z pogardliwą miną.

– Gdyby nawet rzeczona relikwia istniała – oświadczył – nie mogłaby należeć do nikogo.

– Gdyby taka relikwia istniała – zaproponował Lamberto da Cingoli – należałaby do Kościoła, wy zaś splamilibyście się winą trzymania jej w ukryciu. Inaczej przedmiot, o którym mówimy, byłby falsyfikatem, a wy łatwowiernym człowiekiem albo kłamcą, wpętanym w grę oszustw, która ma na celu sianie zwątpienia w dogmaty wiary katolickiej.

Oburzony tym stwierdzeniem Maynard pokręcił głową.

– Człowiek, który mi o niej powiedział, był mędrcom – odparł na swą obronę – i nie pozostawił mi żadnej wątpliwości.

Przez twarz inkwizytora przemknął cień nadziei.

– Najbardziej przebiegły heretyk potrafi uchodzić za mędrca w oczach

prostaczków.

Rocheblanche zawahał się, żałując, że wymusnęło mu się więcej, niż powinno.

– Był czas, kiedy mogliście mnie tak określić – odparował kpiąco. – Dzisiaj jednak już nie jestem prostym człowiekiem. Nie po okropieństwach, jakich dopuścili się najwyżsi przedstawiciele rodzaju ludzkiego. Złe rządy! Wojna! Głód! Te trzy widziadła wypełniają moje noce od zbyt długiego czasu, żeby mogły mi umknąć zwiastujące je znaki.

Chełpiący się chwilowym zwycięstwem Lamberto da Cingoli puścił te wyznania mimo uszu.

– Zatem po raz pierwszy o *Lapis exilii* wspomniał wam jakiś mędrzec – doszedł do wniosku.

– To wy wypowiedzieliście tę nazwę, nie ja.

– A w jaki sposób się wam przedstawił? Jako święty? Profeta? A może Zbawiciel we własnej osobie?

Maynard zaś, nabrawszy czujności, dumiał przez chwilę, po czym odparł chytrze:

– Człowiek mniej uniżony od tu obecnego dopatrzyłby się w waszych pytaniach zamiaru wyjęcia mi z ust prawdy za pomocą zaprzeczeń.

Bertrand du Pouget, którego owa nieoczekiwana deklaracja dotknęła do żywego, zmełł w ustach przekleństwo. Ten nędzny krętacz odkrył oszustwo. Teraz nie piśnie już ani słówka! Rozsierzony kardynał poderwał się z miejsca i zanim zdążył się spostrzec, poczuł na sobie wzrok wszystkich obecnych. Szczególnie Rocheblanche'a.

Francuz utkwiał w nim źrenice, stojąc ze skutymi kajdanami dłońmi w górze i oskarżycielsko uniesioną brwią. Na mgnienie oka odwrócił się ku Lambertowi da Cingoli, jakby szukał potwierdzenia swych podejrzeń, następnie ponownie ku kardynałowi. Jego spojrzenie było coraz sroższe.

– Czy to naprawdę wy? – zapytał wreszcie ze zdumieniem i urazą. – Czy to wy, znamienity łajdaku, uprowadziliście moją siostrę i miotaliście ku mnie oraz ku innym niewinnym ludziom groźby nie do opisania?

Purpurat ciągle świdrował go wzrokiem, przepełniony tak zapiekłą nienawiścią, że aż go łupało w skroniach. Jego ciało zrobiło się sztywne niczym pień drzewa i przy najmniejszym ruchu chwytały go spazmy.

– No jazda, wyjawcie wasze imię – wyzwał go Maynard, nie zważając na upomnienia gremium. Postąpił krok naprzód, jakby zamierzał rzucić się do walki. – Potwierdźcie moje słowa, jeśli macie odwagę!

Wszelako milczenie stanowiło aż nadto wystarczającą odpowiedź.

Po chwili oskarżony został przywołany do porządku przez strażę i zmuszony do ukłęknięcia przed bratem Lambertem.

– Moim zdaniem ten człowiek nie ma żadnych oczekiwań co do własnego zbawienia – zawyrokował z rozdrażnieniem jeden z sędziów.

– Przekonamy się! – wysyczał Lamberto da Cingoli. – Nawet pomimo całej jego pyszałkowatości i zuchwalstwa poddam go próbie, której nie zdzierżyłby nikt, kto boi się Boga! Przysięgam więc na wszystkie świętości na tym świecie, że na pewno rozwiąże mu się język. Albo zostanie na zawsze potępiony.

DZIELNICA BOCCACANALE

W tej samej chwili Isabeau wspinała się po winorośli, która porastała południową ścianę domu *monsignore* Bertranda. Zgodnie z oczekiwaniami pędy okazały się dostatecznie mocne, by utrzymać ciężar dziewczyny, umożliwiając jej dotarcie do galerii nad ulicą. Nadarzała się nader sprzyjająca sposobność, albowiem kardynał oddalił się wieczorem w towarzystwie czterech gwardzistów. Isabeau nie łudziła się, że nikt nie pilnuje domostwa, wszelako dzięki pomocy Eudeline i zielarza od Świętego Antoniego udało jej się obmyślić niemal doskonały plan.

Wdrapawszy się ostatnim wysiłkiem na galerię, unikała zbliżania się do drzwi wiodących na piętro, aby nie mógł jej dostrzec ewentualny strażnik. Uczepiła się belki, która pozwoliła jej się dźwignąć aż na krawędź dachu, a po nim doszła do komina.

Panował chłód, ołowiane niebo straszło śnieżycą, Isabeau zbyt mocno jednak skupiła się na swym celu, by martwić się mroźnym powietrzem. Przysunęła się do cembrowiny z czerwonej cegły, spokojniejsza na widok wydostającego się z niej pióropusza dymu. Z pewnością w położonej poniżej izbie palił się ogień, zatem wszystko, co by do niego wpadło, natychmiast stanęłoby w płomieniach. Myśli tej towarzyszył szybki ruch dłoni, która wydobyła z sakwy skórzany woreczek. Dziewczyna otworzyła go i sprawdziła zawartość.

Sproszkowana mandragora.

Właśnie o tej roślinie usłyszała niegdyś w klasztorze Świętego Antoniego. Jej nazwę wypowiedziała zakonnica zielarka w celu wyłożenia kilku współsiostrom dobrodziejstw, jakie kryje w sobie *herba somnifera*, stosowana do uśmierzania cierpień umierających z powodu ciężkich ran. Wystarczyło, że Isabeau wspomniła o tym Eudeline, aby uzyskać potwierdzenie swoich przypuszczeń i zdobyć odrobinę sproszkowanego korzenia, wzbogaconego nieznanymi substancjami, mogącymi wzmocnić jej działanie.

Bacząc, by jej nie wdychać, wrzuciła do komina garść pyłu i powtarzała tę czynność, dopóki nie opróżniła woreczka. Następnie odczekała tak długo, jak uznała za rozsądne, i w nadziei, że dym z rośliny wywoła spodziewany skutek, obwiązała płótnem nos i usta, po czym wróciła na galerię. I weszła do środka.

Piętro było puste. Opuściła je cichaczem, nadzwyczaj powoli, po drewnianych schodach, skradając się przy ścianach, aby nie można było jej dostrzec. Ojciec Andrea

przykazał jej, by nie traciła czasu na przetrząsanie wszystkiego. Jeśli słowa Guida di Baisia były zgodne z prawdą, obie relikwie Chrystusa powinna znaleźć w komnacie na dole, w szkatułce na stole obok kominka.

Kilka kroków od schodów zastała pierwszego zbrojnego, którego zmogły wyziewy mandragory. Leżał na podłodze otulony płaszczem. Nie potrafiła określić, czy jest nieprzytomny, czy tylko odurzony, minęła go więc na palcach i przystąpiła do dalszych oględzin.

Drugi mężczyzna ześliznął się wzdłuż ościeżnicy. Z otwartymi ustami siedział na posadzce, opierając się plecami o mur i spokojnie chrapiąc. Isabeau okraczyła go ostrożnie, przyciskając do warg płótno. Pomimo takiego zabezpieczenia coraz wyraźniej wyczuwała ostrą woń palonych ziół. Nasunęło jej to przypuszczenie, że kominek jest blisko.

I rzeczywiście, podążając dalej przed siebie, wkrótce natrafiła na buchający płomieniami otwór, na wpół zasłonięty przez obszerny stół.

Na blacie znajdował się nabijany ćwiekami drewniany kuferek, podobny do relikwiarzy skrywanych w klasztornych kryptach. Dostępu do niego broniła kłódka.

Przez chwilę Isabeau zdawało się, że słyszy dobiegające stamtąd wołanie. Zupełnie jakby coś w środku szeptało jakieś słowa.

„Wpływ mandragory”, stwierdziła w duchu.

I nie zwlekając dłużej, postąpiła tak, jak zaplanowała.

Godzinę później kardynał du Pouget wracał do domu z ponurą miną, podążając za zbrojnymi. Chociaż ustalił z bratem Lambertem, w jaki sposób zamknąć rozprawę, ciągle prześladowała go reakcja Rocheblanche'a i jego rozogniony, przesycony szaleństwem wzrok. Uważał, że to niedorzeczne. Całe lata poszukiwań i wyrzeczeń, aby znaleźć się o krok od *Lapis exilii*, i teraz na przeszkodzie stał mu tylko jeden człowiek.

Zdawał sobie sprawę, że to ostatnie wyzwanie. Pan wystawił go na próbę, aby przekonać się ostatecznie o jego cierpliwości i sile ducha. Kardynał uznał jednak, że dowiódł już w wystarczającym stopniu swego poświęcenia i że po stoczeniu tysiąca bitew zasługuje na tytuł papieża tak samo jak jego rodzony ojciec, przewielebny Jan XXII. Aby tak się stało, powinien zgromadzić wszystkie trzy relikwie Zbawiciela.

Gdy przekraczał próg domu, pomyślał, że uciszy wzburzenie, podziwiając dwie, które już były w jego posiadaniu. Wkrótce miał zasiąść przed kominkiem, aby napawać się tajemniczą poświatą kielicha i grotu włóczni, gdy wtem jego czujność wzbudziła jakaś osobliwa woń.

Cofnął się odruchowo i rozkazał eskorcie udać się w głąb domostwa.

Wszelako zanim doniesiono mu, co się wydarzyło między tymi ścianami, w jego sercu zdążyło się zrodzić to przekłete przeczucie. Rozwścieczony runął do komnaty, gdzie oddawał się zadumie, i poszukał wzrokiem najcenniejszego skarbu, jakiego

mógł strzec śmiertelnik.

Kiedy z jego gardła wydobywał się zwierzęcy ryk, wpatrywał się z niedowierzaniem w pusty stół.

PLAC PRZED KATEDRĄ
9 LISTOPADA

Nocny wiatr spowił lodowatym tumanem zaśnieżone drogi. Ulicą Szeroką podążały wozy, zwalniając w pobliżu skupionych wokół ognisk gromadek. Nadal sypał śnieg, choć słabiej, toteż bardziej rzutcy osobnicy wyruszyli strącać z dachów biały puch, zanim stałby się zbyt ciężki dla dachówek i belek. Mimo że dzień ledwie się zaczął, dreptanina ku śródmiejskim ulicom przybierała na sile, zwłaszcza bliżej placu, gdzie kupcy zacierali ręce na widok licznej gawiedzi, która nadciągnęła na niedzielną mszę odprawianą przez nowego biskupa.

Szarogęsił się tam herold, który zatrzymał konia przed Pałacem Mądrości. Jego opończa z lisiego futra i długi wełniany biret, sięgający do połowy pleców, przykuły uwagę większości tłumu. Ledwie wszakże wydobył z sakwy zwój pergaminu, dosłownie każdy przechodzień porzucił to, co akurat robił, podchodząc bliżej, aby posłuchać.

Z pewnością mężczyzna nie był nowicjuszem. Odczekawszy, aż ciekawscy ucichną, przybrał chytrą minę i podniósł palec jako zapowiedź nowiny.

– W pierwszą niedzielę Adwentu – obwieścił – na dwa dni przed postem Świętego Marcina *Anno Domini* tysiąc trzysta czterdziestego dziewiątego w obecności ludu Ferrary Jego Ekscelencja *monsignore* biskup Filippo d'Antella obwieszcza messer Maynardowi de Rocheblanche'owi, w tej chwili przebywającemu pod strażą w lochach braci od Świętego Dominika, że uznał stawiany mu zarzut herezji. Wyrok śmierci, po którym nastąpi spalenie na stosie, zostanie wydany na tymże placu pierwszego dnia *Anno Domini* tysiąc trzysta pięćdziesiątego dla uczczenia rozpoczęcia jubileuszu i odpustu zupełnego, jakiego Jego Świętobliwość, *servus servorum Dei*, papież Klemens Szósty, udzieli całej ludzkości.

Po skończonym obwieszczeniu herold wsunął zwój do sakwy i wydając okrzyk, spiął konia, aby popędzić zwierzę i roztrącić gawieź.

Spośród licznie zgromadzonych ludzi, którzy przyszli posłuchać, ostatni opuścił plac pewien młody wędrowiec. Przyglądał się heroldowi na koniu, dopóki jego postać nie zamieniła się w niewyraźny kształt kołyszący się w wirujących płatkach śniegu. Po czym, ciągle nie dowierzając, ruszył ku południowym murom miasta. Wspierał się na sękatym kosturze, na którym wisiał gąsior okowity, wokół bioder miał mocno ściśnięty długi, podarty płaszcz, skrzętnie skrywający przytroczony u pasa baselard.

Wracając, z pewnością nie przypuszczał, że dotrą do niego tak przerażające wieści. Wieści, które najwyraźniej na niego czekały, jakby stanowiły smutny dar na smutne powitanie.

Chociaż pilno mu było dowiedzieć się więcej, uparcie podążał ze spuszczoną głową, skrywając pod brodą gniewny grymas. Musiał nadal karmić się nadzieją i zachować cierpliwość, dopóki nie stanie przed jej obliczem.

Wkroczył, nawet się nie spostrzegłszy, w zaułek dzielący *Burgus Superior* od Zamku Kurialistów i jął się posuwać wzdłuż kościoła Matki Boskiej z Ujścia. Myślami wybiegał dalej, poza bramę Świętego Piotra, most z lin i drewna wiodący na wyspę Świętego Antoniego.

Przeżył już tę chwilę przed rokiem. Wtedy także spadł śnieg. Teraz jednak snuł plany, wiedział, czego chce, i za nic w świecie by z tego nie zrezygnował.

Musiał się tylko przekonać, czy uczucie do niego ciągle się w niej tli.

Przemierzył most, nie zatrzymując się, aby popatrzeć na niekończące się barwne wstęgi na wodach Padu, i przystanął przed klasztorem sióstr benedyktynek. Jedna z nich, prawdopodobnie gwardianka, wydawała właśnie pachołkom polecenia, aby zgarnęli warstwę śniegu ze ścieżki wiodącej do krużganka.

– Witajcie, wielebna matko – pozdrowił ją uniżenie młody wędrowiec. – Przybywam z bardzo daleka i szukam panny Isabeau.

Na te słowa zakonnica podniosła głowę i ciekawie mu się przyjrzała.

– Wobec tego podróżowaliście na próżno, messer – rozczarowała go. – Albowiem ona już nie mieszka w tych murach od wielu miesięcy.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE
10 LISTOPADA

Przemarznięty do szpiku kości ojciec Andrea pokonał krótką drogę od *Palatium Abbatis* do klasztoru. Wełniana opończa i filcowe buty nie wystarczyły, by ochronić go przed lodowatym chłodem poranka, mimo to przystanął przed portalem i zerknął ku gromadce żebraków przy domu gościnnym, skupionej wokół ognia. Wprawdzie zdążył już przywyknąć do tego widoku, zwłaszcza w zimowe miesiące, nie zdołał wszakże go zignorować. „Każę im przynieść gorącego rosołu”, rzekł sobie w duchu, by uspokoić sumienie, coś jednak nadal nie pozwalało mu odejść.

Otóż jeden z owych ludzi właśnie odsunął się od ogniska i zmierzał ku niemu z powitalnym gestem. Pomimo poszarpanego płaszcza i bezkształtnego kapelusza, które skrywały jego wygląd, wydawał się mu znajomy.

Opat ciągle się weń wpatrywał, rozdarty między ciekawością a lękiem, dopóki nie znalazł się dostatecznie blisko, by móc zajrzeć pod nakrycie głowy.

– Ależ... Na litość boską! – wykrzyknął znienacka, otwierając szeroko oczy. – Gualtiero, to naprawdę wy?

Wędrowiec przytaknął.

– Mam nadzieję, że nie zawadzam – dodał z lekką rezerwą. – Pewne okoliczności zmusiły mnie do przybycia tutaj.

Zamiast dociekać przyczyny jego szorstkiego tonu, opat poklepał go po plecach.

– A ja, głupiec, przestałem już liczyć na powrót syna marnotrawnego! – wyznał ze wzruszeniem. – Wejdźcie się trochę ogrzać.

– Nie jestem tu po to, by odzyskać zajęcie miniaturzysty – odrzekł Gualtiero. – W czasie mojej bytności w Udine przypadkiem dowiedziałem się o śmierci Guida di Baisia, uznałem więc, że nie mam się już czego obawiać na tych ziemiach. Wróciłem zatem, by odnaleźć Isabeau, ale zastałem coś zupełnie innego.

Andrea sposepniał. Dopiero wtedy dostrzegł między połami płaszcza zaciśnięte pięści i wstrząsające jego ciałem gwałtowne dreszcze, z pewnością niewywołane zimnem.

Młodzieniec milczał przez chwilę, przepełniony zgryzotą i gniewem. Spuszczony oczy utkwiał w granitowych schodach portalu.

– Dlaczegoście go porzucili? – zapytał raptownie oskarżycielskim tonem.

– Niedobry chłopcze, kogo macie na myśli?

– Messer Maynarda!

– Ja nie porzuciłem tego człowieka – bronił się opat.

– Słyszałem na rynku obwieszczenie herolda – odrzekł Gualtiero, jakby chciał mu zadać kłam. – Wytoczono mu proces o herezję, zostanie spalony na stosie!

Na te słowa Andrea zmarszczył czoło i pogrążył się w głębokiej zadumie, przestając zajmować się rozmową. Ledwie raczył uciszyć gestem protesty młodzieńca.

– A więc taka jest jego odpowiedź! – odezwał się wreszcie.

– O kim mówicie? – zapytał Gualtiero, nie mogąc się pozbierać.

– O *monsignore* Bertrandzie du Pougecie, zawziętym wrogu Rocheblanche’a. – Zanim zakonnik dodał coś jeszcze, ruszył w głąb nawy w poszukiwaniu ciepła. – Kazał inkwizycji uwięzić go pod podłym pretekstem, aby nakłonić do wyjawienia kryjówki *Lapis exilii*. Żeby go ratować, wraz z siostrą Maynarda obmyśliliśmy plan, który miał uderzyć w kardynała.

– Bez względu na to, do jakiego uciekliście się fortelu – wytknął mu Gualtiero – najwyraźniej wyrządził on więcej szkody niż pożytku. Jedyne prawdziwe przyjaciel, który mógłby mi pomóc odszukać Isabeau, spłonął na stosie wraz z początkiem nowego roku!

– To pułapka zastawiona po to, by wykurzyć mnie z kryjówki – oznajmił niewieści głos, dobiegający z wejścia do krypty.

Nie bacząc na zaskoczenie młodego de’ Bruniego, Andrea zaczekał, aż postać wyłoni się z mroku apsydy, po czym skinął ku niej z ogromną czcią.

– Wielmożna pani Eudeline de Rocheblanche – powiedział – siostra messer Maynarda.

Gualtiero patrzył, jak się zbliża, jakby była pozaziemską istotą. Zdjął kapelusz, odsłaniając zmierzwione czarne włosy.

– Jestem zaszczycony... – skłonił się z szacunkiem – i pograżony w żalu z powodu waszego...

Białogłowa dała mu znak, by się wyprostował.

– Gdybym pognała na rynek, aby wstawić się za moim szlachetnym bratem – rzekła do Andrei – kardynał z miejsca kazałby mnie pojmać, następnie wstrzymałby spalenie na stosie i pod groźbą zadania mi okrutnych mąk zmusiłby Maynarda do wyjawienia tajemnicy *Lapis exilii*, a mnie do oddania obydwu relikwii, które mu skradziono.

– Kardynał nie wie, że to wy za tym stoicie – odparł czym prędzej opat, powracając do przerwanej niedawno rozmowy. – I może by aż do tego nie doszło, gdybyście posłuchali mojej rady i doręczyli mu wiadomość...

– Żeby pozwolić mu wpaść na mój trop? – wytknęła mu Eudeline. – Bardzo się mylicie, ojczu. Bertrand du Pouget wie aż za dobrze, czyja ręka wykradła mu skarb. Zresztą któż inny mógłby tego dokonać? Po śmierci wielebnego Guida di Baisia może

skierować swe podejrzenia tylko na mnie i Maynarda.

Opat prychnął z niezadowoleniem.

– Przypominam wam, pani, że zagrożenie nie omija również mnie.

Niewiasta pokręciła głową.

– Gdyby Pouget i Lamberto da Cingoli stracili do was zaufanie, do tej pory wysłaliby po mnie do Pomposy kolejnych gwardzistów. Bądźcie więc pewni, że pokładają ostatnią nadzieję w mojej siostrzanej wrażliwości na wieść o skazaniu Maynarda.

– Nawet przyjmując, że macie słuszość – zgodził się z nią zakonnik – jakie widzicie rozwiązanie?

– Mamy pięćdziesiąt dni, żeby je znaleźć – odrzekła pani de Rocheblanche, chociaż na jej twarzy malowała się wyraźna troska. – A teraz, jeśli wolno, chciałabym zamienić kilka słów z tym dzielnym wędrowcem.

Gualtiero, który dotąd przysłuchiwał się rozmowie z rosnącą ciekawością, spojrzął z atencją na niewiastę.

– Jak sobie życzycie, pani.

Ona wszakże wcale nie przemówiła doń życzliwym tonem.

– Wasza przeciągająca się nieobecność przysporzyła wielu trosk pewnej dzierlatce – skarciła go. – Zdajecie sobie z tego sprawę?

Utkwił w niej zdumione spojrzenie.

– Macie na myśli... Isabeau?

Eudeline skinęła głową.

– Wiecie, gdzie ona jest?

– Nawet gdyby tak było – odrzekła niewiasta – co pozwala wam przypuszczać, że Isabeau nadal pragnie was oglądać?

Gualtiero znieruchomiał.

– Powiedziała, że mnie miłuje.

– Wy, mężczyźni, wspominać o miłości tylko wtedy, gdy zabiegacie o niewieście względy – zarzuciła mu. – I natychmiast o niej zapominać, gdy tylko dostaniecie to, czego chcecie.

– Nie pojmujecie! – Młodzieniec przestał się wahać i łamiąc wszelkie zasady, chwycił ją za rękę. – Wyjechałem, żeby ją chronić, lecz teraz, gdy nie wiem, gdzie się znajduje, tak bardzo się o nią boję, że gotów jestem poświęcić wszystko, byleby ujrzeć ją całą i zdrową!

Niewzruszona jego żarliwością szlachcianka wyswobodziła się jedynie oschłym gestem.

– A co byście jej zaofiarowali – ciągnęła – gdybyście mieli ją znów spotkać?

– Własne życie, własne marzenia – odparł z coraz większą pasją. – Miesiące strawione na pracy w katedrze w Udine u boku Vitalego de Equis wydały owoce.

Teraz wreszcie jestem mistrzem malarskim! Będę mógł uczynić z mej sztuki profesję i zaopiekować się Isabeau, jeśli tylko zapragnie.

Eudeline dodała bez mrugnięcia powieką:

– Może ona zasługuje na więcej.

– W takim razie chciałbym to usłyszeć z jej ust – rozsierdził się młodzieniec. –

A gdyby jej uczucia aż do tego stopnia uległy zmianie, przyznałbym sobie ostatnie prawo, by nazwać ją kłamczuchą. Albowiem niektóre słowa, moja pani, powinno się wypowiadać wyłącznie z niezachwianą pewnością.

Niewiasta posłała mu zagadkowy uśmiech, jakby dla podsycenia jego złości.

– Nie pozostaje wam więc nic innego, jak ją zapytać, messer Gualtiero. – I nie dodawszy już nic więcej, wskazała mu drzwi do krypty.

Zbiegł po schodach na złamanie karku, nie zważając na zaczepiający o wszystko płaszcz, który ograniczał mu ruchy. Zastał ją siedzącą w półmroku, czytała w blasku latarenki.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by rzucili się sobie w objęcia.

– Nigdy więcej cię nie opuszczę – obiecał Gualtiero, zanurzając twarz w jej włosach o barwie pszenicy. Nagle znużenie podróżą, wyrzeczenia ostatnich miesięcy, a nawet smutek z powodu Maynarda jakby zniknęły. – Nigdy więcej – powtórzył.

– Słowa nie wystarczą – powiedziała Isabeau. – Ożeń się ze mną. – Przypieczętowała swój postulat pocałunkiem.

– Nie pragnę niczego innego, przysięgam z całego serca. Jak tylko wszystko się zakończy...

– Nie – uciszyła go, obdarzając pełnym radości uśmiechem. – Ani jutro, ani za miesiąc, ani za tydzień. Jeszcze dzisiaj.

– Zamierzacie się pobrać jeszcze dziś? Jesteście pewni?

– Czekalem zbyt długo.

Ojciec Andrea skinął głową i poprosił młodego de' Bruniego, by poszedł za nim w stronę ołtarza. Pomimo wielu zgryzot jego wysokie czoło pozostało gładkie.

– Zawsze uważałem, że wasz afekt dla tego dziewczęcia jest niszczycielski...

– Nie pytałem was o zdanie.

– Pozwólcie mi dokończyć – powiedział opat. – Jak mówiłem, zawsze uważałem, że jest niszczycielski, teraz wszakże jestem zmuszony zmienić pogląd. Albowiem to właśnie dzięki temu afektowi znów zawitaliście do Pomposy.

– Teraz jestem mistrzem malarskim jak mój ojciec – dodał Gualtiero. – Nie zajmę się po raz kolejny iluminowaniem waszych kodeksów.

– W istocie zwracam się właśnie do mistrza malarskiego.

Młodzieniec wpatrywał się w jego zagadkowe oblicze.

– W jakiej kwestii?

Przed odpowiedzią Andrea postąpił kilka kroków naprzód i wskazał zrujnowane malowidła pokrywające długie ściany nawy.

– Ozdóbcie freskami klasztor! – wykrzyknął z emfazą. – *Ex novo*.

Gualtiero spoglądał nań nieruchomy.

– I cóż? – ponaglił zakonnik. – Czyżby zabrakło wam ambicji?

– Po prawdzie to nie – odparł z wahaniem młodzieniec. – Ale przyjęcie takiej propozycji w jakże tragicznych okolicznościach, szczególnie gdy mowa o messer Maynardzie... wydaje mi się wręcz niestosowne.

– A ślub nie?

W zaczepnym tonie opata nie było ani krzty urazy. Młodzieniec wyczuł w nim natomiast szczyptę zjadliwości, co tylko pogłębiło jego zagubienie.

Andrea przyjrzał się dawno namalowanym postaciom wokół nich, jakby szukając jakiegoś znaku, wreszcie skinął porozumiewawczo.

– Prawdę mówiąc, obaj jesteśmy zmęczeni ciągłym strachem, synku – westchnął. – Zmęczeni nieustannym zastanawianiem się, kiedy skończą się nieszczęścia i nadużycia, by rozpocząć życie na nowo. – Chcąc wyrazić wewnętrzne oburzenie, postukał pastorałem w mozaikę na posadzce. – Po zarazie i głodzie, po latach błakania się niczym ślepiec w poszukiwaniu Boga... postanowiłem zwrócić się ku przyszłości z odrodzoną nadzieją. Uważacie, że to szaleństwo? A przecież nie jesteśmy samotnymi zwierzętami, przeznaczonymi do pozostawania w ciemności!

Jesteśmy ludźmi! I nawet jeśli na tę ziemię nadal będą spadały plagi, może nawet apokalipsa, będziemy godni mienić się ludźmi jedynie wówczas, gdy natchnie nas piękno.

Gualtiero zapomniał, jak poruszające mogą być słowa starego zakonnika. Zanim się odezwał, pozwolił im rozbrzmiewać w głowie, wstrząśnięty jego żarliwością.

– Piękno, o którym mówicie, jest o wiele potężniejsze niż dzieło rzemieślnika – oznajmił. – Jest nim Łaska, która spływa na nas, gdy słuchamy śpiewu ptaków albo gdy o poranku budzimy się w złotym blasku słońca. Zawiera się w boskim porządku gwiazd i w najwznioślejszych rozważaniach teologów... Wszelako żaden mistrz malarski nie jest obdarzony wystarczającym talentem, by to osiągnąć.

Niezadowolony Andrea zapytał, wskazując apsydę:

– Czyż to nie sam Zbawiciel spogląda na was z góry?

Młodzieniec wpatrzył się w Chrystusa Pantokratora namalowanego przez Vitalego de Equis. Z miejsca jął się zastanawiać, czy byłby zdolny dorównać jego doskonałości, po czym zatrzymał wzrok na mistycznej, nieprzeniknionej twarzy siedzącego Chrystusa.

– Owszem – odrzekł.

– I nie czujecie na sobie jego spojrzenia – ciągnął zakonnik – mimo że to tylko malowidło? Czy nie jest tak, jakby mieszkał w tej warstwie farby i dotykał waszej duszy niczym promień słońca?

– Owszem, czuję – musiał przyznać – ale dopiero dzięki waszym słowom.

– Ograniczyłem się wyłącznie do ukierunkowania waszej uwagi – sprostował Andrea. – Po prawdzie uczucie, którego doznajecie, rodzi się z tłącego się w was płomyczka wieczności. Płomyczka, który jest obecny w każdym z nas, synku, i popycha nas, byśmy rozpoznawali głos Pana wszędzie tam, gdzie on rozbrzmiewa. Również *in pictura*.

– Gdybyście mieli rację – powiedział z powątpiewaniem Gualtiero – sztukę obrazów powinno się traktować jak świętą na równi z modlitwą, sakramentami i samą Biblią.

– W istocie tak właśnie jest, wbrew temu, co wielu twierdzi. – W przyływie zapału zakonnik rozpostarł ramiona i wskazał na freski. – Zapamiętajcie sobie dobrze, synku, tradycja malarstwa religijnego bierze się z geniuszu apostoła Łukasza! To on był malarzem nad malarzami, pierwszym człowiekiem, który posłużył się woskiem i farbą dla przedstawienia obliczy Jezusa i Maryi Dziewicy. Od niego wszystko się zaczęło, pojmujecie? Kiedy nie istniały jeszcze traktaty teologiczne, dogmatyczne dysputy i rady ekumeniczne, nasza wiara znalazła już wyraz w szlachetności *imago, symbolum depictum*! A jeśli wątpicie w moje słowa, z pewnością nie zdołacie tego uczynić z pismami Szymona Metafrasty, Jana z Damaszku i Tomasza z Akwinu. Podobnie jak wielu myślicieli Kościoła, upatrują oni w Łukaszu Ewangelistę twórcę

malarstwa sakralnego, a zatem we wszystkich uprzywilejowanych, którzy się nim parają, jego świadków.

Młodzieniec instynktownie obejrzał swoje dłonie.

– Moje dłonie... mój geniusz... – wyszeptał z niedowierzaniem – byłyby więc narzędziami natchnionymi przez Ducha Świętego, jak to ma miejsce w przypadku każdego najwyższego uczonego i doktora Kościoła?

Opat przytaknął.

– Tak będzie, dopóki Bóg zechce, byście malowali jego słowo.

– Udzieliliście mi nauki, o której ani mój ojciec, ani mistrz Vitale nawet się nie zająknęli – przyznał Gualtiero – i jestem wam ogromnie wdzięczny. – Po tej przemowie coś się w jego postawie zmieniło, toteż gdy zapanował nad zachwytem, powrócił początkowy chłód, z którym ocenił wielkość ścian do pokrycia. – Jednakże to, czego żądacie, wymaga zapłaty.

Ojciec Andrea wcale nie był zaskoczony.

– Zanim się z wami spotkałem, omówiłem to z wielmożną panią Eudeline. Pieniądzy nie zabraknie.

Młodzieniec dostrzegł w jego zachowaniu ślad skrywanego zakłopotania albo może i niechęci.

– Zatem – oznajmił, chcąc go skłonić do szczerości – obaj staniemy się dłużnikami pani de Rocheblanche.

– Zaczekajcie z rozmową o długach – wykręcił się zakonnik, któremu wyrwało się coś w rodzaju syknięcia. – Nie padła bowiem jeszcze wzmianka o podróży, w którą może będziecie się musieli udać. – W tej chwili jego skrępowanie stało się wręcz namacalne.

– Kolejna podróż? Z jakiego powodu?

– Dla messer Maynarda.

Na dźwięk imienia rycerza Gualtiero wypiął pierś.

– Dla messer Maynarda wszystko, co w mojej mocy.

Opat wszelako zwlekał.

– Chociaż nie wyjaśnił dokładnie, wspomniał o waszym udziale w jego misji.

Młodzieniec nagle nabrał podejrzeń.

– Wiem, w czym rzecz – zapewnił zakonnik, potwierdzając swoją dobrą wolę. – Wiem o księdze Flegetanisa i o tajemniczym *Lapis exilii*. Długo rozmyślałem nad ich znaczeniem, a przynajmniej dość, by podobnie jak mój nauczyciel Seweryn móc przypuszczać... – Przerwał w połowie zdania, uległszy niespodziewanemu wzburzeniu.

Nie potrafiąc zrozumieć, Gualtiero odczekał, aż opat niemal dziecięcym gestem otrze łzę.

– Mój wzrok – wyznał – sięgnął daleko poza wasze przypuszczenia i bohaterskie

czyny Rocheblanche'a, albowiem miałem zaszczyt zobaczyć *Lapis exilii*. Widziałem go, wielbny ojciec, jak was teraz widzę. – Słowa te obudziły w nim wspomnienia podróży do klasztoru Mont-Fleur, ukazujące się jego oczom tak żywe krajobrazy, że wydało mu się, jakby dopiero co z nich przybył. Przypomniał sobie twarze mądrego Manessiera i dzielnej łuczniczki, która ocaliła go przed wilkiem... Następnie jego wyobraźnię zajął wizerunek majestatycznego kamiennego stołu, przywodzącego na myśl kamień młyński, pieczęci starego grobu i płyty, na której wyryte zostały słowa Mesjasza. Stłumiwszy drżenie, zorientował się, że opat zbliża się ku niemu z zapalem.

– A więc to prawda – zawołał Andrea. – Pielgrzymka zawiodła was do tego tajemniczego miejsca...

– Wypowiedziałem zbyt wiele słów – uciszył go czym prędzej. – Wierzę, że nie wspomnicie o tym nikomu.

– Boże broń – odparł zakonnik, w którym nagle znów odezwała się niechęć. – Niewykluczone, że będziecie musieli zawieźć tam dwie relikwie. Mam na myśli te, które skradziono...

– Kielich i grot włóczni – uciął Gualtiero. – Znam tę historię.

– Cóż – ciągnął opat – w tej chwili obie są w naszym posiadaniu.

– To znaczy... w tych murach?

– W jednym z grobowców krypty.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Nareszcie pojmuję, skąd u was, a także u szlachetnego Maynarda ta gorączkowość. Obydwie relikwie koniecznie muszą wrócić na swoje miejsce, aby połączyć się z *Lapis exilii*. Dokonam tego, nie wątpcie, przyjdzie mi jednak zaczekać, aż stopnieją śniegi, by przedostać się przez alpejskie przełęcze.

– Powściągnijcie ferwor – ostrzegł Andrea. – Na razie tylko rozważam hipotezę.

– Jako przeciwwagę dla czego? – zdumiał się Gualtiero.

– Dla tego, czy wielmożna pani Eudeline zdecyduje się posłużyć relikwiami, aby zapłacić za życie brata.

– Mam rozumieć, że jeszcze się nie wypowiedziała w tej kwestii?

Mnich wzruszył ramionami.

– Z początku wydawała mi się bardziej stanowcza niż wojownik, lecz gdy tylko jej wzrok spoczął na tych relikwiach... – Machnął ręką z rozdrażnieniem, przejawiając zamiar przejścia do przyjemniejszych rzeczy. – Teraz dosyć – wykrzyknął, spoglądając znacząco. – Udajmy się do zakrystii i przygotujmy do ślubu!

Prostota zaślubin oczarowała ją. Nie było nic, tylko słowa opata i dwie miłujące się istoty, przeglądające się nawzajem w swoich oczach pod łukiem apsydy, przypominające jej wszystko to, czego na zawsze ją pozbawiono. W świetle, z radością tak żywiołową, że aż wydała jej się zuchwałą. Kiedy uroczystość zmierzała ku końcowi, poczuła obok obecność Roberta i jej zaczęło fantazjować o wspólnym życiu.

O życiu, którego domyśliła się po kilku uściskach, gdy miała jeszcze nadzieję na bycie zwyczajną niewiastą, na zestarzenie się u boku umiłowanego mężczyzny, na zostanie matką. Zanim zaraza i ludzka podłość uczyniły ją jeszcze bardziej samotną.

– Wielmożna pani Eudeline płacze.

Zrazu nie uzmysławiała sobie, skąd dobiegły te słowa. Po czym spostrzegła, że przepełniona wdzięcznością Isabeau się w nią wpatruje, a następnie znów odwraca ku Gualtierowi. „Tak, płaczę”, pomyślała pani de Rocheblanche. „Płaczę, najdroższa przyjaciółko, ze szczęścia, którym się teraz cieszysz, a którego ja nigdy nie zaznam”.

Wielmożna Eudeline nie przestawała płakać. Zapadła już noc, ceremonia się zakończyła, jednakże w jej głowie nadal kłębiły się myśli. Drewniana Matka Boska, przed którą uklękła, nie przyniosła jej żadnego ukojenia. Wydawało się, że nawet obraz Roberta się rozwiął, pozostawiając po sobie lęk, że utraci także brata.

„Ocal choć jego”, powtarzała w duchu, splótłszy dłonie. „Ocal go, wskaż mi drogę, a na zawsze będę ci wdzięczna”.

Drewniane oblicze błogosławionej między niewiastami spoglądało na nią oczyma bez wyrazu, jakby po wiekach modlitw pozbawione zostało umiejętności spełniania albo nawet słuchania próśb śmiertelników.

„Ocal go”, nalegała mimo to Eudeline, „a przysięgam, że będę strzec relikwii, skąpanych we krwi Twego Syna”.

LOCHY ŚWIĘTEGO DOMINIKA

– Daję wam ostatnią możliwość, messer – powiedział nieco rozdrażniony Bertrand du Pouget. – Zdradźcie kryjówkę *Lapis exilii* oraz imię tego, kto skradł moje relikwie. Uczyńcie to, a ocalicie skórę.

Maynard roześmiał się w ciemności, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Miał zresztą wątpliwości, czy przemawia do niego człowiek z krwi i kości, czy raczej omam, zrodzony w jego własnym umyśle.

– Cóż to by było za ocalenie, skoro zawdzięczałbym je sprzeniewierzeniu się własnym zobowiązaniom?

– A gdyby wraz z wami zapłaciła też wasza siostra?

– Gdyby to było w waszej mocy, już byście ją przywlekli przed moje oczy.

– Może zamierzam pokazać wam ją na końcu.

– Może wy wcale nie jesteście prawdziwi.

– W takim razie oznaczałoby to, że jesteście szaleńcem.

– Zawsze to lepiej niż to drugie.

– Czyli?

– Że to wy jesteście szaleńcem. – Uśmiech Rocheblanche'a zastygł w sardonicznej masce. – I że ja wraz z moimi cnotami i słowami jestem jedynie wytworem waszej wyobraźni.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE, NAWA GŁÓWNA
29 GRUDNIA

Sporządzone synopią wstępne szkice powoli zniknęły pod warstwą *intonaco*, a następnie farby, pozostawiając przestrzeń dla obrazów na całej południowej ścianie. Była to wyczerpująca praca, wykonana w ciągu dziewięciu *pontate* i dwa razy tylu dni, a jej efektem okazało się dziewiętnaście scen biblijnych, namalowanych w dwóch cyklach fresków, jeden nad drugim. Gualtiero wpatrywał się w nie z dumą, jakby nie mógł uwierzyć, że sam jest ich twórcą.

Aby uzyskać jak najwięcej miejsca do malowania, wspólnie z opatem postanowił zamurować trzy spośród sześciu okien umieszczonych na szczycie ściany, zapewniając ciągłość malarskiej narracji, a ograniczając wpadające do nawy światło słoneczne. Po ukończeniu dzieła rezultat okazał się przepiękny, przypominając olbrzymią ilustrowaną stronicę, która powinna zyskać ciąg dalszy i zakończenie na przeciwległej ścianie.

Położone wyżej malowidła przedstawiały historie ze Starego Testamentu, począwszy od Adama i Ewy przed drzewem poznania dobra i zła, poprzez Kaina i Abła, Noego, Abrahama, Jakuba, Józefa. Najwięcej wysiłku wymagały wszakże te dolne, poświęcone Nowemu Testamentowi. Zwiastowanie Maryi i skrzydła archanioła Gabriela stanowiły początek żmudnego ćwiczenia stylu i wyobraźni, który osiągnął najwyższą formę przy haftowanych szatach mędrców oraz brokatowym namiocie, użytym jako tło dla uczytu weselnej w Kanie.

Mimo zaleceń ojca Andrei młody de' Bruni pozwolił sobie na pewną swobodę. Jak choćby przy temacie ucieczki z Egiptu, gdzie Dzieciątko zamiast na grzbiecie osła, jawiło się na kolanach Świętego Józefa. Ponadto scena Nawiedzenia została zdominowana przez labirynt murów i miejskich budowli.

Nie zabrakło hołdu dla tradycji bizantyjskiej, obecnej przede wszystkim w epizodach Narodzenia, Ofiarowania w świątyni, Chrztu i Wjazdu do Jerozolimy. Następnie Gualtiero włączył cudowne ozdrowienia dokonane przez Jezusa, szczególnie drogie ojcu Andrei, który na wzór Świętego Augustyna odczytywał je jako symbole zbawienia.

Wszelako jeśli ktoś dobrze się przyjrzał, wiedział, że każdy szczegół dzieła stanowił symbol. Przypatrując się sporządzaniu szkiców, opat przykazał młodzieńcowi, aby na zawsze zapamiętał słowa Hugona ze Świętego Wiktora,

zdaniem którego „Każda rzecz widzialna jawi nam się dla znaczenia i objaśnienia rzeczy niewidzialnych”⁸. Odnosił się poza tym do delikatnej misji, jakiej podjęli się następcy apostoła Łukasza. Jak zwykł powtarzać, odświeżanie Biblii jest równe pisaniu jej od nowa, interpretowaniu jej, co wymaga trudu, ale i mądrości, począwszy od tak z pozoru łatwej czynności jak dobór kolorów.

Na kolejnych etapach pracy Gualtiero również był zmuszony przerywać dziesiątki razy, aby zejść z rusztowania i zajrzeć do ksiąg, które Andrea poddawał mu pod rozwagę z zamiarem dostarczenia nowych inspiracji. Podczas gdy owo nieustanne ścieranie się wzmacniało ich wzajemną więź, mistrz malarski nie mógł się nadziwić, ile tajemnic potrafi skrywać warstwa farby. Przy całym swoim kunszcie i radach mistrz Vitale de Equis najwyraźniej celowo zaniedbał mu o tym wspomnieć, być może z powodu zazdrości nie chcąc się z nim dzielić najcenniejszymi tajnikami zawodu.

Dopiero jednak przyjrząwszy się ukończonej ścianie, młodzieniec zdał sobie sprawę, jak ogromną wdzięczność winien jest opatowi. Zupełnie jakby mieniące się czerwienią obrazy wychodzące spod jego pędzla splotły się z tajemniczym, niewidzialnym światem, którego obecność mogliby dostrzec wyłącznie najwięksi uczeni.

„Więcej niż *Biblia pauperum!*”, pomyślał zniechęcony. Nikt o ciasnym umyśle nie zdołałby odgadnąć owej architektury znaczeń. Większość oglądających podziwiałaaby jego postaci w sposób powierzchowny, nie przeczuwając ani trochę, jaką skrywają mądrość.

Czyżby więc stał się współnikiem oszustwa?

Niespodziewanie ogarnęły go wątpliwości. Ojciec Andrea, całkowicie pochłonięty księgami ze swej biblioteki, skłonił go do namalowania fresku, który umieliby odczytać wyłącznie kaznodzieje i erudyci. Czyż nie była to niesprawiedliwość wobec synów ludu?

Zapanowawszy nad wzburzeniem, skupił się nad czekającym go przedsięwzięciem, omiatając wzrokiem jeszcze nagie mury. Północna ściana, którą powinien zdobić dalszy ciąg biblijnych opowieści, zgodnie z tradycją przeznaczona została dla scen z sądu ostatecznego. Gualtiero zdążył już skuć młotem obydwie ściany, aby nowa warstwa *intonaco* lepiej przylegała.

„Jeszcze miesiąc, najwyżej dwa”, planował w duchu. „I dzieło będzie gotowe”.

Powiew zimnego powietrza kazał mu się odwrócić w kierunku portalu. Skrzydło drzwi ledwie się uchyliło, przepuszczając jakąś postać okutaną w wełnianą oponczę. Spod kaptura wyzierały dwa kosmyki włosów barwy pszenicy. Czym prędzej podbiegł, by ją uściskać.

– Zaczekaj – powstrzymała go Isabeau, kładąc mu palec na ustach. – Pozwól mi popatrzeć.

– Jeszcze ci się nie znudziło? – droczył się. – Opowiadam ci o tym bez przerwy od

tygodni.

– Teraz jednak mogę się nacieszyć widokiem całości – powiedziała, chwytając męża za rękę, i pozwoliła się poprowadzić wzdłuż nawy, by przyjrzeć się uważnie każdemu detalowi.

Gualtiero tylko na nią zerkał z ukosa, nie mogąc się doczekać werdyktu, daleki wszakże od ponaglania jej. Powierzone mu zadanie od samego początku wzbudziło entuzjazm Isabeau, chociaż było jej przykro, że w niczym nie może mu pomóc. On jednak zaprzeczał. Już w czasach, gdy malował przed matką, uzmysławiał sobie, jak ważne jest mieć u boku kogoś, kto będzie z niego dumny, a teraz, po licznych niepowodzeniach, mógł stwierdzić, że czuje się szczęśliwy, wprawiając w dumę własną żonę. Śledził zatem wyraz jej twarzy, chociaż nie był w stanie go odczytać.

– Długo jeszcze zamierzasz trzymać mnie w niepewności?

Nim odpowiedziała, dokończyła oglądanie i przystanąła przed sceną, która przedstawiała mędrców śpiących pod kometą przypominającą złotą lilię. Dopiero wtedy pokazała, jak bardzo jest oczarowana.

– Gdy pomyślę, że każdy z tych obrazów wyszedł spod twoich rąk... Wyłącznie spod twoich rąk... – Pocałowała go wzruszona. – To tak, jakbym patrząc na nie, miłowała cię jeszcze bardziej. O wiele... wiele bardziej!

Gualtiero był w siódmym niebie. Choć nadal dręczyły go wątpliwości, czy nie wykonał dzieła zbyt złożonego dla umysłów prostego ludu, poprosił żonę, by wyraziła się jaśniej, gdy wtem spostrzegł obecność kogoś trzeciego, kto stał przed portalem i właśnie odchrząkiwał.

Agostino.

Zrazu mistrz malarski, nie posiadając się z radości, nie pojął oczywistego zakłopotania pachołka. Potem jednak zdał sobie sprawę, że zamknął Isabeau w uścisku, niekoniecznie odpowiednim dla otoczenia, w którym się właśnie znajdowali. Odsunął się od niej ze źle skrywanym zakłopotaniem.

– *Monsignore* opat – oznajmił wówczas pachołek – prosi was oboje o natychmiastowe przyjscie do jego pracowni. – Po czym zwrócony na zewnątrz dodał ponuro: – Zbliża się pora spalenia na stosie.

– Za dwa dni, o świcie – oznajmił Andrea z posepną miną. Był tak wstrząśnięty, że nie potrafił usiedzieć na miejscu. Gdy Gualtiero i Isabeau weszli do pracowni, zastali go krążącego między pulpitem a kominkiem.

Równie przerażona, lecz zastygła w bezruchu Eudeline trzymała się na uboczu, jakby nie chciała się zarazić wzburzeniem zakonnika.

– Dwa dni – powtórzył, przemierzając długim krokiem posadzkę.

– Zatem nie ma odroczenia? – upewnił się mistrz malarski.

– Herold obwieścił to przedwczoraj na ferraryjskim rynku – odparł oschle opat. – Nie będzie żadnego odroczenia, żadnej wielkoduszności.

– Nawet gdyby w zamian oddać kardynałowi obie relikwie? – wtrąciła pobladła ze zgrozy Isabeau.

– Nie uczynię tego. – Eudeline postąpiła krok naprzód, wyprostowana jak struna. Czarne kręgi pod oczami i przebiegające przez kończyny nerwowe dreszcze odzwierciedlały jej udrękę tylko częściowo. – Nie sprawię przyjemności temu łajdusowi.

– Ja także bym się wzbraniał, pani – stwierdził Gualtiero. – Ale dla Maynarda...

– Nie splamię honoru brata – uciszyła go niemal z wściekłością szlachcianka. – Odstąpienie relikwii Bertrandowi du Pougetowi równałoby się zdradzeniu go, udaremnieniu jego wysiłków. On zaś... nigdy by mi tego nie wybaczył!

Isabeau pokręciła głową, gotowa się sprzeciwić jej słowom. Gualtiero powstrzymał ją gestem.

– Będziecie więc bezsilnie patrzeć na śmierć brata? – zapytał.

– Ja... – Pani de Rocheblanche zacisnęła pięści. – Znajdę sposób, żeby go pomścić.

– On jeszcze żyje – burknął Andrea – a wy już mówicie o zemście?

– Czyżbyście woleli oddać relikwie Chrystusa samemu diabłu? – napadła nań szlachcianka. – Sądzicie, że Maynard by wam na to pozwolił? Że byłby z tego powodu szczęśliwy? Wybór ten mnie pierwszą przyprawia o cierpienie, ale podyktowany został właśnie miłością do mego szlachetnego brata... wartościami, które czynią z niego mężczyznę...

Poruszony do głębi młody de' Bruni wpatrywał się w niewiastę. Eudeline stała pośrodku komnaty wojownicza, zagubiona. I zatrwożona, teraz widział to wyraźnie. Spośród obecnych to Eudeline de Rocheblanche zdawała się najbardziej zalękniona z powodu słów, które dopiero co wypłynęły z jej ust. Tak jakby po długim bolesnym wahaniu nareszcie zdecydowała się je wypowiedzieć.

– Bez wątpienia macie słuszność, pani, mimo to nie zgadzam się na taki koniec. – Przyjrząwszy się posiniałej twarzy żony, Gualtiero zwrócił się do opata. – Może gdybyśmy błagali o wyrozumiałość biskupa...

– Już próbowałem – prychnął Andrea – ale Jego Ekscelencja Filippo d'Antella okazał się głuchy na moje prośby.

– Judasz! – zaklęła Eudeline.

Mistrz malarski już miał coś dodać, lecz stary zakonnik go uciszył.

– Próbowaliśmy wszystkiego, synku, rozważyliśmy każdą możliwość... Łudząc się, że zdołamy zmienić coś nieodwracalnego. Tymczasem nic nie jest w stanie nakłonić Lamberta da Cingoli i Pougeta do zmiany zdania. Nawet gdyby wielmożna pani Eudeline postanowiła się ugiąć, osiągnęłyby tylko tyle, że w rękach tych łotrów stałyby się narzędziem nacisku... A i tak skończyłaby na stosie wraz z Maynardem.

– Powiadacie... – zaczął Gualtiero, mierząc go oburzonym wzrokiem – że nawet

nie będzie mogła być obecna przy śmierci brata?

Andrea skinął głową.

– Gdyby ludzie kardynała ją rozpoznali, nie zawahaliby się jej pojmać. A wiercie mi, tego dnia będą krążyć po rynku niczym wygłodniałe wilki.

Z ukłuciem w sercu młody malarz powrócił myślami do śmierci ojca – a przynajmniej człowieka, którego od dziecka uważał za rodziciela. Mistrza Sigismonda de' Bruniego, niesprawiedliwie powieszzonego na Łące Szubienic. Ciągłe pamiętał jego strach, poczerńiałą twarz zalaną łzami, powolne duszenie pod naciskiem stryczka. Ból i wściekłość, wywołane przymusem przyglądania się temu beczynnemu, były tak rozdzierające, że o mało nie stracił zmysłów. Równie rozdzierające było patrzeć, jak matka gaśnie na łożu śmierci, zżerana przez zarazę i żal, że żyła w kłamstwie.

„Ale przynajmniej i Sigismondo, i Sapia wyzionęli ducha, wpatrując się w oblicze syna”, rzekł sobie Gualtiero. „Przynajmniej drogę do Stwórcy osłodziła im miłość ukochanej osoby”.

Maynardowi nie pozwolą nawet na to.

Miotając się pomiędzy wzruszeniem a gniewem, wyszedł na środek komnaty.

– Jeżeli wielmożna pani Eudeline nie będzie mogła być obecna przy egzekucji, to znaczy, że udam się tam ja. – Po czym wycelował palec w opata Andreę. – A wy, ojcze, będziecie tam ze mną.

FERRARA, PLAC PRZED KATEDRĄ
1 STYCZNIA 1350 ROKU

Maynard wkroczył na plac w bladym świetle brzasku.

– To byłby zaszczyt spłonąć w miejscu największego przepychu w mieście – naigrawał się zbrojny, który trzymał go za stryczek.

On wszakże wolał skupić uwagę na tym, jak biel śniegu wtapia się w marmurową fasadę katedry. Po przeciwnej stronie wznosił się Pałac Signorii, przypominający ogromnego strażnika. Francuz odwrócił się, by nań popatrzeć, zaciekawiony czymś wstrząsającym wystawionym na blankach: głową Margherity Ariosti nadzianą na włócznię.

Tłum zaczął się gromadzić niczym chmara kruków zwabionych ścierwem. Ledwie jednak rycerz dostrzegł stos, wszystko inne przestało istnieć. Zwyczajna drewniana tyczka wbita w snop słomy polanej smołą. Wydało mu się niedorzeczne, że tak komiczny przedmiot znajduje się tu po to, by zawyrokować o ludzkim życiu.

Niespodziewanie się uśmiechnął. W porównaniu z potwornościami, jakich był świadkiem pod Crécy, w czasach zarazy i w lochach Świętego Dominika, ów drewniany pał stanowił dla niego nader mizerny straszak. Widok tak wielu umierających ludzi z każdym dniem przybliżał go coraz bardziej do kostuchy, zupełnie jakby miał do czynienia z grą cieni, w której chwilami rozbawiona pokazuje, że jest tuż-tuż.

Nie zdążył dokończyć owej myśli, gdy wtem chmury się rozsunęły, przepuszczając ukośny promień światła, który padł na wierzchołek stosu. „Oto sierp”, rzekł w duchu Rocheblanche.

Przywiązali mu dłonie, pierś i stopy do słupa, tymczasem przed jego obliczem zbierali się akolici z *Congregatio mortis*, spowici dymem z trybularza. Nim zaintonowali modlitwy, powstrzymał ich czyjś władczy głos.

– Bez *Miserere* dla tego tam!

Maynard, którego poraziła myśl, że skądś go zna, rozejrzał się wśród gawiedzi, próbując dociec, kto wydał ów rozkaz. Aż dojrzał swego wroga, nadciągającego pod eskortą oddziału zbrojnych.

Gualtiero przedzierał się z uporem przez ciżbę, ściskając dłoń ojca Andrei, aby nie zgubić go wśród tłoczących się wokół stosu gapiów. Już był blisko, już za rzędem głów przed sobą widział czuprynę Rocheblanche'a.

– Stójcie! – błagał zasapany opat.

– Ani mi się śni – warknął malarz, rozpychając się łokciami. – Musi nas zobaczyć! Musi wiedzieć, że go nie opuściliśmy!

Wszelako Andrea posuwał się naprzód z coraz większym trudem, zwłaszcza gdy pojawienie się oddziału zbrojnych podnieciło tłum, który jął się jeszcze mocniej pchać ku miejscu kaźni. Potykając się o brzegi własnego habitu i dziesiątki ludzkich stóp, nagle znalazł się w samym środku motłochu i puścił dłoń Gualtieria.

– Litości! – wrzasnął z oburzeniem i rozpaczą.

Młodzieniec się obejrzał.

– Dalej, chodźcie za mną!

– Idźcie sami – odparł opat. – Dogonię was.

Gualtiero wątpił w to. Wprawdzie stary zakonnik zechciał towarzyszyć mu do Ferrary, lecz od początku wahał się, czy być obecnym przy straceniu. Nie zamierzał patrzeć na tak nędzne odejście prawej duszy.

Malarz w pełni się z nim zgadzał, wyczuwał jednak, że opat nie jest do końca szczery. Był natomiast pewien, że za jego niechęcią kryje się lęk przed wzbudzeniem zbyt licznych podejrzeń. Skądinąd było to nader prawdopodobne, gdyby Lamberto da Cingoli albo Bertrand du Pouget zauważyli go w pierwszym rzędzie gapiów na egzekucji Rocheblanche'a. Nie czuł się wszakże na siłach, by nazwać go tchórzem, toteż ruszył bez niego.

W przeciwieństwie do opata z Pomposy on miał pospolitą twarz i mógł się przemieszczać niepostrzeżenie wśród rzędów gawiedzi, przybyłej podziwiać okropne widowisko. Rozpychał się więc dalej, dopóki od stosu nie dzielił go tylko jeden szereg zbrojnych.

Z niemałym trudem rozpoznał wychudzonego mężczyznę w łańchmanach przywiązanego do słupa. Ani chwili jednak nie wątpił, kim może być zbliżający się do niego sędziwy starzec w prałackich szatach, nadal pełen wigoru.

Bertrand du Pouget postąpił naprzód, wznosząc do góry drzewce zwieńczone krzyżem.

– Widzicie je, Rocheblanche? – zawołał z emfazą, podsuwając je skazańcowi. – Oto zbawienie! Jedyne, jakie otrzymacie, jeśli okażecie się go godni.

Maynard roześmiał mu się w twarz.

– Niby jakie zbawienie mógłby mi ofiarować diabeł przebrany za księdza!

– Dlaczego trwacie w uporze? – zapytał kardynał, udając szczerą boleść. – Przemówcie, na miłość boską! Przemówcie, abym mógł was uwolnić!

– Wydajecie się bardziej przerażeni ode mnie, Eminencjo – nie przestawał drwić Francuz.

Monsignore Bertrand nie odpowiedział na szyderstwo. Tak bardzo pragnął poznać prawdę, że rzucił się bez żadnego umiaru naprzód, nie zważając na drzewce, na

zbrojnych i gawieź.

– Nie pojmujecie...! Nie pojmujecie...! – Chwycił rycerza za krępujące mu pierś pęta i gwałtownie nim potrząsnął. – Nie możecie skrywać przed Kościołem tego, co wiecie! To niewyobrażalna zbrodnia, śmiertelny grzech!

– Spalcie mnie, do kroćset! – wykrzyknął wyzywająco Maynard. – Jazda, na co czekacie?

Kardynał cofnął się rozwścieczony.

– Prowokujecie mnie, Rocheblanche? Tymczasem powinniście mnie błagać! – Wskazał siano pod stosem. – Jeśli nie otworzycie się przede mną, wasza nieśmiertelna dusza pójdzie do piekła!

– Ja już jestem w piekle. Samiście mi je pokazali.

– Nie wiecie, co mówicie!

– Ze szkoda dla was doskonale zdaję sobie sprawę. Ile czasu wam zostało, Eminencjo? Jesteście starzy, a wraz ze mną zginie wasza ostatnia nadzieja na odnalezienie *Lapis exilii*. Pomimo całej trwogi i sprytu nie zdołaliście mnie skłonić do mówienia!

– Co do jednego się mylicie – wysyczał Bertrand du Pouget. – Dopóki wasza siostra pozostaje przy życiu, nie wszystko stracone.

Mimo strachu przed śmiercią Rocheblanche nagle zaczął się lękać o Eudeline. Wykrzywił się kpiąco, by podsycić gniew prałata.

– Moja siostra to szczywana białogłowa, nigdy jej nie znajdziecie.

– A właśnie że jest blisko, czuję to! A kiedy będę miał ją w garści...

– Nie ośmielicie się!

Kardynał przysunął się po raz ostatni, jego oczy pały niepoohamowaną żądzą.

– Mówcie, Rocheblanche!

– Przenigdy!

– A zatem... – Jego Eminencja odwrócił się ku ciżbie, rozkładając ręce – niechaj ten człek spłonie!

To była ledwie chwila. Maynard wznosił oczy ku niebu, oddając się Panu. Następnie napotkał wzrok mężczyzny w czerni, który stał wyprostowany na pałacowym balkonie. Obizzo d'Este najwyraźniej go pozdrawiał. Gdy rycerz spojrział niżej, na gawieź, jego źrenice spoczęły na młodzieńcu o zmierzwionych włosach, z twarzą wykrzywioną krzykiem i skąpaną we łzach.

Wtedy jeden ze zbrojnych cisnął pochodnię w słomę, która natychmiast się zajęła.

W ów mroźny styczniowy poranek Rocheblanche poczuł, że powietrze zgęstniało. Dym uderzył go w nozdrza, oślepił, przenosząc w mroczny i odległy świat wizji. I oto zdało mu się, że słyszy tętent kopyt. Właśnie przybywał po niego czwarty jeździec!

Dym dolatujący z podstawy stosu niepomiernie się wzmógł, zmuszając tłum i zbrojnych do cofnięcia się. Gualtiero runął na ziemię, oślepiiony owym gęstym,

mglistym całunem, który nieustannie się rozprzestrzeniał, jakby wychodził z paszczy wulkanu. Usłyszał zniewagi, pełne zgrozy wrzaski, okrzyki zdumienia. Nie potrafił ich zrozumieć i zaczął wołać imię Maynarda.

Po czym nastąpił godny piekła cud. U podstawy stosu uwolniły się szkarłatne języki ognia podobne do świetlistych węży. Wyłoniły się z mroku ze świdrującym sykiem, który wzbudził jeszcze większą trwogę wśród ludzi na placu.

Właśnie wtedy się ukazał.

Na grzbiecie olbrzymiego konia, w zbroi czarniejszej niż noc pędził, nie bacząc, że tratuje po drodze zbrojnych, kapłanów i plebs. Wskoczywszy w najgęstszy dym, trwał tam ku powszechnemu przerażeniu, dopóki jego postać nie wynurzyła się znowu i nie oddaliła galopem.

W narastającym osłupieniu Gualtiero był gotów przysiąc, że widział w siodle pozbawione czucia ciało Maynarda.

Gdy dym rozwiewał się na wietrze, odsłaniając resztki pustego stosu, młody malarz podniósł się, nadal niezdolny pojąć, co się stało. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu ojca Andrei, mając nadzieję, że zapewne on będzie w stanie mu to wyjaśnić.

Wszelako nie zdążył go jeszcze dojrzeć, kiedy za jego plecami rozległ się jakiś głos.

– Gualtiero de' Bruni, *pintor*?

Przytaknął odruchowo, odwracając się.

Zanim jednak zdołał popatrzeć w twarz tego, kto go zaczepił, dostał cios pięścią w żołądek, a drugi w głowę.

I jeszcze ten głos:

– Chodźcie ze mną, kardynał was oczekuje.

Ojciec Andrea prawdziwym cudem nie został stratowany przez ciżbę w powszechnym tłumie. Gdy tylko dym jął przybierać na sile w nadprzyrodzony sposób, wydostał się z tłumu, by poszukać schronienia pod fasadą katedry, zdawał sobie bowiem sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Z kolei to, co wydarzyło się później, było tak niespodziewane i osobliwe, że aż zaniemówił.

Na koniec błąkał się po placu, rozglądając się wśród dziesiątków ludzi równie osłupiałych jak on, dopóki nie dostrzegł nader dziwnej gromady, oddalającej się żwawym krokiem od stosu. Na jej czele podążali Lamberto da Cingoli i jakiś sędziwy prałat, w którym opat bez wahania rozpoznał *monsignore* Bertranda du Pougeta. Za nimi kroczyli gwardziści, wlokąc za ramiona nieprzytomnego mężczyznę.

Upewniwszy się, kim jest ów nieszczęśnik, Andrea czym prędzej ruszył w ich kierunku.

– Stać! – krzyknął. – Nie macie żadnego prawa!

Lamberto da Cingoli stanął jak wryty i rozejrzał się, skąd dobiega wołanie. Stwierdziwszy, że to opat, skinął na gwardzistów, by poszli dalej.

– Nie możecie go pojmać! – upierał się Andrea, usilnie starając się za nimi nadążyć.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu inkwizytor wyszedł mu na spotkanie.

– Bronicie Gualtieria de' Bruniego, wielebny ojcze?

Jego oskarżycielski ton onieśmielił Andreę.

– To... człowiek niezdolny do czynienia zła.

– Jest przyjacielem Rocheblanche'a – ciągnął brat Lamberto. – Dzieli z nim tajemnice. Tajemnice, o jakich nawet wam się nie śniło.

– To dobry chrześcijanin – oznajmił opat, zdobywszy się na odwagę. – Dajcie mi go pod opiekę, a ja postaram się go wypytać, w razie gdybym mógł...

– Wy także jesteście przyjacielem Rocheblanche'a. – Inkwizytor posłał mu groźny uśmiezek. – Czy mam przypuszczać, że coś ukrywacie?

Opatowi wydało się, że jakieś lodowe obcegi ściskają mu serce.

– Zamierzałem jedynie... wyjaśnić.

– Pozwólcie, że sam się tym zajmę – uciął Lamberto da Cingoli. Po czym oddalił się rozdrażniony i zostawił opata samego na rynku.

Pogrążonego w rozpacz.

Maynarda obudził płacz dziecka. Otworzywszy oczy, stwierdził ze zdziwieniem, że leży na sienniku, a nad głową ma belkowane sklepienie. Z trudem rozróżniał kształty. Potarł powieki, by lepiej widzieć w półmroku. Tymczasem jego umysł czynił wysiłki, by zapełnić lukę pomiędzy stosem na rynku a ową kłopotliwą chwilą. „Ciągłe żyję”, powtarzał w duchu z niedowierzaniem. „Żyję i... jestem przesycony swędem spalenizny”.

Przypomniał sobie nienaturalną ilość dymu, jaki uniósł się znad warstwy siana, oraz irytujące oczekiwanie na ból. Lecz ku jego ogromnemu zdumieniu płomień pozostały nisko, wydzielając coraz czarniejsze i gęstsze wyziewy, które utrudniały mu oddychanie. Potem pojawił się rycerz w zbroi. Dobył miecza, by przeciąć mu więzy, i...

Znów ten płacz.

Podniósłszy głowę znad posłania, spostrzegł mężczyznę o mauretańskich rysach, odzianego w zielony płaszcz i trzymającego w ramionach jasnowłosą dziewczynkę. Scena była tak wyjątkowa, że jął się zastanawiać, czy nie ma przywidzeń.

Następnie Maur posadził małą na zydlu i podszedł bliżej. Dotknął jego czoła, uniósł mu powiekę i z zadowoleniem pokiwał głową.

– Kim... jesteście? – zapytał Rocheblanche.

– Diabłem z Hiszpanii – odparła trzecia, niemal komiczna postać.

Maynard skupił uwagę na drzwiach po lewej stronie i ujrzał rosłe indywiduum w czarnej zbroi. Olbrzym ciągle miał przerażający hełm, nadający mu wygląd rogatego demona.

– Diabłem, który niegdyś ocalił mi życie – ciągnął tajemniczy człowiek. – A dzisiaj ocalił je wam, messer. Jest równie mocny w *ars medicinae*, jak w stosowaniu czarnego prochu.

Rocheblanche oparł się na łokciach. Sam nie wiedział, czy bardziej wstrząsające są owe słowa, czy okropne wspomnienie, jakie przywoływał ten głos.

– Chcecie powiedzieć, że...

– Że w nocy – odparła czarna zbroja – mój sługa dosypał do stosu substancji zdolnych spowodować niesamowity efekt, którego byliście świadkiem.

– A kim wy niby jesteście – zapytał Maynard – żeby mieć z tego korzyść?

Spod przyłbicy wydobył się tubalny śmiech mężczyzny.

– Odkąd mieszkam w Ferrarze, przywykłem, by mówiono do mnie Namo. – Rozpiął rzemyk przy obojczyku i z irytującą powolnością zdjął hełm. – Aby nikt,

znając moje prawdziwe imię, nie podejrzewał, że byłem z wami związany.

Widok tej twarzy sprawił Maynardowi najpotworniejszą mękę. Rycerz wybałuszył oczy i poderwał się zdjęty zgrozą, choć nigdy by nie przypuszczał, że stanie się ona jego udziałem. Wszelako wypowiedział owo jedyne straszne słowo z nienawiścią:

– Ojciec.

Chociaż jego życie obfitowało w przygody i nieszczęścia, Gualtiero nie potrafił sobie przypomnieć chwili, w której odczuwałby silniejszy strach. Zawlekli go do więziennej celi o kamiennym sklepieniu i wilgotnych, cuchnących stęchlizną ścianach. Jedyna latarenka stała na stole, za którym siedziało dwóch ludzi Kościoła. Inkwizytor i kardynał. Oprócz nich znajdowało się tam trzech odzianych na czarno gwardzistów.

– Gdzie jest Rocheblanche? – zagrmiał Lamberto da Cingoli.

– Przecież był przywiązany do słupa – pisnął młodzieniec, podczas gdy jeden ze zbrojnych nie pozwalał mu się podnieść z kolan.

Bertrand du Pouget ze złością rąbnął pięścią w stół.

– Uciekł, wszyscy to widzieli! – wysyczał. – Kto mu pomógł?

– Ja... nie wiem.

– Czyżbyście zaprzeczali, że jesteście jego poplecznikiem?

– Poplecznikiem? – Gualtiero wpatrywał się w nich z oburzeniem. – Jestem jego... przyjacielem.

– Wiemy, wiemy... – zadrwił inkwizytor. – Podobnie jak byliśmy pewni, że dzisiaj ktoś się zjawi, aby popatrzeć na egzekucję. Przysyła was wielmożna pani Eudeline?

Na dźwięk tego imienia młodzieniec zwalczył odruch, by wyrwać się zbrojnemu. Siedzące przed nim sępy tylko czekały, żeby zdradził jakieś uczucia.

– Nie znam żadnej wielmożnej pani Eudeline.

Lamberto da Cingoli powstrzymał się od uwag.

– Chyba nie będziecie nam tu opowiadać, żeście przybyli do Ferrary z własnej woli?

– To prawda.

– A *Lapis exilii*? O tym też nie słyszeliście?

– Ja... – Gualtiero przygryzł wargę – nie znam łaciny.

– Szczwany łobuz – mruknął Pouget.

– To nie jest żadna przebiegłość, przewielebny – bronił się więzień. – Ja jestem prostym człowiekiem.

– Nie ma w was żadnej prostoty – zaprzeczył coraz bardziej rozsierdzony kardynał. – Tak jak nie było jej w tej wszetecznicy, waszej matce Elisie d'Este.

W przyływie gniewu Gualtiero rzucił się do przodu, kopniak w plecy natychmiast jednak przygwoździł go do podłogi.

– Nie ośmielicie się... – warknął przez zęby.

– Dość tego! – podniósł głos brat Lamberto. – To oczywiste, że macie konszachty z Rocheblanche'em! Zdradźcie nam jego tajemnice!

– Ja nic nie wiem! – wykrzyknął młodzieniec, nadal czując między łopatkami stopę zbrojnego.

– Kłamiecie! Opowiedzcie nam o relikwiach Chrystusa.

Gualtiero dał znak, że chce przemówić, co pozwoliło mu powrócić do bardziej wygodnej pozycji. Zacerpnął tchu, by uspokoić łomoczące w piersiach serce. Wiele zim wcześniej, gdy był dzieckiem, trzymał w dłoniach wróbla i poprzez jego drżące ciało zwiertzył strach. Teraz czuł się tak jak ów ptak.

– Chrystus nasz Pan – rzekł – zmartwychwstał, nie pozostawiwszy żadnej relikwii ze swego ciała.

Monsignore Bertrand uniósł brew.

– Kpicie sobie z nas?

– Nigdy bym nie skłamał w obliczu tak znamienitych autorytetów.

Lamberto da Cingoli uciszył go zniecierpliwiony.

– Gdyby nie to, że jesteście nam potrzebni – ostrzegł – zaraz kazałbym wam obciąć ten zuchwały język. – Po czym pochylił się do przodu i posłał mu okrutny uśmiech. – Ale czegoś innego moglibyśmy was pozbawić, bądźcie pewni.

Gwardzista dobył sztyletu.

– Obetnijmy mu ucho! – podsunął, chwytając Gualtiera za włosy.

– Nie – przerwał mu Pouget. – O ile się nie mylę, to malarz. Obetnijcie mu mały palec u prawej ręki.

– Stać! – wrzasnął młodzieniec, próbując się wyswobodzić. Rozpacz napęłniła go taką siłą, że niezbędna była pomoc drugiego mężczyzny. Poderwano go z podłogi, zawleczono do stołu i zmuszono, by położył dłoń na blacie. Na widok ostrza aż podskoczył. – Nie czyńcie tego! Nie czyńcie tego, błagam was!

Brat Lamberto dał zbrojnemu znak, by się powstrzymał.

– Jeśli zależy wam, by wyjść z tego bez szwanku – rzekł do więźnia – opowiedzcie nam o tajemnicach Rocheblanche'a.

– On nie wyjawiał mi niczego istotnego! – wykrzyknął Gualtiero błagalnym głosem. – Niczego, mówię wam! Niczego!

Inkwizytor prychnął zawiedziony.

– Tnijcie.

– Powinniście być martwi! – Głos Maynarda zdradzał zawziętość i osłupienie. – Przed ośmioma laty widziałem, jak leżeliście w pyle Algeciras, rozszarpani bułatami niewiernych!

Gaspar de Rocheblanche odłożył hełm na kobyłkę wraz z rękawicami i przeraźliwymi szponami. Rzucił okiem na Araba, który usiadł obok dziewczynki, i w końcu wrócił do syna.

– Pamiętam aż nadto dobrze wasz widok, a także opłakany stan, w jakim mieliście czelność mnie zostawić. Przeżycie zawdzięczam wyłącznie temu Saracenowi, który uleczył moje rany w zamian za obietnicę, że pewnego dnia będzie ze mną dzielił bogactwo. Od tamtej pory służy mi z oddaniem.

– Piekło was zatem oszczędziło. Ale po co ukrywać twarz przez tak długi czas?

– Tam do licha, mój szlachetny synu! Jakoś nie miałem ochoty nadstawiać piersi pod wasz miecz! Wiedziałem aż nazbyt dobrze, jak gorąco pragniecie mnie zabić. Wyczytałem to z waszego oblicza owego niechlubnego dnia w Hiszpanii, podobnie jak widzę teraz. Niezmienne, zaciekle pragnienie, chociaż wyrwałem was ze stosu.

– Wyobrażam sobie, żeście to zrobili po to, aby uczynić mi odejście jeszcze okropniejszym.

– Po prawdzie zrobiłem to dla siebie – odparł Gaspar. – W ciągu ostatnich miesięcy rozpytywałem o was i chociaż nie znam powodu, dla którego inkwizycja was uwięziła, postanowiłem, że nie pozwolę, by mój potomek spłonął na stosie, narażony na powszechne drwiny, oskarżony o herezję. Gdyby tak się stało, ród Rocheblanche'ów na zawsze okryłby się hańbą, skutkiem czego zostałyby ograbiony ze swych dóbr przez Kościół.

– Przybywacie więc za późno – zakpił Maynard – albowiem Kamera Apostolska już nas zdążyła pozbawić majątku.

– Nie może być!

– Pozbawiła nas! – powtórzył z niejakim upodobaniem. – Z wyrazami szacunku od kardynała du Pougeta i waszego męskiego dziedzica, który oddałby życie, byleby was ukarano za nieczne postęпки!

– Milczcie, nieszczęśny! – wysyczał mężczyzna w zbroi, chwytając go za szyję.

– Matka zamordowana! Siostra pohańbiona! – wykrzyknął Maynard, wyswobodzając się z wściekłością. Wysilek przyprawił go o nagłe zmęczenie, musiał więc oprzeć się plecami o ścianę. Ileż to razy pragnął znaleźć się twarzą w twarz ze wskrzeszonym ojcem, aby osobiście go ukarać! Teraz wszakże utracił wigor, być

może na zawsze, i przyszło mu się z nim zmierzyć w łachmanach, nawet bez broni, którą mógłby weń skierować.

Gaspar wahał się, czy przypuścić atak, gdyż syn najwyraźniej ledwie trzymał się na nogach.

– Wy i te wasze kłamstwa! – prychnął grobowym głosem. – Założę się, że przez całe lata mieliście ich pełne usta, przypisując mi zbrodnie, których sami się dopuściliście! Och, krew z krwi mojej! A wszystko to dlatego, że gorąco pożąдалиście przedwcześnie moich ziem, pieniędzy i tytułu.

W oczach Gaspara de Rocheblanche'a pojawił się błysk szaleństwa. Maynard wpatrywał się weń z trwogą, że dostrzeże w nim coś, co po nim przejął. Od zawsze prześladował go lęk, że może być do niego podobny, teraz jednak, gdy ojciec rzucał kłamliwe oskarżenia bez żadnego istotnego powodu, jął się zastanawiać, czy jego umysł od zawsze był skażony obłudą, czy była to cena, jaką zapłacił za oszukanie śmierci. Tak czy inaczej, nie wystarczyłoby to, by powstrzymać zżerającą go nienawiść do ojca.

– Jak śmiecie zarzucać mi coś, coście sami uczynili? – wybuchnął.

– A co, nie mówiłem? – zaśmiał się Gaspar, spoglądając na Araba. – On jest zaślepiony chciwością i gniewem. Obwinia mnie o owoc własnej nikczemności. Tymczasem jeszcze mu nie dość wyrządzonego zła, pragnie przelać moją krew.

Maur pokiwał głową z niesmakiem.

– Teraz wreszcie będziecie się mogli zemścić, panie.

Maynard patrzył na nich z niedowierzaniem.

– O czym, u diabła, mówicie?

Gaspar skinął na Araba, by przeniósł dziewczynkę do sąsiedniej komnaty, a sam ruszył, nieco kulejąc, w stronę zydła. Sądząc ze sposobu poruszania się, ciężar zbroi musiał wzmagać ból zadawnionej albo, co bardziej prawdopodobne, świeżej rany w pachwinie.

– Po powrocie z Hiszpanii przyczaiłem się, czekając, aż wyjdziecie z ukrycia, żeby się z wami zmierzyć – wyjawiał, usiadłszy – ale przyznaję, wystawiliście moją cierpliwość na ciężką próbę. Po Crécy zupełnie jakbyście zapadli się pod ziemię. Ja jednak nie zapomniałem pełnego pogardy okrucieństwa, z jakim pozwoliliście mi dogorywać we krwi i wśród much w Algeciras. Pragnąłem ukarać was za tę zniewagę i nadal pragnę. Dlatego zostałem aniołem stróżem Eudeline, strzegąc jej przed podłościami świata, w oczekiwaniu, aż dacie znak życia.

– Wasza wizja wydarzeń jest wypaczona, chora! – wykrzyknął Maynard. – Jak możecie twierdzić, żeście godni bronić tej, którą poniżyliście najnikczemniejszą ze zniewag?

– Zmyłem swoje grzechy, biorąc krzyż – rzekł Gaspar, bijąc się w pierś. – W Algeciras umarłem i zmartwychwstałem w boskim przebaczeniu. Nie macie

żadnego prawa ciskać we mnie oskarżenia.

– Wypowiedziane przed chwilą kłamstwa były zatem na wyłączny użytek waszego sługi! Posłużyliście się nimi, aby zapewnić sobie jego lojalność?

– Czymże są kłamstwa, jeśli nie pogrzebową wyprawą, którą oddajemy zmarłym? Wy zaś wkrótce będziecie martwi, synu. Abym mógł się zemścić i całkowicie wykupić.

– Zabijając mnie, nie pogrzebiecie prawdy. Eudeline wie i zawsze będzie was nienawidzić.

– Eudeline wróci ze mną – oznajmił Gaspar z pożądlivym grymasem. – Zbyt mocno ją miłuję, by z niej zrezygnować. Należy do mnie, a gdy ta historia dobiegnie końca, nic nie stanie na przeszkodzie, bym miał ją u swego boku.

Maynard, którego zemdliło po tych słowach, rzucił się ku niemu i zepchnął go na podłogę, aż zadrżały płyty zbroi. Po czym, przewyciężywszy wycieńczenie, przycisnął go kolanem, nie pozwalając mu się podnieść.

– Demon, który was opętał, musi być niezwykle przebiegły – oświadczył zjadliwie – skoro aż tak mocno przewrócił wam w głowie! – Sięgnął po ojcowski miecz, lecz zanim zdążył go użyć, poczuł ucisk ostrza na gardle.

– Dlaczego ten tutaj ciągle papple – wtrącił za jego plecami Arab – skoro powinien mieć już szramę pod brodą? – Odciągnął Maynarda do tyłu, zmuszając, by puścił ojca, z zamiarem zaszlachtowania go.

Gaspar dał mu znak, by go oszczędził, i wstał z trudem.

– On jest mój, nie wasz!

Maur przytaknął szorstko, następnie odsunął się od więźnia i schował zakrzywiony w półksiężyc sztylet pod płaszczem.

Maynard ponownie spojrzał rodzicielowi w oczy.

– Odebralibyście mi życie bez honoru jak nędzny zabójca?

– Śmierć to śmierć – zawyrokował Gaspar.

– Mielibyście słuszność, gdyby moje pragnienie uśmiercenia was nie dorównywało waszemu – odparował wściekle. – Tymczasem dorównuje, toteż żądam prawa zmierzenia się z wami jak należy, w pojedynku.

– Wieprz nie może niczego żądać! – natarł nań Arab.

– Milcz! – rozkazała czarna zbroja, świdrując syna nieprzytomnym wzrokiem. Mężczyzna dumiał przez chwilę, skuszony tajemniczymi myślami, a na koniec powiedział: – Pozwólcie mi odzyskać moje ziemie, a przyznam wam honor, którego się domagacie.

– Znalazłby się na to sposób – odrzekł Maynard. – Ale tylko w zamian za moją wolność i szybkiego konia.

– Otrzymacie jedno i drugie.

– Wiedźcie zatem, że wystarczy, byście stawili się w Awinionie przed Kamerą

Apostolską i oświadczyli, iż jesteście prawowitym seniorem Rocheblanche. Rodowe posiadłości, które odebrano Eudeline, błędnie uznanej za waszą jedyną żyjącą spadkobierczynię, natychmiast do was wróca.

Gaspar przytaknął.

– Powinienem wam zaufać?

– A ja wam? – odciął się Maynard.

– Niech będzie: dostaniecie konia.

– A wy obietnicę, że dokładnie za rok zastaniecie mnie przed zamkiem Rocheblanche, żądającego waszej głowy.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

2 STYCZNIA, NOCĄ

Przekroczył w pośpiechu, z wściekłością próg krypty i zszedł po krętych schodach, nie bacząc na śnieg, który zasypywał mu głowę i ramiona. Czas naglił, i to bardzo, gdyby więc nie okazał się dość szybki, straciłby sposobność.

Przemierzył podziemie pewnym krokiem, z wyciągniętymi drżącymi z niecierpliwości rękami, aż wreszcie posłużył się nimi do otwarcia zamkniętej na kratę niszy i pochylił się nad kamienną pokrywą wjazdu.

Podniósł ją jednym ruchem tak gwałtownie, że podrapał sobie palce. Następnie, nie mogąc się doczekać, chwycił płócienne zawiniątko leżące na dnie wgłębienia i umieścił je przed sobą na podłodze. Instynkt podpowiadał mu, by natychmiast uciekać, zanim będzie za późno. Z kolei gwałtowniejszy impuls kazał mu zwlekać jeszcze przez chwilę, by popatrzeć na relikwie Chrystusa, ukryte pod skrawkiem materii.

W końcu otworzył zawiniątko i z błyskiem niedowierzania odkrył dwa kamienie.

Nadal osłupiały poczuł na karku ostrze sztyletu. Obrócił się powoli ze zgrozą na twarzy.

Isabeau groziła mu baselardem Gualtieria.

– Gdzie jest mój mąż? – zapytała czujna.

Ojciec Andrea cofnął się odrobinę, pełzając na kolanach.

– Pojmali... go.

Żrenice dziewczyny lśniły niczym płomienie.

– Kto?

– Wrogowie Rocheblanche'a.

– To wy! Zdradziliście go!

Opat poczuł, że ostrze sztyletu przecina mu policzek, i przez chwilę obawiał się najgorszego.

– Nie! – wykrzyknął, pochylając się do ziemi. – Jestem tu po to, by go ocalić!

– Nigdy wam nie ufałam! – wysyczała Isabeau, znów grożąc, że go ugodzi. – Nigdy!

– Gdzie wielmożna pani Eudeline? – zapytał zakonnik, nie zważając na pułapkę. – Dlaczego relikwie nie leżą na swoim miejscu?

– Eudeline wyjechała wraz z Maynardem – wyjaśniła, wprawiając go

w zdumienie. – Zjawił się tu przed wieloma godzinami, spieszył się jak diabli. Upewnił się, czy nikomu z nas nic nie grozi, i dowiedziawszy się, że Gualtiero jest bezpieczny z wami, w Ferrarze, zabrał siostrę, obie relikwie i uciekł na koniu.

– Ale... – wyjąkał Andrea.

– Oddalił się natychmiast, aby nas nie narażać – ciągnęła dziewczyna, jeszcze bardziej stanowczo celując weń baselardem. – A wy... wy, przekłęci! Teraz przychodźcie tu, mówiąc, że te łotry pojmały mojego Gualtiera!

– Ja... ja... – Opat miotał się niczym we śnie. – Ja nie wiedziałem! Nie przyszło mi to nawet do głowy! – Zakrył twarz dłońmi, po czym stwierdził, że są powalane krwią.

– Co ja teraz pocznę? – powiedziała nadal zalękniona Isabeau. – Co mam zrobić, żeby go odzyskać?

– Znalazłby się na to sposób... – westchnął przygnębiony Andrea. – Znalazłby się, gdybym mógł dysponować relikwiami. Zapłaciłbym nimi za ocalenie Gualtiera, rozumiecie? Właśnie po to tu przybyłem. Ale teraz... teraz... Do kroćset! – Złapał obydwie kamienie i cisnął nimi o ścianę krypty. – Co mogę ofiarować w zamian za jego życie?

– Maynard jest już daleko – łkała dziewczyna, przecinając sztyletem powietrze. – Już go nie dogonimy! Nigdy!

Opat przestał wszakże słuchać. Klęczał przybity, zdjęty boleścią. Nadal przeklinał, lamentował, tymczasem jego umysł uparcie szukał jakiegoś rozwiązania dla tego strasznego nieszczęścia. „Nie ma czasu”, powtarzał sobie ciągle. Gualtiero nie dorównywał hartem ducha Maynardowi. W pojedynkę by oszalał albo zginął ze strachu i zgryzoty. A wszystko dlatego, że Andrea okazał się aż tak głupi i swego czasu nie powierzył...

– Chwileczkę! – Zerwał się nagle.

– Co takiego? – Isabeau zadrżała.

Opat instynktownie rzucił się ku schodom.

– Biblioteka! – zawołał tylko. – Może nie wszystko stracone!

FERRARA, PAŁAC KURII
3 STYCZNIA

– Przechowywałem go w bibliotece opactwa dla Rocheblanche’a. – Ojciec Andrea postukał palcem w opasły kodeks *in folio*, który właśnie położył na pulpicie biskupa. Wykonane z brązu ćwieki na tylnej okładce zdawały się mrugać w jego kierunku, budząc w nim potworne poczucie winy. Doskonale wiedział, że rozstaje się z nad wyraz cennym tekstem, być może najautentyczniejszym źródłem wiary chrześcijańskiej. Skądinąd dziękował niebiosom, że Maynard zapomniał go wywieźć z Pomposy. – Powinienem był go oddać *monsignore* Guidowi dawno temu – ciągnął z fałszywym żalem – ale sami rozumiecie... z powodu wielkiej zarazy, niekończącej się żałoby i mojego planu reformy zupełnie o tym zapomniałem.

Biskup Filippo d’Antella pogładził grzbiet książki ze źle skrywaną ciekawością.

– Zatem to z tego manuskryptu wzięły się oskarżenia przeciw messer Maynardowi?

Opat wzruszył ramionami.

– Jeżeli jest coś więcej, nic mi o tym nie wiadomo. A jeszcze mniej wiadomo owemu młodzieńcowi pojmanemu przedwczoraj przez inkwizycję.

– Lamberto da Cingoli twierdzi, że jest zamieszany w ucieczkę Rocheblanche’a.

– Czyżby był aż tak sprytny, żeby popełnić tego rodzaju wybryk, i aż tak łatwowierny, żeby dać się złapać? Bądźmy poważni, Wasza Ekscelencjo, nawet głupiec nie dałby się na to nabrać. Gualtiero de’ Bruni to rzemieślnik, na pewno nie człowiek czynu.

Biskup pokiwał głową w zadumie.

– A wy, wielbny ojcze?

– Słucham, Wasza Wielebność? – Andrea zadygotał.

– Przed wieloma miesiącami przybyliście do Florencji, żeby wstawić się za Rocheblanche’em – uprzytomnił mu Antella. – Wydaliście sporą sumę na odroczenie rozprawy.

– To dlatego, że zawsze dostrzegałem w tym rycerzu ogromną szlachetność ducha – usprawiedliwił się opat. – Uważam go za przyjaciela, nie tylko za piękny przykład odwagi, wcale więc nie żałuję, że próbowałem mu pomóc. – Chcąc uniknąć podejrzliwego wzroku rozmówcy, wskazał leżący na stole kodeks. – Chociaż – oznajmił w końcu – jedyna tajemnica, jaką mi powierzył, dotyczyła niniejszej książki.

Biskup milczał przez chwilę, zerkając z ukosa na tytuł.

– *Liber... Fletanis*. – Podniósł oczy zaciekawiony. – Przeczytaliście ją?

– Tylko parę fragmentów – skłamał Andrea, powstrzymując rozgorączkowanie. Zanim przekroczył próg tej komnaty, ponownie sobie przyrzekł, że będzie jak najbardziej szczery, że ograniczy się wyłącznie do pominięcia części prawdy. Oczywiście dla obopólnego dobra, ma się rozumieć. Odchrząknął. – Zawiera urywki z Biblii, które przeplatają się z tekstami nieznanego mi pochodzenia. Może z jakiegoś apokryfu, aczkolwiek nie ośmieliłem się zbyt w nią zagłębiać.

Wielebny Filippo zamknął wolumin.

– Odpowiedzialny wybór, który wszakże nie uwalnia was od pozostałych podejrzeń.

Mimo że w pałacu panowały lodowate przeciągi, opat poczuł, że dusi się z gorąca.

– Błagam, byście wyrażali się możliwie jak najjaśniej – powiedział niewzruszony.

– Brat Lamberto i *monsignore* Bertrand – zaczął Jego Ekscelencja – wspominają o zaginionych relikwiach, nie o księdze. Wprawdzie postanowiłem umyć ręce, wszelako czytałem protokoły przesłuchania, jakiemu poddano Rocheblanche’a.

Andrea skrzywił się z niedowierzaniem.

– W moim opactwie nie przechowuje się żadnej relikwii poza tymi związanymi od ponad wieku z kultem miejscowych świętych – oświadczył. – Wyślijcie swoich przedstawicieli, żeby sprawdzili, jeśli sądzicie, że to konieczne. Jeszcze dzisiaj, w mojej obecności. Będą mogli się przekonać, że nie ukrywam ani messer Maynarda, ani żadnego z jego ewentualnych sprzymierzeńców. Rzecz jasna, w razie gdybyście w to wątpili.

Przed odpowiedzią Filippo d’Antella spojrział nań spod oka.

– Zatem – rzekł – powierzając mi tę księgę, uznaliście waszą spowiedź za całkowitą.

– W rzeczy samej – przytaknął, zorientowawszy się, że dotarł do istotnego przełomu, o którym w skrytości ducha myślał od początku. – Oprócz tego – pospieszył dodać – moje słowa dowodzą niewinności Gualtieria de’ Bruniego. Skoro *Liber Fletanis* powierzono mnie, nie pojmuję, co on mógłby wiedzieć o tej sprawie.

Biskup się z nim zgodził, chociaż nadal przejawiał wyraźną nieufność.

– Po co zaprzętać sobie głowę prostym człowiekiem z ludu? – zapytał znienacka.

Andrea spodziewał się i tego pytania.

– To nie jest zwyczajny prostak – wyjaśnił – lecz mistrz malarski, któremu zleciłem odmalowanie mojego opactwa. Jego geniusz nie ma sobie równych, a gdybyście tylko popatrzyli na już wykonaną część dzieła, przyznalibyście mi słuszność bez wahania. Gualtiero jest cenny... Więcej, niezastąpiony! Podzielilibyście zatem mój niepokój na wieść, że zakuto go w kajdany z powodu niesprawiedliwego oskarżenia.

– Nie postawiono jeszcze żadnego zarzutu – sprostował Antella ze skrywaną przychylnością. – Niemniej jednak nie wiem, czy Lamberto da Cingoli jest skłonny uniewinnić waszego człowieka.

– Nawet jeśli otrzyma księgę Flegetanisa? – upewnił się opat.

Biskup położył dłoń na kodeksie drapieżnym gestem.

– Ta księga nigdy nie opuści tej komnaty, chyba że po to, by trafić na stos.

– Wszelako brat Lamberto będzie musiał przecież okazać wam posłuszeństwo – drażył opat. – Jesteście jego biskupem i sprawujecie nadzór nad każdym toczącym się w diecezji procesem inkwizycyjnym.

– Przypuszczam, że macie rację – westchnął Jego Ekscelencja. – Nawet jednak gdybym był skłonny wam pomóc, zostaje jeszcze kardynał Bertrand du Pouget. Wierzcie mi, Bóg jeden wie, jak bardzo jego nieusprawiedliwiona obecność podważa mój autorytet! Pozbyłbym się go natychmiast, gdybym tylko mógł. Lecz moja władza nie sięga aż tak wysoko.

Wówczas Andrea pochylił się do przodu z chytrym uśmieszkiem, który tak bardzo nie pasował do jego uduchowionego oblicza.

– Jednakże gdyby rozeszła się wieść, że *monsignore* Bertrand przebywa w Ferrarze nie w sprawach urzędowych, ale z powodów nieznanых samej kurii w Awinionie, szala wagi przechyliłaby się na waszą stronę.

– W tym wypadku Jego Wielbność kardynał znalazłby się w nader kłopotliwym położeniu – skwitował Filippo d'Antella z ochoczym błyskiem w oku, ale po krótkim namyśle machnął ręką z niezadowoleniem. – Nie, wielbny ojcze. Nie jestem gotów na pogorszenie moich stosunków z tym prałatem. Podobny gest mógłby obrócić się przeciwko mnie, pojmujecie?

– Wcale nie musicie fatygować się osobiście – uspokoił go opat.

Zaciekawienie biskupa wróciło.

– Co macie na myśli?

– Ściślej biorąc, kogo. Kardynała Hectora de Durforta, dowódcę armii papieskiej, obecnie stacjonującego w Rumunii. Jako strateg i ambasador Jego Świątobliwości z pewnością wie o każdym awiniońskim prałacie przebywającym na okolicznych ziemiach i, jak przypuszczam, nie byłby skłonny tolerować łamania zasad, jak czyni to *monsignore* du Pouget. Moim zdaniem wystarczy wysłać mu anonimową wiadomość, a na reakcję nie trzeba będzie długo czekać.

Filippo d'Antella się rozpromienił.

– Udzieliliście mi znakomitej rady, wielbny ojcze.

– Cieszę się, że mogłem wam służyć, Ekscelencjo. – Andrea wstał, by ucałować pierścień.

Sposepniawszy nagle, prałat cofnął dłoń.

– Pozostaje tylko jeden kłopot.

– Jeszcze jeden? – prychnął Andrea.

– Markizowi Obizzowi nie spodoba się, że Durfort jest w Ferrarze. Słyszałem, że od miesiący go unika, aby nie czuć się w obowiązku przydzielić mu ludzi do działań wojskowych na ziemiach Faenzy. Gdyby potem się dowiedział, że wszystkie te działania powzięto po to, by uwolnić zwykłego mistrza malarskiego...

– Gdyby to miało się okazać konieczne – rzekł zniecierpliwiony opat – podsuniecie Jego Wielmożności, by robił dobrą minę do złej gry. Oczywiście, o ile nie woli, żeby rozniosła się wieść o nieznanym potomku rodu Estów. Potomku o wiele godniejszym sukcesji niż jego synowie.

Jego Ekscelencja poderwał się z miejsca.

– Gdyby to była prawda...

Andrea ponownie dostrzegł malującą się na jego twarzy ciekawość, wcale jednak nie zamierzał jej zaspokoić.

– Mniemam, że dałem wam do ręki wystarczające narzędzia do odzyskania władzy – stwierdził ostrożnie. – Spodziewam się, że zdołacie się wywdzięczyć.

Po krótkim wahaniu biskup skinął głową. Znajomość zbyt wielu tajemnic, dawał do zrozumienia, to luksus, na jaki stać nielicznych. Po czym podsunął mu pierścień.

– Uczynię wszystko, co w mojej mocy, wielebny ojcze.

Gualtiero powrócił do Pomposy trzy dni później. Wsiadł przed opactwem z ozdobionego biskupim herbem wozu, a po kilku krokach padł wyczerpany na zaśnieżone schody portalu.

Isabeau natychmiast wybiegła mu naprzeciw z sercem wezbranym miłością. Jednocześnie płakała i się śmiała, jakby nie potrafiła zdecydować, czy się lęka, czy raduje. Uklękła nad nim i położyła jego głowę na swym łonie, jak uczyniła to przed trzema laty, gdy zemdlął na widok powieszzonego ojca.

– Umiłowany – szepnęła mu do ucha. – Umiłowany...

Gualtiero drgnął. Majaczył w gorączce.

Po czym pogładził ją po twarzy.

Tym, co pozostało z jego prawej dłoni.

FRANCJA, KLASZTOR MONT-FLEUR

13 MAJA

Maynard powstrzymał karego i polecił Eudeline, by poczekała w siodle, nie bacząc na strażę stojące przed murami, za którymi pośrodku wyłoczonego słońcem dziedzińca wznosił się klasztor Mont-Fleur. Na jego widok rycerz pozwolił sobie na pierwszy uśmiech po wielu tygodniach posępnego milczenia. Podróż była wyczerpująca. Alpejskie lodowce, bory i rabusie wystawiły zarówno jego, jak i Eudeline na ciężką próbę, w końcu jednak dotarli na miejsce.

Po drodze odzyskał siły i zmysły, chociaż blizny, które upstrzyły mu ciało, przypominały nieustannie, że nigdy już nie stanie się na powrót takim samym człowiekiem, jakim był niegdyś. Więzienie i męki ostudziły – być może na zawsze – jego zapał.

Zdawszy broń, przemierzył dziedziniec z przewieszoną przez ramię sakwą i przystanął przed przerażającą głową Gorgony, wyrzeźbioną na lunecie portalu. Z pamięci wyłoniły się natychmiast złe sny i wspomnienia. Musiał odwrócić wzrok, czoło zaś zmarszczył z wysiłku, by uspokoić szaleństwo.

Gdy ponownie skupił uwagę na portalu, pojawił się przed nim leciwy zakonnik.

– Zatem go spotkaliście.

Wystarczył rzut oka, by Rocheblanche w sieci zmarszczek rozpoznał oblicze mądrego opata Manessiera. Zapanowawszy nad wzruszeniem, skłonił się z szacunkiem. Jadąc na północ, często się zastanawiał, jakie słowa wypowie na powitanie. Na koniec najczęściej wyobrażał sobie, jak oddaje relikwie Chrystusa, odmawiając szeptem *Pater noster*. Tymczasem, jak to już mu się zdarzyło w obecności owego starca, nie zdołał powściągnąć ciekawości.

– O czym mówicie?

– O czwartym jeźdźcu – zachichotał zakonnik, zbliżając się wsparty na sękatym pastorał. – Tym, który przybędzie po nadejściu trzech posłańców. – Wcale nie wydawał się zaskoczony, że go widzi. Zupełnie jakby przez cały ten czas nie robił nic innego, tylko czekał.

– Zatem pamiętacie...

– Wasz sen? Oczywiście. Długo nad nim rozmyślałem, zwłaszcza po odwiedzinach młodzieńca, który przybył tu w waszym imieniu.

– Gualtiera de' Bruniego – przytaknął Maynard. – Poprosiłem, by się do was udał,

gdyż bałem się, że nie przeżyję zarazy. Opowiedział mi, że pokazaliście mu *Lapis exilii*.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zmienił temat Manessier, uważnie mu się przyglądając. – O waszej zgryzocie. Jeszczeście się od niej nie uwolnili, mam rację?

– Ona mnie zżera... – przyznał rycerz z całkowitym zaskoczeniem. – I trzyma przy życiu.

Chociaż starzec doskonale zdawał sobie sprawę, że to krępuje podróżnego, odsunął skraj jego płaszcza, zerknął pod spód i obejrzał ślady po oparzeniach, biegnące niemal aż do podbródka.

– Nacierpieliście się – stwierdził.

Rycerz się cofnął.

– Męka była potworna – odparł tylko.

– Nie wszystkim męczennikom pisane zostać świętymi – odrzekł Manessier w odpowiedzi na jego milczącą sugestię.

Maynard od razu zawstydział się z powodu przypływu pychy.

– Tak czy inaczej – oznajmił – dotrymałem przysięgi.

Zanim zakonnik zdążył odpowiedzieć, rycerz otworzył sakwę i pokazał mu jej zawartość.

– O mój Boże! – wykrzyknął Manessier jednocześnie ze zdumieniem i z ulgą. – Chodźcie, messer. Wejdźcie! I niech was Bóg błogosławi!

Po chwili znaleźli się na schodach wiodących do krypty. Manessier szedł przodem, przyświecając latarenką trzymaną w jednej dłoni, w drugiej zaś niosąc sakwę Maynarda. Pomimo stromych schodów, które zdawały się nie mieć końca, i braku pastorału posuwał się nader zwinnie.

– *Somnium* o trzech jeźdźcach – napomknął znienacka, być może dla zabicia czasu. – Z pewnością nie wy pierwsi je wyśniliście, za każdym wszak razem oznacza ono co innego. Jak już wam wyznałem, moim zdaniem przedstawia trzy plagi zapowiedziane przez koniunkcję Jowisza, Marsa i Saturna. Lecz w waszym przypadku mogłoby zwiastować coś zupełnie odmiennego.

– Przypominam sobie zarówno wasze słowa – potwierdził Rocheblanche – jak i mglistość, z jaką je wypowiadaliście.

– Często jedno przemilczane słowo jest bodźcem dla umysłu.

– Zbyt duża mglistość może wyjść na zdrowie komuś, kto się lubuje w łamigłówkach – odparował Maynard – ale na pewno nie komuś, kto gnije w celi inkwizycji.

– Nie rozczulajcie się nad sobą – skarcił go Manessier. – Jesteście tu teraz również dzięki wiadomości, którą pozyskaliście ze snu.

– To śmierć. – Głos rycerza odbił się echem w ciemności. – Jestem przekonany, że tak brzmi treść przesłania. Poprzedza ją trzech posłańców, jak w Apokalipsie

Świętego Jana.

– Doprawdy? – upewnił się opat, nadal rozświetlając drogę. – A przecież jeszcze żyjecie.

– Śmierć, o której mówię, to coś innego – sprostował Rocheblanche. – To ta, która gra w szachy z każdym z nas od dnia jego narodzin, chociaż ukrywa się przed naszym wzrokiem. To odwieczny wróg, *memento*, łowca zawsze gotów nas zaskoczyć.

– Macie na myśli anioła śmierci! – Manessier gwałtownie się odwrócił. – W Księdze Kapłańskiej zwanego Azazelem, w Wielkim Midraszu zaś Samaelem.

Jego wzdrygnięcie nie uszło uwagi Maynarda.

– A dlaczego nie archanioła Michała? – zapytał. – Czyż to nie on przeprowadza dusze na tamtą stronę?

– Bez względu na to, jak jest, odnoszę wrażenie, że zaczynacie się w tej istocie rozpoznawać.

– Mówicie tak, jakby to było coś złego.

– Mówię to z szacunkiem – sprostował opat. – Jako że Michał jest również boskim posłańcem, tak jak niegdyś był nim Merkury. Nieprzypadkowo gnostycy upatrują jednego w drugim i obu uwielbiają. – Pokonał ostatnie stopnie, które kończyły się przed drzwiami z nabijanego ćwiekami drewna. Zanim je otworzył, oświadczył: – A jednak to prawda, Rocheblanche. Czwartym jeźdźcem jesteście wy. I wraz ze śmiercią przynosicie najcenniejszą wiadomość. Zaginione relikwie Chrystusa.

Za progiem mieściła się okrągła krypta zwieńczona wykutym w skale sklepieniem kolebkowym. Na szczycie otwierała się szczelina, przez nią zaś przenikała smuga białego światła, która padała na jedyny znajdujący się tam przedmiot.

Okrągły stół.

Maynard podszedł bliżej z dziwnym wrażeniem, że otula go osobliwa odurzająca woń albo może dźwięk – zdolne obudzić w nim głęboką cześć. Gdy położył dłonie na kamiennym stole, spostrzegł, że cały jest pokryty słowami, wrytymi w nieznanym mu języku.

Skierował wzrok na Manessiera, aby usłyszeć odpowiedź na swe nieme pytanie.

Zakonnik zajęty był wszakże czym innym. Szepcząc dawną modlitwę, wydobywał właśnie z sakwy obydwie relikwie, aby umieścić je pośrodku stołu.

Kielich i grot włóczy. Rocheblanche wpatrywał się w ich lśniące, czarniejsze niż noc kształty, odcinające się w wiązce bielusieńkiego światła. Napełniło go to niewysłowioną błogością, która przerodziła się we wzruszenie, gdy ujrzał, że powoli zmieniają kolor.

Szarość, biel, purpura.

Aż stały się złote.

Rzucił się na ziemię, owładnięty uczuciem tak silnej miłości, że niemal nie mógł jej pomieścić. Teraz nie musiał już zadawać pytań ani wiedzieć. Czuł. Nie zdołał

powstrzymać szlochu.

Wtedy Manessier położył mu dłoń na głowie, po czym ukląkł obok niego.

– Otrzymaliście dar łez – wyszeptał.

Następnie splótłszy dłonie, otworzył usta i zaintonował hymn radości.

**OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE
6 CZERWCA**

Gualtiero przyjrzał się kikutom palców prawej dłoni, wyjął z drewnianej szkatułki kawałek węgla i zaczął szkicować wróbla. Palce mu drżały, kreska okazała się niepewna. Zmusił się, by bardziej zapanować nad środkowym i wskazującym, co wywołało ból wewnętrznej strony dłoni.

O ile z początku uznał się za szczęściarza, albowiem stracił tylko palce uważane za mniej ważne – serdeczny i mały – teraz odkrywał, jak bardzo się przydawały w trzymaniu pióra i pędzla. Bez nich brakowało mu stabilności niczym pijakowi, który nie potrafi chodzić prosto. Ponadto chociaż od tortur zadawanych mu przez Lamberta da Cingolo i Pougeta minęło pięć miesięcy, ból jeszcze nie ustał i wywoływał niespodziewane skurcze, rozciągające się od nadgarstka aż do nieistniejących już opuszków.

Starał się je ignorować, przykładając się do rysunku. „Miętko i pewnie”, nakazał sobie. Proste kreski ogona i krzywe łebka oraz piersi kosztowały go niemało wysiłku, wysiłek się wszakże opłacił. Pozwolił sobie na uśmiech. Tygodnie wprawek najwyraźniej wreszcie go uradowały. Rysował dalej z większą swobodą, cieniując pióra skrzydeł, łapki, dopóki... niezwykle gwałtowny ból nie rozlał się aż po łokieć.

Cisnął węgiel z okrzykiem złości, powściągając odruch, by wyrwać blat pulpitu. „To na nic”, rzekł w duchu. „Wszystko na nic!”

Wymierzył potężnego kopniaka w zydeł i jał się przechadzać po pustym skrytorium. Nie czas karmić się fałszywymi nadziejami! Już nigdy więcej nie będzie w stanie malować. Te łotry zniszczyły mu życie.

Nadal krążył wściekle po izbie, przepełniony gniewem i rozpaczą. Ojciec Andrea zezwolił mu, by ćwiczył w tym miejscu, dopóki nie odzyska sił i nie uzna, że jest gotów podjąć prace przy freskach. Tak długo, jak będzie trzeba. Okazał się troskliwy i wyrozumiały ponad miarę. Zaopiekował się nim oraz Isabeau, ulokował w chatce na skraju klasztoru, uprzednio zajmowanej przez kilku posługaczy, zadbał też o to, by nigdy im nie zbrakło ani jadła, ani drewna na opał.

Wszelako Gualtiera zmęczyła nieustanna wdzięczność przy niemożności zaofiarowania niczego w zamian.

Jednakże najwięcej udręki przysparzała mu wewnętrzna potrzeba, by dać upust własnym zdolnościom twórczym. Gdy tylko pogrążał się w zadumie, oczyma duszy

widział ukończone dzieło. Na samą myśl aż drżał z niecierpliwości! Pragnienie nadania formy owym cudownym obrazom wprawiało palce w ruch.

„Właśnie”, westchnął. „Palce”.

Ciągle błąkał się wśród stołów skryptorium, gdy tymczasem wieczorne cienie stawały się coraz dłuższe. Przez całe życie uganiał się za marzeniem. A teraz, kiedy ów sen niemal już się ziścił, los sobie z niego zakpił.

– Jest przepiękny.

Obejrzał się. Nad jego stołem do pracy stała Isabeau i wpatrywała się w rysunek.

– Przepiękny – powtórzyła.

Gualtierowi pękło serce. Ona także się łudziła.

– Co tu robisz? – zapytał szorstko. – Dobrze wiesz, że to się opatowi nie podoba.

– O tej porze nie ma tu mnichów – odparła z uśmiechem. – Ani jednego, u którego mogłabym wzbudzić zakłopotanie.

– Tak czy inaczej, nie powinnaś...

– Czynisz postępy – przerwała mu dziewczyna, spoglądając po raz drugi na naszkicowanego wróbla. – Jest bardzo... delikatny.

Słyszając to, nie zdołał się już powstrzymać.

– Przestałem być sobą! – wybuchnął. – To nie jest mój sposób rysowania!

– Musisz zachować cierpliwość – rzekła, po czym podbiegła, by go uściskać. – Zaczekać.

Wszelako Gualtiero był niepokieszony.

– Zaczekać na co? – Uśmiechnął się gorzko. – Aż mi odrosną te przeklęte palce?

Na te słowa Isabeau się cofnęła. Świdrowała go wzrokiem z powagą, dopóki nie odwzajemnił jej spojrzenia.

– Dla mnie niekoniecznie musisz być malarzem – oznajmiła. – Będę cię miłować zawsze i bez względu na to, jaką obierzesz drogę. Czy zostaniesz cieślą, czy szewcem, czy aktorem, czy żebrakiem... Jestem twoją żoną, pogodzę się z każdym twoim wyborem. – Schyliła się po leżący na podłodze węgiel i mu go podała. – Pytanie brzmi: czy ty potrafisz pogodzić się z samym sobą?

Zawahał się. Spoglądał w te emanujące siłą i pięknem oczy, zdając sobie sprawę, że nie może skłamać. Chociaż odpowiedź budziła w nim trwogę.

– Ja... nie – wyszeptał w końcu. Skinął ręką w kierunku stołu, szkicu. – Jestem właśnie tym. Nigdy nie będę chciał być niczym innym.

– W takim razie nauczysz się od nowa – powiedziała zdecydowanie. – Nawet gdybyś musiał zacząć od początku i miał się posługiwać lewą dłonią.

EPILOG
SUB OCULIS DOMINI

ZAMEK ROCHEBLANCHE
1 STYCZNIA 1351 ROKU

Wznosił się szary niczym żelazo na najbardziej stromym wzgórzu, które górowało nad równinami rozciągającymi się aż po Marnę. Maynard zatrzymał karego na skraju zarośli i przyjrzał się jego surowym wieżom i blankom przypominającym wyszczerzone w niebo zęby. Miejsce, którego unikał niemal od dziesięciu lat, jego dom. Uspokoiwszy gestem Eudeline, zachęcił, by podążyła za nim truchtem wzdłuż ścieżki, która pięła się ku polanie u stóp zamku.

Śnieg pobielił wszystko, wymazując zieleń drzew i zapach ziemi. On wszakże rozpoznał drogę, którą posuwał się aż do miejsca upstrzonego wbitymi w ziemię kamieniami, tam zaś się zatrzymał i zsiadł z konia.

Grób matki znajdował się pod liśćmi wysokiego dębu. Maynard doskonale pamiętał gdzie, albowiem tamtej piekielnej nocy sam położył w tym miejscu płytę z pomocą służby. Zanim wywiózł Eudeline. Zanim nastąpił koniec świata. Strząsnął śnieg, odsłaniając wyryte w marmurze imię i krzyż.

– *Mātr* – wyszeptał. Od dziecka nazywał ją w ten sposób, tym samym słowem, którym w starogalijskim określano rzekę. Matka.

Nagle zorientował się, że siostra stoi obok. Objął ją, otulił płaszczem, po czym trwali tak razem, wpatrując się w płytę, dopóki świt nie przeistoczył się w poranek.

Dopiero wtedy Maynard przerwał milczenie.

– Będziesz się przyglądać w ukryciu wśród drzew.

Pokiwała głową.

– A gdybym został pokonany... – dodał – uciekaj.

– Nie – odparła Eudeline i pokazała mu sztylet. – Gdyby to musiało nastąpić, zginę razem z tobą.

Pierwszy przybył Arab. Zjechał ze zbocza na gniadoszu odziany w krwistoczerwony płaszcz. Przystanął na skraju polany, a nad nim górował odcinający się na tle białawego nieba zamek. Za nim podążał oddział pachołków, a wśród nich służka, trzymająca na rękach dziewczynkę w wieku około dwóch lat.

Maynard znajdował się dziesięć kroków od nich, gotów do walki. Oprócz dwóch mieczy pod płaszczem nosił starą kolczugę wzmocnioną płytowym napierśnikiem i skórzanymi pasami, pożegnalny dar od wielebnego Manessiera. Jak twierdził opat, należała niegdyś do pewnego szlachetnego wojownika, który zjawił się w Mont-Fleur

przed sześćdziesięciu laty, aby na zawsze schować się przed światem. Nie potrzeba było więcej słów, bo rycerz pojął w lot, skąd w starym zakonniku wziął się ów duch, i poczuł się zaszczycony podarunkiem.

Gaspar de Rocheblanche ukazał się ostatni. Wyłonił się z zamkowego portalu, jadąc na bojowym rumaku, okrytym czaprakiem równie czarnym jak jego zbroja, i niczym ocalony przed porankiem okruc mroku przyłączył się do szeregu pachołków.

– Ten tam to mój syn! – wrzasnął, wskazując na Maynarda. – Gdyby musiał mnie dzisiaj zabić, zamek, tytuł i wszelkie moje dobra, łącznie z wami wszystkimi, przejdą pod jego panowanie.

Po czym opuścił przyłbicę i dobył miecza.

– Cóż, okazaliście się aż takim szaleńcem, by dotrzymać słowa! – krzyknął w stronę rywala. – Ale miejcie się na baczności, z pewnością zabraknie wam odwagi do zwycięstwa!

Ukryta wśród drzew Eudeline przyglądała się owej scenie targana całą plejadą uczuć. Wprawdzie Maynard przygotował ją na tę chwilę, ale widok ojca i tak otworzył na nowo głęboką ranę, która przywołała ból i lęk. Wpatrywała się w Gaspara uciepiona zmarzniętej gałęzi, dręczona wspomnieniem ojca, który zapewniając, że ją miłuje, wykorzystał jej niewinność. Och, święta zemsta! Na myśl o schowanym pod płaszczem sztylcie ledwie się powstrzymała, by nie podbiec do nikczemnika i nie przebić go, nie dbając o to, że delikatna klinga mogłaby się złamać po uderzeniu o żelazny pancerz.

Jej stopy poderwały się niemal same. Drzewa rosły dostatecznie gęsto, by pozwolić jej na takie przemieszczanie się wokół polany, by nikt jej nie zauważył, i na ześlizgnięcie się po śnieżnym puchu jak wilk, który szykuje zasadzkę. Albowiem właśnie to teraz czyniła. Zresztą Maynard dowiódł naprawdę ogromnej zuchwałości, twierdząc, jakoby on jeden miał prawo wymierzyć sprawiedliwość! Tymczasem to ona miała do tego prawo! Większe niż ktokolwiek inny, nawet jeśli z powodu prześladowań Gaspara de Rocheblanche'a ucierpiały tysiące! Może nie potrafiła zwinnie zadawać cięć i z pewnością nie starczyłoby jej odwagi, by wyzwać ojca na pojedynek, lecz jej nienawiść do niego była aż nazbyt silna, by stała się godna żądać jego krwi.

Znalazłszy się za plecami pachołków, chwyciła sztylet i jęła się zastanawiać nad tym, jak zaskoczyć czarnego rycerza. Gdyby tylko stanęła obok, aby go zabić, wystarczyłoby pchnięcie w szyję albo pod pachę, gdzie ani metal, ani skóra nie chroniły ciała. Sęk w tym, że trudno będzie niepostrzeżenie minąć Araba.

Oszacowała rozstawienie służby, aby się przekonać, czy zdołałaby ją okrążyć i podejść jeszcze bliżej, choćby i między najniższymi zaroślami, gdy wtem dostrzegła coś, co niespodziewanie przyprawiło ją o drżenie.

Dziewczynkę w ramionach służki.

I wisior, który lśnił na jej piersi.

To wystarczyło, by straciła właściwą chwilę.

Gaspar spiął konia i rzucił się do ataku. Maynard patrzył, jak mknie wściekle z obnażonym mieczem. Oddawszy się bogu zemsty, sam cisnął płaszcz w śnieg i także ruszył. Dzielący ich jęzor ziemi kurczył się w zawrotnym tempie, pozwalając mu wszakże przeżyć na nowo całą nienawiść, złość i żądzę krwi, które doprowadziły go aż do tej chwili. Trwająca całe lata męka strawiona w ciągu kilku chwil.

Miecze skrzyżowały się z przeraźliwie wściekłym zgrzytem, po czym obaj pędzący na koniach rywale oddalili się od siebie. Maynard dotarł na skraj polany, obrócił karego i rzucił się do ponownego natarcia. Nastąpiła dopiero druga wymiana ciosów, a już bolała go prawa dłoń, przypominając o katowskich obcęgach, które w lochach Świętego Dominika wywichnęły mu palce. „Wszystko to przeszłość”, rzekł sobie. „Zdzierzę”.

Drugie starcie okazało się o wiele gwałtowniejsze. Gaspar szarpnął wodze, aby zadać przeraźliwe cięcie z góry, aż koń stanął dęba. Maynard odparował cios, odpowiadając pchnięciem prosto w żebra, lecz ku jego ogromnemu zdziwieniu ostrze odbiło się od płyt zbroi i nawet jej nie drasnęło. Nie zdążył się wycofać, a już głowica ojcowskiego miecza spadła mu na twarz. Uderzenie było tak mocne, że wyleciał ze strzemion.

Runął w śnieg z twarzą zalaną krwią. Jął macać rękami w poszukiwaniu broni, po czym podniósł się oszołomiony. Okrzyk nienawiści, jaki wyrwał się z jego gardła, zmieszał się z rykiem czarnego rycerza.

– Teraz was zabiję! – wysyczał Gaspar de Rocheblanche z wysokości siodła.

Tymczasem Maynard, nie bacząc na zamglony wzrok, chwycił go za nogę i zwałił na ziemię.

Złoty krzyż wysadzany klejnotami. Eudeline nie potrafiła oderwać oczu od wisiora, zarazem pełna niedowierzania i wzruszenia. „Niemożliwe”, powiedziała w duchu. „Niemożliwe!” A przecież ów przedmiot był jej znajomy. Podobnie jak rysy dziewczynki, jeśli się dokładnie przyjrzeć. Te jej zielone tęczówki i niesforne kasztanowe loki... Im dłużej się wpatrywała, tym bardziej jej się zdawało, że widzi twarz Aleydis.

„Przecież to nie może być!”, powtórzyła w myślach. Mała Angélique zginęła wraz z matką na ulicach Reims, kiedy szalała ospa. Nikt nie zdołałby przeżyć w takich warunkach. Nikt, a co dopiero niemowlę!

Jednakże ów krucyfiks...

Ze wspomnień wyrwał ją bitewny okrzyk, zmuszając do śledzenia przebiegu walki.

Prawa dłoń paliła go z bólu. Maynard musiał pomóc sobie lewą, by odeprzeć grad

ciosów zadawanych przez ojca. Mimo że obaj walczyli bez koni, zapadając się w śnieg, Gaspar górował nad nim w swym czarnym żelaznym pancerzu. Każdemu jego atakowi towarzyszył pełen okrutnej rozkoszy gardłowy śmiech, którego celem było osłabienie także synowskiego ducha.

Wszelako Maynard za nic w świecie nie chciał mu dać satysfakcji. Aby nie paść pod nieustającą lawiną uderzeń, niespodziewanie doskoczył bliżej, przewracając przeciwnika.

I tak oto z okrzykiem zdumienia Gaspar de Rocheblanche znalazł się na ziemi, przygnieciony ciężarem własnej zbroi. Zamachał ramionami niczym olbrzymi owad, usiłując wstać, nie dał jednak rady powstrzymać syna, który przycisnął mu pierś stopą i przyłożył miecz do gardła.

– Zdejmijcie hełm! – rozkazał zdyszany Maynard.

To był błąd.

Ledwie pokryte szponami palce rozpięły rzemienie naszyjnika i podniosły przyłbicę, na twarzy ojca pojawił się szyderczy grymas.

– I cóż, mój synu – powiedział wyzywająco Gaspar – czyż właśnie w tak niecny sposób zamierzaliście mnie dobić?

Maynard wpatrywał się w jego oczy przez chwilę, która zdawała mu się wiecznością.

Wtedy spośród gęstwiny drzew dobiegł przeszywający wrzask:

– Zabij goooooo!

Szeleszcząc szkarłatną tkaniną, Arab zeskoczył z siodła i przedarł się biegiem przez gałęzie, by pojmać Eudeline. Szlachcianka poczuła najpierw, jak jego dłoń ściska ją za nadgarstek, by zmusić do wypuszczenia sztyletu, następnie ciągnie w ustronne miejsce, między pachołków. „Głupia niewiasta!”, zrugowała się w duchu. Zresztą nie umiała się powstrzymać, krzyk wyrwał jej się z gardła niczym gwałtowna i nieokiełznana fala. Dosłownie aż płonęła z niecierpliwości, by zobaczyć ojca przebitego mieczem, dręczyło ją pragnienie, by patrzeć na śmierć tego łotra. Tylko dlaczego Maynard zwlekał?

W przypiływie dumy wyswobodziła się z rąk Maura i ponownie wbiła wzrok w brata.

– Zabij gooo! – powtórzyła. – Za całe zło! Za wszystko, co mi uczynił!

Miecz jął mu niewiarygodnie ciążyć. Maynard posłał siostrze osłupiałe spojrzenie, zachodząc w głowę, co też ją napadło, by zapuścić się tak daleko, po czym ponownie wpił się wzrokiem w wyciągniętego na śniegu ojca.

– Przysięgnijcie, że wasz sługa nie wyrządzi jej krzywdy!

– A wy – warknął Gaspar – że nie zadacie mi tak nikczemnej śmierci.

Maynard bez chwili wahania wbił miecz w ziemię i pomógł mu wstać, pozwalając skinąć na Araba, by nie pastwił się nad Eudeline. Gdy tylko Maur uwolnił jego siostrę,

rycerz powrócił do walki.

– Żywo, chwycicie za miecz! – podzegał przeciwnika. – Albowiem to będzie ostatnie starcie. – Dobywszy estoka, ułożył go w dłoni, owijając skórzanym rzemieniem, aby ból nie wytrącił mu go z ręki.

Następnie przyjął postawę obronną.

Gaspar rąbnął go z całych sił, kończąc krwawy atak, który rozpoczął, jeszcze siedząc na koniu. Maynard, który spodziewał się tego posunięcia, zdołał zyskać przewagę i zmusił go do walki z bliska. Bronił się przed ciosami, mając w pogardzie niebezpieczeństwo, że zostanie trafiony. Jego celem było nie tyle zadawanie ojcu ran, ile zmęczenie go. Tymczasem wściekłość przeradzała się w zimną hardość, stan instynktownego postrzegania, w jakim pogrążał się w najtrudniejszych pojedynkach.

Wkrótce jego uczucia stopiły się w jedno z oddechem i utrudzonymi członkami, niczym w jakiejś proroczej wizji, jakby patrzył na scenę z daleka. I oto zobaczył siebie, jak walczy niepokonany z owym Goliatem w czarnej zbroi, jak obraca się w zabójczym tańcu. Stał się aniołem śmierci, mężnym Michałem, który wyłonił się z mroku więzienia, by ukarać, pomścić i zniszczyć.

Uniknąwszy pchnięcia, obrócił się i przebił przez obronę wroga, zadając śmiertelne cięcie pod lewą łopatkę. Ostrze przeszło stal i ciało.

Gaspar de Rocheblanche runął na kolana z wyrazem niedowierzania na twarzy, a z jego ust wydobyło się rżężenie. Gdy Maynard wyjął klingę, z ojcowskiej piersi wyrwał się ostatni okrzyk agonii, tymczasem po śniegu rozlała się struga krwi.

– Oto sprawiedliwa śmierć, jaka wam się należała! – zawyrokował rycerz z łomoczącym sercem.

Zebrali się wokół pana de Rocheblanche w oczekiwaniu, aż wyda ostatnie tchnienie. Arab pochylił się nad nim, aby otrzeć mu czoło, rodzeństwo zastygło w bezruchu, każde z nich zimne niczym posąg.

Nagle Gaspar się poruszył, jakby zamierzał przemówić do Eudeline, lecz wszystko, co miał jej do powiedzenia, zdołał wyrazić spojrzeniem. Niezmierzoną, nedorzeczną i szaleńczą podłość. Po czym w ostatnim spazmie wyzionął ducha.

Niewiasta odsunęła się od Maynarda z twardością, która od czasu do czasu miała się jeszcze malować na jej twarzy, i podeszła do dziewczynki. Uklękła przed nią, wzięła w dłonie krucyfiks i uważnie mu się przyjrzała. Na koniec pokiwała głową w milczeniu i pogłaskała ją.

– Ty jesteś Angélique – oznajmiła z uśmiechem znużenia. – Córka tej, która mnie miłowała i zarazem nienawidziła. Jeśli zechcesz, od tej pory będę twoją matką.

Maynard popatrzył na zamek Rocheblanche i wreszcie poczuł się wolny. Wrzawa jeźdźców była już daleko, niczym niesiony wiatrem szept. Pozostały ból i zmęczenie, obu był jednak wdzięczny, albowiem stanowiły słuszną miarę czynów, jakich dokonał.

Wtedy ogarnął go żal za tym, co utracone, za dalekimi przyjaciółmi i za tajemnicą,

której miał nigdy w pełni nie pojąć, chociaż zachowa ją w pamięci.

Może pewnego dnia uda się do Manessiera, aby dokonać żywota w najustronniejszym i najspokojniejszym miejscu na świecie. Lecz nie teraz.

Podszedł do Eudeline i zamknął ją w uścisku.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

13 MARCA

Rok jubileuszowy dobiegł końca, ostatni pątnicy zmierzali Drogą Pielgrzymią ku Wiecznemu Miastu. Śnieg powoli topniał, ustępując pola porze mgieł, następnie coraz dłuższym dniom i wonnemu ciepłu.

Prace nad freskami w nawie głównej posuwały się do przodu. Stojąc na rusztowaniu, mistrz malarski kończył właśnie ostatnią scenę Apokalipsy, którą opat postanowił umieścić pod tymi ze Starego i Nowego Testamentu. Szybkimi pociągnięciami pędzla nadał kształt jeźdźcowi z *Verbum Dei* z obosiecznym mieczem wyłaniającym się z jego ust, następnie uzbrojonemu we włócznię archaniołowi Michałowi i wreszcie przypominającej węża bestii wygnanej do czeluści.

Ozdobienie południowej ściany okazało się niemal szalonym przedsięwzięciem, które doszło do skutku jedynie dzięki miłości i ufności Isabeau. Podjąwszy się malowania raz lewą, raz prawą ręką, Gualtiero uzmysłowił sobie, że jego styl ulega zmianie, stopniowo stając się bardziej płynny i sugestywny, niemal uporczywy. Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy przedstawiał porwanego przez ognisty wóz Eliasza i Habakuka, niesionego za włosy przez lecącego archanioła. Spośród wszystkich scen w porównaniu z poprzednimi freskami wyróżniało się jednak tylko Ukrzyżowanie. Zbroczona krwią, niemal wyryta postać Chrystusa zastąpiła tragiczną symbolikę Matki Boskiej, trawionej wewnętrznym i zarazem duchowym bólem.

Po raz kolejny należało zamurować kilka okien, aby znaleźć przestrzeń dla ogromnych malowideł przedstawiających dzieje Mojżesza, Dawida i pozostałych proroków, aż do powstania Judy Machabeusza, a niżej dla życia Jezusa. Aby wszystko stało się jasne i czytelne, ojciec Andrea zachęcił go do umieszczenia pod każdą sceną, jako uzupełnienie, własnoręcznie skreślonych łacińskich napisów.

– Dodatkowe oddalanie się od prostoty ludu – skwitował Gualtiero.

Zakonnik z anielskim spokojem poradził mu, by zachował cierpliwość i pokładał większą ufność w jego zalecenia.

I Bóg świadkiem, miał rację.

Wycyzelowawszy ostatecznie łuski smoka, mistrz malarski zszedł z rusztowania, otarł twarz powalanymi farbą dłońmi i przemierzył nawę wpatrzony do góry. Dzwony właśnie wybiły czwartą godzinę, toteż aż do poobiedniej pory do klasztoru nie miał wejść ani jeden mnich. Panowała idealna cisza, obrazy wibrowały.

Przemawiały.

Nie potrafiłby tego opisać w inny sposób.

Kontemplował w ich majestatycznym całokształcie nakładanie się trzech biblijnych czasów objawienia, od popełnienia grzechu pierworodnego po przyszłą symbolikę Apokalipsy, wreszcie skupił wzrok na sądzie ostatecznym, trąbach anielskich, niebiańskim Jeruzalem, błogosławionych spoczywających na łonie Abrahama i mękach piekielnych.

Historia zbawienia.

– To jak uścisk ramion.

Isabeau, rozpromieniona, przyglądała mu się spod łuku nawy.

Gualtiero miał łzy w oczach. Przepełniała go duma, upojenie, którego nigdy przedtem nie potrafił sobie wyobrazić. W każdym z tych malowideł pozostała jakaś jego część! Jakaś jego część wraz z naukami ojca Andrei, odwagą Rocheblanche'a i miłością żony. Potrzebował chwili, by zapanować nad owym zalewem uczuć.

– Może nie wszyscy zrozumieją – szepnął.

– A gdyby nawet? – Niewiasta wzruszyła ramionami. – Zrozumieją dość, by poczuli się szczęśliwi.

Malarz pokiwał głową. Zatrzymał się jeszcze przed sceną Zwiastowania, w której jasnowłosa Maryja o migdałowych oczach miała twarz jego matki, Sapii, po czym pocałował żonę z uśmiechem.

– Teraz pora iść – powiedział.

Ojciec Andrea zwinął otrzymany dopiero co od messer Maynarda de Rocheblanche'a list, uradowany dobrą nowiną, i pomachał na pożegnanie młodej parze, która oddalała się właśnie, siedząc na wozie.

Gualtiero de' Bruni w końcu opuszczał to miejsce, w taki sposób jak tu przybył.

Opat sam nie wiedział, dokąd mistrz malarski się udaje, domyślał się jednak, że będzie podążał tymi samymi ścieżkami, co niegdyś jego ojciec, a talent Gualtiera przekroczy urwiska Apeninów, sięgając Romanii, Umbrii i ziem Toskanii.

Patrzył, jak wóz kieruje się drogą na południe, i nie potrafił powstrzymać wzruszenia. Następnie, życząc Gualtieroowi i Isabeau wszelkiego dobra, zawrócił do klasztoru, aby znowu podziwiać freski.

Oglądał je aż do zachodu słońca, rozpalony euforią i ciągłą ciekawością. Pośród niezliczonych symboli i obrazów biblijnych Gualtiero pozostawił bowiem pewną zagadkę.

Otóż stół z ostatniej wieczerzy nie był prostokątny, lecz okrągły.

Gdy ojciec Andrea przypatrywał się, jak młodzieniec go maluje, wielokrotnie korciło go, by zapytać, skąd ów jakże osobliwy wybór, w końcu postanowił zachować to pytanie dla siebie.

W gruncie rzeczy fresk był jedyny w swoim rodzaju nie tylko za sprawą

mieniących się czerwienią barw. Również za sprawą tajemnicy.

On zaś po latach ciszy za nic w świecie nie zrezygnowałby z usłyszenia na nowo, w najwyższym uniesieniu, szumu anielskich skrzydeł.

NOTA OD AUTORA (ŚWIATŁO HISTORII)

Kardynał Bertrand du Pouget zmarł 3 lutego 1352 roku w swym Palais de Griffon w Villeneuve-lès-Avignon, powalony klęską polityczno-militarnej kampanii w północnej Italii i wspomnieniem jednego z najbardziej ponurych okresów średniowiecza: epidemii dżumy. Mam nadzieję, że nie żywi do mnie urazy za wykorzystanie jego imienia do opisanego geniusza intryg i zła. Na swą obronę mógłbym powiedzieć „Dumas docet”, skoro więc również zamierzałem przedstawić postać literacką na wzór kardynała Richelieu, bez wahania czerpałem pełnymi garściami z książek historycznych. Tak samo rzecz ma się z Lambertem da Cingoli (albo Rambertucusem Cingulanusem), jednym z najbardziej wpływowych dominikanów w Lombardii i Marchii Genueńskiej aż do połowy XIV wieku. W latach 1329–1331 wraz z Egidiem Galluzzim i Pacem da Vedano sądził stronników Ludwika Bawarskiego w procesie o herezję. Jak podaje *Catalogus inquisitorum* Ermenegilda Todeschiniego, do roku 1338 był ponadto generalnym inkwizytorem Bolonii, z władzą sięgającą aż do Ferrary, a w latach 1342–1355 przeorem konwentu bolońskiego, z przerwą na funkcję prowincjała. Wieści o nim urywają się po jego nominacji na wykładowcę w Studium generale w tym samym mieście w 1356 roku.

Dokładne są także informacje na temat Hectora de Durforta, który został wysłany do Italii w roku 1349 jako *rector Romandiolae pro Ecclesia*, oraz Guida di Baisia, zmarłego w Ferrarze 21 kwietnia 1349 roku – z pewnością nie dlatego, że ugodziła go strzała! W testamencie sporządzonym na trzy dni przed śmiercią jest wzmianka o księgach prawniczych autorstwa jego wuja, również Guida di Baisia.

W ramach wyznaczonych przez fikcję literacką usiłowałem zachować dokładność również w stosunku do takich postaci jak Filippo di Neri d'Antella oraz mistrz Vitale de Equis. Z najwyższą starannością jednak starałem się odtworzyć średniowieczną Ferrarę, nie pomijając nawet domów uciech (te najczęściej odwiedzane znajdowały się w dzielnicach Świętego Romana i Świętego Pawła).

Pozostaje jeszcze Pomposa, wraz z jej blaskiem i wdziękiem. Z jej urodą. Opisanie tego opactwa na kartach książki nie było trudne, jako że dotrwało do naszych czasów prawie niezmienione. Ozdobione freskami w 1351 roku z woli opata Andrei – tak głosi napis na sklepieniu w niszy apsydy – oczom każdego, kto dostąpi przywileju jego zwiedzania, ukazują freski bezimiennego artysty. Freski apokaliptyczne, owszem, lecz przecież wykonane w okresie tuż po zarazie, gdy zaczynała odradzać się nadzieja,

że dzieje człowieka jeszcze nie dobiegły końca i że Bóg jeszcze się nie znużył własnymi dziećmi.

Pomposiańska Apokalipsa jest zatem przeznaczona dla nas, wkraczających bezwiednie w ten teologiczny zamysł, w to gotyckie arcydzieło, w którym „wykonało się”.

Naturalnie dla tych, którzy w to wierzą.

Co do mnie, wierzę w cnoty, które chciałem zaszcześcić w moich postaciach: Maynardzie, Eudeline, Gualtierze, Isabeau. W gruncie rzeczy ważne jest tylko, jak żyliśmy, i to, jak określone idee nadal żyją w nas. Jak nas inspirują, jak wzajemnie nas łączą. I jak podpowiadają, że nawet w sercu najczarniejszej opowieści, podobnie jak w najtragiczniejszych meandrach historii, zawsze znajdzie się promyk światła, o ile potrafimy go poszukać.

Comacchio, 21 maja 2016 roku

¹ *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekł. z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Pallottinum, Przegląd Reader's Digest, Warszawa–Poznań 2000 (wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z tego wydania).

² Apokalipsa św. Jana 16, 13.

³ Kantykt zawarty w Ewangelii wg św. Łukasza (1, 39–55), śpiewany w czasie nieszporów.

⁴ *Pontate* były to etapy, na które dzielono fresk podczas pracy nad nim; określały przesunięcie rusztowania potrzebne do wykonania dzieła.

⁵ *Bliaut* – damska suknia z pofałdowaną spódnicą i rękawami rozszerzonymi od łokci.

⁶ *Ganea* – z łaciny: miejsce rozpusty.

⁷ *Aringhiera* – podest, z którego swego czasu florency przeorzy oglądali odbywające się na placu uroczystości.

⁸ Hugon ze Świętego Wiktora, *In hierarchiam coelestem expositio*.